



IWONA MENZEL

Z widokiem na Castello



TLR

Ewie i Igorowi

Wszystkie postacie są wytworem wyobraźni autorki;
podobieństwo do osób i wydarzeń jest całkowicie przypadkowe.
Castello Aragonese istnieje naprawdę.

TLR

Tylko przez krótką chwilę, tuż przed świtem, latarnie leżącego w dole portu rojaśniały się świetlistą zielenią, jak zamierające gwiazdki fajerwerku.

W miarę jak niebo nad Capri bladło, przygasał blask migoczących przez całą noc świateł dalekiego Neapolu. Najpierw wyłaniała się na wschodzie z szarzejącego mroku sylwetka Castello Aragonese, nieco później kontury Procidy i Vivarry, a na końcu leżący za nimi półwysep Sorrento. Ale dopiero kiedy na tle coraz jaśniejszego nieba zarysował się stożek Wezuwiusza, codzienny proces tworzenia Zatoki Neapolitańskiej można było uznać za zakończony. Po tej uwerturze nadchodził czas na krótki, ale brawurowy popis umiejętności malarskich, rozrzutne szafowanie całą paletą farb z typową dla Południa przesadą, od pastelowego różu i błękitu aż po czerwień pompejańską i złoto

Burbonów.

W końcu kurtyna szła w górę, światła w porcie gasły i pierwszy prom brał kurs na Neapol, pozostawiając za sobą szeroki łuk piany. Przez szyby mojego pokoju przechodziło ciężkie drzenie i w Ischia Porte zaczynał się nowy dzień.

Moi niemieccy przyjaciele na Ischię nie jeździli. Twierdzili, że jest tam za dużo ich rodaków, a Niemiec nie po to jeździ po świecie, żeby spotykać innych Niemców. Argument okazał się niezupełnie trafny, w rzeczywistości na całym Wybrzeżu Amalfitańskim, od Sorrento aż po Pozzuoli, było ich za dużo, dominowali na wszystkich dworcach autobusowych, w portach, restauracjach i kawiarniach. Tutaj, na Ischii, byli przynajmniej skanalizowani, poruszali się głów-

nie wzdłuż Passeo Vittoria Colonna i wystarczyło wspiąć się trochę wyżej, żeby ich w ogóle nie było widać. Patrząc nad ich głowami, miało się przed oczami całą Zatokę Neapolitańską, a po drodze tylko pióropusze palm, kosmate łapki pinii i morze.

Po raz pierwszy zobaczyłam Castello Aragonese dziesięć lat temu, na obrazie, który wisiał nad sekretarzykiem Anny Franchetti-Querini. Anna jest jedynym znanym mi człowiekiem, który pisze listy przy prawdziwym sekretarzyku, w dodatku empirowym. Wywiozła go ukradkiem którejś nocy z rodzinnego Castelvittorio, ponieważ, jak twierdziła, nie mogła już dłużej patrzeć, jak koty matki ostrzą sobie pazury o złożone główki podtrzymujących blat kariatyd. Ta akcja ratunkowa poważnie skomplikowała na parę lat jej stosunki z pozostałymi Franchetti-Querinimi i prawdopodobnie doprowadziłyby nawet do wydziedziczenia, ale tymczasem większość zamieszanych w konflikt zmarła, a koty pozdychały. Po tragicznej śmierci najstarszego brata Castelvittorio przypadło ostatecznie Annie w spadku i spędzała tam teraz każde wakacje z kielnią w ręku, bo stan *palazzo* był bardziej niż opłakany.

Na obrazie, utrzymanym w ciepłych odcieniach sepii i złota, widoczna była spiętrzona z rozmachem kupa kamieni, wyrastająca stromo z morza, równie nieprawdopodobna, jak Mont St. Michel, ale kształtem zbliżona raczej do przekrojonego bochna chleba.

- Czy to istnieje naprawdę? - zawołałam w stronę kuchni, gdzie Anna z surowo zmarszczonymi brwiami owijała cienkie pasma polędwicy i szynki parmeńskiej liśćmi szałwii. Jak każda prawdziwa Włoszka traktowała gotowanie śmiertelnie poważnie i była tą czynnością całkowicie zaabsorbowana.

- Niby co, *cara*¹? - odparła z roztargnieniem. - *Saltimbocca*?² Jak mi będziesz przeszkadzała, to z całą pewnością nie zaistnieje.

- Nie, chodzi mi o obraz nad twoim sekretarzykiem... Co on właściwie przedstawia?

- Ach, ten... No przecież Castello Aragonese na Ischii. Powinnaś to wiedzieć chociażby dlatego, że przebywała w nim jako dziecko Bona Sforza, późniejsza żona polskiego króla Zygmunta. Bardzo też możliwe, że niegdysiejsza pani tego zamku, Constanza d'Avalos, jest Gioconda z portretu Leonarda da Vinci. O Vittorii Colonne też nie słyszałaś?

Anna posiadała kolosalną wiedzę w dziedzinie kultury i sztuki, ale też i dość denerwującą umiejętność dawania innym do zrozumienia, że są niedouczeni. W jej towarzystwie nieustająco czułam się jak nieprzygotowana do lekcji uczennica. Pełna winy rozłożyłam bezradnie ramiona.

-Była wielką damą i utalentowaną poetką, pisała sonety i kancony, słynęła też z urody. Popierała ludzi sztuki, z Michelangelem Buonarrotim łączyła ją głęboka przyjaźń. Dzisiaj powiedzialoby się, że prowadziła salon literacki. Na swoje czasy była wyjątkową kobietą.

Popatrzyłam ponownie na obraz. Samotna sylwetka Castello promieniowała spokojem i siłą. Skały i budynki rozjaśnione były jeszcze ciepłym blaskiem nisko stojącego słońca, tylko w jednym z okien wieży paliło się już światło. Była to niezwykła sceneria, romantyczna i pełna mistycyzmu, i nie dziwiło mnie, że pani tego zamku pisała sonety.

Postanowiłam sobie, że któregoś dnia odszukam Castello i znajdę miejsce, z którego artysta go namalował. Za każdym razem, kiedy odwiedzałam Annę i patrzyłam na jej obraz, utwierdzałam się na nowo w tym zamiarze. Zanim je jednak Rzeczyn ście zobaczyłam, musiało upłynąć jeszcze wiele lat.

¹ * moja droga

² * Połudwica z szynką i szafwią w winie.

*

Villa Don Battista położona była na stromej skale wysoko nad zatoką Cartaromana. Ukryta przy jednej z bocznych uliczek wśród cytrynowych i figowych gajów, w ogóle nie była widoczna z głównej drogi i odkryłam ją wyłącznie przez przypadek, pomagając signorze Agnesinie nieść wyładowany główkami sałaty kosz. Signora Agnesina wysiadła, trzymając w ręku buty, z zapchanego niemieckimi rencistami autobusu, pożegnała się uprzejmym wrzaskiem z kierowcą, który z całą pewnością był jej kuzynem, jak zresztą połowa mieszkańców wyspy, i przysiadła z jękiem na krawężniku.

- *Oh santo cielo, molto caldo*^{*3} - zwierzyła mi się, poruszając ostrożnie palcami stóp. - Nogi mi spuchły. Nachodziłam się dziś po tym Neapolu, *madre*^{*4}, co za paskudne miasto! Ruch okropny, wszędzie tłumy i na *centauristi*^{*5} też trzeba uważać... Sodomia i Gomora.

Nie wiedziałam wtedy jeszcze, że mieszkańcy Ischii uważają widoczny na horyzoncie Neapol za symbol upadku obyczajów, bagno grzechu i siedlisko wszelkiego zła.

- Nie wszędzie może być tak pięknie i bezpiecznie jak na Ischii - pospieszyłam z próbą przypodobania się bosonogiej signorze, zachwycona otwierającą się przede mną perspektywą nawiązania kontaktu z prawdziwą autochtonką. Przewodniki zapewniały, że lud Ischii jest serdeczny i gościnny, ale napotkani do tej pory jego przedstawiciele patrzyli spode łba, odpowiadali mrukliwie albo wcale i nawet nie starali się o zachowanie pozorów uprzejmości.

³ * Święte nieba, ale gorąco.

⁴ * matko

⁵ * Rabusie na motorowerach, wrywający torebki spacerującym kobietom.

- Dokąd pani idzie, signora? Chętnie pani pomogę, ten kosz na pewno jest ciężki.

- *Grazie mille* - ucieszyła się signora, wsuwając nogi w pantofle. - Villa Don Battista, tam na górze... niedaleko, ale po schodkach. Mieszka pani gdzieś w pobliżu?

- Niestety nie, jestem tylko przejazdem, ale chciałabym przyjechać jesienią i właśnie rozglądam się za odpowiednim hotelem.

- Takim, z którego byłby ładny widok na Castello Aragonese.

- No to niech pani porozmawia z don Battista – powiedziała signora pogodnie. - Ładnego widoku na Castello to mu nie brakuje. Może mu się będzie pani nadawała.

Nie bardzo wiedziałam, dlaczego i do czego miałabym się don Battiście nadawać, ale wyszłam z założenia, że po prostu coś źle zrozumiałam. Moja znajomość włoskiego była średnia, a miejscowi mówili egzotycznym dialektem, bardzo dalekim od języka Petrarcki. Anna Franchetti-Querini określała go pogardliwie „pochrzakiwaniem”.

Szłyśmy raźnie po grubo ociosanych bazaltowych płytach jezdni, mijając zarosnięte bougainvillea furtki prowadzące do starannie utrzymanych ogrodów i nie zwracając uwagi na wyprzedzające nas samochody. Chodniki, odgródzone sięgającymi kolan krawężnikami, pomyślane były najwyraźniej dla bezpieczeństwa nie tyle pieszych, ile posadzonych na nich drzewek. Otwory na ich splątane korzenie zajmowały całą szerokość trotuaru i przed każdym bladuróżowym oleandrem trzeba było ustępować na jezdnię, co z powodu wysokości krawężników wymagało sporej kondycji fizycznej. Miejscowym zupełnie to nie przeszkadzało, na Ischii nikt - poza turystami oczywiście - nie chodził piechotą. Na ogół dosiadali ryczących skuterów: młode dziewczyny z dumną kokieterią, starsze kobiety

z powagą i godnością, mężczyźni z samobójczą desperacją. Także i signora Agnesina poruszała się zazwyczaj takim pojazdem i tylko wyjątkowy splot nie-szczęśliwych okoliczności, taki jak tego właśnie dnia, mógł ją zmusić do użycia nóg. Nic dziwnego, że nienawykłe do wysiłku stopy odmówiły jej posłuszeństwa.

- Pierino pożyczył sobie moją *motoretta**⁶, żeby pojechać na ryby - poinformowała mnie niespodziewanie poufnym tonem. - Udało mu się złapać *una bellissima orata**⁷, ale jak się pochylił, żeby ją zdjąć z haczyka, to kluczyki od *motoretta* wpadły mu do wody. No i teraz nie mam ani *motoretta*, ani *orata*.

Nie wiedziałam, kim był tajemniczy Pierino i zrozumiałam tylko tyle, że złowił złotą rybkę, która najpierw podarowała mu skuter, ale potem się rozmyśliła i odjechała na nim. Ukradkiem przyjrzałam się signorze: była bardzo przystojną kobietą zbliżającą się do sześćdziesiątki, o arystokratycznych rysach twarzy i energicznym podbródku. Nie wyglądała na kogoś, kto by opowiadał bajki o złoty-rybkach. Przysięgam sobie zapisać się po powrocie na jakiś naprawdę dobry kurs językowy. Società Dante Alighieri na przykład.

Skręciłyśmy w boczną uliczkę, wspinającą się między wysokimi murami z wulkanicznego tufu, w którego szparach kwitły kępki dzikiego rozmarynu, pastelowe groszki i delikatne czułki passiflory, bardziej podobne do egzotycznych owadów niż do kwiatów. Na samym dole, tuż przy ziemi, gdzie było najchłodniej, rosły pęki nikocjany, której bladożółte i fioletowoczerwone dzwonki były szczelnie zwinięte i otwierały się dopiero o zmroku.

- To tu! - sapnęła signora, zatrzymując się przed wysokim łukiem okolonej pnącymi różami bramy i pokazując na wmurowane obok kafle z wizerunkiem Castello Aragonese i napisem: *Villa Don Battista*. - Teraz jeszcze tylko schodki i już jesteśmy.

⁶ * skuter

⁷ * pięknego leszcza

Zerknęłam ostrożnie w czeluść bramy i zobaczyłam niezliczoną ilość stromych stopni, prowadzących prosto do nieba.

- A ile jest tych schodków? - zapytałam, stawiając kosz na ziemi i łapiąc z trudem oddech.

- Osiemdziesiąt sześć - odparta signora wesoło. - Don Battista twierdzi, że sto, ale to nieprawda. Zresztą może pani sama policzyć.

- Proszę wybaczyć, signora... willa należy więc do don Battisty, a pani jest zapewne jego żoną?

- *Santa Madonna Annunziata, no!* - Arystokratyczny podbródek signory zatrzęsł się od śmiechu. - Ja tu pracuję *in cudna**⁸. Jestem *la cuoca**⁹ Agnesina.

W ten sposób miałam okazję poczynić nową interesującą obserwację: na Ischii bardzo często praczki i pomywaczki wyglądały jak państwo, a państwo równie często wyglądali jak praczki i pomywaczki. Najlepiej było to widać 26 sierpnia, kiedy odbywała się Festa St. Alessandro i przedstawiciele klas niższych zakładali stroje rodów Colonna, d'Avalos i Gonzaga. Agnesina brała udział w procesji jako Diana di Cardona, matka Ferrante d'Avalos, i była do tej roli wprost stworzona. Potrafiła, nawet patrosząc kurczaki, nie tracić ani na chwilę arystokratycznego wyglądu i naturalnej godności.

Na szczycie schodów odwróciłam się i spojrzałam w dół. Przede mną roztaczał się widok, którego od lat szukałam: płaskie dachy Ponte, kopuła katedry, pokryta mozaiką wieżyczka kościoła Spirito Santo i Castello Aragonese - widok z obrazu nad sekretarzykiem Anny Franchetti-Querini. W końcu znalazłam go, należał teraz do mnie i miałam nadzieję, że będzie to nareszcie początek długiego i szczęśliwego związku. Im bardziej skomplikowane i kruche stawały się moje stosunki międzyludzkie, im mniej czułam się na siłach wciąż na nowo ufać, wierzyć i lizać rany, tym większa była moja tęsknota za mi-

⁸ * w kuchni

⁹ * kucharka

łością, która nie przyniesie mi rozczarowań i pozostanie stabilna - chociażby dlatego, że jej obiekt już od sześciu stuleci nie ruszył się z miejsca. Byliśmy do siebie podobni, Castello i ja, tkwiliśmy mniej lub bardziej samotnie pośrodku odmętów, stawialiśmy lepiej lub gorzej czoła pastwie żywiołów i akceptowaliśmy przemijalność tego, co liznęło krawędź naszej egzystencji. Wszystko nas opływało, jedynie z lekka o nas się ocierając, i nic nie pozostawało na zawsze, czemu nie można było się dziwić, bo z natury rzeczy do wysp docierają rozbitkowie, oczekujący od nich ratunku, ale nie dający wyspom nic w zamian.

W oknie na północnym krańcu Castello zapaliło się światło, tajemny sygnał dla mnie, potwierdzający łączącą nas więź, a mu-ry twierdzy i skaliste urwisko zapłonęły ciepłym blaskiem. Gdyby była tu ze mną moja siostra Ewa, powiedziała by w tej chwili na pewno: „Boże, jak tu jest pięknie!” i dopiero wtedy wszystko stałoby się naprawdę piękne. Ewa znajdowała się jednak w oddalonej o tysiące kilometrów Polsce i wszystko wskazywało na to, że w najbliższych czasach niczego nie będziemy dzielić: ani obrazów piękna, ani doznań, ani słów.

Na szczęście miałam teraz Castello.

Z ociąganiem odwróciłam się, przeszłam przez pachnący ogród i pchnęłam przeszklone wahadłowe drzwi. W hallu było pusto, tylko za ladą recepcji miotał się przepasany brudną ścierką mały człowieczek w zniszczonych klapkach na bosych nogach, workowatych spodniach i podartym pod pachami T-shircie.

- *Buona sera, signore* - zaczęłam uprzejmie. - *Vorrei parlare con il padrone*^{*10}.

- Bo co? - odburknął człowieczek, nawet się nie odwracając. - Zamachnął się i walnął kluczem francuskim w ekspres do kawy. Poleciała z sykiem para.

¹⁰ * Dobry wieczór panu. Chciałabym mówić z właścicielem.

- *Scusi, ma preferisco parlare con il padrone personalmente*^{*11} - powtórzyłam ostrzej. Coraz częściej zadawałam sobie pytanie, gdzie właściwie autorzy przewodników spotykali tych gościnnych i serdecznych tubylców.

- Ja mówić bardzo dobrze po niemiecki i jeszcze lepiej po francuski - skarcił mnie człowieczek, nadal okładając ekspres kluczem. Westchnęłam. Ci sami autorzy zapewniali, że nic tak nie wzrusza mieszkańców Ischii, jak próba nawiązania kontaktu w ich ojczystym języku. Niestety, mieszkańcy Ischii najwyraźniej nie czytali przewodników.

-No więc dobrze, chciałabym mówić z właścicielem- powiedziałam z rezygnacją.

- Bo co?

- Proszę mnie natychmiast zaprowadzić do don Battisty! - wrzasnęłam. Ekspres podskoczył i połała się z niego strużka kawy. Człowieczek uśmiechnął się z zadowoleniem, wytarł filiżankę ręką T-shirtu i podstawił ją pod kurek.

- Cappuccino, madame? - zapytał uprzejmie. - Robię najlepsze cappuccino na Ischii.

- Niech będzie cappuccino - zgodziłam się załamana. – Ale potem zaprowadzi mnie pan do don Battisty.

- A czego ona chce od don Battisty? Ja jestem don Battista.

Na chwilę straciłam mowę. Spojrzałam na zrogowaciałe paznokcie stóp w zniszczonych klapkach, rzadkie piórka siwych włosów spoczywające na ramionach, brudną ścierkę opasującą spiczasty brzuch i pomyślałam sobie, że wyobrażałam sobie don Battistę zupełnie inaczej. W tym hotelu - o ile to w ogóle był hotel – wszystko było postawione na głowie: kucharka wyglądała jak księżna, *padrone* jak kuchcik... Ciekawe, jak prezentowała się reszta personelu?

- Ona sobie życzyć patrzeć na Castello Aragonese – odparłam pokornie. - Czy don Battista wynajmować pokoje?

¹¹ * Przepraszam, ale wolałabym rozmawiać z właścicielem osobiście

- Nie każdemu.

- A komu?

- To zależy. Jak ona z Neckermannem jeździć, to ja nie wynajmować. U mnie być sami profesorowie, doktorzy, artyści, ludzie kulturalni, poziom mieć, wino tylko u mnie kupować, nie w supermarkecie i ukradkiem do pokoju wnosić. Tylko przyjaciółom wynajmować. A ona co w Niemczech robić?

- Architekturę robić.

- Architekturę... - powtórzył don Battista z zamyśleniem, a jego zaskakująco młode, czarne oczy rozjarzyły się ciepłym blaskiem. Podsunął mi filiżankę z cappuccino i poklepał mnie serdecznie po udzie. - Jak architekturę, to dobrze, to nawet bardzo dobrze. Chyba będzie się nadawać. - Rozłożył szeroko ramiona i mocnym głosem zaśpiewał:

Libiamo ne Het i calici

Che la bellezza infiora,

E la fuggevol ora

S'inebri a volutta'.

Libiamo ne'dolci fremiti

Che suscita Vamore,

Poiché' quell' occhio al core

Onnipotente va.

Libiamo, amor fra i calici

Più' caldi baci avra'. *¹²

¹² * Aria Alfreda z „Traviaty”.

To był ten jedyny raz, kiedy zobaczyłam don Battistę takim, jakim był naprawdę: siedemdziesięcioletnim drobnym staruszką z okrągłą główką sępa na pomarszczonej szyi. Potęga jego osobowości była tak wielka, że wypełniał sobą szczelnie każde pomieszczenie, w którym się znajdował, i wydawał się olbrzymem. Hotelem, rodziną i gośćmi rządził żelazną ręką, w najlepszej tradycji tyranów Kampanii. Nie tolerował cienia sprzeciwu i nic nie uchodziło uwadze jego wciąż jeszcze pięknych oczu, które jarzyły się namiętym ogniem w pokrytej brunatnymi plamami twarzy.

Energia don Battisty była niespożyta. Już przed szóstą rano krzątał się po kuchni, przepasany wielkim fartuchem w kwiatki, a jeszcze po północy wskakiwał z ryżową szczotką do opróżnionego basenu, żeby go wyczyścić przed ponownym napełnieniem wodą z własnego gorącego źródła. Przez cały dzień pomykał niestrudzenie po wykutych w skale schodkach, a jego łysa, okolona wianuszkiem długich loków czaszka świeciła wesoło w słońcu pomiędzy krzewami oleandrów i hibiskusów. Te loki stanowiły znak firmowy don Battisty i manifestowały, że ma duszę artysty, którym rzeczywiście był: życiem don Battisty był śpiew. Nie jakieś tam „Wróć do Sorrento” czy „Płyn barko moja” dla wprawienia zagranicznych gości w dobry humor, tylko prawdziwe *bel canto*, solidny repertuar operowy: Rossini, Puccini i Verdi. Od rana do nocy słyhać było jego piękny, pełny tenor, z młodzieńczym zapałem zapewniający Aidę o swojej miłości, oplakujący Desdemonę albo zaklinający płochą Violette. Przy kolacji don Battista przechodził sam siebie, brawurowo miotał nad głowami oszołomionych gości arie, recytatywa i tremola, nie szczędząc bohaterskich póz oraz mimiki. W lekkim rozkroku, z prawą stopą nieco wysuniętą, wypiętą piersią, oczami skierowanymi ku górze, z prawą ręką wzniesioną okrągłym łukiem nad głową i rozcapierzonymi z gracją palcami przedzierał się z wirtuozerią przez odmęty opery włoskiej, samotny w swojej wyniosłości i uwięziony w ogromie własnego majestatu. Od zebranych oczekiwał nieustających dowodów bezgra-

nicznego zachwytu, frenetycznych oklasków i okrzyków „*Evviva! Bravo, don Battista, bravo! Bis!*”. Z ostatnim tonem, drżącym jeszcze w powietrzu, obrzucał wiwatujących spojrzeniem pełnym bezbrzeżnej pogardy, chłodno skłaniał głowę w podzięcie za aplauz i oddalał się z kamienną miną w stronę kuchni.

W obliczu przeżycia artystycznego tak obezwładniającego nieśmiała prośba o podanie chleba czy soli była oczywiście nie do przyjęcia: chleb i sól dostawało się w innych hotelach, u don Battisty dostawało się Verdiego. Nieostrożnego gościa don Battista karał lodowatą obojętnością i odbierał mu resztkę godności, degradując go do numeru pokoju. „Numer 110 - mówił, sztywniejąc - czego właściwie numer 110 oczekuje za te marne pieniądze, które mi płaci? Numer może, rzecz jasna, przenieść się do Continentalu albo Majesticu, jeżeli się mu u nas nie podoba i płacić za noc pięćset marek. My tu może nie mamy takich wulgarnych luksusów, do jakich numer na wycieczce z Neckermannem do Tunezji przywykł, ale za to jesteśmy jedną rodziną i traktujemy naszych gości jak przyjaciół. Tego numer 110 w Continentalu mieć nie będzie”.

Grupa wiernych przyjaciół don Battisty przyjeżdżała rok w rok, zajmując zawsze te same pokoje, przejmując w sposób naturalny te same obowiązki i rozwijając strategię przeżycia pozwalającą na spędzenie mniej więcej harmonijnego pobytu pod dachem mistrza. Wykonywali bez słowa skargi drobne prace porządkowe, rozwieszali upraną bieliznę pościelową, zmywali naczynia, podlewali kwiatki i karmili kota. Dzięki ich ofiarności Villa Don Battista była zapewne jedynym hotelem na wyspie, który nieomalże całkowicie obywatel się bez infrastruktury technicznej, takiej jak na przykład zmywarka do naczyń. Prawdziwi aktywiści, tacy jak pani Pawelke, przyjeżdżali nawet dwa razy w roku: wiosną, żeby doprowadzić ogród do porządku przed sezonem, i jesienią, żeby go przygotować

na zimę. Don Battista uważał to zaangażowanie za samo przez się zrozumiałe, gdyż, jak twierdził, gości było wielu, a on tylko jeden. Niezupełnie było to

prawdą, gdyż istniał również młody signor Spinelli, Fabio, przystojny trzydziestolatek o miękkim zarysie podbródka i zaczątkach brzuszka. Codzienne przebywanie w atmosferze przesyconej przerażającą witalnością don Battisty musiało go straszliwie wyczerpywać, gdyż całe dni spędzał przed telewizorem, zwisając z fotela jak zepsuta kukielka, z wyrazem bezgranicznego wyczerpania na ładnej twarzy. Od czasu do czasu budził go do życia sygnał *telefonino*, komórki, z którą, jak większość Włochów, nigdy się nie rozstawał, uważając ją za część ciała. Przemieniał się wówczas na kilka minut w uwodzicielskiego amanta, ważnego biznesmena albo światowego dandysa i gestykulował żywo, wydając namiętne okrzyki, żeby po wyłączeniu komórki znowu natychmiast oklapnąć. Wiadomo było, że istnieje tylko jeden don – don Battista - i jak długo żyje, Fabio pozostanie Fabiem, w wieku lat trzydziestu, czterdziestu, a chociażby i sześćdziesięciu. Nie opłacało mu się więc odchodzić od telewizora.

- Jeżeli chcemy nadal przyjeżdżać do tego niezwykłego miejsca, musimy pomagać don Battiście - wysapałam kiedyś do Jochena Kamerzysty; wlokąc walizę po schodach. - Inaczej połknie biednego staruszka jakiś koncern i już nas nie będzie stać na patrzenie na Castello.

- To nie jest żaden biedny staruszek, tylko cholernie cwany stary skurwysyn - odparł trzeźwo Jochen. - Ma dwa mieszkania własnościowe w Forio, trzy w Neapolu i winnicę pod Sant' Angelo. Celowo chodzi w tych łachmanach, żeby goście myśleli, że ledwie koniec z końcem wiąże, nie pyskowali na niewygodę i brali się za robotę. Znam go od lat i wiem, jaki jest.

- Jeśli to prawda... to dlaczego wciąż tu przyjeżdżasz? - zapytałam wstrząśnięta.

- A bo ja bardzo lubię tego starego skurwysyna – powiedział Jochen z czułością. - Wiesz, całe życie spędziłem wśród ludzi sztuki i prawdziwego mistrza wyczuwam nosem. Don Battista jest jednym z największych artystów, jakich kiedykolwiek spotkałem. Genialny dyktator, charyzmatyczny demagog i na-

prawdę dobry tenor. Wizystkinmi pomiata, a ludzie go za to kochają. Z takim talentem trzeba się uradzić.

*

Jochena, operatora Telewizji Pómcnoniemieckiej NDR, i jego śliczną żonę Andreeę poznałam zaraz przy pierwszym śniadaniu w Villi Don Battista. Don Battista przydzielił mi odpowiednio do mojego nędznego statusu społecznego - gości płci żeńskiej podróżujący samotnie - stolik przy drzwiach do kuchni, przy którym cierpliwie czekałam, aż przyjdzie na mnie kolej. Zdążyłam już się zorientować, że w obowiązującej tu hierarchii znajduję się na samym końcu. Goście obsługiwani byli według stażu pobytów i skomplikowanego klucza, znanego tylko *padrone*: szczególnie zasłużeni na samym początku, Włosi przed Niemcami, Niemcy przed przedstawicielami innych narodowości i tak dalej. Zrezygnowana rozłożyłam „Frankfurter Rundschau” i zagłębiłam się w lekturze.

- Dzisiejsza gazeta? - zapytał sympatyczny męski głos. – Mogę na chwilę zerknąć?

Podniosłam oczy. Przede mną stał malowniczy osobnik w czerwonej chustce na głowie, zawiązanej na sposób piracki, wytartych spodniach z panterki i sznurowanych w kostce komandoskich butach. Patrząc na jego wygarbowaną wiatrem i słońcem twarz ozdobioną nastroszonymi wąsami morsa, musiało się mimowolnie myśleć o burzach piaskowych, lodowatych szkwałach na morzach północnych i monsunowych ulewach. Przeleciało mi przez myśl, że na pewno nosi w tych butach nóż i paszport i w tym momencie skojarzyłam sobie, kogo mi przypomina: Garego, australijskiego obieżyświata, którego spotkałam wiele lat temu w Ferrocarril Chihuahua al Pacifico. I w jego oczach był ten sam niepokój i tęsknota, które każą mężczyźnie porzucić wygodny dom, spakować plecak i ruszyć

na wędrówkę. Nawet jeżeli u jego boku stoi kobieta o uśmiechu tak zniewalającym jak uśmiech Andrei.

Skinęłam głową i podsunęłam mu „Rundschau”.

- Chyba nie masz zamiaru siedzieć tutaj sama i czekać, aż *padrone* się nad tobą zlituje? - powiedział. - Zjedz z nami śniadanie na tarasie, te pomyje, które don Battista nazywa kawą, znacznie lepiej smakują, kiedy się patrzy na Castello.

- Bardzo chętnie, ale czy wolno? Don Battista zaznaczył, że na tarasie nie podaje.

- My sami sobie podajemy.

Doświadczenie, jakie Jochen zdobył, kręcąc w najróżniejszych częściach świata reportaż z obszarów objętych kryzysami, obcując z przywódcami afrykańskich plemion, czeczeńskimi watażkami i paczuńskimi książkami, okazało się w kontaktach z don Battistą zbawienne. Przebiegłością, pochlebstwem i przepukstwem wywalczył sobie pozycję zupełnie wyjątkową i tylko legendarna donna Cornelia, dama ważąca prawie sto pięćdziesiąt kilogramów i serdeczna przyjaciółka *padrone*, mogła pochwalić się podobną.

Dzięki znajomości z Holzbrinckami z miejsca awansowałam w oczach szefa i personelu, przez co pobyt w willi nabrał dodatkowego uroku. Jochen był wspaiałym gawędziarzem, a przede wszystkim po mistrzowsku przemycał do hotelu kupione w supermarkecie butelki Biancolelli, które chłodził w bidecie. Zamawialiśmy do kolacji jedną oficjalną, którą po wypiciu wymienialiśmy w trakcie wieczoru na butelki z bidetu i opróżnialiśmy je zupełnie otwarcie, patrząc prosto i niewinnie w oczy don Battisty. Jeżeli nawet miał jakieś podejrzenia, to nigdy nie posunął się do rewizji naszych łazienek.

Szczególnymi względami cieszył się w hotelu także profesor Schnuller-Gat zweiler. Profesor wykładał na uniwersytecie w Hamburgu literaturę romańską, mówił płynnie po włosku i wprowadzał don Battistę w dobry humor, komplementując w wyszukany sposób wykonanie każdej arii. Poza tym konsultował się z nim

w kwestiach interpretacji średniowiecznych tekstów neapolitańskich, co don Battście bardzo pochwlebiało - nigdy nie omieszkał dać skromnie do zrozumienia, komu właściwie profesor zawdzięcza swoją niekwestionowaną wysoką pozycję w międzynarodowym środowisku naukowym. Aktualnie badacz pracował nad antologią miejscowych wyliczanek dziecięcych i przyśpiewek biesiadnych. Także i w tej dziedzinie don Battista okazał się prawdziwą skarbnicą wiedzy, ale Jochen Kamerzysta twierdził, że zmyśla po prostu bezczelnie coraz to nowe teksty, które profesor potem z entuzjazmem wbija w swoją japońską toshibę z faksmodemem i kartą sieciową.

Stałe stanowisko operacyjne naukowca znajdowało się pod potężnym krzewem hibiskusa tuż przy wejściu do willi, w strategicznie dobrym punkcie, dającym wszystkim jej mieszkańcom okazję do podziwiania srebrzystego laptopa i erudycji jego właściciela.

Na nowo przybyłych profesor spadał jak sęp, zasypując ich bogactwem swojej retoryki i wygłaszając drobne, błyskotliwe rozprawki o różnicach w ułożeniu szat na freskach II i III stylu pompejańskiego albo etymologii słowa *Pithekous-sai**¹³. Kiedy widziało się uciekających w popłochu gości bądź przemykającą pod ścianami pokojówkę Cesarinę, było wiadomo, że znajdują się w trakcie ucieczki przed intelektem profesora. W signorze Flavii jednakże, pochodzącej z Florencji wiekowej damie o patrycjuszowskich rysach twarzy, udało mu się znaleźć wdzięczną słuchaczkę. Signorę unieruchomił ciężki atak artretyzmu, nie opuszczała więc hotelu i spędzała całe dni na tarasie, owinięta w przetykany złotą

nitką szal. Być może nudziła się jak mops, być może istotnie interesowała ją fałdy szat, w każdym razie słuchała uważnie wywo-dów profesora, kiwając uprzejmie głową, unosząc w geście zainteresowania szlachetnie sklezione brwi, a nawet klaszcząc od czasu do czasu w upierścienione dłonie. Naukowiec nie posia-

dał się ze szczęścia, znalazłszy interlokutorkę tak dostojną i skłoną do kooperacji. Napomykał od niechcienia, że znajomość z arystokratyczną signorą się zacieśnia, jej intelekt jest równie imponujący jak jej drzewo genealogiczne, a podobieństwo do dam z portretów Caravaggia bezsprzeczne. Oczami ducha już widział, jak się przed nim otwierają drzwi najświetniejszych domów Toskanii, ale w sobotę signorę Flavię odwiedził syn i położył kres tym miłym marzeniom. Młodzieniec przysłuchiwał się przez chwilę z dużą fascynacją skrzącemu się dowcipem i *esprit* traktatowi profesora o znaczeniu listów Pliniusza młodszego do Tacyty dla współczesnego literaturoznawstwa, po czym powiedział:

- *Professore*, jestem panu głęboko wdzięczny za zainteresowanie, które okazuje pan mojej matce, czuję się jednak w obowiązku poinformować pana, że *madre* jest głucha jak pień.

Jochenowi Kamerzyście, który profesora pogardliwie nazywał „małą z muszką”, ze względu na ozdobę szyi w tęczy kolorach, noszoną przez niego nawet przy największych upałach, scena ta sprawiła masę radości.

- Zachwiał się, jakby go młody *conte* w jaja kopnął – składał mi przy kolacji z wyraźną przyjemnością relację. - Patrzył na signorę z przerażeniem, zupełnie jakby się na jego oczach przemieniła w kościotrupa, jak to w horrorach bywa, a ona pokazała mu w arystokratycznym uśmiechu sztuczną szczękę i pomachała dobrotliwie tym całym sklepem jubilerskim, co to na sobie nosi.

„Ojciec i syn”, nobliwy starszy pan i towarzyszący mu pulchny młodzieniec o miękkim zarysie podbródka i wilgotnych oczach sarny, którego starszy pan nazywał ciepło „Cookie”, przyjeżdżali co roku w początkach maja i zajmowali zawsze tę samą suitę dla młodożeńców o nazwie Mirt, urządzoną w najdzikszych odcieniach różu. Wszystkie pokoje w Villi Don Battista nosiły nazwy kwiatów: Miosotis, Camelia, Mimosa, Magnolia. Mnie zakwaterowano w Margherita - na majolikowej płytce wmurowanej koło drzwi rzeczywiście namalowana była mar-

gerytka. Za płytką mieszkało turkusowe gekko o wzruszających paluszkach zakończonych okrągłymi poduszeczkami, które pojawiało się wieczorami i zastygało nieruchomo, ułożone w kształt znaku zapytania, ogonkiem do góry i głową do dołu.

Jeżeli gość przestawał być dla don Battisty numerem, a zaczynał być kwiatkiem, oznaczało to awans i ocieplenie stosunków. „Co dla Mimosy *per il secondo**¹⁴? - pytał don Battista uprzejmie, na co należało odpowiedzieć: „A co mi pan doradza?”, bo w ten sposób kwiatek manifestował gotowość zdania się na łaskę i niełaskę *padrone*, co było przez niego zawsze dobrze widziane. W ten sposób można było posunąć się o krok dalej na drodze wiodącej do statusu gościa obdarzonego nie tylko nazwiskiem, ale i imieniem, z perspektywą stania się któregoś dnia signorą Anną czy signorą Barbarą i otrzymania przy wyjeździe buziaka od don Battisty.

W suicie Mirt „ojciec i syn” spędzali coś na kształt miesiąca miodowego, prawie nie wychodząc na światło dzienne. Mieszkający obok Jochen Kamerzysta wyrażał się z uznaniem na temat ich pomysłowości i wytrwałości. „Łapię się na tym, że czekam w napięciu na dalszy ciąg - referowałam. - Wczoraj na przykład ten starszy mówi: «Pozwól, że ci posmaruję ten słodki brzusek konfiturą z mandarynek i będę ją powoli zlizywał», a dziś wypili całą butelkę szampana, nalewając go sobie nawzajem do pępuszków... wiesz, jak długo to trwało?”

„Ojciec i syn” starali się o względy don Battisty w sektorze kuchennym: obierali ziemniaki, myli sałatę i krajali pomidory. Po kolacji „syn” wycierał kieliszki do wina, a „ojciec” przyglądał mu się z dumą, gawędząc z kucharką Agnesiną.

¹⁴ * na drugie danie

- Z Cookiego będzie całkiem dorzeczną żona - mówił z uznaniem Jochen. - Wyobraź sobie, uczy się od Agnesiny, jak się przyrządza *coniglio alla cacciatora*^{*15}, czy to nie wzruszające? Andrei ten pomysł nigdy nie wpadł do głowy.

Kucharka Agnesina była wielką artystką sztuki kulinarnej i jedyną osobą, która brawurowo stawiała czoła don Battiście. Obecność aż dwóch dusz artystycznych pod tym samym dachem musiała z natury rzeczy prowadzić do konfliktów i co parę dni oboje pieklili się zawzięcie. Z tych potyczek na ogół wychodziła górą Agnesina: don Battista może i był *padrone*, ale wagi muszej, Agnesina natomiast dysponowała trzykrotnie większą masą ciała i nie mniej cholerycznym temperamentem.

Jak w każdej klasycznej operze starcie zaczynało się od uwertury. Z kuchni rozlegało się coraz głośniejsze szczekanie naczyń, kulminujące w huku ciskanych o podłogę patelni, widelce gości zamierały w pół drogi do ust, don Battista rzucał spłoszone spojrzenia w stronę kuchni, w końcu w niej znikał. Następujący po tym otwarciu duet był co prawda doskonale słyszalny, ale nawet profesor Schnuller-Gatzweiler rozumiał tylko co drugie słowo, bo oboje przechodzili na szeleszczący dialekt, bliższy arabskiego niż włoskiego. Wszystkie oczy zwracały się w niemym pytaniu ku na-ukowcowi, który nadśluchiwał z najwyższym napięciem i tłumaczył pospiesznie:

- Ona krzyczy: „Ty mi grozisz? Ty mi grozisz, stary capie? Wynoś się natychmiast z mojej kuchni!”, a on na to: „Twojej kuchni, córko czarownicy? To moja kuchnia i wyrzucam cię z niej na zbity pysk, jesteś zwolniona!”, a teraz znowu ona... nie, tego nie zrozumiałem, to chyba coś ze świata zwierzęcego... oooch, ale to było ciekawe, odniosłem wrażenie, że Agnesina zarzuciła don Battiście pewne niecodzienne praktyki seksualne, a on, słowo daję, chyba potraktował to jako komplement, bo wygląda na zadowolonego!

¹⁵ * królika po myśliwsku

W drugim akcie purpurowa na twarzy Agnesina wpadała do jadalni, rozwiązywała troczki fartucha, rzucała go na podłogę i deptała z pasją, przy czym jej obfite piersi podskakiwały jak dwa dojrzałe melony, a z kieliszków na stołach wylewało się wino. Osamotniony w kuchni don Battista oddawał się w tym czasie klasycznemu *recitativo arioso*, pełnemu goryczy monologowi, który nazywaliśmy „Skargą padrone”. Opisywał w nim czynione przez siebie dobro, ubolewał nad niewdzięcznością krnąbrnego personelu, opłakiwał wysokie podatki, sytuację polityczną i gospodarczą kraju i kończył pełną bólu konkluzją, że życie jest jednym pasmem wyrzeczeń i rozczarowań.

W ostatnim akcie Agnesina podnosiła fartuch z podłogi, wycierała hałaśliwie nos i szła do kuchni, żeby pocieszyć don Battistę, po czym następował wspólny duet, zapewniający o obopólnej przyjaźni i wierności.

Pytany, o co poszło, don Battista unosił bezradnie ramiona i mówił: „Agnesina ma bardzo trudny charakter, jak większość kucharek. Kazałem jej zrobić bakłażany nadziewane mozarellą, a ona uparła się jak muł, że będą faszerowane mięsem.... chociaż mięso miało być przecież na jutro, do zapiekanki z papryki. Co zrobić... Wszystkie baby są kłótniwe, a o dobrą kucharkę u nas na Ischii trudno”.

Tu, na wyspie, wszyscy żyli jak na scenie, jak w operze Verdiego. Niewtajemniczony obserwator nieustannie odnosił wrażenie, że jest świadkiem wielkiej tragedii, uczestniczy w strajku albo w rewolucji. W rzeczywistości chodziło o nadziewane bakłażany, przyjacielską wymianę poglądów politycznych, zupełnie normalny odjazd autobusu czy przybicie promu - i tylko obcy tracili przy tym nerwy.

Niemniej, ile razy lądowałam na tej niepewnej sejsmicznie ziemi między kraterem Wezuwiusza i Campi Flegrei*¹⁶, brałam zupełnie poważnie pod uwagę

¹⁶ * Ogniste Pola, tereny na zachód od Neapolu, nie bez powodu nazywane w starożytności przedsiönkiem Hadesu.

możliwość jakiegoś kataklizmu, trzęsienia ziemi na przykład, erupcji wulkanu albo wybuchu trujących gazów. Na to, że ziemia usunie mi się spod nóg w Polsce, w podwarszawskim Łosinku, byłam całkowicie nieprzygotowana.

*

Istnieją w przyrodzie substancje, nazywane katalizatorami, które pobudzają reakcje chemiczne. Katalizator sam w sobie jest Bogu ducha winien, z zapoczątkowanego przez siebie procesu nie odnosi żadnych korzyści, ale to właśnie dzięki niemu wydarzenia zaczynają wirować coraz szybciej i szybciej, unosząc ze sobą wszystko jak trąba powietrzna, a on, uczeń czarnoksiężnika, nie jest w stanie ich zatrzymać.

Katalizatorem bywa substancja chemiczna, nieopatrzne słowo, nieostrożny gest, przedwczesny list, niefortunny telefon, niezapłacony rachunek. No i ja.

W trzecią niedzielę adwentu ciotka Regina Szetkiewiczowa zapraszała na mszę świętą za dusze zmarłych członków rodziny. Inni prosili na herbatę czy kawę, ona natomiast przyjmowała gości w lodowatym jak grobowiec kościele, przy wspólnym Wiecznym Odpoczywaniu. Uchylenie się od tego obowiązku nie wchodziło w rachubę, gdyż ciotka Regina była ostoją tradycji i absolutnym autorytetem we wszystkich sprawach rodzinnych, a za brak subordynacji potrafiła ukarać nawet i banicją.

Nie była to moja ciotka i nie moi przodkowie, ale poczułam się w głębi ducha zaszczycona, kiedy moja siostra przekazała mi jej zaproszenie: „A tę swoją niemiecką siostrę, Ewuniu, to ty przyprowadź ze sobą, żeby przypomniała sobie nasze piękne polskie tradycje”, powiedziała łaskawie ciotka Regina. Pożyczyłam od

szwagra ciepłe kalesony, żeby nie zamarznąć w kościele i bez słowa skargi spędziłam na kolanach prawie dwie godziny, bo tych Szetkiewiczów i Łosińskich było całe mnóstwo, a prawie wszyscy zginęli na polu chwały za Ojczyznę albo za Sprawę. Pocieszałam się perspektywą kieliszka doskonałej nalewki na smorodinie, którą ciotka Regina miała zwyczaj częstować po kościele w swoim ciemnym i po spartańsku urządzonej mieszkaniu, odzwierciedlającym jej życiową dewizę: „Skromność, oszczędność i dekalog w sercu”.

Obok tych cnót ciotka odznaczała się żelazną siłą woli, krótko mówiąc, była uparta jak muł. Przez całe swoje życie nosiła żałobę po niepodległej Polsce i po wuju Stanisławie, majorze kawalerii, który poległ w pierwszych dniach kampanii wrześniowej.

Widywało się ją zazwyczaj w prostych, wysoko pod szyją zapiętych czarnych sukniach, ozdobionych co najwyżej kameą albo pojedynczym sznureczkiem pereł; na płaskiej piersi wisiały na łańcuszku okulary w poślacanej oprawce. Nigdy, przenigdy nie ukazałyby się na ulicy bez kapelusza i rękawiczek, a od wielu już lat wspierała się na laseczce zakończonej główką lwa z kości słonowej. Przepęniało ją poczucie odpowiedzialności za wszystkich innych członków rodziny, ale też i pokory w obliczu woli Bożej. Wywłaszczona z rodzinnych Borysławie, utrzymywała siebie i dwie córki, Marię i Helenę, nazywane Masią i Lenką, udzielając lekcji języków i dokonując tłumaczeń z niemieckiego i francuskiego.

„To, co czyni człowieka wyjątkowym, to nie majątek i herby, tylko tradycja i zasady”, mawiała i była zdecydowana stać na straży tych zasad, przestrzegając skrupulatnie należytego obchodzenia rodzinnych chrztów, ślubów, komunii i pogrzebów.

Po przewrocie wielu członków rodziny przystąpiło do Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Kresowian Wierzyieli Skarbu Państwa, w nadziei na odzyskanie dawnych majątków. Wysuwali roszczenia, procesowali się, składali pozwy, a

wuj Mikołaj złożył nawet zażalenie przed Europejskim Trybunałem Praw Człowieka. Podczas gdy ich wysiłki wciąż przynosiły raczej mierne rezultaty, ciotka Regina znowu spała pod borysławickim dachem, w swoim własnym panińskim łóżku. Twierdziła, że zawdzięcza ten sukces hartowi ducha, ale w rzeczywistości odniosła go dzięki bezprzykładnej chytryści. Przynajmniej tak by się to nazywało w przypadku każdego innego człowieka.

W porównaniu ze wszystkimi innymi utraconymi rodzinnymi majątkami, szczególnie tymi na Wileńszczyźnie, dworek w Borysławicach stosunkowo niewiele ucierpiał w czasie wojennej pożogi i powojennego zamętu. Szczęśliwym trafem przejął go Związek Filmowców Polskich i przekształcił na Dom Pracy Twórczej. Biorąc pod uwagę los innych siedzib, zamienionych na pegeerowskie mieszkania pracownicze, chlewy albo składy paszy, było to naj- lepsze, co mogło mu się przydarzyć.

Po upadku PRL kierownictwo Domu Pracy Twórczej próbowało swoich sił w gospodarce wolnorynkowej – przekształciło dworek w hotel o nazwie Country Club Filmowiec i wynajmowało salę balową na bankiety. Brakowało jednak środków na szeroko zakrojoną kampanię reklamową, na fachową konserwację wpisanego do katalogu zabytków budynku i pielęgnację parku, a przede wszystkim brakowało gości. Dlatego dyrektor Banasik ucieszył się w pierwszej chwili na widok nobliwej starszej pani z laseczką i walizeczką, ale radość jego ustąpiła przerażeniu, kiedy starsza pani oświadczyła, że jest prawowitą właścicielką Borysławie i zamierza w nią znowu zamieszkać.

- No, no, mój drogi, niechże się pan tak nie *eszofuje*^{*17}" - powiedziała ciotka Regina dobrotliwie, obdarzając dyrektora Banasika ciepłym uśmiechem kobry królewskiej. - Nie mam zamiaru niczego odzyskiwać. Musiałabym procesować się z wami przez następne dwadzieścia lat, a mam już osiemdziesiąt dwa i wcale

¹⁷ * Od francuskiego *échauffer* - gorączkować się. Specjalnością ciotki Reginy było wplatanie do rozmowy słów obcojęzycznych, dezorientujących rozmówcę.

nie wiem, czy chciałabym dożyć stu. Ale czas, który mi jeszcze pozostał, zamierzam spędzić w tym samym pokoju, w którym mieszkałam jako dziecko, w tym nad portykiem, z oknami francuskimi i wyjściem na taras. Potrzebna mi będzie jeszcze naturalnie łazienka i mała kuchenka, ale to chyba nie są wygórowane żądania, prawda? Z całą resztą możecie sobie robić, co chcecie, bylebyście nie wycinali drzew w parku i nie kryli dachu blachą, bo to takie parweniuszowskie.

Ciotka Regina, staruszka twarda jak stal, trzymała od półwiecza całą rodzinę krótko przy pysku i dyrekcja Country Clubu Filmowiec nie była dla niej żadnym wyzwaniem. Prędzej czy później i tak wszystko szło zawsze po jej myśli. Tak też i tym razem się stało i po zaledwie trzech miesiącach ciotka Regina mogła wprowadzić się do swojego nowego mieszkania, pachnącego świeżą farbą. Powiesiła na ścianach krucyfiks i kilka bliskich sercu obrazów, rozstawiła parę bibelotów i zasnęła w swoim dawnym panińskim pokoju z miłym uczuciem, że co prawda potrwało to pół wieku, ale świat nareszcie się opamiętał.

W miasteczku zaaklimatyzowała się błyskawicznie i wkrótce objęła w naturalny sposób funkcję, do której od dawna była przyzwyczajona: autorytetu we wszystkich sprawach związanych z tradycją. Z proboszczem, aptekarzem i burmistrzem grywała regularnie w brydża, w kościele miała swoją ławeczkę z wygrawerowanym na mosiężnej tabliczce nazwiskiem, w Związku Przyjaciół Borysławie wygłaszała regularnie odczyty o historii miasta, a dzieciom z ubogich rodzin udzielała darmowych korepetycji. Coraz chętniej zasięgano jej rady, coraz częściej proszono o przecinanie wstąg i kładzenie kamieni węgielnych, uświetnianie koncertów charytatywnych i występów teatru amatorskiego. Jej odziana w czerń sylwetka, spacerująca z laseczką po resztkach dworskiego parku, stała się wkrótce nieodłączną częścią krajobrazu.

„Ludzie tak szybko umierają - mówiła rozmarzona - ale drzewa, na szczęście, pozostają. Pod tą lipą urządzaliśmy pikniki, za tamtym świerkiem rosły maślaki, a ten kasztan zasadził ojciec, kiedy urodził się mój brat Janusz. Janusz zginął w powstaniu, ojca zamęczyli na Pawiaku, wielu z nas od dawna nie żyje, ale drzewa przetrwały. Cieszę się, że mogę je codziennie odwiedzać”.

Ciotka Regina była jednak osobą zbyt dynamiczną, żeby na dłuższą metę wystarczyło jej odwiedzanie drzew i wkrótce postanowiła włączyć się aktywnie do zarządzania Country Clubem Filmowiec. Któregoś dnia złożyła w swojej najbardziej eleganckiej czerni wizytę dyrektorowi Banasikowi, żeby zaproponować mu współpracę.

- Moim zdaniem powinniśmy założyć centralne ogrzewanie i koniecznie wyremontować sień, co pan na ten temat sądzi, drogi panie Władysławie? - zagaiła tonem pogawędki.

- Całkowicie się z panią zgadzam - odparł dyrektor Banasik z widocznym zdenerwowaniem. - Ale środków brak.

- Wiem, wiem - przytaknęła łagodnie ciotka Regina. - No cóż, jak czegoś brak, to trzeba tego czegoś szukać. Czasami myślę sobie, że największą zbrodnią, jaką komuna popełniła na naszym narodzie, było uśpienie jego naturalnych instynktów. Inicjatywy na przykład. Musimy przestawić się na gospodarkę wolnorynkową, panie Władysławie, i obudzić w nas ducha przedsiębiorczości. Zasady nowoczesnego marketingu zresztą wcale nie są takie trudne, musimy mieć po prostu dobry pomysł i znaleźć na rynku niszę, którą wypełnimy.

- Wypełnić niszę? - wybełkotał dyrektor. - Ja z panią?

- Pan ze mną. Wie pan, hoteli na świecie jest dużo, ale tylko jedno Borysławice i tylko jedna ja. Proponuję, żebyśmy to wykorzystali przy promocji. Moglibyśmy na przykład pisać w prospektach: „Tylko u nas śniadanie z ostatnią dziedziczką Borysławie” albo: „Potrawy kuchni dworu carskiego według rodzinnych przepisów ostatniej dziedziczki Borysławie”. Co pan o tym sądzi?

- Pani żartuje? Ma pani zamiar nadzorować kuchnię? Towarzyszyć gościom przy śniadaniu? Proszę wybaczyć, ale czy nie uważa pani, że jest to nieco... wulgarne?

-Wulgarne jest robienie pieniędzy i komercjalizacja przynależności rodowej - pouczyła go surowo ciotka Regina. - Temu i ja jestem zdecydowanie przeciwna, w naszych sferach robienie pieniędzy jest absolutnie nieprzyjęte. Co innego ratowanie rodowego majątku, niekonwencjonalne metody są tu na terenie całej Europy na porządku dziennym. Vicomte Vignial utrzymuje w ten sposób od lat Château de la Flocellière, a markiz Albergotti Villa I Bossi. Takie czasy i nie ma się czego wstydzić, żadna praca nie hańbi.

Od tej pory Country Club Filmowiec przechrzczony został na Dwór Borysławice i proponował gościom, głównie zagranicznym, niepowtarzalną atmosferę polskiego dworku szlacheckiego z XIX wieku. Pod czujnym okiem ciotki Reginy przygotowywano w kuchni znakomite domowe wędliny, przetwory i nalewki, pasztety z dziczyzny, kulebiaki, kolduny i pięknie, które budziły zachwyty najbardziej wyrafinowanych smakoszy, szczególnie jeżeli przy posiłkach pani domu umiała gościom czas uprzejmą konwersacją w trzech językach. Jak sama otwarcie przyznawała, od lat nie bawiła się równie dobrze. Powróciła do domu swojego dzieciństwa, udało jej się zatrzymać, a nawet cofnąć czas, codziennie poznawała nowych, interesujących ludzi i wolno jej było szerzyć postrach wśród personelu. Kiedy dyrektor Banasik zatrudnił hoże Ukrainki, nielegalnie, rzecz jasna, i ciotka Regina po raz pierwszy od lat miała znów okazję powiedzieć: „Oksano, proszę posprzątać ze stołu”, poczuła, że łzy stają jej w oczach. Nareszcie wszystko powróciło na swoje miejsce: ona do salonu, a Oksany do kuchni. Kilka zimowych miesięcy spędzała jednak w Warszawie, pilnując świata, żeby nie wywinął ponownie kozła, czuwając nad polityką rządu i moralnością poszczególnych członków rodziny.

Herbata, na którą ciotka Regina zapraszała po mszy, była w rzeczywistości wystawnym przyjęciem, na którym nie brakło jej słynnych tarteletek z szyjkami rakowymi na szpinaku i jesiotra w sosie ogórkowym, potraw podawanych ponoć na dworze carskim. Przepisy na nie były chronione ścisłą tajemnicą i przekazywane z pokolenia na pokolenie.

Przy stole udało mi się zająć korzystną pozycję strategiczną między tacą z przystawkami i półmiskiem z jesiotrem, naprzeciwko fotela, w którym spoczywała ciotka Regina z dłońmi splecionymi na gałce laski i niebiańsko łagodnym uśmiechem na ustach. Pochylali nad nią troskliwie jasne głowy Karolek i Jerzyk, ulubieni wnukowie, ogólnie uważani za potencjalnych spadkobierców.

O tym, że ciotka w zamian za dożywocie w swoim panińskim pokoju zrzekła się notarialnie Borysławie, nie mieli najmniejszego pojęcia, a ona nie uważała za stosowne ich informować. Dlaczego miałyby pozbawiać ich złudzeń? Kochani chłopcy mieli dzięki temu przed sobą dobrych parę lat wypełnionych miłymi marzeniami, a ona mogła nadal liczyć na ich oddanie. Bóg zabrał jej męża i zesłał na nią wiele ciężkich prób, ale na pewno nie było jego życzeniem, żeby umarła jako samotna, pozbawiona znaczenia staruszka.

Powiodła zadowolonym wzrokiem po licznie zgromadzonych krewniakach pochylonych w skupieniu nad talerzami. Szmer ożywionych rozmów, szczękanie sztućców i jasny dźwięk trącanych kieliszków unosiły się nad stołem, wypełniając radosnym zgiełkiem surową w swojej prostocie jadalnię. Mężczyźni byli postawni i solidni, kobiety eleganckie, młodzież dorodna, dzieci zdyscyplinowane. Był to piękny i budujący widok, który napawał ciotkę Reginę usprawiedliwioną dumą.

Kiedy jednak sokole oko gospodyni spoczęło na starszym synu mojej siostry, Pawle, na jej czole ukazał się mars. Chłopię miało naciśniętą na uszy wełnianą myckę, spod której wystawały splecione w brudnawe tulejki dredy i zdecydowanie psuło harmonię obrazu.

- A czemuż to masz na głowie wronie gniazdo i siedzisz przy stole w czapce, mój Pawełku? - zapytała ze słodyczą. - Byłabym ci bardzo zobowiązana, gdybyś ją z łaski swojej zdjął.

- Kiedy to nie jest czapka, tylko światopogląd, ciociu - wyjaśnił Paweł. - Jamajka, rytm and blues, soul, Bob Marley... Ciocia słyszała o Bobie Marleyu?

- Nie słyszałam i jestem pewna, że niewiele straciłam. – Ciotka Regina przez chwilę zastanawiała się, czy ma się zdecydować na próbę sił, czy też okazać wielkoduszność. Wielkoduszność mogłaby zostać mylnie zinterpretowana jako objaw słabości. - W takim razie zdejmij z głowy ten światopogląd, przynajmniej na czas posiłku.

Rozmowy przy stole ucichły, wszystkie głowy zwróciły się z zaciekawieniem w stronę Pawła, który w myślach przeprowadził podobny wybór między demonstracją siły i dyplomacją, po czym wzruszył ramionami i wsunął czapkę do kieszeni. Moja siostra odetchnęła z ulgą, a ciotka Regina uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- A gdzież to jest nasza kochana Aleksandra? - zapytała, rozglądając się po zebranych.

Włosy zjeżyły mi się na karku. Ludzie, którzy mówią o nas „nasza kochana”, manifestują stosunek zależności i dają nam do zrozumienia, że z miejsca przestaniemy być kochani, jeżeli nie spełnimy pokładanych w nas oczekiwań. Moim zdaniem zwrot ten zawiera w sobie groźbę, jest archaicznie patriarchalny i w ogóle powinien być zabroniony.

- Kochana Aleksandra bardzo przeprasza, ale musiała zostać w domu, bo dziecku wyrzyna się ząbek - pospieszyła z wyjaśnieniami moja siostra. W rzeczywistości jej starsza córka Aleksandra skomentowała zaproszenie ciotki Reginy wzruszeniem ramion i mało uprzejmą uwagą: „To ona wciąż jeszcze żyje i te swoje dziady odprawia? Doprawdy, bardzo się wam wszystkim dziwię, że od pół wieku dajecie się jej terroryzować”.

Obserwując teraz ciotkę Reginę i zastanawiając się nad słowami Aleksandry, doszłam do wniosku, że narzucanie innym swojej woli przychodzi jej tak łatwo, bo po prostu nie jest w stanie sobie wyobrazić, że ktoś mógłby się jej sprzeciwić. Jest to doskonała podstawa do przejęcia przywódczej roli i gdyby urodziła się wcześniej, byłaby niechybnie Emilią Plater, a może nawet Dziewicą Orleańską.

- Ach, to biedne dziecko Aleksandry... - westchnęła ciotka Regina z fałszywym smutkiem. - Uznasz zapewne moje poglądy za rozpaczliwie staroświeckie, Ewuniu, ale do tej pory dzieci, które przychodziły w naszej rodzinie na świat, były owocem miłości małżeńskiej i miały nie tylko matkę, ale i ojca. Nie rozumiem, dlaczego akurat u twojej córki wszystko musi być inaczej.

Aleksandra urodziła w maju chłopczyka, nie wyjaśniając do końca, skąd się to dziecko wzięło. Robiła wrażenie, że albo nie ma pojęcia, kto się przyczynił do jego przyjścia na świat, albo kompletnie o tym zapomniała. Jej zdaniem nie miało to zresztą najmniejszego znaczenia, bo w dzisiejszych czasach rodzinne modele, które powszechnie uważano za normalne, całkowicie przestały się sprawdzać. Nie można było odmówić tej teorii pewnej słuszności i matka Aleksandry właśnie zaczęła się do niej przyzwyczajać, kiedy nagle pojawił się młody człowiek o skośnych oczach i śpiewnym rosyjskim akcencie, roszcząc sobie głośno i bezceremonialnie prawa do dziecka, co beznadziejnie skomplikowało i tak już niełatwą sytuację. Tylko z trudem dało się w nim rozpoznać chudego jak świerszcz Tolę, syna popa praskiej cerkwii, błędnego rycerza Aleksandry z czasów szkolnych, który po skończeniu szkoły najwyraźniej nadal zachował do niej sentyment.

- Widocznie Aleksandra różni się od innych ludzi - odparowała mężnie moja siostra. - A dziecko wcale nie jest biedne, wszyscy za nim szaleją. Przyznaję, wolałabym, żeby jego rodzice się pobrali, ale moja córka jest dorosła i od dawna robi to, co uważa za stosowne. W dzisiejszych czasach nikt zresztą nie przywiązuje

już wagi do tego, czy ślubne, czy nieślubne, byleby chowało się zdrowo i było kochane.

- W innych rodzinach, być może, ale nie w naszej - stwierdziła złowróźnie ciotka Regina.

- Nawet nasza powinna iść z duchem czasu. W każdym razie ja z nim idę i dlatego zaprosiłam ojca dziecka Aleksandry na wigilię.

- Moskala? Syna popa? - zapytała z niedowierzaniem ciotka Regina. - Na wigilię? Do nas?

- Jak żyję, nie słyszałam, żeby w dzisiejszych czasach ktoś jeszcze używał wyrażenia „Moskal” - zdenerwowała się Ewa. - Ciociu, powstanie styczniowe było sto czterdzieści lat temu, to chyba niemożliwe, żebyś je sobie jeszcze przypominała!

- Bolszewicy przybili pradziadka Szetkiewicza bagnetami do stodoły, przodkowie nasi szli na Sybir w kajdanach i umierali w Chabarowskim Kraju, a ty chcesz, żebym z Ruskiem do wigilii przy tym samym stole usiadła?

- Ciociu, stoimy na progu Unii i będziemy z różnymi narodami siadali przy tym samym stole, także i z tymi, z którymi w przeszłości walczyliśmy, bo przecież nic innego w całej naszej historii nie robiliśmy. Najwyższy czas zrewidować poglądy.

- Jestem za stara na zmienianie poglądów - oświadczyła ciotka Regina z oburzeniem. - Szczególnie jeżeli chodzi o naszą rodzinną tradycję i sprawy, które dla każdego Polaka są święte. Wszyscy bardzo kochamy Aleksandrę, ale sprawiła nam duże rozczarowanie. Wybacz, moja droga Ewuniu, ale w zaistniałej sytuacji jakoś nie mogę sobie w tym roku wspólnych świąt wyobrazić.

- O ile się nie mylę, święta miały się odbyć u Ewy i to o jej stół tu chodzi - wtrąciłam się. - Chyba wolno jej przy nim posadzić, kogo chce? W końcu to jej dom.

W Niemczech mówienie prawdy w oczy, szczególnie jeżeli jest to prawda niewygodna, uważane jest za cnotę. Poza tym zawsze uważałam, że moja siostra jest za dobra dla tego świata i należy jej bronić.

Ręce ciotki Reginy zacisnęły się na gałce laski, a jej szare oczy, piękne oczy Szetkiewiczów, nabrały stalowego błysku.

- Akurat ty nie powinnaś się wtrącać. Nie należysz do rodziny i ćwierć wieku spędziłaś w Niemczech. Przez ten czas przestałaś nas rozumieć. Nie jesteś jedną z nas, więc milcz.

- Wyjmij jedną deskę ze stołu, Paweł, nie będzie nam potrzebna - powiedziała Ewa.

- Będzie, będzie, zawsze wkładaliśmy dwie. - Paweł i Jan mocowali się z chippendalowskim kolosem, opierającym się na swoich wygiętych nogach jak oporny koń. Na co dzień stół był okrągły, przy uroczystych okazjach rozsuwano go i dodawano dwa dodatkowe blaty, dzięki czemu stawał się owalem, przy którym mieściły się dwa tuziny gości. Nasza matka rozpościerała na nim zazwyczaj adamaszkową serwetę, żeby ukryć jaśniejsze półksiężyce, pozostawione przed półwieczem przez odstawię nieopatrzna ręką gorące szklanki. W kryształowej wazie na środku stołu układała kwiaty, latem róże, jesienią pierzaste chryzantemy, których nie znosiłam, bo pachniały Zaduszkami i cmentarzem.

Rozsuwanie stołu było operacją poważną i trudną. Wypaczone przez lata blaty nigdy nie pasowały, mechanizm się zacinał, wspierające konstrukcję nóżki okazywały się nagle za krótkie i zwisały smętnie, jak podkurczone łapki kangura. Do ceremonii przykładano się cała rodzina, jedni ciągnęli, inni pchali, walili młotkiem i podkładali kliny, aż cudownie rozrośnięty mebel wypełniał całe pomieszczenie, nadając mu uroczysty charakter. Rozsunięty stół był zapowiedzią świąt, imienin, spotkań, wyśmienitego jedzenia, wesołego gwaru, ciekawych rozmów i interesujących ludzi. Przez wszystkie spędzone za granicą lata marzy-

łam o takim stole - i przez wszystkie te lata właściwie tak naprawdę nie był mi potrzebny.

- Rób, co ci mówię! Na wigilii będziemy sami, po cholere więc nam duży stół i te wszystkie krzesła, które przywlekliście z piwnicy. Wynieście je i schowajcie serwis babci do serwantki. Wystarczy ten z kredensu.

- Ależ Ewa, przecież co roku... - próbował oponować Jan, ale Paweł chwycił go za ramię i pokręcił ostrzegawczo głową.

- W tym roku jest inaczej niż co roku - warknęła Ewa i wyszła z pokoju, trzaskając drzwiami. Jan spojrzał pytająco na Pawła, który rozłożył ręce.

- Na śniadaniu u ciotki Reginy doszło do powikłań dyplomatycznych, mama straciła nerwy i teraz będziemy świętować sami. Reszta rodziny idzie do ciotki Anny. Schizma, rozumiesz?

- Nie, nie rozumiem. A o co poszło?

- Narodowy fundamentalizm, syberyjskie łagry, świętość sakramentu małżeństwa; bo ja wiem, o co jeszcze? To i tak wszystko jedno, przyczyn z czasem nikt nie będzie pamiętał, ale konflikty pozostaną.

Przez pokój przeszła Aleksandra z małym Tolą na biodrze, ciągnąc za sobą owiniętą szmatą szczotkę. Dziecko miało ciemne, nastroszone włoski, sterczące na wszystkie strony jak kopka siana, lekko skośne czarne oczy i dołeczki w policzkach. Za nimi jechał na pulchnej pupie szczeniak, wbity zębami w ścierkę.

- Wiesz, Aleksandro, to doskonały pomysł z tą kameralną wigilią - zagałam ożywionym tonem. - Co roku tyle przygotowań, zamętu, biegania po sklepach, pieczenia i gotowania, te tłumy gości, uginające się stoły... Niepotrzebna przesada, już nikt na świecie nie urządza takich świąt. Naprawdę cieszę się, że będziemy tym razem sami, w końcu nie przylatujemy do Polski, żeby zobaczyć ciotkę Reginę. Natomiast chętnie zobaczę znowu Tolę, bardzo go zawsze lubiłam, nawet wtedy, kiedy wyglądał jak wygłodniały kurczak. Nie przejmuj się tym, co

inni na wasz temat mówią, to wasze życie i tylko wy o nim decydujecie. Nigdy nie pozwól, żeby ktoś się wtrącał w twoje sprawy.

- No właśnie - powiedziała spokojnie Aleksandra. - To dlaczego się wtrącać? Mnie nikt się nie pytał, czy chciałabym, żeby Tola był na wigilii, a można by było sądzić, że mam własne zdanie na ten temat.

- A nie chciałabyś?

Pod zadczykiem szczeniaka pojawiła się rosnąca w oczach kałuża imponującej wielkości, biorąc pod uwagę niepozorne rozmiary pieska. Na ten widok dziecko schowało główkę na ramieniu jak ptak i się roześmiało. Aleksandra, bardzo szczupła, bardzo blada i bardzo dorosła, musnęła jego pokryty puszką policzek gestem pełnym miłości i porozumienia, które łączyło tylko ich dwoje. Jeżeli w tej szarookiej kobiecie ukryta była gdzieś głęboko mała dziewczynka z grubym warkoczem, której byłam przyjaciółką i powierniczką, to nie miała zamiaru się ukazać. Nie było też wykluczone, że Aleksandra o istnieniu tej dziwnej, samotnej dziewczynki, zamkniętej w swoim własnym świecie jak muszka w bursztynie, wcale nie chciała pamiętać. Od chwili, kiedy przyszedł na świat mały Tola, odnosiłam wrażenie, że wznosi wokół siebie mur, zatraskuje z zaaferowaną miną niewidoczne okna i drzwi, mówiąc: „Przepraszam, bardzo przepraszam, ale teraz i ja mam swoją rodzinę i swój dom, w którym wolałabym być sama”.

- Aleksandro? Przecież wiesz, że chciałabym tylko, żebyś była szczęśliwa. Wszyscy chcielibyśmy.

- Niestety - westchnęła. - Może lepiej byłoby, żebyście zajęli się swoim własnym życiem, zamiast wciąż ulepszać moje? Ta rodzina jest jak pająk, omotuje swoją siecią wszystko, co znajduje się w pobliżu, wysysa wszelką indywidualność i przerabia na obraz i podobieństwo swoje. Lata całe spędziłam na grzebaniu w starych papierach, dumna z tradycji i długiego szeregu zmarłych przaszczurów, a może po prostu zbyt słaba, żeby znaleźć sobie inny powód do dumy. Dziś nic

mnie tak nie przeraża, jak perspektywa upodobnienia się do innych członków naszego klanu, którzy siłę czerpią z celebrowania tego samego stylu życia i przekonania, że tylko ich poglądy są słuszne. Pomyśl tylko: niezmienną od dwustu lat uważane jest w mojej rodzinie za postęp!

- A wiesz, jak bardzo mi tego brakuje? Poczucia przynależności do jakiejś wspólnoty, posiadania korzeni, tradycji, historii? Bez tego czuję się w Niemczech taka okaleczona, jakby usunięto mi jakiś potrzebny do życia organ.

- Doprawdy? No to pociesz się, że nadmiar organów też może być śmiertelny. W tym domu zaczyna mi brakować powietrza do oddychania.

- W takim razie wyprowadź się, zamieszkać z ojcem twojego dziecka, w końcu byłoby to nawet naturalne. Pobierzcie się.

- Akurat w twoich ustach brzmi to co najmniej dziwnie - zauważyła sucho Aleksandra. - Rozwiązania naturalne wybierałaś nadzwyczaj rzadko. Natomiast mama, kapłanka harmonii rodzinnej, to zupełnie co innego, u niej wszystko musi być zawsze po bożemu, chociaż już wielokrotnie miała okazję stwierdzić, że nie tak skutecznie nie rozpętuje konfliktów, jak dążenie do pełnej harmonii. Umyśliła sobie, że chociaż w Wigilię moje dziecko będzie miało koło siebie rodzinę w komplecie, a rezultat jest taki, że większość rodziny zostanie za drzwiami.

Poczułam zmęczenie. Być może oplakiwany przeze mnie brak korzeni wcale nie był tak bolesną stratą, jak mi się do tej pory wydawało.

- Nie widzę nic dziwnego w tym, że wciąż jeszcze wierzę w małżeństwo, nawet jeżeli moje własne nie były sukcesami. Nigdy nie twierdziłam, że wynalazłam wyższą formę egzystencji i wcale ci jej nie polecam, szczególnie teraz, kiedy masz dziecko. Do tej pory jestem przekonana, że poznawanie jednego tylko człowieka i odkrywanie w nim wciąż nowych stron może być większą przygodą niż przelotne związki z dwudziestoma. Nie wiem, jaki jest twój stosunek do Toli, ale musiał być chociażby chwilowo dość bliski, skoro mały Tola pojawił się na świecie. Może powinnaś w twoich życiowych planach uwzględnić także i ich ży-

czenia? Twoja matka chciała jak najlepiej, a jeżeli reszta rodziny poczuła się urażona i postanowiła spędzić w tym roku Wigilię gdzie indziej, to jest to wyjątkowo szczęśliwy przypadek. Przynajmniej tym razem święta będą sprowadzone do ludzkich rozmiarów, a twoja matka odpręży się, zamiast słać się przy garach.

- Obawiam się, że bardzo się mylisz - stwierdziła spokojnie Aleksandra. Wzięła pod jedną pachę dziecko, pod drugą szczeniaka i wyszła z pokoju. Smałtę zostawiła. Wytarłam nią kałużę, którą pozostawił po sobie psiak i zaczęło we mnie kiełkować podejrzenie, że tym razem pobyt w Polsce będzie mi się dłużył.

Pozornie przygotowania do Wigilii szły swoim tokiem. W wykuszu stała ubrana bombkami i piernikami choinka, nad lustrem wisiały girlandy ze świerka, pod obrusem leżało sianko, na kredensie stały nakryte haftowanymi serwetkami półmiski z ciastem. Ewa krzątała się po kuchni, ale jej oczy pozbawione były blasku. Zagadywałam ją ożywionym tonem, próbując wskrzesić chociażby cień świątecznego entuzjazmu, ale odpowiadała półsłówkami. Mój szwagier wpadł na chwilę, rzucił okiem na stół już nakryty, ale wciąż jeszcze nie rozstawiony, na zasępioną żonę i mój promienny uśmiech, po czym wycofał się tyłem. Ze zdwojoną energią rzuciłam się do czyszczenia sreber, mycia kryształów i wycierania kieliszków, prac, które mąż mojej siostry co roku obiecywał wykonać, ale nie wykonywał. Tyle tylko, że tym razem tych sreber, kryształów i kieliszków było niewiele. Wytarłam więc jeszcze kurze w serwantce, wymiotłam mysie bobki i zasuszone świerszcze.

-No popatrz, jak pięknie się ze wszystkim wyrobiłyśmy - oświadczyłam entuzjastycznie, odwracając się do mojej siostry i przybierając wyraz twarzy wiernego owczarka, który wzorowo zaaportował kość i machając ogonem, czeka na poklepanie po grzbiecie. - Spokojnie i bez nerwów. Czy nie cieszysz się, że...

Spojrzała na mnie z takim smutkiem, że reszta zachwyków zamarła na moich wargach. Nie, nie cieszyła się ani trochę. Wprost przeciwnie, wolałaby miotać się jak w ukropie i słać ze zmęczenia, bo te wszystkie hucznie obchodzone rodzinne uroczystości, dla mnie absurdalne i przesadne, stanowiły w jej życiu ważne punkty odniesienia, porządkujące jego przebieg. Rodzina, ta pajęcza sieć zbudowana z miłości i zależności, od której chciała się wyzwolić Aleksandra i której mnie tak bardzo brakowało, była dla mojej siostry siatką bezpieczeństwa i wszystkie zakłócenia jej wrażliwej struktury napawały ją głębokim niepokojem. Utrzymywanie tej skomplikowanej konstrukcji w stanie równowagi uważała za swoje podstawowe zadanie i jeżeli kiedykolwiek miała jakieś własne życzenia, to dawno już o nich zapomniała. Budziło to moją troskę, bo podejmujemy zawsze duże ryzyko, zakładając, że inni dadzą nam wystarczająco wiele miłości, żeby wypełniła nasze życie.

Tola przyszedł za wcześnie. Wysoki i gibki, z tęsknotą w ciemnych oczach, musnął wąsami dłoń Ewy, pocałował Aleksandrę po ojcowsku w czubek głowy, wręczył kwiaty paniom i zabawki dzieciom, a małego Tolę z czułością zamknął w ramionach. Wyraźnie czuł się niepewnie, być może była to jego pierwsza katolicka Wigilia? Uświadomiłam sobie nagle, że nikt z nas nie ma pojęcia, jaką rolę odgrywa religia w jego życiu, i niewiele też wiemy o prawosławnych obyczajach. Jak przez mgłę pamiętałam mroczną i tajemniczo lśniąca złotem ikon cerkiew na Pradze, chwiejne płomyki świec, głębokie basy brodatych diaczków i palce złożone w „szczyptę”, kreślące znak krzyża. Tola, całkowicie nieświadomy rodzinnego wzburzenia, którego stał się przyczyną, siedział teraz wśród nas za stołem, wnosząc w krąg zaufanych twarzy coś egzotycznego i obcego. Mężnie przedzierał się przez dwanaście tradycyjnych potraw, aż do kompotu z suszonych owoców, którego, jak co roku, nikt nie ruszył, ale który co roku musiał być – na wyraźne życzenie mojego szwagra.

- Piękny chłop zrobił się z tego Toli - powiedziałam w kuchni do pochylo - nego nad zlewem karku Ewy. Jej mąż zapadł się w fotelu, słuchając z błogim wyrazem twarzy kolęd, córki poszły usypiać małe dzieci, a chłopcy rozpalali z Tolą ogień na kominku. -

Kto by pomyślał, jako dziecko przypominał wygłodniałego szczura. Ładna z nich para, prawda?

- W ogóle nie odniosłam wrażenia, że stanowią jakąś parę - odparła moja siostra ponuro. - W każdym razie nie na tyle, żeby mieć wspólne dziecko. Aleksandra traktuje Tolę z wyszukaną uprzejmością, ale nigdy jeszcze nie słyszałam, żeby od wyszukanej uprzejmości zachodziło się w ciążę. Mogliśmy sobie darować wszelkie próby integrowania go w rodzinie, skoro ona nie ma najmniejszej potrzeby integrowania go w swoim życiu. Zupełnie niepotrzebnie popsułam sobie stosunki z ciotką Reginą i resztą.

- Wiesz, że nigdy nie wtrącam się w twoje sprawy, ale był już najwyższy czas, żebyś przestała pozwalać sobą komenderować. Słowo daję, ciotka Regina musiała być w swoim poprzednim życiu kacykiem w afrykańskim buszu. Wyjątkowo apodyktyczna, złośliwa staruszka! W każdym innym kraju dawno by ją ubezwłasnowolniono.

- A co ciebie to obchodzi? - rozzłościła się nagle Ewa. - Zawsze twierdzisz, że w nic się nie wtrącasz, a w rzeczywistości nieustannie wtykasz nos w nie swoje sprawy. Ciotka Regina jest czynnikiem stabilizującym całą rodzinę, jest nie tylko potrzebna, ale wręcz niezbędna. A co do ciebie, to miała świętą rację: od lat siedzisz w tych Niemczech, nie masz pojęcia o naszym życiu, ale nieustannie usiłujesz je ulepszać. Swoje sobie ulepszaj!

Poczułam się głęboko zraniona. Zrezygnowałam jednak z kontynuowania przy wigilii dyskusji aż tak emocjonalnej i powiedziałam tylko sucho:

- To ja nakryję teraz do kawy.

Kobaltowy serwis ze złotym szlaczkiem należał do naszej babki i zupełnym cudem przetrwał wojnę prawie bez uszczerbku. Brakowało w nim tylko cukierniczki, postawiłam więc na stole srebrną cukiernicę Frageta, na nóżkach w kształcie amorków, którą wyczyściłam przed południem. Przyniosłam ze spiżarki patery z bakaliami i półmiski z sernikiem wiedeńskim, tortem orzechowym i mawkowcem. Mak w tym domu od czasów powstania listopadowego kręciło się pięć razy, chociaż nikt już nie mógł sobie przypomnieć dlaczego.

- Gdzie trzymasz cukier? - zapytałam, wchodząc do kuchni.

- W szafce na górnej półce - odparła Ewa, odpasując fartuch. Spojrzała na cukiernicę, którą trzymałam w ręku i jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki.

- Gdzieś ty to wygrzebała, na miłość boską? - wykrzyknęła.

- W serwantce - wyjaśniłam z godnością. - Nawet nie zauważyłaś, że wyczyściłam ci wszystkie srebra, pomijając już fakt, że mi nie podziękowałaś. I prześtań na mnie wrzeszczyć, z łaski swojej, bo jestem nieprzyzwyczajona.

- Ale przecież tam coś było w środku!

- A było, było. Stare gazety i mysie bobki. W tym domu wszędzie są stare gazety i mysie bobki, czasami też i same myszy - żywe albo zdechłe.

- I co z tym zrobiłaś?

- Z bobkami czy z mysimi zwłokami?

- Z gazetami!

- Wyrzuciłam do śmietnika. A co niby miałam twoim zdaniem zrobić: uprać i uprasować?

- Czyś ty zwariowała? Przecież ja w tej cukiernicy całą biżuterię trzymałam! Ryngraf pradziadka z Matką Boską Ostrobramską! Polonię Restituta ojca! Kolczyki z granatami prababki Szetkiewiczowej!

- A skąd miałam wiedzieć, że trzymasz? Normalni ludzie w normalnych krajach mają w tym celu sejf w banku albo w piwnicy, a przede wszystkim nigdy, przenigdy, nie podnoszą głosu!

- Normalni ludzie? Nasza mama też trzymała biżuterię w cukiernicy, dobrze o tym wiesz, i ja, w moim własnym domu, pod moim własnym dachem, też będę ją trzymała, gdzie chcę i w czym chcę, w dzbankach, garnkach, a chociażby i nocnikach, i będę wrzeszczała, kiedy tylko mi przyjdzie na to ochota. Jeśli ci ten kraj za mało cywilizowany, to po co tu w ogóle przyjeżdżasz? Żeby mnie z rodziną poróżnić i święta mi popsuć?

Nie mogłam uwierzyć własnym uszom. Czy to możliwe, żeby naprawdę wypowiedziała te słowa, bolesne jak kopnięcie w żołądek? A teraz - co dalej?

Ach, znieść mogłam wszystko - samotnie spędzone w Niemczech lata uczyniły mnie twardą jak stal Kruppa i giętką jak młody świerk. Nie istniał cios, po którym bym się nie podniosła. Moje geny przetrwania, trenowane przez lata, osiągnęły solidną kondycję. Już drugiego dnia po przybyciu do Niemiec dowiedziałam się o istnieniu przerażającego przysłowia *Was mich nicht umbringt, macht mich stark**,¹⁸ trzeciego dnia zrozumiałam jego sens, a dzisiaj przyznaję mu rację. Ale wszystkie moje geny przetrwania czerpały swoją siłę z tego, co tu pozostało, z tego krajobrazu, z Łosinka, a przede wszystkim z miłości do niej, do Ewy, i z niewzruszonej wiary, że nigdy, przenigdy, nie spotka mnie z jej strony nic złego. Teraz stałam jak obdarty z pancerza rak, bezbronna i zupełnie pusta w środku, bo cała moja siła zniknęła w momencie, kiedy pierwsze słowo trafiło mnie jak pocisk. Wystarczyło jej jeszcze na wyciągnięcie z pewną godnością stojącego pod zlewem wiadra i wysypanie jego zawartości na podłogę. Zaskoczona mysz, która balansowała na jego krawędzi, zawisła na przednich łapkach, potem pozeglowała w powietrzu, wywijając kozła, pacnęła na nos

¹⁸ * Co mnie nie zabija, czyni mnie silniejszym.

szczeniaka, przerażając go śmiertelnie, i smyrgnęła pod kredens. Srebrnym widelcem, którego trzonek zdobił pompatyczny monogram Szetkiewiczów, przeorałam obierki buraków, ości karpia, przywiedłe liście sałaty, skórki od pomarańczy i skorupki od jajek. Powiało zapachem zgnilizny i rozpadu, ale wśród obierek nie zabłysnął ani ryngraf z Matką Boską Ostrobramską, ani granat kolczyka prababki.

- Ubierz się, dziecko - powiedziałam ponuro do Jana. - Idziemy do śmietnika, musisz mi poświecić.

- Oooh, ale fajnie! - ucieszył się i ochoczo popędził zakładać buty. Paweł i Tola dołączyli do niego po krótkiej naradzie.

Łosinkowski śmietnik był miejscem pełnym poezji, budzącym rozkoszny dreszcz grozy i fascynacji we wszystkich dzieciach. Nazywano tak ogromny dół pod ścianą malowniczo rozpadającego się budynku z nieciosanych kamieni, służącego przed wojną pokoleniom świń za chlewik, po wojnie pokoleniom dzieci za plac zabaw, a dorosłym za rupieciarnię, nazywaną przez mojego szwagra szumnie „warsztatem”. Za dnia było to romantyczne miejsce, tonące latem w spaśnych łopianach, a zimą w chrupoczących pod nogami zmarzniętych liściach okolicznych dębów. Położone było w zakolu rzeczki, której dzięki ściekom z pobliskich zakładów chemicznych nigdy nie ścinał lód i dlatego taplały się w niej pięknie upierzone dzikie kaczki. Nocą natomiast nikt tu nie przychodził, nie tyle z obawy przed cierpliwie przeszukującymi śmieci bezpańskimi psami i zdziczałymi kotami, co przed Potępionym Młynarzem, który, jak przystało na duszę potępioną, błądził po tej części Łosinka od ponad czterystu lat i nie miał dużych szans na rychłe zbawienie.

Za życia młynarza rozciągały się na terenie obecnego Łosinka bezludne moczary, na których stał samotny młyn. Pozostały po nim fundamenty i półtorametrowej szerokości ściana, którą wieki później wykorzystano przy budowie chlewika. Jak wiadomo, każdy młynarz kuma się z diabłem i nie bez powodu ludzie

się ich boją, toteż i tego we wsi unikano, a i on stronił od jej mieszkańców. Jeśli czegoś potrzebował, posyłał żonę albo syna. Z czasem widywano w wiosce już tylko młynarzową, bo syn dorósł, poszedł w świat i słuch po nim zaginął, co nikogo nie dziwiło, bo po samotności moczarów cokolwiek by w tym świecie zobaczył, musiało mu się wydać niezwykle.

Być może dlatego młynarz chętnie wpuścił do domu podróżnego, który kiedyś zastukał nocą do drzwi młyna i poprosił o gościnę. Być może chciał go wypytać o syna, może miał nadzieję, że go nieznajomy gdzieś w świecie spotkał? Posadził go za stołem, młynarzowa zakrzętała się w kuchni, postawiła przed gościem parujące miski, gospodarz podsuwał nalewkę, a przybysz opowiadał o grobie świętego Jakuba w Santiago de Compostela, skąd wracał, i o innych cudach, jakie widział po drodze. O Staśku młynarczyku nie powiedział ani słowa.

Kiedy obcy strudzony zasnął, młynarzowa zarzuciła mu na głowę worek po mące, a młynarz zamachnął się z całych sił i walnął obuchem siekiery, bo wiadomo, że z wielkiego świata ludzie nie wracają z pustymi rękami. Istotnie, przeszukując odzież zabitego znaleźli talary, ale też i krzyżyk, który młynarzowa przed laty dała na drogę synowi, i znamię na karku, i bliznę, co to pozostała na piersi Staśka, kiedy go koń kopnął. Młynarzowa krzyknęła na ten widok straszonym głosem i osunęła się nieprzytomna na zwłoki, a młynarz wziął postronek i poszedł powiesić się na dębie.

- Tak to jest, jak się próbuje rodzicom robić niespodzianki - opowiadał Paweł Janowi grobowym głosem. - Ten Stasiek chciał, żeby starzy go najpierw poznali jako światowego i bogatego, w nadziei, że tym bardziej będą go następnego dnia podziwiali, no i już tego następnego dnia nie doczekał. Pamiętaj, żebyś nigdy nie wracał nieoczekiwanie z wakacji, bo z rodzicami nigdy nie wiadomo.

Przez wiele lat młyn stał pusty, nawet włóczędzy bali się w nim nocować. W końcu spalił się od uderzenia pioruna i nikogo to we wsi nie zdziwiło. Rodzinie

mojego szwagra, obcujałej na co dzień z duchami przodków i upiorami przeszłości, jeden duch więcej wcale nie przeszkadzał. Młynarz ukazywał się w księżycowe noce pod postacią kołyszącego się na wietrze wisielca, ale czasami stał po prostu niezdecydowanie na drodze, trzymając w rękach postronek i zastanawiając się, gdzie by tu się powiesić. Niekiedy słychać też było skrzyp obracającego się koła młyńskiego i hurkot żaren; niby nic szczególnego, ale większość ludzi woli, żeby wyrzucaniu śmieci nie towarzyszyły zjawiska nadprzyrodzone i dlatego w Łosinku unikano nocą okolic śmietnika. Ksiądz doradzał nowoczesny pojemnik z tworzywa sztucznego w innym miejscu, najlepiej na poświęconej ziemi, i wszyscy się z nim zgadzali, ale odkładali tę inwestycję na później, wymawiając przy tym rodzinne zaklęcie: Jak kiedyś będą znowu jakieś pieniądze.

Chłopcy i Tola ustawili się po obu stronach dołu, trzymając z powagą w rękach zapalone pochodnie, jak pogrążeni w żalu żałobnicy. Położyłam na ziemi przyniesione z drewni grabie, widły i podbierak, posepnie mierząc śmietnik wzrokiem. Była noc wigilijna, miliony ludzi na całym świecie pochylały się nad żłobkiem, opłatkiem, ewentualnie nad śledziem, a ja stałam po kostki w błocie przed morzem śmierdzących odpadków, z goryczą w sercu i Potępionym Młynarzem za plecami.

Od tygodnia padał kąśliwie lodowaty deszcz, zamieniając śmietnik w bajoro, na powierzchni którego huśtały się majestatycznie plastikowe butelki i opakowania po jogurcie. Nawet gdybym precedziła całą jego zawartość przez durszlak, szanse na znalezienie chociażby jednego pierścionka czy kolczyka były znikome. Z rezygnacją zanurzyłam grabie i śmieci rozsunęły się na boki z ohydny mlaśnięciem.

- Miało być na trzy miesiące, góra na rok – powiedziałam gorzko do śmieci. - Nie moja wina, że z tych trzech miesięcy zrobiło się ponad dwadzieścia lat. Całe

moje życie w Niemczech było tymczasowe, wciąż czekałam, że któregoś dnia tu wrócę i zacznie się to prawdziwe, ale potem był stan wojenny, a rok później Jan miał koklusz i świnkę, w Polsce brakowało lekarstw, mleka w proszku i igieł do strzykawek, to niby jak miałam wracać? Teraz to „któregoś dnia” już właściwie nadeszło, Jan mógłby studiować w Warszawie albo w Gdańsku, a może we Frankfurcie nad Odrą, ale ta Polska, z której wyjechałam, przestała istnieć, mnie sprzed dwudziestu lat też już nie ma i pozostała mi tylko sama tęsknota, bo zarówno obiekt tęsknoty, jak i tęskniący nie przetrzymali próby czasu. To nie jest fair. Nikt mnie nie uprzedził, że lata miną jak z bicza strzełił i przyniosą wielkie zmiany, a skąd miałam o tym wiedzieć? Przez pierwsze dwadzieścia lat mojego życia rewolucja technologiczna ograniczała się do przejścia od paska do półczech do rajstop. Nie zaczęłam myśleć jak Niemka, ale wszyscy twierdzą, że przestałam myśleć jak Polka, więc czuję się jak ostatni jednorozec: jedyny przedstawiciel wymarłego gatunku.

- Jak Potępiony Młynarz może? - podsunął usłużnie Jan, wpatrując się w czarną koronę dębu. - Jak sądzisz, czy on też czuje się samotny?

- Nic mnie nie obchodzi, jak on się czuje - powiedziałam sucho. - Nie mam zamiaru zacieśniać z nim stosunków, nawet gdyby umierał z samotności. Jak znam życie, zaraz przestałby wisieć na dębie i przez następne czterysta lat wisiałby na mnie. Poświeć tutaj, bo coś się błyszczy.

Błyszczał się kapsel od butelki po piwie. Wyciągnęłam następny ładunek śmieci i przesiałam je sumiennie przez podbierak. Znalazłam kilka mosiężnych guzików, naparstek, którego Ewa przedwczoraj przez cały dzień szukała, okruchy tęczowych bombek na choinkę, śrubki i nakrętki, ale żadnej biżuterii. Ogarnęło mnie zniechęcenie.

- A mnie co powiedzieć? - odezwał się nagle Tola. - Ja ani Polak, ani Ruski. Tu się wychował, ale dla was obcy, pojedę do Rosji, też mówią, że *inostraniec*.

U mnie syn jest, ale nie rodzina, Aleksandra jemu matka, ale mnie nie żona. To też nie jest fair.

- Tak mi przykro, Tola... Nie wiedziałam, myślałam, że jesteście razem.

- Razem? My nigdy nie byli razem. Ja był jej rab, a ona panienka ze dworu. Tak też zostało: pieluchę dziecku zmienić mnie wolno, świece w samochodzie wkręcić wolno, Aleksandrze podpaski ze sklepu przynieść też wolno, a jak jej w łóżku smutno i zimno, to wolno ją rozgrzać i rozweselić. Ale dzielić niczego ze mną nie chce, ani dziecka, ani siebie. *Normalno* to tak? Na odległość jej wyciągniętej ręki ja jestem, z pragnienia usycham, a ona ręki nie wyciągnie i wody nie poda.

Rzuciłam szybko okiem na chłopców, którzy poodwracali głowy, udając, że niczego nie słyszą. Patrzyli w Tolę jak w tęczę, nazywali go z szacunkiem „atamanem”, a Maciek, najmłodszy syn mojej siostry, nie odstępował go na krok, jak wierny psiak. Tola potrafił grać na gitarze i śpiewać kozackie dumki, tańczyć, żonglując krótkim sztyletem, i chodzić na rękach, trzymając w zębach szklanekę - wystarczające powody, żeby Maciek zaczął zastanawiać się poważnie nad przejściem na prawosławie i naśladować jego śpiewny akcent.

- Hm, tak, no cóż, więcej światła, chłopcy - powiedziałam zakłopotana i rozgarnęłam grabiami kołyszące się na powierzchni bajora butelki. - Aleksandra zawsze była okropnie skomplikowana. Ona się chyba po prostu boi. Boi się związać z innym człowiekiem, zaufać mu. Dziecko to co innego, dziecko to jedyny związek, który nie może zostać rozwiązany. Dlatego jego przyjście na świat dało jej siłę, ale też i niezależność, teraz nikt z nas nie jest jej potrzebny, wszystko ma pod kontrolą. Kiedyś jej to minie.

- Kiedy? A jeżeli to moje kochanie też minie?

- Poczekaj, daj jej jeszcze trochę czasu. Słuchajcie chłopcy, jeśli chodzi o czas, to mam wrażenie, że go tutaj tylko tracimy. Spędziliśmy pół nocy pod tym

śmietnikiem i wystarczy, wracamy teraz do domu. A który z was właściwie wynosił dziś śmieci?

- O ja cię.... - jęknął Maciek i uderzył się pięścią w czoło. – To chyba ja, ale dopiero teraz mi się przypomniało, że postawiłem wiadro pod gankiem, bo już ciemno było. Chciałem je wypróżnić jutro, zaraz po śniadaniu... Zupełnie mi to z głowy wyleciało!

- Maciek, ty durna pało, zatłukę cię jak psa! - zdenerwował się Paweł. - Od godziny babrzemy się w tym błocie, a ty dopiero teraznam to mówisz?

Maciek, nie czekając na spełnienie tej groźby, śmignął w stronę domu, kłuczając jak zając po krzakach, a Paweł pogonił za nim. Kiedy dobiegły nas pierwsze odgłosy egzekucji, Jan był już pod gankiem i klęczał przy wiadrze. Zwinięta w kłębek gazeta leżała na samym wierzchu, owinięty nią płócienny woreczek był nieuszkodzony i kiedy go rozsypałam, w zimnym blasku księżycy zaiskrzyły się brylanciki. W koronie dębu, z uśmiechem na poczerwiałych wargach, łagodnie kołysał się na wietrze Potępiony Młynarz, zadowolony z nieoczekiwanego towarzysztwa w wigilijną noc.

*

Nie wiedząc nawet, że to właśnie jest miłość, Tola zakochał się w Aleksandrze rozpaczliwie i beznadziejnie, kiedy po raz pierwszy rozchyliła w uśmiechu wargi i w promieniach słońca zabłysły klamerki na jej zębach.

- Anatolij, wasz nowy kolega - powiedział wychowawca ze sztucznym ożywieniem, kładąc rękę na chudym ramieniu Toli. - Z dalekiego Związku Radzieckiego. Zróbcie wszystko, żeby się dobrze u nas poczuł.

Tola nigdy jeszcze nie widział takich klamerki i uznał, że jest to jakaś szalenie elegancka biżuteria, coś w rodzaju pierścionków na zęby, a dziewczynka, która nosi w ustach takie bogactwo, musi być cudowną postacią z bajki. Dziadek

znał tych bajek całe mnóstwo i dzieciństwo Toli zaludniały Żar-Ptice, Koniki Garbuski, latające w moździerzach Baby-Jagi, carewny i carewicze, a przede wszystkim dziewice o srebrnych zębach.

- *Uuuch... sieriebriannozubaja Pampalcze*^{*19} - wyszeptał z nabożnym zachwytem.

- Srebrne co? - chciała wiedzieć Aleksandra.

- U ciebie zęby same srebrne... jak u *sieriebriannozuboj* Pampalcze. Ona cud-dziewica, mądra i piękna... jak ty.

- Idiota - wysyczała przez szczelnie zaciśnięte wargi, ale było już za późno: oczarowany Tola zdążył zarejestrować każdy szczegół jej niezwykłego uzębienia i złożyć swoje zakochane trzynastoletnie serce u jej stóp. Była taka inna od wszystkich dziewczynek, które poznał w swoim krótkim życiu! Tamte nosiły wielkie tiulowe kokardy w warkoczach zaplecionych tak ściśle, że z trudem mogły zamknąć oczy, i wyrastały na panny hoże i krzepkie jak rzepy, o których się mówiło z szacunkiem: *Chorosowo dolžno byt' mnogo*^{*20}, ta natomiast, wiotka jak leśny elf, z wielkimi szarymi oczami i masą włosów przewiązanych niedbale indiańskimi rzemykami, w srebrnych tenisówkach i o srebrnym uśmiechu,

wydała mu się istotą niezwykłą i godną pożądania. Wyobraził sobie, jak rozchyła językiem jej wargi, czuje na nim smak tych srebrnych pierścionków i od tych myśli zrobiło mu się rozkosznie gorąco. To właśnie tego dnia przysiągł sobie, że się z Aleksandrą ożeni, żeby mieć całe życie na poznanie jej tajemnicy.

- Zrozumiałeś, co do ciebie powiedziałem, Tola? - zapytał ze zniecierpliwieniem nauczyciel. - No to usiądź obok Aleksandry.

Ostrożnie, żeby nie zdążyła zamienić się w synogarlicę, łasicę, jelonka o złotych kopytkach albo w coś innego, w co zamieniają się spłoszone srebrnozębe

¹⁹ * Och... srebrzystozęba Pampalcze.

²⁰ * Dobrego powinno być dużo.

dziewice, Tola przycupnął na brzegu ławki, starając się na nią nie patrzeć. Grecki profil Aleksandry skamieniał w wyrazie pogardy, a zakochane serce Toli miało się jak pies na łańcuchu, błagając o jeden gest, jedno słowo, poklepanie po grzbiecie, a chociażby i kopnięcie. Oblewany na przemian potem i wstrząsany mroźnym drzeniem, czerwieniąc się i blednąc, umierający z miłości Tola z trudem dotrwał do końca lekcji, pociągając głośno nosem i wpatrując się tępo w tablicę. Patrząc na niego, wychowawca pomyślał ze smutkiem, że alkoholizm w Związku Radzieckim przyjmuje zatrważające rozmiary, czego dowodem było to opóźnione w rozwoju dziecko.

Nowo odkryte uczucie kazało Toli po lekcjach pójść za ukochaną. Znajdując nieznaną do tej pory bolesną radość w obwąchiwaniu jej ciepłego jeszcze śladu, włókł się za Aleksandrą, zachowując bezpieczną odległość i zastanawiając się nad tym, czy gdyby odwróciła się i zechciała obdarzyć go spojrzeniem, zapadłby się ze zgrozy pod ziemię, czy też oszalał z radości. Przed cukiernią z upstrzoną przez muchy wystawą i skromnym repertuarem rurek z kremem, napoleonek i pączków, Aleksandra nagle się zatrzymała.

- Możesz postawić mi rurkę - powiedziała łaskawie. - A ta Pampał-coś-tam, ze srebrnymi zębami... to niby kto?

Spocona ręka Toli wywróciła kieszenie spodni podszewką do góry, wysypując ich zawartość - modliszkę z jednym już tylko skrzydłem, szklane kulki i brudne guziki, scyzoryk, procę, zdechłą mysz i parę monet - na ziemię. Na widok monet wyrwał się z piersi chłopca jęk ulgi. Znikł w drzwiach cukierni i za chwilę ukazał się z rurkami w brudnych palcach.

- No więc, *sieńbriannozubaja Pampalcze błagarodna dziewica była i krasawica wielikaja*^{*21}, ale macocha u niej była zła, zawistliwa taka. Wysłała Pampalcze po ogień do Baby-Jagi, a u Baby-Jagi straszno: płot dookoła chaty z ludz-

²¹ * ...srebrzystozęba Pampalcze była szlachetnie urodzoną dziewczicą i wielką pięknoscia.

kich kości, na płocie czaszki, zamiast rygli ludzkie ręce, wrota z puszczeli splecione.

- Poważnie... płot z ludzkich kości? - wyszeptała Aleksandra, nie zważając na skapującą z rurki bitą śmietaną.

- Najprawdziwszych kości. - Tola kiwnął poważnie głową, zachwycony wrażeniem, jakie na Aleksandrze wywarły jego słowa. - A w tych czaszkach żywe oczy były - dodał dla spotęgowania efektu.

- Jeezuuu... jak to: oczy?

- No, oczy. Jak Pampalcze do płotu podeszła, to te oczy się otworzyły i zaświeciły czerwonym światłem. Tak się na polanie jasno zrobiło jak w dzień, a Pampalcze stała i ze strachu drżała jak listek osiki.

- Wcale się jej nie dziwię... a co dalej?

- Baba-Jaga w moździerz nadleciała, tłuczkiem go poganiała, ślady miotłą zacierała...

- Zauważyła Pampalcze?

- „Hu - hu - hu! - zawołała. - Czuję człowieka! Nie chowaj się przede mną, bo jak cię znajdę, będę bardzo, ale to bardzo zła!". Pampalcze wyszła więc z ukrycia, skłoniła się przed Babą-Jagą i powiedziała: „To ja, babciu! Macocha mnie po ogień przysłała". „Wiem, wiem - odparła czarownica - ona moja dobra przyjaciółka, ta twoja macocha. Zostań więc u mnie na służbie, popracuj, a jak będę z ciebie zadowolona, to ci ogień dam, a jak nie, to cię zjem i twoją głowę na płocie zatknę".

- Boże kochany! I co musiała Pampalcze zrobić?

- Chałupę sprzątnąć, podwórko zamieść, obiad ugotować, pszenicę pomieszaną z kminkiem przebrać. Pampalcze ramiona załamała, rozplakała się gorzko i swojej zmarłej matce poskarżyła, a tu szast-prast: trzy pary rąk się ukazały i wszystko zrobiły, co Baba-Jaga przykazała. I tak było przez trzy dni, a trzeciego

dnia Baba-Jaga zapytała, jakże to sobie Pampalcze z robotą tak dobrze radzi. „Błogosławieństwo matki tak mi pomaga” – odparła Pampalcze, a czarownica się skrzywiła, jakby ją ząb zabolał. „Błogosławionych to ja tu nie potrzebuję, ale miłość matki od mojej mocy silniejsza, weź ogień i wynoś się”. Zatknęła czerep na tyczkę, dała go Pampalcze, a ta pobiegła do domu jak na skrzydłach, a czerwone oczy czerepu oświeślały jej drogę. Kiedy wniosła czerep do izby, jego oczy zwróciły się ku macosze i jej złym córkom, rozjarzyły się czerwonym światłem i spaliły je na kupkę popiołu. Najpierw głowy, potem ramiona, aż tylko nadpalone trzewiki zostały, które biegały po izbie i tupały, próbując uciec, ale i one zamieniły się w czerwone węgielki. *Wot tak było, Szura, czestnoje słowo!*^{*22}

Aleksandra stała zaszuchana z rozmiękną rurką w ręku.

- To już koniec? - zapytała.

- Tej *skazki* koniec, ale znam ich jeszcze dużo. - Tola wypiął dumnie chudą pierś. - O Koniku Garbusku, o Żar-Pticy, o nieśmiertelnym Kościeju... Dużo, dużo *skazok* ja znam i wszystkie ci je opowiem.

Aleksandra przyjrzała mu się krytycznie: był od niej o głowę niższy, przeraźliwie chudy, miał kościste kolana i duże czerwone dłonie... Okropność. Tylko te lekko skośne oczy, patrzące na nią z oddaniem spaniela, były naprawdę piękne. Adoratorzy jej siostry Pauli nie opowiadali bajek, przynosili filmy wideo, gry komputerowe i najnowsze przeboje - z drugiej strony, ta historia o Pampalcze wcale nie była zła. No i nie miała kompletnie nikogo, kto po lekcjach zechciałby odprowadzić ją do domu i postawiłby jej rurkę z kremem.

- No dobrze - westchnęła. - Możesz nieść mój tornister.

Ten pierwszy wspólny spacer odmienił Toli życie. Każdą jego chwilę odtwarzał później bezustannie w myślach, przywołując w pamięci wszystko, co Alek-

²² * Tak było, Szura, słowo honoru.

sandra powiedziała bądź zrobiła, jakby to były wyjątkowe słowa i niezwykle gesty. Na przykład ten niecierpliwy ruch, którym odrzucała włosy z czoła - jakże wdzięcznie przy tym wyginała szyję, zupełnie jak młody źrebak! A bladuróżowa i przezroczysta muszelka ucha, która wylaniała się wówczas na chwilę spomiędzy popielatych pasm... czyż nie przypominała ona najdelikatniejszej porcelany? I czy można było sobie wyobrazić smuklejsze kostki od tych, które rysowały się łagodnymi łukami nad srebrzystymi tenisówkami Aleksandry?

Od tej chwili nie opuszczała go bolesna i słodka zarazem tęsknota i wkrótce już nie mógł przypomnieć sobie czasów, w których nawet nie podejrzewał jej istnienia. Aleksandra natomiast obserwowała z zainteresowaniem badacza, jak Tola blednie i czerwienieje na jej widok, przyspiesza się jego oddech, a ciało drży.

- Jak by ci to powiedzieć, moja droga? Ruski i kurdupel - wydała wyrok na Tolę Paula, a Aleksandra przyznała jej w duchu rację. Wszyscy jednak mówili o TYM, pisali o TYM wiersze i śpiewali piosenki, cały świat najwyraźniej kręcił się wokół TEGO, toteż chciała mieć chociaż jakiegokolwiek pojęcie, o co tu chodzi, a poza Tolą nie znała nikogo, od kogo mogłaby się dowiedzieć.

Pozwalała więc, żeby chłopięce palce wędrowały po jej skórze z nabożnym oddaniem, jakby była ikoną, nie cofała też chłodnych ust, ale nigdy nie otwierała szczelnie zamkniętych oczu. Jak długo go nie widziała, tak długo wszystko to nie działo się naprawdę.

Kobiety, które Tola później w życiu poznał, oczu nie zamykały. Widział w nich to wszystko, co tak bardzo pragnął zobaczyć w oczach Aleksandry: oddanie, podziw, namiętność, ale żadna z nich nie obudziła w nim takiej czułości i żadnej z nich nie opowiadał bajek. Brał je pospiesznie, przyjmował w milczeniu rozkosz, którą mu dawały i popadał w smutek, bo nie przypominała ona w niczym marzenia o miłości, które od lat nosił w sercu.

Kiedy wojska radzieckie opuszczały Polskę, Tola ruszył za nimi. Dziesięć lat spędził jako Ruski w Polsce, teraz chciał być Ruskim w Rosji; może tam było jego miejsce? Przyjaciele stukali się palcem w czoło: imperium rozpadło się, ale wciąż jeszcze nie wiadomo było, na co. Cokolwiek by to było, rdzewiała na jego bezkresnych obszarach wystarczająca kupa broni, żeby wysadzić cały świat w powietrze, toteż nikt dobrowolnie się tam nie wybierał. Czasy były niespokojne, obywatele byłego Związku Radzieckiego wzburzeni, jedni rozprawiali o demokracji i niepodległości, inni rozdrapywali majątek państwowy, a po jeszcze ciepłej padlinie Kraju Rad pełzali zagraniczni inwestorzy, szukając złotych żył.

Poszukiwała ich także firma Europex Moscow z Dusseldorfu, która zatrudniła Tolę jako referenta i tłumacza. Siedziba jej mieściła się na dwudziestym pierwszym piętrze hotelu Ukraina przy Kutuzowskim Prospekcie i z biura Toli rozciągał się wspaniały widok na Biały Dom i rzekę Moskwę. W hallu na dole prześiadali młodzi mężczyźni w czarnych dresach i jedwabnych garniturach w kolorze bordo, uzbecy handlarze bawełną z kompletem złotych zębów w ustach i nobliwi ojcowie chrzestni gruzińskiej mafii. Działalność referenta nie była wyczerpująca, w pierwszym rzędzie polegała na organizowaniu szampana i przedwcześnie dojrziałych gimnazjalistek w różowych sweterkach z angory, które za pięćdziesiąt dolarów do- trzymywały biznesmenom towarzystwa przy jego picciu.

Rozpościerająca się za progiem hotelu Moskwa wydała się Toli szara i brudna. Nigdy by nie uwierzył, gdyby mu powiedziano, że za dziesięć lat to samo miasto rozjarzy się światłem neonów i zabłyśnie paryskim szykiem. Jej mieszkańcy przemykali nieufnie pod ścianami, nie odpowiadając na jego pytania. Wtedy jeszcze nie wiedział, że za tą nieufnością stoi głęboka mądrość życiowa tego narodu: nie bez powodu w bajkach, które opowiadał dziadek, Baba-Jaga ostrzegąca: „Nie pytaj, nie pytaj, kto pyta, nie pożyje długo”. Niby to zasza wstrząsająca, niezwykła przemiana, ale gołym okiem jeszcze jej nie było widać. Ulicami nadal pędziły samochody

władzy z zapalonymi światłami po specjalnie dla nich wydzielonym pasie, tyle tylko, że teraz korzystała z niego także i mafia, i coraz częściej pod prąd.

Z okna hotelu Tola widział, jak płonął Biały Dom, kiedy zabarykadowali się w nim przeciwnicy Jelcyna - patrioci, faszyci, renciści i fanatycy. Odcięci od światła i wody, marzli w ciemności, modlili się przy ogniskach za Matkę Rosję i dodawali sobie ducha, puszczając przez głośniki sowieckie szlagiery. Widział też dziesiątki siwowłosych *babuszek* i *dieduszek*, jak wyrywają żelazne prety z dekoracji ku czci półwiecza Arbatu i ruszają na żołnierzy, z żalu, że zabrano im Związek Radziecki, urlopy na Krymie, regularne pensje i darmowe dojazdy do pracy.

Stosunkowo szybko Tola doszedł do wniosku, że owszem, trudno było być Ruskim w Polsce, ale być Ruskim w Rosji w ogóle się nie da. Poczul się bardzo samotny, a ponieważ Aleksandra wciąż nie odpowiadała na jego listy, ożenił się z Lizą.

Nie przypuszczał, że Aleksandra przyjedzie na jego ślub i nie spodziewał się, że jej widok tak bardzo go zaboli. Kiedy stanęła koło niego, stwierdził ze zdziwieniem, że sięga mu teraz zaledwie do pachy i musi się schylić, żeby pocałować ją w policzek. „Ach, duszeńka...” - powiedział z żalem i wszystkie te spędzone bez niej lata opadły z jego ramion, jakby znowu miał trzynaście lat i marzył o tym, żeby ujrzeć jej srebrny uśmiech. W przyływie szaleńczej nadziei przytrzymał jej dłoń i gdyby tylko dała mu jakikolwiek znak, zostawiłby na środku cerkwi Lizę w ślubnej sukni, wysunąłby się spod złotej korony, którą bracia trzymali nad jego głową, i poszedł za Aleksandrą jak jej pies, jej rab, jak to zawsze czynił w dzieciństwie. Ale żadnego znaku nie było.

Nie wiadomo, jak by się to jego małżeństwo ułożyło, gdyby Liza nie przypomniała sobie nagle o swoich niemieckich korzeniach. Okazało się, że jej babka urodziła się w małej nadwołżańskiej wiosce, która przed wojną nazywała się Gottesdorf. Zamieszkiwali ją potomkowie sprowadzonych jeszcze przez Katarzynę Wielką osadników niemieckich z Hesji i Nadrenii. Na początku wojny Sta-

lin uznał wszystkich Niemców rosyjskich za szpiegów i kazał ich deportować na Syberię, za Jenisej. Pradziadkowie trafili do łagrów, a babka do sierocińca, gdzie szybko postarała się zapomnieć niemieckiego i jak najmniej różnić od innych dzieci. Matka Lizy miała już rosyjskie imię Olga i żadnego pojęcia o istnieniu niemieckich przodków. Teraz ci przodkowie byli na wagę złota: na przesiedleńców z niemieckim pochodzeniem czekało w Niemczech nowe życie i wciąż jeszcze stabilny system socjalny.

W Berlinie skierowano Lizę i Tolę do jednego z bloków mieszkalnych na Marzahnie, zamienionego na schronisko dla azylantów. Mieszkali w nim obok Rosjan Wietnamczycy, Żydzi, Afrykanie, Cyganie i Arabowie. Wietnamczycy i Cyganie zajęci byli robieniem podejrzanych interesów, Afrykanie i Arabowie uważali zakaz pracy dla azylantów za bardzo przyjemny i sumiennie go przestrzegali, a Żydzi denerwowali się, bo chodziły pogłoski, że władze lada dzień będą sprawdzać, czy są obrzezani. Wszyscy oczekiwali, że już za chwilę otworzą się przed nimi jakieś oszałamiające perspektywy, ale Tola, który widział rosyjskich lekarzy wynoszących nocniki w szpitalach, fizyków atomowych szyjących koszule i profesorów uniwersytetu żelujących buty, wcale nie był tego taki pewien. Najbardziej szczęśliwa wydała mu się pewna babuleńka, która mu opowiedziała, że po raz pierwszy w swoim życiu nie ma nareszcie żadnych trosk. Tu, w Berlinie, państwo rentę regularnie daje i za mieszkanie płaci, a w domu, nad Bajkałem, dzieci obejścia pilnują. Krówkę i konika kupili, płot nowy i zagródkę dla owieczek postawili, jak tylko powietrze wiosną zapachnie, siup w samolot - i witaj, ojczulku Bajkale! Co to za radość, swoich znowu zobaczyć, oczy kwitnącym stepem napaść, gołomianek nałowić, malin i brusznic nazbierać! Narobi tych przetworów, nasmaży konfitur, ryb nawędzi - i znowu siup w samolot, na oknie w berlińskiej kuchni słoje ustawiać, znajomych na smorodinówkę prosić. Że Bajkał daleko? A gdzieżby tam daleko! Jak ludzie w Kazaniu mieszkają, a rodzinę w Chabarawsku mają, to też im nie bliżej. Pięć dni Transsibem jada.

W brudnym i zatłoczonym Berlinie Tola czuł się rozpaczliwie obco. Któregoś dnia, snując się bez celu po Tiergartenie, zobaczył pod samotną brzoźką syberyjską łajkę. Była pełnia lata, ponad trzydzieści stopni, i pokryty grubym futrem pies ciężko dyszał z wywalonym językiem.

- Boże mój, a wy co tu robicie? - zdziwił się Tola, zamykając w ramionach najpierw brzoźkę, a potem psa. - To nie miejsce dla was, wracajcie do domu!

W tym momencie uprzytomnił sobie, że nie jest to także miejsce dla niego i powinien wracać do domu... ale gdzie jest ten jego dom? Może jeszcze najbardziej tam, gdzie była Aleksandra?

Po pięciu miesiącach straszliwej nudy na Marzahn i niekończących się kłótni z Lizą wrócił samotnie do Warszawy. Być Ruskim w Polsce było niedobrze, być Ruskim w Rosji w żaden sposób się nie dało, ale bycie Ruskim w Niemczech nie stanowiło żadnej alternatywy.

Rok później zmarł ojciec Toli. Już od dawna niszczył go rak i jak twierdziła matka, tylko dlatego nie umarł wcześniej, że czekał, żeby Bóg znowu powrócił do Rosji. Teraz kościół odzyskiwał cerkwie i klasztory, zamienione przed siedemdziesięciu laty na kina, spichrze i magazyny, odzyskiwał też potęgę i wpływy, a do cerkwi powróciły, obok ikon i wiernych, dawne groźby i gniew. Na szczęście ojciec Toli nie zdążył dożyć czasów, w których do dobrego tonu należało poświęcanie broni atomowej, banków i mafijnych limuzyn.

Przed śmiercią na krótko powróciła mu świadomość i spojrzenie jego nieubłaganych oczu spoczęło na Toli.

- Odszukaj Aleksandrę - rozkazał surowo. - Mężczyzna musi mieć swoją kobietę, żeby demony ciemności nie miały dostępu do jego duszy i by nie obrażał swoimi grzechami Pana.

Po czym odwrócił głowę, zadzierając ku górze zwichrzoną, posiwiałą brodę i wbił oczy w sufit, jakby oczekiwał, że za chwilę się rozstąpi, ukazując niebiosa wyklejone złotymi gwiazdami jak kopuła cerkwi w Siergijewskim Posadzie. Być

może zresztą wcale nie miał na myśli Aleksandry, tylko Lizę, nie jest też wykluczone, że jego przyćmiony umysł zapomniał o istnieniu synowej i powrócił do czasów, w których trzynastoletni Tola przyprawiał do cerkwi szarooką dziewczynkę i przytakiwał z powagą, kiedy go pytano: „*Twoja niewiasta*^{*23}, Tola?”.

Były to ostatnie słowa, jakie ojciec skierował do Toli, jedne z niewielu, które w ogóle za swojego życia do niego skierował. Bóg, któremu służył, był Bogiem nieubłaganym, wymagającym absolutnego posłuszeństwa i pokory, taki też był jego sługa, Timofiej Wissarionowicz. Tola patrzył na jego zaciętą, nieprzejednaną twarz i myślał ze smutkiem, że nie czuje nic poza pustką. Bardzo trudno było mu kochać kogoś tak konsekwentnie wrogiego wszelkiej miłości i będącego dla niego źródłem najokropniejszych upokorzeń. Jako dziecko Tola oddałby pół życia za to, żeby mieć ojca wykonującego jakiś normalny zawód - stolarza, taksówkarza bądź elektryka - ale Timofiej Wissarionowicz był popem, ku złośliwej radości wszystkich innych dzieci, i spędzał dni w cerkwi, śpiewając i wymachując puszką z kadzidłem. Teraz nie żył, ale nawet po śmierci usiłował przeprowadzić swoją wolę, wymagając, żeby Tola odszukał Aleksandrę. A może jednak Lizę? W każdym razie Tola wolał, żeby dusza ojca znalazła spokój i przestała się w jego sprawy wtrącać i dlatego skrupulatnie wspierał ją w zaświatach modlitwą jak tradycja każe, w dziewięć i w czterdzieści dni po śmierci ojca, a potem ponownie po roku.

To właśnie dokładnie w rok po śmierci ojca Tola znowu spotkał Aleksandrę i nie mógł się pozbyć wrażenia, że zawdzięczał to spotkanie duszy Timofieja Wisarionowicza, która akurat przestała się błąkać między niebem a piekłem i mogła sobie odsapnąć u boku Pana. Miała więc czas, żeby rzucić surowym okiem na Tolę i dopilnować, żeby zrobił to, co mu przykazała. Byłoby to jak najbardziej podobne do Timofieja Wissarionowicza: nawet po śmierci gospodarować nadal w swojej cerkwi i w życiu syna, płatać ścieżki jego losu i doprowadzić do zbliże-

²³ * Twoja narzeczona.

nia, którego owocem był mały Tola. Widocznie jednak po tej nocy dusza Timofieja Wissarionowicza zasiadła ostatecznie wśród serafinów, zwróciła się ku sprawom niebiańskim i straciła zainteresowanie dalszymi losami Toli, bo chociaż miał z Aleksandrą syna, to nadal był bardzo daleki od tego, żeby „mieć w niej swoją kobietę” i demony ciemności hulały swobodnie w jego duszy. Aleksandra wydzielala mu skapo czas, który mógł z nią i dzieckiem spędzić, a na każdą wzmiankę o legalizacji ich związku opadała ją głuchota.

- Jakiego związku, kochany Anatolij? - pytała go z roztargnieniem. - My nie znajdujemy się w żadnym związku. My mamy tylko wspólne dziecko.

Tylko!

Tolę ogarniała rozpacz, kiedy to słyszał, i nadzieja na stworzenie zwyczajnej rodziny rozpływała się w oczach.

- Ach, Tola, sama nie wiem, co ci radzić - wzdychała współczująco Paula. - Aleksandra zawsze usiłowała wynaleźć życie na nowo. Byleby nie przypominało tego, co reszta ludzi uważa za normalne. Każdy inny człowiek dobrowolnie i z radością godzi się na zależność od innego człowieka, ale nie Aleksandra. Potrafi darzyć uczuciem tylko to, co ma pod całkowitą kontrolą: psy, prochy przodków, skamieniałe rośliny. Wszystko, co mogłoby się spod tej kontroli usunąć, budzi w niej lęk. Ona myśli, że pozwalając sobie na miłość, znalazłaby się w potrzasku.

- A to ma rację - stwierdził ponuro Tola. - Tak właśnie się czuję: w potrzasku. Jak myślisz, może powinienem porozmawiać z waszą matką? To taka cudowna kobieta!

- W żadnym wypadku! Cudowna to może ona i jest, ale ma też cudowną umiejętność stwarzania sobie obrazu świata, który chciałaby mieć wokół siebie. Jak australijscy aborygeni, wiesz? W tym świecie nie ma miejsca na negatywne emocje. Żadnych zawiści, żadnych zazdrości, a już w ogóle nie u jej córek. W jej oczach nawet nasza podświadomość jest niezbrukana.

Aleksandra przyszła na świat pięć tygodni za wcześnie, co skutecznie nadwe-
rżyło jej wiarę w niewzruszalność kolei rzeczy. Już w tym pierwszym, decydu-
jącym momencie okazało się, że jej zaufanie może zostać zawiedzione, co napeł-
niło ją najczarniejszymi obawami.

Początkowo wszystko układało się pomyślnie. Rodzice nie odstępowali jej na
krok, a nad łóżeczkiem pochylały się babcie i ciocie, zapewniające Aleksandrę
na wyścigi o jej wyjątkowości. Pojawienie się Pauli było w tym kontekście
prawdziwym skandalem: jeżeli Aleksandra była istotnie uosobieniem marzeń ro-
dziców, to po jaką cholere eksperymentowali dalej? Obluda dorosłych osią-
gnęła swój szczyt w gorących zapewnieniach o ich niesłabnącej miłości i jedno-
czesnym wysunięciu jej łóżeczka z sypialni matki - jego miejsce zajęła kołyska
Pauli z zasłonkami w kolorowe misie i baloniki. Aleksandra poczuła się głęboko
oszukana.

Pierwszy rzut oka na paskudnie wymięte i czerwone niemowlę potwierdził jej
najgorsze obawy: oczywiście nie nadawało się ono do żadnej rozsądnej zabawy,
absorbowało natomiast czas i energię rodziców. Całkowicie zbędna i kłopotliwa
inwestycja, i Aleksandra zupełnie nie mogła zrozumieć, dlaczego nikt jakoś nie
wpadł na jedyny rozsądny pomysł i nie odniósł go z powrotem tam, skąd się
wzięło.

- Dośmie - powiedziała stanowczo do matki, pokazując palcem na potworka
w kołysce i mając oczywiście na myśli: „Do śmietnika z nią”. Matka roześmiała
się, chwyciła ją w ramiona i wyściskała serdecznie, więc miała nadzieję, że się
zrozumiały.

- Trochę później, dobrze? Niech najpierw podrośnie - odparła. Aleksandra
skinęła niechętnie głową. Ostatecznie może poczekać, byle nie za długo. Nieste-
ty, wersja wydarzeń, którą matka wieczorem opowiedziała ojcu, odebrała jej
resztkę nadziei.

- Wyobraź sobie, nasza Aleksandra wykazała dziś ogromne zainteresowanie Paulą. Stała wpatrzona w kołyskę, a potem zapytała mnie: „Dasz mi ją?”. Pewnie myśli, że mogłaby się nią bawić jak lalką: czy to nie urocze?

Aleksandra pomyślała ponuro, że gdyby się mogła pobawić Paulą jak lalką, to by jej przede wszystkim urwała rączki i nóżki, ale dalsze dyskusje z matką były zbędne. Jej niewzruszona umiejętność dopasowywania rzeczywistości do własnych wyobrażeń była jak pancierz, wszystko się od niej odbijało.

Już sam fakt istnienia Pauli był krzywdzący, ale może dałoby się go jakoś zaakceptować, gdyby zechciała zająć należne jej miejsce za Aleksandrą i tam też pozostać, ale Paula nie chciała. Bez większego wysiłku przeskakiwała klasy, wygrywała konkursy i zdobywała serca. Aleksandrze w końcu pozostały tylko trzy dziedziny, w których była zdecydowanie lepsza: genealogia, paleontologia i psy, głównie dlatego, że Paula nie okazywała żadną z nich najmniejszego zainteresowania. Miała też jeszcze, w odróżnieniu od otoczonej zawsze przyjaciółmi, krewnymi i kochankami Pauli, swoją samotność: prawdziwe małe arcydzieło, jej sposób na życie. I z tego miałyby teraz zrezygnować?

Dla Toli?

Nie było jednak prawdą, że nigdy nie próbowała zbliżyć się do innego człowieka. Wprost przeciwnie, całe jej życie było nieśmiałą, ale pełną nadziei próbą znalezienia kogoś, kto byłby jej bliski, ale znowu nie aż tak bezlitośnie bliski, jak Paula.

Kiedy poszła do szkoły, stwierdziła z ulgą, że inne dzieci były zupełnie przeciętne, w jej klasie ani jedno nie przypominało rajskiego ptaka, Pauli. Nabrała otuchy, wierząc, że uda jej się przynajmniej z niektórymi zaprzyjaźnić. Może akurat nie z tą ładną i zarozumiałą Elżunią, która siedziała w tej samej ławce, ale Krzyś ze środkowego rzędu ogromnie jej się spodobał. Wydawał się jej zachwycający, był tak szczupłutki, że aż przezroczysty, miał cieniutkie paluszki, wielkie,

zdziwione oczy, białe, puszyste rzęsy i duże zęby jak królik, przedzielone na przedzie szparą. Na przerwie oddała mu pół swojego śniadania, które przyjął bez słowa, ale uśmiechnął się do niej, a jego delikatne uszy się zaróżowiły. Poczuli się uszczęśliwiona. Po paru tygodniach odważyła się zaprosić go do Łosinka na niedzielę i nie posiadała się z radości, kiedy przed bramą zatrzymał się czerwony polonez, z którego wysiadł ojciec Krzysia, trzymając syna za ramię. Z zainteresowaniem obrzucił wzrokiem rozsypujące się kolumny ganku i odpadający tynk, pocałował matkę Aleksandry w rękę i powiedział, że odbierze Krzysia po kolacji. Aleksandrze jeden dzień na pokazanie przyjacielowi tego wszystkiego, co stanowiło treść jej życia w Łosinku, wydał się rozpaczliwie krótki. Czy zacząć od ujadających wściekle psów, czy też od gniazda ślepych myszy w piwnicy? Zaprowadzić go najpierw do Krasuli sąsiada, która pasła się ze swoim cielakiem w sadzie, czy do drewnitni, gdzie pajak krzyżak utkał misterną pajęczynę kolosalnych rozmiarów?

Niezupernie wypadło to tak, jak sobie zamarzyła. Psy napawały Krzysia lękiem, za nic na świecie nie chciał zbliżyć się do żadnego z nich, nawet do bezzębnej, łagodnej Muchy, która już miała sto lat, ale nie wstydziła się nawet w tym podeszłym wieku zostać matką i przy jej czarnych, długich sutkach znowu wisały trzy łaciate kluseczki. Odmówił też wejścia na dąb, w którego konarach Aleksandra zbudowała przy pomocy ojca domek, przedmiot jej wielkiej dumy, z prawdziwymi materacami do spania, stolikiem i obrazkami na ścianach. Spędzała tam całe godziny, obserwując mieszkające w koronach dębów roztrzepane rude wiewiórki i paląc własnoręcznie skręcone papierosy z suchych liści rabarbaru. Była niepokieszona i chciała namówić Krzysia chociażby na pokruszonego rabarbarowego papierosa, ale zamachał ze zgrozą rękami. Niewypałem też okazała się próba wtajemniczenia go w eksperymenty naukowe, jakie przeprowadzała z dropiatą kurą, którą pożyczyła sobie w tym celu od sąsiada. Pracowała z nią, łącząc elementy hipnozy i magii, gdyż nie wiedziała, w jakim kierunku ptak okaże

się bardziej utalentowany. Znajdowała się dopiero na początku swoich badań, bo kura, wyjątkowej brzydoty i tępoty, nie robiła na razie specjalnych postępów. Żeby ją choć trochę zmobilizować i nastawić pozytywnie do współpracy, ochrzciła ją święconą wodą i nazwała Morgana la Fée. Do tej pory zupełnie nie-żle udawało się Aleksandrze wprowadzać Morganę w trans, okręcając się z nią w rytualnym tańcu i monotonnie śpiewając. Kiedy ptak zamierał w jej rękach, kładła go na ścieżce, przeciągała palcem po grzbiecie i rysowała przed dziobem zaklęty krąg. Zazwyczaj wystarczało to, żeby Morgana sztywniała z oczami w słupek i wbitym w ziemię dziobem.

Niestety, akurat tym razem kura, zdenerwowana obecnością obcego chłopca, a być może po prostu niedysponowana po makowcu, którym nakarmiła ją Aleksandra, straciła kontrolę nad swoimi funkcjami fizjologicznymi i obsrała uroczyście obracającego się z nią w ramionach Krzysia.

Aleksandra musiała też z przygnębieniem stwierdzić, że ani widok pajaka, ani ślepych myszy nie sprawił Krzysiu żadnej przyjemności. Nie zainteresowały go też dżdżownice w kompoście i cielaczki Krasuli. Udało mu się natomiast poślizgnąć na krowim placku i rozerwać sobie spodnie przy przechodzeniu przez płot. Najpóźniej w tym momencie stracił ostatecznie zainteresowanie naturą, Łosinkiem i Aleksandrą. Po obiedzie udał, że jej nie widzi i pomaszerował za Paulą, bawiącą się koło huśtawek ze swoimi lalkami w sklep, w którym można było nabyć to wszystko, co było w tych czasach w normalnych sklepach osiągalne, czyli ocet, groszek w puszkach i radzieckiego szampana. Całe popołudnie Krzyś spędził, robiąc zakupy w sklepie Pauli i nie zwracając najmniejszej uwagi na Aleksandrę, cierpiącą straszliwe męki.

W porze podwieczorku matka przyniosła im ciasto ze śliwkami i mleko, pogłaskała z roztargnieniem trzy dziecięce główki i wróciła do domu, nie zauważając nawet rozpaczki Aleksandry.

- Nie jedz tyle ciasta, brzuch cię rozboli - podjęła Aleksandra jeszcze raz próbę kontaktu, odsuwając delikatnie na bok talerz, na co Krzyś zareagował wściekłym rykiem. Wzruszyła więc ramionami i z rezygnacją przyglądała się, jak jego królicze zęby miażdżą kawałek po kawałku.

- Myślałam, że zbudujemy razem budę dla szczeniaków Muchy... - wyszeptowała, połykając łzy, ale Krzyś tylko odwrócił się do niej plecami, usadowił na huśtawce i zaczął się zaciekle huścić.

Następnego dnia matka Aleksandry musiała odbyć bardzo nieprzyjemną rozmowę z matką Krzysia, która zadzwoniła z pretensjami. Aleksandra poszczuła Krzysia psami, obrzuciła go kurzym łajnem, wysmarowała krowim plackiem, zmuszała do palenia papierosów, wyrwała mu ciasto z ręki, a potem wręcz czymś struła, bo biedny chłopiec chorował przez całą noc. Gdyby nie Paula, to anielskie dziecko o szczerzłotym sercu, Krzyś załamałby się nerwowo.

- Nie przejmuj się Aleks, ten twój Krzyś jest głupi dupek. Morgana miała rację, że go obsrała - pocieszała ją nie do zniesienia wspaniałomyślna Paula. Retorycznie zawsze biła Aleksandrę na głowę. Aleksandra przytaknęła, ale była niepokieszona. Może Krzysio i był dupkiem, ale miał prześwieczone różowym blaskiem uszy i te cudowne zęby. Może nawet zmieniał się nocą w królika z „Alicji w krainie czarów”?

Ale Krzyś był tylko początkiem. Wszystkie następne próby Aleksandry nawiązania bliższych stosunków z bliźnimi przebiegały według tego samego schematu: pełne dobrej woli zdobywanie cudzej sympatii, zachwyt, kiedy obcość przemieniała się w intymność - i już stała wśród zgliszcz, oniemiała, wstrząśnięta, zboląła. Żeby nie wiadomo jak się starała, wyzwała w ludziach negatywne emocje. Oskarżali ją o podejrzaną intencję, małostkowość i złośliwość, po czym szukali pociechy u Pauli.

- Czy mam powiedzieć temu rudemu, co się koło ciebie kręcił, żeby się ode mnie odczepił? - pytała lojalna do obrzydliwości Paula, a Aleksandra uparcie po-

trząsała głową, zbyt dumna, żeby poprosić: „Zostaw mi go, zostaw mi chociaż tego jednego!”. Któregoś dnia stwierdziła, że obecność innych ludzi ją kępuje i od tej chwili skoncentrowała swoją energię na urządzeniu się w swojej samotności możliwie wygodnie.

Nie przyszło jej łatwo nauczyć się żyć bez mężczyzny, ale teraz umiała i nazywała ten stan wolnością. Z wyższością patrzyła na kobiety, które rozpaczliwie szukały partnera i wiązały się ze strachu przed samotnością i niedostatkiem. Wspinające się po szczeblach kariery pary, wplecione w rodzinne pajęczyny, zajęte kopaniem szanćów, które miały je chronić przed resztą świata, gromadzące jak pracowite mrówki samochody, armatury i mikrofalówki, budziły jej politowanie. Podobała się sobie w roli dziewczyny, która ma nieślubne dziecko, robi co chce, jest niezależna i nikogo nie potrzebuje.

Gdyby teraz znalazła przyjaciółkę od serca, nie miałyby jej nic do powiedzenia.

*

Przestałam jeździć do Polski.

Łosinek podupadał, w zdziczałym sadzie usychały drzewa i marzły niezabezpieczone przed zimą róże, ze ścian odpadał tynk, pod podłogi wkradał się grzyb. Aleksandra dorosła i przestała mnie potrzebować, Paula nie potrzebowała mnie nigdy.

Ewa... Na myśl o niej czułam fizyczny ból i żołądek zwijał się w pięść, jak małe kolczaste zwierzątko. Zawisło nad nami ołowiane milczenie, przerywane rzadkimi telefonami, w czasie których dokonywałyśmy nadludzkich wysiłków, żeby nasze głosy brzmiały ciepło. Wystarczyła jedna chwila, żeby wszystko, co nas łączyło od czasów wspólnego dzieciennego pokoju, straciło znaczenie. Po-

zbawiona nagle naszej wspólnej historii, pozbawiona mojej polskiej przeszłości, miałam wrażenie, że w Polsce ostatecznie przestałam istnieć.

Na szczęście pozostał mi świat don Battisty, prosty i przejrzysty, który nie był ani Polską, ani Niemcami, nie miałam w nim ani przeszłości, ani przyszłości i mogłam tam być tym, kim byłam najbardziej: przejezdnym obserwatorem.

Przynajmniej na Ischii życie płynęło spokojnie, po bożemu, ustalonym od lat tokiem. Zmiany były obce naturze jej mieszkańców, dzięki czemu nie musieli rewidować swoich poglądów i mogli trwać w przekonaniu, że są one po prostu najlepsze. Świat z tą całą jego niestabilnością, kryzysami, konfliktami i pożałowania godnym upadkiem obyczajów pozostawał po drugiej stronie Zatoki, ewentualnie po drugiej stronie ekranu telewizyjnego. Tak naprawdę mieszkańcy Ischii nie przyjmowali jego istnienia do wiadomości.

- No więc, moje drogie panie, właśnie tego mi w ostatnich latach brakowało - ogłosił z zadowoleniem Jochen Kamerzysta, nakładając sobie na talerz sporą porcję *seppioline*, małych ośmiorniczek z bakłażanami, i dolewając wina z efektownie oszronionej butelki. - Rzeczywistości, w której punktualnie kursują promy, pory posiłków są święte, a za katastrofę uważa się inwazję przedziorka. Nie wiedziałem, że za tym tęsknię. Wprost przeciwnie, przez długi czas myślałem, że moje miejsce jest tam, gdzie się coś dzieje, bo moim obowiązkiem jest utrwalić wszystko na taśmie i informować świat. Teraz wcale nie jestem pewny, czy bez moich zdjęć świat nie byłby szczęśliwszy i czy w ogóle zależy mu na tym, żeby znać prawdę albo chociażby jej część. Pewnie się starzeję.

W czasach, kiedy Jochen pracował jako *freelancer* dla CNN, niebezpieczeństwo było mu potrzebne jak tlen do oddychania - kiedy się zbliżało, oddychał szczególnie głęboko. Życie na granicy wciągało, uderzenia adrenaliny stawały się mu coraz bardziej potrzebne i z czasem doszedł do przekonania, że nie potra-

filmy już wrócić do codzienności. W każdym konflikcie można go było spotkać na pierwszej linii, wszędzie tam, gdzie miotacze granatów zastąpiły dyplomację. Wyrobił sobie imię już podczas pierwszej wojny w Afganistanie jako jeden z nielicznych zachodnich kamerzystów, którym udało się tam dotrzeć z Afghan Aid, ale dopiero wojna w Zatoce Perskiej przyniosła mu naprawdę korzystne kontrakty. Zamykał w swoich filmach zbrojne konflikty, które wstrząsały światem - Rosja przeciwko Czeczenii, Gruzja przeciwko Abchazji, Hutu przeciwko Tutsi - filmował wszystko, co ludzie są w stanie zrobić ludziom, ale połowa jego materiału nigdy nie ukazała się w dzienniku, bo była zbyt straszna. Ale jaka miała być, skoro w Sudanie kałasznikow kosztował mniej niż kura?

To właśnie w Sudanie, umierającym z głodu po trzydziestu latach wojny domowej, spotkał Kevina Cartera, reportera z Południowej Afryki. W hotelowym barze w Chartumie Kevin pokazał mu zdjęcie, które w miesiąc później obiegło cały świat: zdjęcie wychudzonej do szkieletu dziewczynki, skulonej jak pies na spalonej słońcem ziemi, z głową złożoną na obciążonych cienką skórą piszczałkach rączek. O krok od niej cierpliwie czekał sęp.

- Nie mogę już udźwignąć tego, co widziałem - powiedział do Jochena. - Tyle było tych krzywd, tyle okrucieństwa, że zabiły we mnie wszelką radość. Nie potrafię już w niczym dostrzec piękna.

Ani w ludziach, ani w krajobrazach; wszystko śmierdzi mi trupem. Jeżeli istotnie Bóg kiedyś stworzył świat, to teraz musiał się od niego rozczarowany odwrócić i przestał się nim interesować. Od lat donoszę o jego cierpieniach i nie zmniejszyły się od tego ani trochę.

Dziewczynkę zdołano uratować, za jej zdjęcie Carter otrzymał Nagrodę Pulitza. W parę dni później popełnił samobójstwo. Jochen postanowił, że od tej pory będzie filmował wyłącznie krajobrazy.

Być może całe jego życie ułożyłoby się inaczej, gdyby nie spotkał w barze hotelu Camino Real w San Salvadorze Franka Jacobi. Miał dwadzieścia pięć lat, nowiutki dyplom ukończenia politechniki w kieszeni, amatorską super 8 pod pachą i bardzo mętne pojęcie o sytuacji politycznej w Ameryce Środkowej. Rzecz jasna wiedział, że w Salvadorze rządzi junta wojskowa, w tej części świata junty były w końcu na porządku dziennym, ale o szwadronach śmierci, trupach w przydrożnych rowach i *guerrilleros* Frontu Wyzwolenia Narodowego*²⁴ nigdy nie słyszał, w odróżnieniu do Franka, który przybył do Salvadoru tylko po to, żeby właśnie o tym wszystkim zdawać relację widzom niedawno założonej amerykańskiej stacji telewizyjnej CNN.

Kiedy Jochen przekroczył próg hotelowego baru, Frank nie donosił jednakże nikomu o niczym, tylko ponuro wpatrywał się w stojącą przed nim szklanekę whisky. Godzinę wcześniej odwiózł na lotnisko swojego kamerzystę, Teda McCoya, którego powaliła wcale nie kula snajpera, tylko ciężki atak woreczka żółciowego.

Koczowniczy tryb życia, odżywianie się podejrzanymi potrawami, skandaliczne warunki higieniczne i bohaterские próby neutralizowania tych negatywnych wpływów wysokoprocentowym alkoholem doprowadziły woreczek Teda do stanu tak krytycznego, że w tej chwili znajdował się już w drodze na stół operacyjny, a Frank, pozbawiony możliwości przekazania tego, co w telewizji najważniejsze, czyli obrazu, z posępną zawziętością usiłował się upić w barze hotelu Camino Real.

Jochen, który wszedł do mrocznej sali z zalanej słońcem ulicy, w pierwszym momencie pomyślał, że jest zupełnie pusta. Rozejrzał się, mrugając szybko powiekami, i zauważył w głębi pomieszczenia za kontuarem dłubiącego objętnie w nosie niechlujnego Metysa w brudnej kurtce, a przed nim starszego mężczyznę o

²⁴ * Frente Farabundo Martí para la Liberación Nacional (FMLN), utworzona w 1980 roku salvadorska organizacja partyzancka, od 1992 lewicowa partia polityczna.

siwych skroniach, opartego obydwoma łokciami o lepki blat. Podeszedł do baru, położył swoją super 8 obok nieznajomego i powiedział przyjaźnie:

- Halo! Mogę się przyśiąść?

- Synku, z nieba mi spadłeś! - odparł mężczyzna uroczyście, nie spuszczać wzroku z kamery Jochena. - Nic lepszego nie mogło mi się przydarzyć. Mam dla ciebie nowiutką, japońską ikegami, najlepszą, jaka w tej chwili jest na rynku, miliony widzów i honoraria, o jakich nie śniłeś, co ty na to?

Jochen jeszcze nigdy nie poznał kogoś takiego, jak Frank Jacobi. W Babenhausen, skąd pochodził, rozpaczliwie nudnym miasteczku pod Frankfurtem, takich nie było. W Babenhausen wszyscy przypominali ojca Jochena, tyleż solidnego, ile nieciekawego technika dentystycznego, i podobnie jak on spędzali pół życia na budowaniu własnego domku, a drugie pół na spłacaniu go i remontowaniu. Domki też były do siebie podobne, rosły przed nimi takie same żywopłoty z tui i stały jednakowe pawiloniki ogrodowe, kupione w tanim sklepie dyskontowym. Jochen miał czasami wrażenie, że gdyby przez pomyłkę wszedł do domu sąsiadów i usiadł na jednym z foteli „zespołu wypoczynkowego”, nikt nie zauważyłby żadnej różnicy. Ulice były wymienne, domy były wymienne i rodziny były wymienne. Podobnie jak ojciec Jochena, inni mieszkańcy Babenhausen też kształtowali swoją wiedzę o świecie na podstawie lektury „Bild Zeitung”, a w piątkowe wieczory wymieniali poglądy przy stole dla stałych gości w miejscowej knajpie. W pozostałe dni tygodnia ojciec Jochena siadywał z butelką piwa przed telewizorem i puszczał głośno wiatry, a reszta rodziny udawała, że nic nie słyszy. W jego oczach nie było żadnej tajemnicy ani śladu tęsknoty czy namiętności, nic, tylko pustka. Jochenowi, który w żaden sposób nie mógł go sobie wyobrazić jako rozbrykanego małego chłopca czy ciekawego życia nastolatka, ojciec wydawał się straszliwie stary. Po latach uświadomił sobie z przerażeniem, że w rzeczywistości był młodszy od Franka.

Czasami ojciec podejmował żenujące próby nawiązania z Jochenem kumpelskich stosunków i wyjeżdżali razem na biwak. Bezradnie miotał się pośród skłębionych linek namiotowych, wbijał sobie haczyk od wędki w zadek, wybierał miejsce pod namiot pośrodku mokradła i godzinami usiłował rozpalić ognisko, które potem, jak już mu się to udało, zadeptywał rozjuszony gajowy. Ojca nie zbijało to z tropu, z zadowoloną miną mówił do Jochena: „Widziałeś, jak to zrobiłem, synu? Przyglądaj się dobrze, żebyś się czegoś nauczył”. Jochen przyglądał się i widział pocącego się pod pachami łysawego blondyna z nadwagą, który miał dwie lewe ręce i prostackie maniery. Czasami było mu ojca żal, częściej jednak po prostu się go wstydził. Trudno było żałować kogoś, kto przy całej swojej mierności traktował syna z napuszoną wyższością i nie szczędził pouczeń: „Ja w twoim wieku już od dawna zarabiałem na życie”, „Jak długo mieszkasz w moim domu, masz trzymać język za zębami”, „Skoro ci się tu nie podoba, przenieś się do demoludów, już tam cię towarzysze rozumu nauczą”.

Jochen uciekł z Babenhausen natychmiast po maturze. Ojciec szalał, krytykował wybrany kierunek studiów, groził, że nie da ani grosza. W przemówieniu, które wygłosił, powtarzały się słowa: „autorytet”, „szacunek” i „posłuszeństwo”. Jochen słuchał cierpliwie z rękami splecionymi za plecami, kołysząc się lekko na piętach: „Rozumiem - powiedział w końcu - czujesz się upoważniony do decydowania o moim życiu. Masz niewątpliwie rację: w końcu kiedyś byłeś najszybszym plemnikiem w swojej grupie”.

Frank Jacobi był korespondentem od czasu Wietnamu. Przeszedł specjalny trening w elitarnym Sandhurst i wyniósł stamtąd umiejętność zachowywania zimnej krwi w ryzykownych sytuacjach i to, co nazywał „dobrymi wojennymi manierami”. Wiedział, jak nawiązywać przyjazne kontakty z przedstawicielami lokalnych reżimów, komu dać w łapę i ile, gdzie zdobyć artykuły od lat w sklepach niedostępne, jak odróżnić zdrowe dziwki od zarażonych, w jaki sposób przemycić alkohol do krajów, w których jest najsurowiej zabroniony, a przede

wszystkim, jak wrócić żywym. Był prawdziwym profesjonalistą i Jochen miał nadzieję, że choć odrobina tej profesjonalności skapnie i na niego.

W Salwadorze po raz pierwszy pracowali razem. Zadaniem Jochena było filmowanie za pomocą kamery Teda McCoya, nowiutkiej ikegami, zamordowanych przez szwadrony śmierci studentów, zabitych chłopów i spacyfikowanych wiosek. Wieczorem montowali ukradkiem kamerę na dachu hotelu i Frank komentował nakręcony materiał, który przesyłali potem do centrali CNN w Atlancie. Konfrontacja z brutalnością wojny domowej była dla Jochena wielkim wstrząsem, a ryzyko, jakie ponosili, wydawało mu się ogromne, ale był jednocześnie całkowicie pewien, że nigdy do tej pory nie przeżył równie pasjonujących dni. Kiedy wojska izraelskie wkroczyły do Libanonu i Frank zaproponował mu wspólny wyjazd do Bejrutu, nie zastanawiał się ani chwili.

Na lotnisku w Damaszku udało się im znaleźć taksówkarza, Syryjczyka, który za bająską sumę zgodził się zawieźć ich przez pustynię do Bejrutu, ale im wyraźniejsze stawały się ślady walki po drodze - wypalone wraki samochodów, zniszczone wsie – tym bardziej rosła jego nerwowość. Na granicy między zamieszkiwaną przez chrześcijan wschodnią częścią Bejrutu i muzułmańskim Bejrutem zachodnim rozrywały się z hukiem granaty, wyrzucając w powietrze fontanny piasku. Widok ten wydał się Jochenowi zarazem nierzeczywisty i przerażający, ale Frank zachował niewzruszony spokój.

- Pamiętam Bejrut z lat sześćdziesiątych - westchnął, rozglądając się po ruinach. - Nie uwierzysz mi pewnie, ale nazywano go Paryżem Orientu, mógł się równać z Niceą albo Monte Carlo. Ogrody tonęły w kwiatach, w porcie stał jacht Onassisa, a na Hamra były sklepy Coco Chanel i Yves'a Saint-Laurenta. A teraz? Teraz walczy tu każdy z każdym, chrześcijanie przeciwko muzułmanom, szyici przeciwko sunnitom, PLO przeciwko Izraelowi, a Izrael przeciwko wszystkim.

Większość korespondentów zakwaterowała się w hotelu Commodore po zachodniej stronie miasta, bo był doskonałym punktem obserwacyjnym i roztaczał

się z niego widok na całe miasto. Wielu z nich Franka znało, witali się z nim serdecznie, poklepując po plecach i wymieniając wspomnienia, jakby to spotkanie miało charakter czysto towarzyski. Niedalekie wybuchy granatów konsekwentnie ignorowali i ta ich - prawdziwa czy pozorna - obojętność wpłynęła na przerażonego Jochena kojąco. Późnym popołudniem także i on odważył się wdrapać na dach i ustawił kamerę na statywie, kierując ją w stronę, z której spodziewano się izraelskich bombowców.

Bejrut był dla Jochena chrztem bojowym. Po raz pierwszy w życiu znalazł się na terenie objętym konfliktem zbrojnym, w oku cyklonu, tam, gdzie powstawały wiadomości, pokazywane w dziennikach telewizyjnych na całym świecie. Po raz pierwszy też miał do czynienia z ludźmi, dla których wojna była przede wszystkim *story*, dobrym tematem, i dostarczała niezbędnego dreszczyku, podnoszącego poziom adrenaliny we krwi.

Bejrut był też początkiem przyjaźni i współpracy z Frankiem, przy której wspomnienie Babenhausen i siedzącego w podkoszulku przed telewizorem ojca blakło z każdym dniem. Nie miał z tym człowiekiem już nic wspólnego, teraz liczył się Frank i mocna więź, jaka ich łączyła, która powstawała w Bejrucie, na Falklandach, w Sri Lance, w Chinach i w Afganistanie. Frank nigdy nie musiał mu mówić: „Patrz i ucz się, synu” - Jochen i tak nie spuszczał z niego oczu i nie przestawał się uczyć.

- Któregoś dnia wszedłem w obskurnym kraiku do obskurnego baru, położyłem moją kamerę na kontuarze obok nieznanego mi faceta, który na tym zadupiu nosił śnieżnobiałą koszulę i dzinsy zaprasowane na kant, i całe moje życie się zmieniło - powiedział mi kiedyś. - Przez następnych dziesięć lat byliśmy nierozłączni, zupełnie jakbyśmy wymienili obrączki. Boże, jak ja tego człowieka podziwiałem! Odnosiłem wrażenie, że wie wszystko, miał w głowie ogrom informacji, posegregowanych jak w komputerze, musiał tylko wyciągnąć odpowiednią szufladkę. Zawdzięczam mu większość moich umiejętności, to on nauczył

mnie żeglować, tańczyć sambę, znajdować wodę na pustyni, odróżniać Moneta od Maneta i bordeaux od beaujolais. Był obdarzony wyjątkową charyzmą, którą zazwyczaj mają tylko wielcy przywódcy, tym czymś, co innym każe tęsknić za przebywaniem w ich pobliżu. Kiedy umarł mój ojciec, nie odczułem żadnego bólu, co najwyżej zdumienie, że ten obcy mi człowiek był kiedyś przyczyną mojej rozterki, i wielką ulgę, że to nie Frank. Zawsze bałem się, że Frank zginie. To nie przypadek, że nie spotyka się starych reporterów wojennych: w tym zawodzie kula trafia przede wszystkim tych, którzy robią to po raz pierwszy, i tych, którzy są przy tym za długo, zaryzykowali o jeden raz za dużo. W Kabulu, już po wycofaniu się Rosjan, jemu też się dostało. Filmowałem handlarzy bronią, jak stoją na dachach i walą w niebo - tam broń nosi się jak gdzie indziej zegarki - i jeden z nich wziął kamerę za miotacz min. W tych okolicach znacznie częściej widuje się miotacze min niż kamery, więc nawet nie mogłem mu tej pomyłki wziąć za złe. Frank skoczył mi na plecy i zasłonił mnie własnym ciałem, ale oberwał przy tym i leżał w kałuży krwi. Odrzuciłem kamerę, podniosłem ręce do góry i czołgałem się od jednego mudzahedina do drugiego, płacząc, całując rąbki ich brudnych galabii, błagając, żeby mu pomogli. Myśl, że Frank mógłby umrzeć na moich oczach, była nie do zniesienia.

- Przeżył?

-Tak. W rzeczywistości zachodni dziennikarze cieszyli się w Kabulu dobrą opinią, informowali w końcu świat o ich wojnie przeciwko Sowiecom. Ktoś zatrzymał taksówkę, ktoś inny pokazał mi drogę do polowego szpitala. Frank wygrzebał się z tego, została mu tylko paskudna blizna.

- Mnie nigdy nie powiedział, skąd ją ma - odezwała się milcząca do tej pory Andrea. - W ogóle nigdy nie opowiadał o tym, co przeżył. Wracał, mówił: „Hallo, jestem znowu”, i szedł spać. Najdłuższa jego wypowiedź, jaką pamiętam, brzmiała: „Ludzi trzeba przekonać. Cieszę się, jeżeli mogę coś osiągnąć, ale to zawsze za mało”.

- Dobrze go znałaś? - zapytałam.

- Tak. Przez dwanaście lat byłam jego żoną.

Nie wiedziałam, że Jochen jest jej drugim mężem, nigdy o tym nie wspomniała, chociaż znaliśmy się już od paru lat i spotykaliśmy regularnie u don Battisty, a czasami też i w Niemczech. Zaskoczona, chciałam się dowiedzieć czegoś więcej, ale przed bramę wjazdową podjechała z infernalnym hurkotem mikrotaksówka, jeden z tych obwieszonych kolorowymi chorągiewkami i plastikowymi kwiatkami trójkołowych pojazdów z baldachimem, które widuje się tylko na wyspach Zatoki Neapolitańskiej. Pod lusterkiem kołysał się medalion z podobizną patrona Ischii, San Giovana Giuseppe della Croce, na szybie naklejony był obrazek przedstawiający Jezusa z gorejącym sercem, a pod nim widniał napis: *Volto santo di Gesù' - protegmi*^{*25}. Rozsądne nastawienie, zważywszy na przyjęty tu styl jazdy.

Podwozie taksówki spoczywało nieomal na rozgrzanym asfalcie jezdni, a jej biały baldachim falował jak wzburzone sztormem morze. Strapiony kierowca podtrzymywał ramieniem wstrząsany potężnymi drgawkami wehikuł, z którego wnętrza dobiegały rozjuszony okrzyki.

- Czterdzieści tysięcy lirów? Czterdzieści? Czyś ty oszalał? Za kogo ty mnie właściwie masz, za jakąś głupią niemiecką turystkę? Zapamiętaj to sobie: jestem donna Cornelia, przyjeżdżałam tu, kiedy ty nosiłeś jeszcze koszulę w zębach, i zawsze, rozumiesz zawsze, płaciłam od portu do hotelu dwadzieścia tysięcy lirów, więc niech ci się nie wydaje, że uda ci się mnie naciągnąć na czterdzieści! Nie wstyd ci okradać samotną kobietę? Nie boisz się, że Pan ześle na ciebie swój piorun i zamieni w kupkę śmierdzącego popiołu? To serdecznie ci doradzam, żebyś zaczął się bać, bo ja tu zaraz po kolacji pójdę do ojca Paolo i powiem mu, jakiego gagatka doczekał się w swojej parafii.

²⁵ * Święte oblicze Jezusowe, chroń mnie.

Baldachim wspiął się konwulsyjnie jak stający dęba koń i z głębi taksówki wyłoniła się nieprawdopodobnie tęga noga, ściśnięta w opuchniętej kostce rze- mykiem absurdalnie malutkiego złotego sandałka. Przez drzwiczki, sapiąc jak lokomotywa, zaczęła przeciskać się bardzo gruba kobieta w podobnym do ru- chomego ogrodu słomkowym kapeluszu na głowie. Spowita była w całe metry lśniacej gazy, zwiewnego szyfonu i delikatnych koronek, kunsztownie upiętych na jej nieforemnym ciele i nadających mu wygląd majestatyczny, wręcz królew- ski. Tam, gdzie pokrytej bru- natnymi plamami skóry nie osłaniała kosztowna tkanina, zdobiło ją ciężkie złoto - pierścienie na podobnych do parówek palcach, łańcuchy pod rzędem podbródków, bransolety na masywnych przegubach rąk. Kobieta wsparła się na ramieniu stojącego z nieszczęśliwą miną taksówkarza, osłoniła pulchną dłonią oczy i zawołała władcym tonem w stronę osiemdziesię- ciu sześciu schodków prowadzących do willi:

- Cesarina! Cesarina! Chodź no tutaj, moje dziecko, wytłumacz z łaski swo- jej temu osobnikowi, kim ja jestem i każ mu zanieść moje walizki na górę.

Kierowca, wbity ciężarem potężnego ciała w miękki asfalt, obrabowany tą pogardliwą uwagą z całej swojej męskiej świetności, wiał w oczach. Otworzył usta do słów protestu, ale wydostał się z nich tylko cichy kwik. W hotelu wybu- chło radosne i krzykliwe zamieszanie, na szczycie schodów ukazały się sylwetki Cesariny i Agnesiny, a czyjś podniecony głos zawołał:

- Donna Cornelia! Don Battista, *venga presto*^{*26}, donna Cornelia przyjechała!

Nowo przybyła skinęła z zadowoleniem głową, wypuściła ramię taksówkarza z żelaznego uścisku, wskazała szpikulcem parasolki na schodki i powiedziała ugodowo:

- No to jak? Dwadzieścia pięć tysięcy i ani grosza więcej, ale wniesie bagaż na górę, *capito?*^{*27}

Wiele słyszałam o donnie Cornelii, ale do tej pory jeszcze jej nie spotkałam. Była podobno serdeczną przyjaciółką don Battisty i ozdobą każdego sezonu w willi, krążyły o niej najdziwniejsze opowieści, a w hallu wisiała powiększona do naturalnej wielkości fotografia ukazująca jej uśmiechnięte, mięsiste oblicze nad rzędem majestatycznych podbródków. Na moje pytanie, jaka właściwie jest, Jochen odparł po zastanowieniu:

- Powiedziałbym, że jest przede wszystkim kobietą wulkaniczną.

Donna Cornelia była wdową po znanym niemieckim malarzu, Theodorze Dohmannie. Rola Wdowy po Artyście była jej powołaniem, odgrywała ją z zapałem i dużą godnością: można powiedzieć, że była Wdową Doskonałą. Mało kto natomiast przypominał ją sobie w roli Zony Artysty, najprawdopodobniej dlatego, że nie czuła się w niej dobrze.

Życie z Theodorem oznaczało dla Cornelii mozolne wiązanie końca z końcem, śmiertelnie nudne pozowanie do aktów w lodowatej pracowni i niekończące się nocne dyskusje w gronie przyjaciół Artysty nad sensem ludzkiej egzystencji, po których pozostawały przepełnione popielniczki, zarzygane stearyną dywany i zapchane prezerwatywami klozety. W odróżnieniu od innych żon Artystów, które same były Artystkami, Cornelia wykonywała mieszczański zawód przedszkolanki, który pozwalał jej utrzymać Artystę i płacić rachunki za wino dla jego przyjaciół, którzy nią pogardzali. Nie ulegało wątpliwości, że było to małżeństwo niedobre, któremu nikt, łącznie z samą Cornelią, nie dawał większych szans na przetrwanie. Uważano ogólnie, że Cornelia - wówczas po prostu Conny Dohmann z domu Paschollke - fatalnie odstaje od środowiska i Artysta puści ją w trąbę, jak tylko będzie go na to stać. Cornelia nie miała żadnych

²⁶ * proszę przyjść szybko

²⁷ * zrozumiano?

złudzeń, wiedziała, że jest zaledwie tolerowana, że jej pulchne ciało nigdy nie stanie się dla Theodora źródłem prawdziwej ekstazy - ani twórczej, ani samczej. Nie była głupia i zdawała sobie też sprawę z tego, że środowisko traktuje ją protekcyjnie, a anorektyczne studentki Theodora wręcz są zdania, że należałoby go - Tytana! Geniusza! - uwolnić od tej kompromitującej kobiety. Kiedy więc Artysta zaczął w końcu odnosić sukcesy, Cornelia poważnie się zaniepokoiła. Theodore stał się modny, mnożyły się wystawy, wykłady i wywiady, zaproszenia, wyróżnienia i nagrody. Poddasze bez wygod z ubikacją na półpiętrze zamienione zostało na dom i pracownię z północnym światłem w Kolonii Artystów, wybudowanej dzięki łaskawości ostatniej heskiej księżniczki, Margarety, na skraju darmsztadzkiego Parku Rosenhöhe. Obrazy Theodora chciał teraz mieć każdy i to za każdą cenę, a kiedy pokazano je na Biennale w Wenecji, zawisły też w Muzeum Sztuki Nowoczesnej we Frankfurcie, a nawet w Muzeum Guggenheima w Nowym Jorku. Dni Cornelii były policzone. Nawet gdyby nie traktował jej, jakby cierpiała na jakąś zaraźliwą chorobę i nie spędzał coraz częściej nocy poza domem, na ogół w łóżku noszącej naszyjnik środkowoamerykańskich Indian studentki tak szczupłej, że wręcz przezroczystej, też by się tego domyśliła.

Dlatego nie sprowadziła pogotowia, kiedy Theodore zadławił się ostrygą, tylko zamknęła drzwi pracowni z północnym światłem starannie za sobą i wyszła na długi, odprężający spacer po wiosennym parku. Nie pochwalała ostryg. Spożywanie mięczaków, insektów i robaków zawsze uważała za dowód dekadencji.

Później miało się okazać, że była co prawda fatalną żoną Artysty, ale stała się fenomenalną Wdową po Artyście: odkryła po prostu swoje powołanie.

Nie oznacza to, żeby po śmierci Theodora nagle wyładniała, wprost przeciwnie, niekrepowane jego złośliwością ciało rozrosło się błyskawicznie jak ciasto w dzieży, osiągając rozmiary najpierw imponujące, a potem przerażające. Mogła teraz jeść powoli i ze smakiem; nikt nie wrywał jej z rąk torcików z bitą śmietaną.

na, nikt nie krytykował każdej fałdki tłuszczu na jej udach, pochłaniała więc góry jedzenia, systematycznie, z powagą i głęboką satysfakcją. Już dla samej radości związanej z niczym niezakłóconym przygotowywaniem i spożywaniem posiłków warto było zostać wdową.

Wkrótce musiała zacząć nosić konfekcję szytą na miarę u drobnutkiego tureckiego krawca, którego obfitość jej kształtów napawała bogobożnym podziwem. Nie miała pojęcia, że po każdej jej przymiarce rozmarzony krawiec onanizuje się w wannie i długo jeszcze cieszą go erotyczne sny, których jest główną bohaterką. W miseczce jej stanika okociła się któregoś dnia kotka, znajdując tam wystarczająco dużo miejsca dla siebie i pięciorga kociąt, a jedna jej nocna koszula wystarczyłaby na uszycie żagla dla omegi. Ludzie przyglądali się jej ukradkiem ze zgrozą i zafascynowaniem, ale Cornelia w ogóle tym się nie przejmowała: w swoich własnych oczach była kobietą bujną, ale jak najbardziej atrakcyjną.

Przede wszystkim była teraz kobietą ogólnie pożądaną. Zabiegano o jej względy, zapraszano do udziału w programach telewizyjnych, poważni naukowcy błagali ją o udzielenie wywiadu. Jej książce „Moje życie z Theodorem” sam Reich-Ranicki poświęcił całe dziesięć minut w swoim Kwartecie Literackim. Nazwał ją co prawda grafomańską, ale każda wzmianka w programie Reich-Ranickiego, nawet bezlitosna krytyka, natychmiast podnosiła nakłady.

Cornelia traktowała swoje nowe obowiązki bardzo serio, starając się przekazać światu obraz Theodora równie wzniosły, co daleki od prawdy. Żadnych dziwek, żadnych prochów, żadnych obscenicznych przyzwyczajień. Stworzona przez nią postać całkowicie oddanego swojej sztuce ascety, wiernego męża i wzruszająco dalekiego od spraw tego świata romantyka była tak sympatyczna, że Cornelia z prawdziwą przyjemnością zaczęła odwiedzać go na cmentarzu. Najlepsze anegdoty z życia Artysty wymyśliła, siedząc na ławeczce

przed jego grobem, pojadając ze smakiem wiśnie w czekoladzie i wrzucając zwinęte w kulkę papierki do marmurowej urny.

Dzięki sprzedaży licznych płócien, które pozostawił po sobie Theodore, powodziło jej się wyśmienicie. Stała się kobietą zamożną, miała swojego marszanda, doradcę podatkowego i ortodonte, a nawet, jak mówiła, „sekretarza”, przeraźliwie chudego studenta germanistyki o zniszczonej przez akne skórze, który doradczo pomagał jej w załatwianiu korespondencji i którego utrzymywała w błogim przekonaniu, że zapisze mu dom na Rosenhöhe i kolekcję obrazów Theodora na dodatek.

W sumie status Wdowy po Artyście okazał się stanem ogromnie satysfakcjonującym, przekraczając jej najśmielsze oczekiwania. Spełnienie, którego wiele kobiet szuka w małżeństwie, ale tylko niewiele znajduje, Cornelia znalazła we wdowieństwie i patrząc na jej niepohamowaną radość życia, małżonki innych, żyjących jeszcze artystów, nie mogły pozbyć się uczucia zawiści.

Od wielu lat Cornelia oddawała wiosną i jesienią dom na Rosenhöhe i perskiego kota nazywanego Tycjanem pod opiekę samotnej kuzynki z Waischenfels w Szwajcarii Frankońskiej, dla której spędzane w Kolonii Artystów miesiące należały do najbardziej pasjonujących w jej staropanieńskim życiu, i udawała się na Ischię. Zajmowała zawsze ten sam apartament, noszący nazwę Magnolia, i spędzała w willi don Battisty za każdym razem sześć tygodni, włączając się intensywnie w tok życia jej mieszkańców. Zbierała skrupulatnie fragmenty cudzych egzystencji i kompletowała je tak długo, aż zaczynały układać się w logiczną całość, dzięki czemu goście don Battisty nie przestawali istnieć w momencie, kiedy wsiadali do samolotu na Aeoroporto Capodochino. Pani Corneha także i po ich wyjeździe śledziła czujnie ich dalsze losy, powodowana nie tyle szczerym zainteresowaniem i miłością bliźniego, ile zwykłą wścibską ciekawością. Kiedy po raz pierwszy zamieszkałam w Villi Don

Battista, donna Cornelia należała już do legendy tego domu, odgrywając w niej rolę osoby wyjątkowo ciepłej i wielkodusznej. Było to równie dalekie od prawdy jak mit o szlachetnym sercu don Battisty, synowskiej miłości Fabia i bezinteresownym oddaniu personelu, ale przedsiębiorstwo żyło tymi mitami, bo to one różniły willę od Continentalu i za nie goście byli skłonni dopłacać.

- Agnesina, moja droga, czy dostałaś mój telegram w sprawie królika? - zapytała donna Cornelia, przytulając kucharkę do potężnego biustu i delikatnie poklepując ją po plecach upierścienioną dłonią. - Okropnie się niepokoiłam, czy dojdzie na czas. Napisałam ci, że chciałabym go po myśliwsku, tak, jak tylko ty go potrafisz przyrządzić, z czosnkiem, białym winem i zapiekanką z bakłażanów. Umieram z głodu, nie masz pojęcia, jak okropne jest teraz jedzenie w samolotach. Kraj, którego linie lotnicze podają wióry z zimnego kurczaka, całkowicie sobie zasłużył na utratę przodującej roli w Europie.

- *Si, si, signora*, będzie *coniglio alia cacciatore, parmigiana di melanze*^{*28} i tort migdałowy, wszystko dokładnie tak, jak pani lubi, donna Cornelia - zapewniła Agnesina, wycierając rąbkiem fartucha załzawione ze wzruszenia oczy. - Wca-
le nie musiała pani wysyłać telegramu, przecie pamiętam, co pani sobie życzy pierwszego wieczoru na kolację, jakżebym mogła zapomnieć?

- Wiem, wiem, moja droga, i już się cieszę... Cesarina, ślicznie wyglądasz, moje dziecko, piękniejesz z każdym rokiem, twój Luciano musi być z ciebie dumny jak paw. A kiedyż to ślub? Chyba nie wyszłaś za mąż, nie wspominając mi o tym ani słowem?

- Ależ skąd, donna Cornelia - wyszeptała Cesarina, oblewając się rumieńcem jak pensjonarka - przecież nie pracowałabym u don Battisty, gdybym wyszła za mąż, rodzina ważniejsza!

²⁸ * królik po myśliwsku, zapiekanka z bakłażanów

Jak większość niezamężnych młodych kobiet na południu Włoch, Cesarina mieszkała z rodzicami. Po ślubie zamierzała mieć natychmiast dzieci, możliwie dużo, poświęcić się całkowicie ich wychowaniu i spełnianiu życzeń małżonka. Życie na Ischii cechowała pozazdrosczenia godna przejrzystość.

TLR

- Bardzo słusznie, moja droga, zgadzam się z tobą – przyznała z aprobatą pani Cornelia. - Rodzina najważniejsza. Nie mieliśmy z Theodorem, niestety, dzieci, ale spędziłam z nim najpiękniejsze lata mojego życia i oby ci Pan Bóg dał równie dobrego męża. Halo, Cookie, przyjechałeś znowu z tatą? Jakie to miłe, że mu towarzyszysz! Aaa... profesor Schnuller-Gatzweiler, co za miła niespodzianka! Proszę sobie wyobrazić, parę dni temu mówiliśmy o panu na przyjęciu u prezydenta Uniwersytetu Mogunckiego. Pańska praca o wyliczankach dziecięcych z drugiej połowy XIX wieku wywarła na jego żonie duże wrażenie, na jego nowej żonie, naturalnie. Która to już? Trzecia? Czwarta? Całkiem miła, ale wydała mi się trochę niezrównoważona, zupełnie serio opowiedziała mi, że chodzi do psychoanalityka, bo jej matka miała zwyczaj do niej mówić: „Tak cię kocham, że cię zjem!”. Przez całe życie nie była pewna, czy to tylko żart. Przyglądała mi się tak nieufnie, jakby się zastanawiała, czy też nie połknęłam mojego potomstwa. W każdym razie nie chciałabym być na miejscu jej męża.

Jochen, mój drogi! Jaki to dobry znak, że cię tu spotykam, czyżby na świecie skończyły się już wszystkie wojny i kryzysy? Bardzo mnie to uspokaja. Och, a cóż to? Nowa twarz w naszym gronie? Witam panią, jestem Cornelia Dohmann. Na pewno pani słyszała o Theodorze Dohmannie, tym malarzu: to mój mąż.

Od pierwszej chwili powzięłyśmy do siebie głęboką i serdeczną niechęć. Może nie podobał mi się jej protekcyjny ton, może jej status Wdowy po Artyście, w końcu znacznie łatwiejszy od bycia samym Artystą albo bycia w ogóle kimkolwiek, a może po prostu obfitość jej ciała i złota na tym ciele. Niewykluczone też, że zazdrościłam jej pozycji, jaką zajmowała w Villi Don Battista i w sercu jej właściciela.

- Mój mąż, profesor Dohmann, odkrył ten urokliwy zakątek pod koniec lat pięćdziesiątych, wie pani? O turystyce masowej nikt wtedy jeszcze nie słyszał, ale w Forio... zna pani Forio? Urokliwe miasteczko na zachodnim wybrzeżu,

warto zobaczyć. No więc w Forio spotykali się wtedy przedstawiciele międzynarodowej elity artystycznej, do której profesor Dohmann naturalnie należał. Luchino Visconti, ten reżyser - na pewno słyszała pani o nim, a czy widziała pani „Rocco i jego bracia”? No właśnie, to ten sam - i Vittorio Sassmann bywali u nas regularnie. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu, kiedy premier Eichel otwierał wystawę na Wzgórzu Matyldy - czy zna pani Wzgórze Matyldy w Darmstadt? Bo to koniecznie trzeba znać, kolebka secesji niemieckiej - no więc premier Eichel powiedział do mnie: „Moja droga pani Dohmann, najwyższy czas, żeby w tych murach zaprezentować całokształt dorobku pani męża”, a ja mu na to odpowiedziałam: „Panie premierze, czyta pan w moich myślach! To hańba, żeby wczesne obrazy profesora Dohmanna z okresu ischitańskiego wciąż pozostawały nieznane publiczności”, na co premier Eichel zaraz kazał wezwać dyrektora Instytutu Mathildenhöhe, doktora Wolperta, i oświadczył: „Doktorze Wolpercie, oczekuję, że wkrótce spotkamy się tutaj na ekspozycji całokształtu twórczości Theodora Dohmanna, a nie zapomnij mi o obrazach z Ischii!”.

Ukryte w fałdach tłuszczu oko łypnęło w moim kierunku, sprawdzając efekt tych słów. Spróbowałam przybrać wyraz twarzy osoby olśnionej i zaszczyconej uwagą kogoś, do kogo sam premier Hesji zwraca się per „Moja droga pani Dohmann”, ale niechęć wzięła górę i bąknęłam tylko niemrawo:

-No coś takiego...

- Doktor Wolpert ogromnie się do tego pomysłu zapalił i natychmiast rozpoczął przygotowania do wystawy. Nieomalże spóźniłabym się na samolot, bo nie mogłam się pozbyć ekipy telewizyjnej, która przed moim wyjazdem do Włoch na gwałt chciała przeprowadzić ze mną wywiad. Przez dwa dni przekopywali mi cały dom - dorzuciła pani Dohmann z fałszywą skromnością.

- Aaach? - zdziwiłam się uprzejmie, a ona z powagą pokiwała głową, na ile jej na ten gest pozwalało monstrualne wole.

- Przekopali, mówię pani, dokumentnie przekopali. Przewrócili wszystko do góry nogami. Ale cóż, żadna ofiara nie jest mi zbyt wielka, żeby pamięć o Theodorze i jego twórczości pozostała żywa. Zasłużył sobie na to.

Niezupełnie było tak, jak pani Cornelia mi opowiedziała. Istotnie, w Kolonii Artystów zjawiała się ekipa telewizyjna, przekopany został jednak nie dom, tylko ogródek i nie chodziło o program poświęcony Theodorowi i jego sztuce, tylko o banalną serię rozrywkową „Z ukrytą kamerą”. Całą akcję zaaranżował sąsiad pani Cornelii, Hans-Magnus Stracke, popularny aktor, znany głównie z telewizyjnego tasiemca „Ojciec Feldbusch”, w którym grał dobrodusznego księdza, rozwiązyującego bez trudu najbardziej zawile zagadki kryminalne. W życiu prywatnym Hans-Magnus Stracke daleki był jednak od jakiegokolwiek dobroduszności i od lat procesował się zawzięcie z panią Dohmann o cień rzucany przez jej drzewo orzechowe, żaby kumkające zbyt głośno w oczku wodnym i przedzierające się do jego ogrodu jeżyny. W ostatnim roku do toczących się już spraw doszedł jeszcze proces o lampę nad drzwiami wejściowymi sąsiadki, której światło zakłócało wrażliwemu aktorowi sen, a w konsekwencji uniemożliwiało mu wykonywanie pracy zawodowej. Do tej pory zostały sporządzone dwie ekspertyzy i miały miejsce trzy wizje lokalne, należało się jednak spodziewać następnych, zwłaszcza, że jednemu z sędziów zarzucono stronniczość, bo okazał się somnambulikiem. Biorąc pod uwagę katastrofalne przeciążenie sądów, szanse na rozstrzygnięcie sporu jeszcze w tym tysiącleciu były żadne. Ponieważ pani Cornelia nie wykazywała ani cienia zrozumienia dla delikatnych nerwów Hansa-Magnusa, który od czasu roli w dreszczowcu „W lochach opactwa Lorsch” po prostu nie mógł spać przy zamkniętych okiennicach, i jej lampa jak świeciła, tak świeciła, nie pozostało mu nic innego, jak samemu zająć się wymiarem sprawiedliwości.

Przed domem pani Dohmann pojawiła się najpierw grupa robotników, która sprawnie wycięła duży kwadrat asfaltu, wykopała w jezdni dziurę i ustawiła nad nim namiocik, jak to przy naprawie instalacji wodociągowych czy kanalizacyjnych zwykle bywa. Człapiąca po kuchni i pogryzająca orzeszki w czekoladzie Cornelia przyglądała się im nieufnie, bo podobna ekipa rozgrzebała ulicę w zeszłym tygodniu, a po jej odjeździe woda miała przez dwa dni kolor niemowlęcej kupki.

Początkowo panowie dość niemrawo kręcili się koło swojej dziury, ale nagle wybuchło wśród nich zamieszanie, pokrzykując i gestykulując, zaczęli biegać wokół namiociku jak zaaferowane mrówki; jeden z nich, zapewne majster, wbijał w komórkę numer za numerem, a jeszcze inny rzucił się do samochodu i odjechał w nieznanym kierunku. Cornelia zaniepokoiła się nie na żarty, czy aby nie został uszkodzony gazociąg, a może znaleziono niewypał, toteż przepchnęła swój obfity biust przez kuchenne okno, żeby lepiej widzieć. Pierwsza zauważyła zbliżającego się z dużą szybkością białego jeepa z napisem *Landesmuseum Darmstadt*. Wyskoczył z niego z zaaferowaną miną młody człowiek w okularach na nosie i z laptopem pod pachą, który zwinnie dał nura pod namiocik. Zaintrygowana Cornelia uwolniła się z ram okna, poczłapała do salonu po jedwabny jasieczek, położyła go na parapecie i umieściła na nim swój biust, szykując się na dłuższą obserwację.

Po półgodzinie okularnik wyłonił się z namiociku - miał błędne oczy i chwiał się na nogach, co wskazywałoby na ewentualne zatrucie jakimiś toksycznymi gazami. Skierował się ku drzwiom pani Cornelii, która z nieoczekiwaną przy takiej masie ciała chyżością rzuciła się do przedpokoju i otworzyła mu, zanim zdążył położyć palec na przycisku dzwonka.

- Pani Dohmann? - zapytał młody człowiek z szacunkiem, osuszając chusteczką spocone czoło. - Czyżby żona Theodora Dohmanna? Tego Dohmanna?

- Wdowa - poprawiła go. - Profesor nie żyje.

- Proszę w takim razie przyjąć najszczerze wyrazy współczucia, to wielka strata dla naszego kraju. Pani pozwoli, że się przedstawię: doktor Schiebelhuth, Landesmuseum Darmstadt. - Szczupłe dłonie ujęły delikatnie parówki palców pani Corneli i uściśniły ostrożnie, jakby naukowiec obawiał się, że wypłynie z nich tłuszcz.

- Dziękuję, ale profesor nie żyje już od tak dawna, że wszyscy zdążyliśmy się do tej straty przyzwyczaić. A czegoż to szuka muzeum na naszej ulicy?

- Szuka? Droga pani: my już znaleźliśmy! Nie wyobraża pani sobie, jak bardzo jestem szczęśliwy, to najpiękniejszy, najbardziej podniosły dzień w moim życiu, w życiu każdego niemieckiego naukowca, bo jest to niezwykle, sensacyjne odkrycie, na miarę wykopalisk z Messel... ach, co mówię: na miarę pustyni Gobi!

- Doprawdy? A można wiedzieć, co panowie właściwie znaleźli?

- Pazur, proszę pani.

- Pazur? Jaki pazur?

- A taki! - Rozpromieniony doktor Schiebelhuth rozłożył ramiona gestem dumnego wędkarza, prezentującego rozmiary złowionego szczupaka. - Nie do pomyślenia, co jeszcze znajdziemy!

- Jeszcze?

- No chyba, to przecież dopiero początek, do tego pazura musi być jakiś dalszy ciąg, tutaj, na pani terenie.

Przed domem pani Corneli zatrzymały się z piskiem opon dwa wozy transmisyjne, z których wysypali się panowie z kamerami i mikrofonami, ciągnąc za sobą kłębowisko kabli. Otoczyli namiocik i zaczęli pospiesznie skręcać i rozkręcać tajemniczy sprzęt.

- O, telewizja już jest - ucieszył się doktor Schiebelhuth. - To dobrze, to nawet bardzo dobrze. Przy obecnej sytuacji finansowej naszego muzeum każda reklama jest na wagę złota.

Pani Cornelia podzielała to zdanie, gdyż uwielbiała znajdować się w centrum zainteresowania mediów. W myślach przeprowadziła błyskawiczny przegląd zawartości swojej szafy i zdecydowała się na czarną jedwabną suknię od Christiana Lacroix w żółty kwiatowy wzór i apaszkę od Hermesa, pasującą kolorystycznie do kwitnących przed domem krzewów róż Gloria Dei. Na myśl o różach otrząsnęła się z rozważań odzieżowych i poczuła niepokój.

-Zaraz, zaraz... tego dalszego ciągu pazura to niby gdzie panowie macie zamiar szukać?

- Tu, u pani! - oświadczył z dumą okularnik, patrząc na nią rozradowanym wzrokiem wyżej, któremu udało się zaaportować kość. - Będzie pani -na ustach wszystkich, pani Dohmann, czy to nie cudowne?

- Jak to: u mnie? A stawek, a rybki? Róże, hortensje, rododendrony?

- Pani Dohmann, wszystko to można przecież posadzić na nowo, a taki dinozaur zdarza się raz na sto lat! Gdzie tam sto, w naszych okolicach byłby to w ogóle pierwszy! Będzie pani sławna, niechże pani pomyśli o tych wszystkich wywiadach, reportażach w prasie i w telewizji. To pani obowiązek obywatelski, cały naród patrzy w tej chwili na panią i oczekuje pani decyzji.

„Cały naród oczekuje" brzmiało niezłe. Miło byłoby też choćby raz zawdzięczać zainteresowanie mediów swoim własnym osiągnięciom, a nie obrazom Theodora. Stracke padłby trupem z zazdrości, dupek jeden. Na tę myśl pani Cornelia poczuła w sercu ciepło. Rzuciła okiem na ulicę: ekipa sfilmowała już namiocik oraz drogowców i kamery były teraz wycelowane w jej dom.

- Mój mąż, profesor Dohmann, mówił zawsze, że moralnym obowiązkiem każdego artysty jest postawienie swojej sztuki w służbę ogółu - powiedziała górnolotnie, zezując w stronę szafy i zastanawiając się, czy suknię w żółty wzór trzeba będzie odprasować. Może założyć do niej czarny turbanik z cekinami? Ale czy nie będzie zbyt uroczyście? Z drugiej strony: czy w ogóle istnieją momenty bardziej uroczyście?

Profesor Dohmann miał w rzeczywistości zupełnie inne zdanie o ogóle. „Bydło wyborcze” należało do delikatniejszych epitetów, jakie wygłaszał pod adresem społeczeństwa. Pani Cornelia, pracując ciężko od lat nad swoją autopromocją, stworzyła jednak na użytek mediów obraz Theodora daleki od prawdy, ale świetlany i nadający się dla dzieci i młodzieży. Opracowała też garść zgrabnych i wzniosłych cytatów, zaczynających się od słów: „Jak mawiał mój mąż, profesor Dohmann...”. Czasami myślała, że gdyby Theodore choć po części odpowiadał stworzonej przez nią postaci wielkodusznego artysty, zaangażowanego społecznika, namiętnego pedagoga i oddanego małżonka, w ogóle nie zaistniałaby potrzeba udzielenia mu pomocy przy przenoszeniu się na tamten świat. „No widzisz, sam jesteś sobie winny” - stwierdzała filozoficznie, wypluwając do stojącej na nagrobku Theodora urny pestki z wiśni w czekoladzie. „Nie trzeba ci było wskakiwać do łóżka z każdą anorektyczną dziwką, która ci przeleciała przez drogę. Tyle z tego teraz masz”.

Zaledwie zdążyła wbić się w suknię, ekipa telewizyjna stała już pod gankiem, tratując hortensje. Załogi dwóch samochodów policyjnych, które nie wiadomo skąd się wzięły, rozpiwały sprawnie biało-czerwone taśmy, mające zabezpieczyć miejsce znaleziska przed ciekawością gapiów, zbitych w rozrastający się tłumek. Nad ogródkiem pani Cornelii pracownicy muzeum rozstawiali już wielki namiot, zbliżony rozmiarami do tych, które widuje się na monachijskim Festynie Październikowym. Widniał na nim napis: **Wykopaliska Muzeum Landu Hessen, wstęp wzbroniony!** Z pewnym zaniepokojeniem musiała stwierdzić, że pod namiotem pracuje już pełną parą ekipa budowlańców, a na chodnik zaczęły wyłatywać krzaki róż, ostróżki i bukszpany. Chwyciła się za wzburzoną pierś i jęknęła boleśnie.

Muzealny okularnik pojawił się znowu, tym razem trzymał w ręce różowy nocnik pani Cornelii. Pływały w nim tęczowe shubunkiny, zamieszkujące do tej pory oczko wodne.

- Przepraszam, wziąłem, co było pod ręką - usprawiedliwił się, podając jej naczynie. — Znalazłem w łazience. Chyba wszystkie udało mi się odłowić.

- Dziękuję - wybąkała ogłupiała Cornelia, przytulając nocnik do piersi. Filmowcy przestali już tratować hortensje i zaczęli tratować dywany w salonie, pozostawiając na nich błotniste ślady.

- Góry wykopanej ziemi przed domem rosły w oczach.

- Raz, raz, raz, raz, dwa, trzy... - powtarzał miarowo reporter, postukując w mikrofon i czekając na sygnał kamerzysty. - Wszyscy gotowi? No to zaczynamy, uwaga!

Do pani Cornelii podbiegł wyrostek z kolczykiem w dolnej wardze i włosami ufarbowanymi na kolor morszczyanu.

- Spływaj stąd, babciu - powiedział przyjaźnie, biorąc ją za łokieć. - My tu kręcimy, a ty pałetasz się po planie.

- Nie jestem żadną twoją babcią, gówniarzu - zasyczała pani Cornelia, wyrwijąc łokieć z jego uścisku. - Ja tu mieszkam, na tym twoim planie, i zaraz powiem policji, żeby was wszystkich stąd wykurzyła.

- A, to w takim razie zupełnie co innego - speszył się zakolczykowany. - To ja bardzo przepraszam. Ale ten nocniczek to proszę jednak gdzieś odstawić, bo kolorystycznie do sukieneczki tak jak- by nie pasował.

Pani Cornelia ukryła posłusznie naczynie pod gankiem. Niestety, później zupełnie wyleciało jej to z głowy, natomiast kot Tycjan obdarzył nocnik bacznością i przez cały czas pobytu ekipy telewizyjnej dotrzymywał shubunkinom towarzystwa. Kiedy pani Cornelia sobie o nich przypominała, nie było już o czym mówić.

- Dobry wieczór państwu, witamy państwa dzisiaj z Darmstadt, gdzie znajdujemy się na miejscu sensacyjnego znaleziska w Kolonii Artystów na Rosenhöhe - mówił głośno ustawiony na tle ganku reporter. - Stoimy w tej chwili przed do-

mem... - Wyłączył na chwilę dźwięk i zapytał w kierunku pani Cornellii: - Przed czym domem właściwie stoimy?

- Wdowy po największym powojennym malarzu tego kraju, Theodorze Dohmannie - prychnęła z oburzeniem.

-Ależ tak, oczywiście, bardzo panią przepraszam. Stoimy w tej chwili przed domem pani Dohmann, wdowy po największym powojennym malarzu naszego kraju - powtórzył posłusznie reporter. - To właśnie tu znaleziono dzisiaj w trakcie robót drogowych ponad metrowej długości pazur dinozaura. Który z panów dokonał tego niezwykłego odkrycia?

W gronie robotników odbyła się krótka przepychanka i po-spieszna wymiana zdań: „Karlheinz, idź ty! Kiedy ja wcale nie... No to który? Ivo? Nie, nie Ivo, Erkan znalazł, Erkan! To dawajcie go do przodu! Erkan, nie bój się, idź, będziesz w telewizji!”.

Reporter zaczął się denerwować.

- To pan jest Erkan? Pan to znalazł?

-No.

- Czy od razu zorientował się pan, że jest to odkrycie wielkiej wagi?

-No.

-I jak się pan poczuł w tym momencie? bardzo był pan przejęty?

-No.

- No tak, to ja bardzo panu dziękuję za rozmowę.

- Mogu posalutować?

- Salutować? Ach, rozumiem, pozdrowić... no, niech będzie.

- Uzdrowiam mamusz, tatusz, cała familia, mój kumpel Hansa i mój kumpel Goran, wszystkie kumple z sportzwionzek Blau-Gelb, kumple z bauekip, Karlheinz, Ivo, Stefan i...

- Bardzo dziękujemy i wracamy do sensacyjnego odkrycia. Pierwsze badania, przeprowadzone przez doktora Schiebelhutha z Muzeum Landu Hessen, eksperta w tej dziedzinie, potwierdziły jego prawdziwość. Doktorze, czy może nam pan już teraz powiedzieć, co to właściwie jest?

- Iguanodon, jak sędzę - oświadczył drżącym z przejęcia głosem naukowiec. - Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że znaleziona kość jest kolcem, znajdującym się przy przedniej lewej kończynie. Wczesna kreda, jakieś sto milionów lat temu.

- Sto milionów! Pani Dohmann, co pani na to powie? Proszę powiedzieć naszym widzom, jakie to uczucie, być właścicielką terenu, pod którym pogrzebany jest iguanodon sprzed stu milionów lat? Musi pani chyba być bardzo dumna?

- Nie jestem tego pewna - zaprotestowała pani Cornelia. - Włożyłam w ten ogród masę pracy, a obawiam się, że nie pozostanie w nim kamień na kamieniu. Cały mój staw maże teraz zmieścić się w słoiku.

- Ale co za tryumf dla nauki! - zawołał entuzjastycznie doktor Schiebelhuth. - To miejsce stanie się legendą, będzie słynne na cały świat! O iguanodonie Dohmannów będzie wiedziało każde dziecko!

Iguanodon Dohmannów znany od Los Angeles po Chabarowsk - owszem, to by się pani Cornelii podobało. Bardzo lubiła być na ustach wszystkich.

- No cóż, chylę czoła przed nauką - powiedziała skromnie, patrząc do kamery i zasłaniając dyskretnie dłonią zwały kolejnych podbródków. - Żadna ofiara w jej służbie nie może być zbyt wielka. Mój mąż, profesor Dohmann, miał zwyczaj mówić... - Ale widzom nie dane było dowiedzieć się, co miał zwyczaj mawiać profesor Dohmann, gdyż z ogródka dobiegły entuzjastyczne okrzyki i głośny aplauz. Do salonu wtargnęła grupa pracowników muzeum w brudnych kaloszach i budowlańcy z łopatami, z których sypały się grudki wilgotnej ziemi, wcierane kaloszami naukowców w dywany. Pani Cornelia wstrząsnęła się i chciała zaprotestować, ale nikt na nią nie zważał. Oczy obecnych skierowane były na wy-

brzuszona pod ciężarem ładunku płachtę, w której ze smutkiem rozpoznała resztki swojego pawiloniku ogrodowego.

- Doktorze Schiebelhuth, proszę spojrzeć, co znaleźliśmy! Jak pan sądzi, co to jest? Wygląda na....

Wszystkie kamery wymierzone były w doktora, który upozował się obok płachty z dumnie wypiętą piersią, przyjmując – być może bezwiednie - pozę Tyberiusza, wskazującego z Monte Solaro na Capri. Pani Cornelia poczuła złość, w końcu był to jej salon, jej zniszczony dywan i rozkopany ogródek, a więc i jej iguanodon. W każdym razie bardziej jej niż tego Schiebelhutha. Utorowała sobie energicznie drogę biustem i zajęła pozycję obok naukowca.

- To wciąż jeszcze mój dom, panie Schiebelhuth - zasyczała. Reporter podskakiwał z przejęcia, wymachując mikrofonem.

- Proszę państwa! Niezwykły, wyjątkowy moment! Co za sensacja! Przypominam jeszcze raz: znajdujemy się w Kolonii Artystów na Rosenhohe w Darmstadt....

- W domu pani Dohmann w Kolonii Artystów na Rosenhöhe w Darmstadt - poprawiła go pani Cornelia dobitnie.

- No właśnie tam! A w tej chwili mamy szczęście być świadkami odkrycia o niewyobrażalnym wprost znaczeniu dla nauki, gdyż, o ile się nie mylę, to przed czym stoimy, jest... doktorze Schiebelhuth?

- Jajem - odparł uroczyście naukowiec, smakując to słowo na języku. - Jajem dinozaura. Pierwszym, jakie kiedykolwiek znaleziono na naszej długości geograficznej, doskonale zachowanym, kompletnym i nieuszkodzonym jajem!

Zebrani wydali okrzyk tryumfu, w górę pofrunęły czapki i mikrofony, zupełnie obcy ludzie padali sobie w ramiona, Erkan i zakolczykowany zawirowali nawet w jakimś dzikim tańcu.

- Cisza! - zawołał wesoło reporter. - Panowie, myślę, że powinniśmy przede wszystkim uczcić panią Dohmann, dzięki której to fantastyczne odkrycie stało się w ogóle możliwe. Na cześć pani Dohmann: Hip-hip-hurra! Hip-hip-hurra!

- Hurra, hurra, hurra! - huknęli zebrani, a doktor Schiebelhuth pochylił się nad płachtą, wyjął z niej oblepioną gliną bryłę i ostrożnie złożył ją w ramiona pani Corneli.

- Myślę, że zasłużyła pani sobie na to, żeby trzymać te zamarłe w kamieniu sto milionów lat - powiedział serdecznie.

Pani Cornelia poczuła wzruszenie. Przycisnęła do piersi nieforemny, brudny obiekt, który znajdzie się jutro na łamach wszystkich gazet, epokowe wykopalisko, które przejdzie do historii, a ona razem z nim. Spojrzała z mocą w obiektyw kamery.

- Jestem szczęśliwa, że mogłam przyczynić się do tego niezwykłego odkrycia - oznajmiła z prostotą. - Być może zrewolucjonizuje ono całkowicie naszą wiedzę o przeszłości i zmieni bieg nauki. Jest dla mnie głębokim i wzruszającym przeżyciem, móc trzymać w ramionach to skamieniałe życie i chyłę czoła przed ogromem czasu, który nas dzieli. To bardzo ważny dzień dla mnie, dla nauki, dla naszego kraju. Dziękuję Stwórcy, że pozwolił mi go dożyć.

Była z siebie zadowolona. Widziała w oczach otaczających ją reporterów uznanie i była przekonana, że udało jej się znaleźć odpowiednie słowa, i dotarły one do serc widzów. Jutro powtórzą je wszystkie gazety. Pogratiowała sobie wyboru sukni: w żółtym było jej do twarzy, a czarny wyszczupła. Wypadnie dobrze na zdjęciach. Dobrze, że zrezygnowała w końcu z toczka, mógłby wyglądać pretensjonalnie. Gdyby Theodore mógł ją teraz widzieć, pękałby ze złości, nie znosił, kiedy ktokolwiek poza nim samym, oczywiście, znajdował się w centrum zainteresowania mediów.

No, ale Theodore na szczęście od dawna już nie żył. Miała nadzieję, że jednak może ją widzi i przewraca się w grobie - należało mu się.

Uśmiechnęła się serdecznie do kamer i w tym momencie poczuła z przerażeniem, że bryła, którą tuliła do piersi, drgnęła. Potrzebowała całej swojej siły woli, żeby nie odrzucić jej jak gorący kartofel. Skierowany do kamer uśmiech zamarł na jej ustach i zamienił się w grymas grozy, a wtedy nadszedł ten straszny moment, kiedy jajo pękło na dwoje, wyskoczył z niego jak diabeł z pudełka mały zielony dinozaur i zawołał blaszanym głosem: - Mama? Mama?

Redakcja programu „Z ukrytą kamerą” nie przypominała sobie, żeby jakikolwiek inny odcinek z tej serii zrobił aż taką furorę. Ani przedtem, ani potem. Słuchacze nie posiadali się z zachwytu, urywały się telefony, znany producent zainteresował się kupnem scenariusza, a wszystkie dzieci chciały mieć takiego małego, słodkiego dino. Tylko pani Cornelia, wbita w swoją czarną suknię z żółtym wzorem, ośmieszona na oczach milionów widzów, patrząca w osłupieniu na plastikowego potworka, nazywającego ją mamą, wcale nie widziała w tym nic wesołego. Jej zdaniem wykorzystano podstępnie jej dobroduszość, jej łagodność, jej naiwność i nie zamierzała tego puścić płazem. Przysięgła sobie, że do wie się, komu zawdzięcza ten żart i już się postara, żeby mu przeszła ochota do śmiechu. Theodore też nie brał jej na serio i na pewno później bardzo tego żałował - za późno, niestety.

W ciągu następnych czterdziestu ośmiu godzin najlepsza w okolicach firma ogrodnicza przekształciła na zlecenie telewizji jej ogród, a raczej to, co z niego pozostało, w prawdziwe arcydzieło. Ustawiono czarującą altankę w stylu mauretańskim, posadzono w donicach z tokańskiej ceramiki strzyżone drzewka laurowe, zastąpiono shubunkiny bajecznie kolorowymi karpami japońskimi. Gratulacje sąsiadów pani Cornelia przyjmowała jednak z dużym chłodem, przyglądając się każdemu z nich posepnie i obmyślając odpowiednie retorsje i represalia na wypadek, gdyby to akurat on miał okazać się winnym.

Pobyty na Ischii miał ukończyć jej skołatane nerwy, pozwolić na zebranie myśli i sił, ale podróż była jednym pasmem katastrof i pani Cornelia miała wszelkie powody, żeby odczuwać rozdrażnienie.

Co roku wakacje zaczynały się dla niej w momencie, kiedy zamawiała taksówkę na lotnisko, zawsze tę samą, numer 45, której kierowca, wesóły Giancarlo, pochodził z Portici pod Neapolem i przeżywał jej wyjazdy do Włoch tak żywo, jakby sam wybierał się w podróż do rodzinnych stron.

- Signora zapali w Neapolu przed San Gennaro świeczkę w mojej intencji, dobrze? - prosił za każdym razem i za każdym razem pani Cornelia przyrzekała mu to solennie. W rzeczywistości przeprawa promem do Neapolu sprawiała jej coraz więcej trudności i już dawno zrezygnowała z równie męczących wycieczek, nie chciała jednak rozczarować taksówkarza. W wili don Battisty zawsze znalazł się ktoś, kto wybierał się do Neapolu, żeby uczestniczyć w cudzie San Gennaro, patrona Neapolu, i mógł jej potem złożyć sumienne sprawozdanie z przebiegu uroczystości.

Cud, którego święty męczennik dokonywał dwa razy w roku, w przypadającą na pierwszą sobotę maja rocznicę swoich urodzin i w rocznicę śmierci, w końcu września, polegał na przemianie jego zakrzepłej krwi w płynną. Neapolitańczycy traktowali tę ceremonię ogromnie poważnie, bo wiadomo było, że jeżeli krew nie ulegnie cudownej przemianie, na miasto spadnie jakieś nieszczęście. Giancarlo twierdził, że zdarzyło się to w 1941 roku, po czym nastąpił wybuch Wezuwiusza, w 1980 miało miejsce straszliwe trzęsienie ziemi, a w 1988 FC Napoli przegrało następnego dnia z AC Milano. Chwała Bogu, święty zawodził rzadko, ale w czasie potrząsania relikwiarzem z zawierającą krew ampulką trzeba go było intensywnie dopingować okrzykami i zaklęciami, a kiedy i to nie pomagało, soczystym wymyślaniami.

Odbierający panią Cornelię po powrocie na lotnisku Giancarlo chciał znać dokładnie wszystkie szczegóły tegorocznej uroczystości: Jaką konsystencję miała

zakrzepła krew? Przypominała raczej marmoladę z truskawek, czy też lak do pieczęci? A w jakim momencie stała się płynna? Podczas procesji do kościoła Świętej Klary może? Czy ampułka była wtedy jeszcze w monstrancji, czy kardynał już ją wyjął? Pani Cornelia była jednak dobrze przygotowana i nie dawała się żadnym pytaniem zaskoczyć.

Tym razem samolot pani Cornelii wylądował w Neapolu z sześciogodzinnym opóźnieniem z powodu strajku personelu pokładowego. We Włoszech zawsze był jakiś strajk, jak nie pilotów, to stewardes. Co gorsza, w Pozzuoli nie było już ani jednego wolnego miejsca na kursujących do wysp Zatoki Neapolitańskiej statkach i niefrasobliwi Włosi, śmiejąc się i żartując, rozbijali na nabrzeżu biwak, szykując się na długą noc czekania. Pani Cornelia nie miała najmniejszego zamiaru czekać, była zmęczona, przez cały dzień cieszyła się na królika po myśliwsku Agnesiny i walka klasowa ani trochę jej nie interesowała. Podeszła do kołyszącego się przy brzegu wodolotu, którego załoga podnosiła właśnie pomost, odganiając kłębiący się tłum, odsunęła biustem zagradzających jej drogę marynarzy i wycelowała palec w pierś oszołomionego kapitana.

- Jestem Pani Profesor Dohmann - powiedziała głosem nieznoszącym sprzeciwu. - Jadę na Ischię w ważnej misji dyplomatycznej i nie ruszę się stąd. Możecie mnie wynieść, jeśli chcecie.

Opadła na dwa fotele jednocześnie, włączyła odtwarzacz do kompaktów i założyła na uszy słuchawki, żeby nie słyszeć potoku słów płynących z ust kapitana. Uśmiechnęła się do niego promiennie i pomachała mu ręką. Ach, ci południowcy: spontaniczni, wybuchowi, a w końcu jak dzieci. Potrzebowali tylko trochę ukierunkowania.

Teraz była nareszcie u celu. Spoczywała w obszernym fotelu, przyniesionym specjalnie dla niej z tarasu, przed nakrytym wykrochmalonym białym obrusem stołem, na którym stał wazon świeżo ściętych róż i z zadowoleniem rozglądała

się po sali jadalnej. Rozpromieniony don Battista przysiadł się do niej, co i raz dolewał wina do jej kieliszka i wznosił kwieciste toasty, przykładając rękę do serca. Między toastami pochrząkiwał melodyjnie, czyszcząc głos, gdyż po kolacji miał zamiar odśpiewać na cześć swojej drogiej przyjaciółki kilka jej ulubionych arii. W kuchni zaróżowiona z przejęcia Agnesina uwijała się przy pieczeniu z królika, której aromatyczny zapach zaczął już wypełniać salę. Ze zdenerwowania dała parę razy w ucho Giacomini, piętnastoletniej siostrzenicy Cesariny, dziewczynie kompletnie pozbawionej wdzięku i, jak się szybko okazało, równie niezdarnej, co nieładnej, ale za to ciekawskiej. Zamiast zająć się krojeniem jarzyn zamarła w drzwiach jadalni z nożem w czerwonej, opierzchniętej od częstego zmywania naczyń ręce, wytrzeszczając okrągłe ze zdumienia oczy na wylewające się z fotela pośladki i brzuch obcej Niemki, którą tego wieczoru widziała po raz

pierwszy.

Madre!

Nie przypuszczała nawet, że może istnieć ktoś aż tak gruby i zastanawiała się, jakim cudem udało się signorze wpełznąć się do samolotu, a później do taksówki Francesca.

Gdyby Cesarina była w pobliżu, przywołałaby Giacominę do porządku, ale pobiegnęła do apartamentu Magnolia, żeby go doprowadzić do połysku. Ambicją jej było, żeby pani Cornelia zastała swój apartament w stanie absolutnej perfekcji, rozłożyła więc pospiesznie w szafach bukietki lawendy, rozstawiła wazony z kwiatami, spiętrzyła kunsztownie na tacy piramidkę owoców, sprawdziła, czy w lodówce nie brakuje kostek lodu, a w sekretarzyku papieru listowego. Nie zapomniała także o trzech dodatkowych poduszkach, które pozwalały pani Cornelii spać w pozycji nieomalże siedzącej, jedynej, w której masa jej ciała nie zakłócała oddechu i z której mogła się podnieść bez obcej pomocy.

W jadalni pojawił się tymczasem Fabio, który na chwilę ożył, zwlókł się ze swojego fotela przed telewizorem i przyczłapał do stolika pani Cornelii, podsuwając policzek, żeby mogła go po nim pieszczotliwie poklepać.

- No i co tam u ciebie nowego, mój kochany? - zapytała pani Cornelia troskliwie. - Masz jakąś miłą panienkę, a może nawet narzeczoną?

Fabio westchnął ciężko. Narzeczoną, też coś! Od lat nie tracił nadziei, że któregoś dnia w Villi don Battista zatrzyma się niezwyklej urody dziedziczka wielkiej fortuny, najlepiej pól naftowych albo koncernu farmakologicznego, niedoświadczona, dziewicza i spragniona miłości. Ożeniłby się z nią wcale nie dla pieniędzy - to znaczy nie tylko - ale jej bogactwo pozwoliłoby mu w końcu uwolnić się od tego *di merda*, zasranego, hotelu i od *padre*, którego kochał, rzecz jasna, szczerą miłością synowską, ale znowu nie na tyle, żeby spędzić z nim następnych trzydzieści lat pod tym samym dachem, a na to się zanosilo. *Mamma mia*, dzielili ze sobą ten sam pokój, a nawet łóżko! Nocowali w hotelu na zmianę, w tym samym łóżku i w tych samych betach, bo zdaniem *padre* byłoby rozrzutnością brudzić dwa komplety bielizny, a cóż dopiero zajmować jeszcze jeden pokój, który można było wynająć za godziwe pieniądze.

Jak się lepiej zastanowić, to nawet gdyby dziedziczka wielkiej fortuny istotnie pojawiła się któregoś dnia i padła mu w ramiona, nie miałby nawet łóżka, do którego mógłby ją zaciągnąć.

- Nic się nie martw, mój kochany, już ja się wszystkim tu zajmę - pocieszyła go ciepło pani Cornelia i ponownie poklepała po policzku. Fabio obdarował ją uśmiechem wdzięcznego spaniela i zmył się, bo don Battista wyszedł z kuchni i szykował się do recitalu.

Pani Cornelia odprowadziła Fabia pełnym czułości wzrokiem. Kochany chłopiec! A jaki oddany ojcu! Rzadko widuje się podobne przykłady synowskiej miłości. Biedaczek, przekroczył już trzydziestkę, a wciąż jeszcze nie założył własnej rodziny. No cóż, w tym domu widać było brak kobiecej ręki. Signora Spinelli nie żyła już od dziesięciu lat, powalona ogromem energii don Battisty wycofała się z tego związku w jedyny na Południu możliwy sposób, czyli wyzionęła ducha. Na szczęście była jeszcze ona, Cornelia, zdecydowana nie dopuścić do tego,

żeby kochany chłopiec zmarnował sobie życie. Rozejrzy się za jakąś miłą, łagodną dziewczuszką, która będzie pasowała do willi i jej mieszkańców, a przede wszystkim będzie pasowała jej, Cornelii.

Uśmiechnęła się rozmarzona. Podobała się sobie w roli dobrego ducha tego domu, powierniczki, zastępczej matki Fabia i damy serca don Battisty. Oczywiście, poza platonyczną przyjaźnią nic jej z nim nie łączyło, w końcu była osobistością życia publicznego i musiała dbać o swoje dobre imię.

Jej wzrok zatrzymał się na wiszącym na ścianie nad jej stolikiem dużym zdjęciu, oprawionym w niegustowne, choć kosztowne ramy i skrzywiła się z niezadowolaniem. Widniała na nim wraz z don Battistą, przytulonym do jej piersi i usiłującym objąć bogactwo kształtów przyjaciółki wątlymi ramionkami. Starannie wykaligrafowany kursywą napis informował: *Donna Cornelia e don Battista, un grandę amore*^{*29}. Zdaniem pani Cornelii zdjęcie było wyjątkowo niekorzystne, a napis idiotyczny. Portret był prezentem od apartamentu Aloes, czyli Rosemarie i Charlotty, dwóch nierozłącznych przyjaciółek, spędzających u don Battisty od lat połowę września i połowę maja. Obie panie miały do czynienia z modą - Rosemarie prowadziła w Monachium bardzo elegancki butik, a Charlotta była członkiem zarządu dużej firmy tekstylnej - i pewnie dlatego oszałamiały codziennie inną wykwintną garderobą, szczególnie kapeluszami, prawdziwymi dziełami sztuki z koronki, spiętrzonego finezyjnie tiulu i sztucznych kwiatów. Długo zastanawiałam się, jak transportują samolotem to mnóstwo odzieży i doszłam w końcu do wniosku, że przynajmniej kapelusze muszą wysyłać przed wyjazdem pocztą.

W butiku Rosemarie i Charlotty bywała *tout le monde* monachijska, do stałej klienteli należały Karin Stoiber i Monika Hohlmeier. Rosemarie i Charlotta bardzo szczyliły się swoimi koneksjami, miały zwyczaj w rozmowie rzucać od niechcena znanymi nazwiskami i przepadały za ploteczkami z wielkiego świata,

których znajomość, jak twierdziły, była w ich zawodzie niezbędna. Z panią Cornelią, dzielącą te niewinne słabostki i samą będącą znanym nazwiskiem, łączyła je serdeczna zażyłość. Portret przekazały jej uroczyście natychmiast po przyjeździe i od razu powiesiły go w jadalni na honorowym miejscu, gdzie musiał go zauważyć każdy, kto przekraczał próg.

- Zapewne miały najlepsze zamiary - zwierzyła mi się obdarowana następnego dnia - ale cały ten pomysł uważam za bardzo nietaktowny. Obcy ludzie, którzy nie znają sytuacji, mogliby sobie pomyśleć, że rzeczywiście mam jakąś aferę z don Battistą, co, naturalnie, nie odpowiada prawdzie. Jesteśmy od lat zaprzyjaźnieni, ale wcale to nie oznacza, że wpuszczam go do mojego łóżka. Podróżująca samotnie kobieta musi bardzo uważać na swoją opinię, inaczej nie opędzi się od mężczyzn; szczególnie tutaj, we Włoszech, potrafią być tak okropnie natarczywi!

Spojrzałam na nią z przerażeniem. Musiała już dawno przekroczyć sześćdziesiątkę, miała przynajmniej pięć podbródków, jej potężne pośladki spływały po obu stronach fotela, a monstrualne piersi kołysały się przy każdym słowie, niebezpiecznie rozpychając stanik sukni. Chyba nie mówiła tego serio? Ale jej niebieskie oczy spoglądały na mnie ze szczerym przejęciem spośród tych wszystkich fałd tłuszczu.

- Dlatego tak chętnie tu przyjeżdżam. W innych hotelach samotna kobieta narażona jest z zasady na dokuczliwe molestowanie... nie uważa pani?

- Hm... cóż... nie mogę powiedzieć, mnie jakoś do tej pory nikt nie molestował - wybąkałam. - Może nie jestem w ich typie?

Pani Cornelia poważnie skinęła głową.

- Bardzo możliwe. W każdym razie to zdjęcie jest dwuznaczne i już ja się postaram, żeby zniknęło z jadalni. Moja osoba jest ośrodkiem zainteresowania opinii publicznej i muszę dbać o moje dobre imię. Nie życzę sobie, żeby myśla-

no, że jestem kobietą łatwą i każdy może wskoczyć do mojego łóżka. Już sama myśl o tym jest przerażająca!

Mogłam się z nią tylko zgodzić: sama myśl o nieszczęśniku wskakującym do łóżka tej góry tłuszczu była w istocie przerażająca. Pokiwałam więc głową i powiedziałam z przekonaniem:

- Oj tak!

*

Andrea po raz pierwszy zorientowała się, że z jej rodzicami coś jest nie w porządku, kiedy skończyła dziesięć lat i otrzymała od nich w prezencie mały przenośny telewizor w kolorze *pink rosa*, uważanym przez nią w tym czasie za szczyt elegancji. Zniosła go do swojego pokoju i ustawiła w nogach piętrowego łóżka, którego górny poziom służył jej do spania, a dolny do zabawy i nocowania koleżanek. Usiadła ze skrzyżowanymi nogami na poduszce, nacisnęła przycisk pilota i na ekranie pojawiła się roześmiana rodzina - tata, mama i dwoje dzieci - unoszona po alpejskich serpentynach przez Najbezpieczniejszy i Najwygodniejszy Samochód Roku w kierunku włoskiej Riwieri, gdzie czekały na nich wspólne, szczęśliwe wakacje. Andrea przyglądała się reklamie w skupieniu, ze ściągniętymi brwiami i nie mogła pozbyć się wrażenia, że jest w niej jakiś fałsz.

Nie był on chyba ukryty w tym pięknym i lśniącym samochodzie, bo wielu ludzi miało podobne, w ich własnym garażu stały nawet dwa, czarne bmw ojca i granatowy citroen matki. Młodzi i przystojni rodzice też byli wiarygodni, Andrea była ze swoich zupełnie zadowolona, nie mieli ani brzuchów, ani podwójnych podbródków, ubierali się ze smakiem i pachnieli dobrymi kosmetykami. Anielsko cierpliwe dzieci, promienne, choć zakute na tylnym siedzeniu w foteliki, były co prawda mało prawdopodobne, ale także i one nie stanowiły powodu jej irytacji. Andrea wpatrywała się z napięciem w ekran, aż w końcu zrozumiała. Na

oko telewizyjna rodzina do złudzenia przypominała jej własną, ale istniała jednak zasadnicza różnica: czarne bmw ojca nigdy nie unosiło ich w kierunku Włoch, bo nigdy nie spędzali razem wakacji. Właściwie niczego nie robili razem. Wiele lat później usiłowała przywołać w pamięci stół, przy którym gromadzili się podczas posiłków i widziała przy nim tylko matkę, siostrę i siebie: czy na krześle ojca ktoś siedział, nie mogła sobie przypomnieć. We wszystkich jej wspomnieniach miejsce ojca pozostawało puste. Nie było go przy niej w pierwszy dzień szkoły, był nieobecny przy jej konfirmacji, brakowało go, kiedy obudziła się z narkozy po operacji migdałków i nigdy nie przyjeżdżał latem do Malcesine.

Dom w Malcesine, malowniczym miasteczku położonym na wschodnim brzegu jeziora Garda, należał do dziadków ze strony matki, którzy kupili go w czasach, kiedy ceny nieruchomości we Włoszech były tak niskie, że grzechem byłoby nie skorzystać z okazji. Z tego właśnie powodu powstały wówczas w co ładniejszych okolicach Europy całe enklawy wakacyjnych domków należących do zamożnych Niemców.

Bungalow dziadków był jednym z pięćdziesięciu identycznych jednopiętrowych budynków, otynkowanych na biało i krytych czerwoną dachówką, które składały się na wioskę wakacyjną Gardasole. Otaczał je wypielegnowany park, w którego centrum znajdował się basen, korty tenisowe, boisko do siatkówki, restauracje i sklepy.

Andrea lubiła Gardasole i kamienne uliczki Malcesine, kochała dziadków i co roku cieszyła się na spotkanie z dziećmi zamieszkującymi sąsiednie domki. Miała swoją własną deskę do surfingu, lśniący czarny kombinezon, wieczorami grywała w bilard albo ping-ponga. Podobały jej się koncerty cykad w gajach oliwnych, wycieczki wodolotem po jeziorze i wspinaczki na Monte Baldo. Wszystkie te wakacyjne rozrywki sprawiały jej dużą przyjemność i do tej pory nie czuła zdziwienia, że nigdy nie uczestniczy w nich ojciec - uważała to za normalny stan

rzeczy. Widocznie był zajęty czym innym. Tatusiowie z reklam nie odstępowali jednak swoich rodzin na krok, przepadali za wspólnymi zabawami w Indian i piratów, smarowali na kwitnących łąkach dzieciom bułeczki margaryną, gotowali spaghetti i reperowali rowerki. Ale nie tylko w reklamach ojcowie byli inni. Po głębszym zastanowieniu Andrea musiała stwierdzić, że Gardasole było pełne tatusiów i tylko jej własny ojciec nigdy im nie towarzyszył. Nie wyjeżdżał z nimi na wakacje, w domu też przeważnie go nie było i Andrea nie mogła sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek z nią rozmawiał. Dlatego też była do tej pory przekonana, że do rozmawiania są tylko mamusie: dzieliło się z nimi myśli, tak jak dzieliło się łóżko, kiedy się było chorym albo przerażonym nocnym koszmarem. Mamusie były miękkie, ciepłe i pachnące i dlatego lepiej nadawały się do zajmowania się sprawami dzieci niż mężczyźni, których ciała były twarde, a ręce niezdarne. Ich zadaniem było tajemnicze utrzymywanie domu, na tym się widocznie lepiej znali i w tym celu wychodzili co rano ze skórzanymi aktówkami w rękach. Kiedy Andrea była mała, wyobrażała sobie, że ojciec spędza cały dzień na klęczkach, podpierając ramieniem budynek, w którym mieszkali, a w teczce ma drugie śniadanie i szczotkę do czyszczenia spodni. Później dowiedziała się, że pracuje w dużej firmie farmaceutycznej, w której jest odpowiedzialny za sprzedaż preparatów do terapii przeciwrakowych. Zaszokowało ją, że zajmuje się sprawami tak przykrymi. Podejrzewała, że firma oczekiwała od niego wyszukiwania coraz to nowych chorych i rzucania ich jej na pożarcie, tak jak w bajkach, w których nienasycone smoki żądały coraz to nowych dziewic. Najprawdopodobniej musiał się cieszyć, kiedy nowotworów przybywało, bo poprawiały jego statystyki.

Trudno było się dziwić, że mając zawód równie paskudny, nie miał zamiaru o nim w domu opowiadać i szorstko ucinął każdą próbę rozmowy na ten temat. Od czasu do czasu wygłaszał nieoczekiwane pełne furii monologi o stosunkach panujących w firmie i głupocie dyirekcji, przy czym padały nazwiska zupełnie An-

drei nieznane, bo ojciec kolegów z firmy nigdy nie zapraszał do domu. Matka słuchała z udanym zainteresowaniem i na znak solidarności kiwała głową ze zboląłą miną, utwierdzając Andree w przekonaniu, że ta straszna praca nie sprawia ojcu najmniejszej radości i wykonuje ją wyłącznie dla dobra rodziny. Bardzo to obciążało jej sumienie i ile razy matka kazała jej podziękować ojcu za nowy rower, zimową kurtkę czy parę butów, stawały przed jej oczami ciche szeregi pacjentów, umierających na szpitalnych łózkach, zmuszonych przez niego do kupna produktów jego firmy, żeby zaspokoić jej, Andrei, potrzeby. Przychodzili do niej w snach, gestem Chrystusa odsłaniającego na świętych obrazach swoje gorejące serce wskazywali z wyrzutem na pozbawione włosów głowy i broczące krwią złośliwe nowotwory, a ona czuła się i winna, i niesprawiedliwie oskarżana, bo przecież wcale jej na tej nowej kurtce nie zależało.

Długo nie wiedziała, że ojciec pije. Pił z godnością, język mu się nie plątał i nie mętniały oczy, nie stawał się ani agresywny, ani gadatliwy i nie chował butelek za książkami na regałach. Wychylał w milczeniu jeden kieliszek koniaku za drugim, aż osiągnął ten poziom alkoholu we krwi, który nazywał według siebie tylko znanych kryteriów „swoją miarą”. Wtedy wstawał ciężko z fotela, gwizdał na psa i opuszczał pokój spokojnym, pewnym krokiem.

Być może nigdy by się nie zorientowała, że jest to nałóg, gdyby matka nie zapragnęła podzielić się z córkami swoim rozczarowaniem i samotnością. Pragmatyczna z natury Annika zacisnęła mocno powieki, potrząsnęła głową i powiedziała stanowczo:

- Nie wierzę. Wymyśliłaś to sobie. Czepiasz się tatusia, bo nie masz innego pomysłu na życie.

Siarczasty policzek zamknął jej usta i odrzucił na krzesło, z którego właśnie wstała. Pełna nienawiści wymaszerowała z pokoju, opuszczając w tym momencie poniekąd symbolicznie mury rodzinnego domu i decydując się szukać zrozu-

mienia i oparcia gdzie indziej. Była tylko dwa lata starsza od Andrei, ale miała znacznie mniej złudzeń i więcej odwagi.

Najpierw był to sprowadzony ze schroniska pies, zagłodzony kundel o starych oczach i zaambarasowanym wyrazie pyska.

- Nie będzie ci przeszkadzał, bo nie będzie opuszczał mojego pokoju - wyjaśniła protestującej matce. - Jeżeli go wyrzucisz, wyprowadzę się tego samego dnia z domu.

Andrea podziwiała konsekwencję, z jaką Annika przeprowadzała swoją wolę. Na pozór bez trudności wywalczyła sobie zmianę szkoły, zwolnienie z lekcji tańca, wakacje z koleżanką pod namiotem w Bretanii, a nawet nieobecność na niedzielnej mszy.

Obserwując siostrę z niepozabawionym zawiści podziwem, doszła w końcu do wniosku, że tajemnicą jej sukcesu jest kompletna obojętność, z jaką przyjmowała groźby i lamenty matki. Ojciec w domowych utarczkach z zasady nie uczestniczył; kiedy wymagano od niego zajęcia pozycji, wodził spłoszonym wzrokiem po twarzach córek i żony i opuszczał pokój.

Z Andream Annika nie dzieliła się ani swoimi myślami, ani planami. Dzielące je dwa lata wydawały się przeszkodą nie do pokonania. Pograżona w rozmowie z przyjaciółkami, na widok zbliżającej się siostry milkła i czekała, aż ta się znowu oddali. Zdaniem Andrei należną jej porcję uwagi i czułości otrzymywał pies, ona sama była zaledwie tolerowana.

- A co niby mam z tobą robić? - parskała Annika ze złością, kiedy Andrea domagała się zainteresowania swoją osobą. - Niańczyć? Pieluchy zmieniać? Nie wiem, czego się mnie czepiasz.

„Nie wiem, czego się mnie czepiasz” określało przez wiele lat istotę ich wzajemnych stosunków.

Nie zwracając uwagi na młodszą siostrę, Annika konsekwentnie budowała swoją rodzinę zastępczą. Do psa dołączył wysoki, przeraźliwie chudy Daniel w

okularach. Straciła z nim dziewictwo w przeddzień swoich piętnastych urodzin równie pragmatycznie, jak podejmowała wszystkie inne decyzje, z przekonaniem, że jest to inwestycja w przyszłość. Wyprowadziła się z domu jeszcze przed maturą, wyszła za mąż, jak tylko ukończyła osiemnaście lat i rok później urodziła córeczkę. Od chwili ślubu stała się w domu rzadkim gościem i w trakcie nielicznych wizyt przyglądała się rodzicom ze spokojnym zainteresowaniem badacza, obserwującego rzadko spotykane okazy owadów.

- Przykro mi, ale co mam twoim zdaniem zrobić? – mówiła uprzejmie, unikając wzroku Andrei. - Mam swój własny dom i muszę się o niego troszczyć.

Andrea nie mogła pozbyć się wrażenia, że siostra postarała się o męża i dziecko tylko po to, żeby wynieść się jak najszybciej, pozostawiając ją samą na pastwę rodziców, samotnych, nieszczęśliwych i skłóconych. Z przerażeniem myślała o odpowiedzialności, jaką od tej pory będzie musiała dźwigać sama i ręce jej opadały. Na litość boską, to ona miała prawo oczekiwać od nich pomocy i oparcia, dlaczego akurat u niej musi być wszystko odwrotnie?

O alkoholizmie wiedziała wszystko. Przeczytała każdą wydaną książkę na ten temat, znała adresy poradni przeciwalkoholowych, Klubów Anonimowych Alkoholików, psychoterapeutów, hipnotyzerów i uzdrowiaczy. Potrafiła fachowo opisać symptomy, rozróżniać stadia choroby, określić rokowania. Dla niej było oczywiste, że problem można rozwiązać, o ile tylko uzna się go za problem, ale właśnie ku temu ojciec nie wykazywał najmniejszej ochoty, reagując dokładnie tak, jak przytaczał poradnik dla rodzin osób uzależnionych. Nie mając odwagi zwrócić się do niego bezpośrednio - w końcu nigdy nie rozmawiali ze sobą nawet na tematy zupełnie niewinne - pisała do niego listy, w których zaklinała go, żeby zechciał skorzystać z pomocy, jaką oferowały kliniki, psychoterapeuci i ona sama. Zostawiała je w dobrze widocznych miejscach, na blacie jego biurka, poduszce łóżka albo aktówce, ale nigdy się nie zdarzyło, żeby wspomniał je chociaż słowem. Nie mogła być nawet pewna, że je czytał.

- Czy nie wydaje ci się, że pijesz za dużo? — zapytała któregoś dnia z desperacją, ale rzucił jej spojrzenie pełne wściekłości i warknął:

- Pilnuj swojego nosa, dobrze?

Lekarz w klinice odwykowej nalegał, żeby porozumiała się z firmą, w której ojciec pracował. W końcu nie było wykluczone, że popełni kiedyś jakiś błąd i spowoduje wypadek, jej obowiązkiem było więc poinformować o jego nałogu pracodawcę, który mógł wyrzucić na ojca zbawienny w skutkach nacisk i zmusić go do podjęcia leczenia. Albo wylać - myślała ponuro Andrea, nie bardzo wiedząc, jakie to szkody mógłby spowodować wśród dogorywających tak czy inaczej na oddziałach onkologicznych chorych. Postanowiła poradzić się więc matki i przeraziła ją gwałtowność jej reakcji.

- Czyś ty zupełnie oszalała? Wyrzucą go z pracy, a my z czego będziemy żyły? Ani mi się waź!

- Ale jeżeli ktoś z jego winy umrze?

- To najpierw poczekaj, aż umrze! Na razie to ja przez ciebie umrę.

Na to rzeczywiście wyglądało. Matka, zupełnie jakby któregoś dnia podjęła decyzję, że resztę życia poświęci chorowaniu, prawie nie wstawała z łóżka. Wybrała chorobę tak, jak inni decydują się na podjęcie pracy zawodowej albo studiów i znosiła swoje rozliczne przypadłości z uległą rezygnacją. Cierpliwie poddawała się bolesnym zabiegom i ryzykownym operacjom, bez słowa skargi godziła się na nowe badania, terapie i rehabilitacje. Dzieciństwo Andrei upływało u łóżka cierpiącej matki, w poczekalniach modnych specjalistów i na szpitalnych korytarzach. Annika szukała pociechy w psie i w Danielu, ojciec w butelce koniaku, a ona zazdrościła obojgu, bo to nie im, tylko jej matka pokazywała ohydnie różowe blizny pooperacyjne, groźne wyrzuszenia guzów i niepokojące wyniki analiz. Każdy jej dzień przepelniony był strachem, że matka lada chwila może umrzeć, ojciec stoczyć się w otchłań nałogu, a ona, Andrea, nie zdoła uczynić nic, żeby temu zapobiec. Rodzinny dom wydawał jej się więzieniem, z którego

nigdy nie będzie mogła się wydostać i czuła się w nim rozpaczliwie samotna. Była jednak za młoda na to, żeby tyle samotności udźwignąć i z czasem zaczęła go zaludniać wymyślonymi postaciami, które dodawały jej otuchy w chwilach zwątpienia. Stworzyła sobie to, co nazywała rzeczywistością równoległą, w której też miała rodzinę, składającą się z ojca, brata i siostry, ale jakże inną od tej prawdziwej! Z wymyślonym ojcem, który kazał nazywać siebie Filipem, co wówczas wydawało jej się szczytem ekstrawagancji, mogła prowadzić na każdy temat niekończące się rozmowy. Każdego wieczora przychodził do jej pokoju, siadał na brzegu łóżka, ujmował jej rękę w swoje dłonie i uważnie słuchał jej słów. Czasami wtrącał pytanie albo dawał jej jakąś radę, ale najczęściej uśmiechał się tylko, a w kącikach jego oczu tworzyły się przemiłe zmarszczki, które się jej ogromnie podobały, bo świadczyły o pogodnym usposobieniu. Była z niego bardzo dumna, nie tylko dlatego, że z wyglądu do złudzenia przypominał Roberta Redforda. Miał też fascynujący zawód, był pilotem Lufthansy, ludzie powierzali mu swoje życie, codziennie ponosił odpowiedzialność za załogę i pasażerów. Czuła wielką ulgę na myśl, że jej ojciec jest wspaniałym człowiekiem, na którego w każdej chwili może liczyć. W tej równoległej rzeczywistości matki prawie nie pamiętała, zmarła przed laty przy porodzie małej Judith. Starła się ją siostrze zastąpić, za co Filip był jej szczerze wdzięczny, a Judith odplacała bałwochwalczą miłością, ale czasami ciążyła jej odpowiedzialność za tak małe dziecko. Na szczęście pomagał jej Tim, sześć lat od Andrei starszy, którego uważała bardziej za przyjaciela niż brata. Chodził z nią do dyskotek, zabierał do klubów studenckich, uczył chwytów aikido i woził motorem na przejażdżki - wszystkie dziewczyny jej go zazdrościły.

Pojawili się któregoś dnia w jej życiu i już w nim pozostali. Widywała ich w salonie, zagłębionych w fotelach, z głowami pochylonymi nad lekturą albo szachownicą, w ogrodzie, przechadzających się po wysypanych żwirem ścieżkach, na stopniach ganku, pograżonych w cichej rozmowie. Słyszała nadjeżdżającą

hondę ojca, trzaskanie drzwiczek, kiedy z niej wysiadał, jego pogwizdywanie i skrzypiący pod butami żwirek podjazdu. Nie uchodził jej uwagi umykający za drzwi cień małej Judith, kręcąc głową podnosiła z podłogi zapomnianą przez nią lalkę i zbierała porozrzucone klocki. Czasami spotykała ich także i poza domem, ich sylwetki migały jej w tłumie, ich twarze majaczyły za firankami obcych mieszkań, machali do niej z przejeżdżającego tramwaju. Z czułością myślała, że czuwają nad nią i śledzą jej kroki: cieszyło ją to i dawało jej poczucie bezpieczeństwa. Nie wiedziała, czy przetrwaliby konfrontację z inną rzeczywistością - dlatego nie opowiadała o ich istnieniu nikomu. Niekiedy odnosiła jednak wrażenie, że wymykają się jej kontroli i budziło to jej niepokój.

- Po prostu nie wchodź do pokoju, mój skarbie, kiedy nie jestem sama - powiedziała do Judith, upinając ze zmarszczonymi brwiami jej włosy w staroświecki warkocz. Judith uwielbiała ubierać się jak bohaterki powieści Frances Hodgson Burnett, najchętniej nosiła sukienki z dużymi, haftowanymi kołnierza- mi, sznurowane trzewiczki i słomkowe kapelusze przewiązane szarfą. Wyglądała w tym wszystkim czarująco, ale już sam jej widok wzbudziłby co najmniej zaskoczenie.

- Dlaczego? Bardzo lubię, jak mamy gości. Ta pani w fotelu na kółkach wydaje mi się bardzo sympatyczna, tylko taka wciąż smutna... Czy jest chora?

- Tak, niestety. Dlatego potrzebuje dużo spokoju, nie wolno jej przeszkadzać. Nie kręć się więc na dole.

Matka Andrei już od roku nie chodziła. Lekarze wrzuszali ramionami, nie znajdując żadnych przyczyn organicznych, ale chora twierdziła, że każdy ruch sprawia jej nieznośny ból i całe dni spędzała w łóżku albo w wózku inwalidzkim. Oglądała w telewizji seriale, pogryzając fistaszki, i cierpliwie czekała, aż Andrea do niej wpadnie i przyniesie nowiny ze świata zdrowych. Andrea wiedziała, jak ważne były dla matki te codzienne odwiedziny, jedyne chwile, rozpraszające jej samotność, i nienawidziła siebie za to, że przemykała się na palcach

koło drzwi jej pokoju, odwlekając moment, w którym będzie musiała znowu zanurzyć się w atmosferę choroby i beznadziejności.

- Mogłabym ją rozweselić - zaproponowała Judith. – Potrafię śpiewać i opowiadać zabawne historie. Ciebie zawsze doprowadzam do śmiechu.

- Mowy nie ma - ucięła krótko Andrea. - Twoje miejsce jest tutaj, na górze, przynajmniej jak długo ja tu decyduję. A teraz przestań się dąsać, daj buzi i idź odrabiać lekcje. Za godzinę przyjdę i przepytam cię z francuskich słówek.

Franka Jacobi wzięła w pierwszej chwili za jedną z wymyślonych przez siebie postaci. „Ja go chyba już gdzieś widziałam” - powiedziała do przyjaciółki, która w półmroku piwnicy popychała ją w jego kierunku. Rodzice przyjaciółki kupili niedawno dom, wybudowany w latach sześćdziesiątych, w których prowadzono widocznie ożywione życie towarzyskie, bo do dobrego tonu należało posiadanie odrębnego pomieszczenia służącego wyłącznie do przyjmowania gości. Gości tych nie wpuszczało się jednakże na salony, tylko trzymało w specjalnej piwnicy, nazywanej *Partykeller*, najprawdopodobniej z obawy, że w salonie mogliby nabrudzić.

Ściany piwnicy w domu Sylwii pomalowane były na kolor byczej krwi („Jak w burdelu” - stwierdził z szacunkiem Henning, który chodził z Andrea do tej samej klasy i nie tracił nadziei, że z tego chodzenia któregoś dnia będzie coś więcej), wzdłuż nich rozstawione były zalatujące stęchlizną kostki ze spienionego polichlorku winylu, obciążone praktycznym tworzywem skóropodobnym, na których można było przysiąść albo odstawić kieliszek z winem. Robiły to już całe pokolenia gości, toteż siedziska były mocno oklapnięte i upstrzone plamami oraz dziurami po papierosach. Największe wrażenie wywarł jednak na Andrei prawdziwy bar z kontuarem, lodówką, zlewozmywakiem i baterią butelek, który ciągnął się przez całą szerokość piwnicy.

- Jasne, że go znasz: z telewizji - powiedziała z dumą przyjaciółka. - Nazywa się Frank Jacobi i jest korespondentem ARD, przedtem był w CNN. Dziewczyna, która go przyprowadziła, wypila za dużo drinków i musiałam ją odesłać taksówką do domu. Obrzygała mi pół łazienki, zanim straciła przytomność. Błagam cię, zajmij się nim, jesteś taka czytana! Pewnie zadaje sobie cały czas pytanie, co tu robi wśród tych wszystkich gówniarzy.

Andrea posłusznie podeszła do szczupłego mężczyzny, który miał takie same wesołe zmarszczki w kącikach oczu i siwiejące skronie jak Filip i wyglądał jak dzielny rybak z okładki powieści dla dorastających chłopców. Stał oparty o kon-tuar, z którego obłaziły płyty dębowego forniru i wpatrywał się zafascynowany w wiszący nad barem emaliowany szyld, przedstawiający cztery perszerony ciągnące wóz z beczkami piwa. Ściana za nim była wyklejona tapetą udającą cegły.

- Nieprawdopodobny mebel i wyjątkowo szkaradny, prawda? Powinien stać w muzeum — zagadnęła odważnie Andrea, która w rzeczywistości była ogromnie nieśmiała i rozmawiała głównie z postaciami zaludniającymi jej fantazję. - Poza rodzicami Sylwii nie znam nikogo, kto miałby bar w piwnicy i przyjmował tam gości.

Nieznajomy spojrzał na nią zaskoczony i parsknął śmiechem.

- Ojej, a to mi pani komplement zrobiła! Oczy jak studnie, usta jak pączek róży, a słowa, które z tych niewinnych warg spływają - mordercze. Musiałaby pani i mnie w tym muzeum postawić, bo w takich piwnicach i przy takich barach spędziłem młodość, a poza tym, proszę to sobie tylko wyobrazić, miałem stolik w kształcie nerki i adapter z igłą.

- Przepraszam, ale w ogóle nie widać po panu, że jest pan aż tak stary - jęknęła speszona Andrea, wywołując tą uwagą kolejny wybuch niepoohamowanej radości Franka Jacobi. Podniósł jej dłoń do ust i ucałował.

- Poczciwa, kochana dziewczyna! Podtrzymała mnie pani na duchu, serdecznie dziękuję. Właśnie dlatego cenię sobie takie *Partykeller*: w półmroku nie wiadać, że stoję nad grobem.

Zakochała się we Franku bez namysłu, z bezgranicznym oddaniem i ufnością, jak można się zakochać tylko w wieku osiemnastu lat. Jeżeli wyszła za niego, żeby uciec z domu, zamieszkanego przez mniej czy bardziej realne upiory, to nie zdawała sobie z tego sprawy. Przede wszystkim odczuła bezbrzeżną ulgę na myśl, że nareszcie ktoś chce przejąć odpowiedzialność za jej życie, czego konsekwentnie odmawiali rodzice. Wcale jej nie przeszkadzało, że Frank mógłby być jej ojcem, wprost przeciwnie: od lat szukała kogoś, kto by zechciał nim być.

- Zupełnie zwariowałaś - lamentowała matka. - Czy zdajesz sobie sprawę, że on jest starszy ode mnie? Za dwadzieścia lat będziesz wciąż jeszcze młodą kobietą, on przekroczy siedemdziesiątkę i będzie starym dziadem.

Starym dziadem? Frank? Nigdy! Andrea nie miała nawet zamiaru podejmować dyskusji z matką. Jej Frank nie mógł być starszy od tej bezwładnej kupki kości w inwalidzkim wózku, wypatroszonej z połowy organów i od lat zamkniętej w czterech ścianach zamienionej w szpital sypialni. Podróżował po całym świecie, przeżywał niebezpieczne przygody, żeglował, grał w squasha, jeździł na nartach i miał kondycję lepszą niż niejeden dwudziestolatek. Na myśl o jego gładkim, umięśnionym torsie uginały się pod nią kolana, jak tylko wciągała w nozdrza zapach jego skóry, kręciło jej się w głowie i przestawała logicznie rozmawiać. Żaden rówieśnik nie wzbudził w niej do tej pory takich doznań, nie miała nawet pojęcia, że istnieją. Było jej wszystko jedno, co będzie za dwadzieścia lat, tak zawrotnego przedziału czasu nawet nie umiała sobie wyobrazić. Nie wierzyła w starość Franka, wydawała jej się ona równie nieprawdopodobna jak jej własna starość, jeżeli jednak miałyby kiedykolwiek nadejść, to perspektywa wspierania słabnącego kochanka też była pełna słodczy, jak i wszystko inne, co

było z nim związane. Owszem, będzie mu parzyć ziółka, czytać na głos gazety i rozcierać marznące palce, jeżeli okaże się to potrzebne - kiedyś tam. Teraz był zabójczo atrakcyjnym mężczyzną, którego jej wszystkie przyjaciółki zazdrościły.

- A zresztą to niemożliwe. Nie zamierzasz chyba zostawić mnie tu samej z ojcem? - dorzuciła nagle matka z lękiem. – Wiesz przecież, że jestem chora. A może zamieszkalibyście tutaj?

Andrea westchnęła i wbiła oczy w sufit. Miłość uczyniła ją okrutną. Frank miał piękne mieszkanie, zajmujące całe piętro w stylowej dziewiętnastowiecznej willi. Po obu stronach wejścia stały obnażone do pasa kariatydy z marmuru, położone w amfiladzie pokoje łączyły dwuskrzydłowe drzwi, przeszklone szkłem witrażowym, deseczki parkietów ułożone były w misterne wzory.

Andrea nie mogła się doczekać, kiedy się tam w końcu wprowadzi i uwolni od atmosfery choroby, bezradności i rezygnacji, która od lat nie pozwalała jej swobodnie oddychać.

- Chcę mieć swoje życie, mamo. Ty też je miałaś.

- Ja nigdy nie żyłam naprawdę - wyszeptała matka z żalem. Andrea poczuła pod powiekami piekącą wilgoć, ale zacisnęła je szczelnie i odparła:

- Tym bardziej powinnaś mi pozwolić chociażby tego spróbować.

Najciężej przyszło jej rozstanie z małą Judith. W przeddzień swojego ślubu przykucnęła przy niej, objęła mocno ramionami i przytuliła do piersi.

- Musisz mnie zrozumieć, moja myszko. Jestem dorosła, wychodzę za mąż, będę miała swój własny dom, a może nawet i dzieci. Nie mogę cię zabrać ze sobą.

- Nie będzie wolno mi ciebie odwiedzać? Ale dlaczego?

Na widok łez na rzęsach Judith serce Andrei skurczyło się boleśnie z żalu i współczucia.

- Nie, kochanie. Muszę... muszę zapomnieć o wszystkim i zacząć od początku.

- Zapomnieć? Nawet o mnie?

Andrea pełna udręki przytuliła policzek do delikatnej jak dojrzała brzoskwinia buzi dziecka. Dziecka, które towarzyszyło jej od tylu lat i nie stało się ani o dzień starsze. Na zdrowy rozum Judith powinna znajdować się w samym środku okresu dojrzewania i być pryszczatym nastolatkiem, ale jej skóry nie szpeciła ani jedna krostka i wciąż wyglądała na osiem, dziewięć lat. Andrea wzdrygnęła się i odsunęła od małej. Zaczynała z Frankiem nowe życie i nie chciała zabierać ze sobą niczego, co należało do jej pozbawionej radości przeszłości. Nawet Judith.

- Jestem zupełnie pewna, że tak będzie lepiej dla nas obu.

Andrea opowiedziała mi to wszystko ze spokojną otwartością, siedząc wśród kwitnących oleandrów na hotelowym tarasie, z twarzą zwróconą ku szarzejącemu w mroku Castello. Do portu zbliżał się, tęsknie bucząc, ostatni prom z Neapolu, wielkie szyby znajdującej się za naszymi plecami jadalni przeszedł ciężki dreszcz i po chwili szczęknęły łańcuchy spuszczonej kotwicy.

- Opowiedziałam ci o tym, bo odnoszę wrażenie, że masz jakieś wyidealizowane wyobrażenie o rodzinie, które jest bardzo dalekie od rzeczywistości. Rodzina nie zawsze jest dobrem sama w sobie, może być źródłem siły, ale też i udręki. Moja w każdym razie nie była dla mnie oparciem.

- Ale mogło być inaczej! Kiedy przeglądam zdjęcia kobiet, które były przedemną - moich babek, prababek i ciotek - zazdroszczę im: one wszystkie były trwale wplecione w sieć rodzinnych związków, żyły otoczone bliskimi, towarzyszyły im całe zastępy przodków zamieszkujących wspólną przeszłość. Nic dziwnego, że miały w sobie tyle siły i znosiły dzielnie najstraszniejsze kataklizmy. Nigdy nie były same.

- Ach, nie wiem. Towarzystwo zmarłych prababek z pożółkłych zdjęć może stać się dla ciebie równie niebezpieczne, jak stała się dla mnie obecność Judith. Jeżeli znajduje się oparcie we własnej wyobraźni, przestaje się go szukać w realnym świecie. Być może całe twoje życie ułożyłoby się inaczej, gdybyś nie oczekiwała, że uda ci się kiedyś powrócić do świata twojego polskiego dzieciństwa. Ten świat przestał jednak istnieć, a w tym, który go zastąpił, nie ma dla ciebie miejsca. Nie możesz mieć o to żalu do tych, którzy tę nową rzeczywistość zamieszkują. Iluzje zawsze są piękniejsze od prawdziwego życia i właśnie dlatego wydają się tak kuszące. Trzeba żyć tu i teraz.

Spojrzałam na Castello, którego niewzruszona sylweta z koronką murów obronnych i kopułą Chiesa dell'Immacolata wciąż jeszcze rysowała się wyraźnie na tle ciemniejącego nieba. Na północnej stronie zapalało się i gasło miarowo światło latarni morskiej, ostrzegające przed skałami rybaków, których głosy niosły się nocą po nieruchomej tafli morza i dobiegały aż tutaj.

- Tu i teraz! Gdybyż to rzeczywiście można było żyć tu i teraz! Z widokiem na Castello, w tym łagodnym klimacie, oddychając powietrzem pachnącym dzikim rozmarynem i melisą. O niczym innym nie marzę. Nie opłakiwałabym straty Łosinka, gdyby wolno mi było spędzić resztę życia na tej wyspie, gdzie czas płynie powoli i spokojnie, a porządek rzeczy jest niewzruszony jak mury Castello.

- O ile u stóp Wezuwiusza można mówić o spokojnym upływie czasu - zauważyła uprzejmie Andrea. - Określenie „niewzruszony” też nie jest trafne w odniesieniu do miejsca, w którym się ziemia trzęsie. Sto lat temu osunęła się w Casamiccioli pod ziemię cała dzielnica, łącznie z bogatymi Anglikami, czytającymi „Timesa” w hotelowych fotelach.

- Ziemia może i niespokojna, ale tym mocniejsi jej mieszkańcy. Popatrz tylko na don Battistę, ile w nim radości życia! Króluje na tej swojej górze, mimo wieku pracuje jak mrówka, ma przed nosem jeden z najpiękniejszych widoków na świecie i jest zdecydowany żyć wiecznie. Naszych starców zamykamy w drogich

rezydencjach seniorów, gdzie widocznie nie mają niczego do śmiechu, bo nie słychać, żeby się śmiali albo śpiewali. Chciałabym resztę życia spędzić u boku don Battisty, żeby się dowiedzieć, na czym polega tajemnica jego niezwyklej witalności.

- Przede wszystkim na tym, że nigdy nie opuszcza swojej góry - odparła trzeźwo Andrea. - Jak długo na niej siedzi, jest kimś, don Battistą, poważanym przez wszystkich *padrone*, prowadzi pewną ręką ten hotel przez wiry sezonu turystycznego jak Noe swoją arkę przez odmęty potopu. Gdzie indziej byłby tylko śmiesznym małym staruszkim - i właśnie dlatego nigdy nie bywa gdzie indziej.

W tym momencie don Battista, który miał siódmy zmysł i wyczuwał węchem, kiedy o nim mówiono, wyłonił się z głębi basenu, napełnionego zazwyczaj wodą z termicznego źródła. Pod powierzchnią wyspy wciąż jeszcze gotowała się magma, na brzegu morza parzył stopy gorący piasek, ze skalnych szczelin wydobywała się z sykiem para, a każdy szanujący się hotel miał swoje własne ujęcie wody o wyjątkowych ponoć walorach leczniczych. Także i źródło don Battisty odmładzało i leczyło wszystko, czego nie leczyły zinstytucjonalizowane służby zdrowia.

- *Ciao, signore!* - zawołał wesoło, salutując szczotką na długim kijku. - *Pool* pięknie wyszorować, panie móc wziąć przed kolacją *una bagna meravigliosa*. *³⁰

- Za dużo pan pracuje, don Battista - skarciła go ciepło Andrea. - Fabio jest młody i silny, powinien pan jemu kazać czyścić basen.

Don Battista skrzywił się, jakby go nagle zęby rozbolewały.

- *Beh, signora*, mężczyzna młodszy nie znaczyć jeszcze, że lepszy! Prawdziwy mężczyzna to mężczyzna doświadczony. Tuja być *padrone* i ja decydować, co ma być zrobione i kto to robić. Fabio zajmować się komputer, to bardzo ważne zajęcie i jemu wystarczyć. Przez to ślęczenie w internecie strasznie mu

³⁰ * cudowną kąpiel

tutti muscoli^{*31} sflaczeć, do prawdziwej pracy już się nie nadawać. Za delikatny. Młody, tak, ale żeby silny...?

Przy tych słowach don Battista zadrobił nogami jak niecierpliwy żreback, wypiął wątlą pierś i od niechcienia podniósł donicę z drzewkiem laurowym. Wydałyśmy pełne szacunku pomruki podziwu.

Nawet Ischia wkroczyła w epokę elektroniczną i Villa Don Battista miała od niedawna dzięki inicjatywie Fabia własną stronę internetową. Poza tym Fabio potrafił sporządzać kolorowe wykresy rezerwacji pokoi i rachunki z piktogramami kwiatków, symbolizujących poszczególne apartamenty. Na podstawie tych umiejętności kazał się tytułować dyrektorem marketingowym i otrzymywał korespondencję adresowaną do *direttore dottore Fabio Spinelli*, co mnie początkowo wprawiło w zdumienie, bo wtedy jeszcze nie wiedziałam, że we Włoszech każdy, kto potrafi czytać i pisać, jest doktorem albo dyrektorem.

Ojca Fabio utrzymywał w przekonaniu, że obsługa komputera jest sztuką niezwykle trudną i nie pozwalał mu się do niego zbliżyć. Świadomość, że ma kontrolę nad niedostępnym dla don Battisty terenem, działała na niego kojąco i bezwstydnie korzystał z tej przewagi, radykalnie odcinając starego od wszelkich informacji przesyłanych pocztą elektroniczną. Don Battista cierpiał straszliwe męki, ale nie miał innego wyjścia: musiał zaakceptować postęp techniczny w przedsiębiorstwie i pogodzić się z ograniczeniem swojej władzy absolutnej.

- Ależ doskonale wiemy, don Battista, że to pan jest dobrym duchem tego domu i bardzo pana podziwiamy - próbowała naprawić swój błąd Andrea, podlizując się, moim zdaniem, w sposób nieprzyzwoity.

- Dobrym duchem i sercem tego domu - poprawił ją don Battista skromnie. - Ojcem personelu i przyjacielem moich gości.

- Ojcem i matką, jasne - zgodziła się Andrea ochoczo. - Za co wszyscy pana szanujemy i cenimy.

³¹ * wszystkie muskuły

- To znaczy, mąż zrobić w końcu ten film o mnie? - ucieszył się don Battista.
- Mieć parę świetnych pomysłów, signora zobaczyć, to będzie ogromny sukces! Takie ujęcie na przykład: kamera pokazywać zbliżenie Castello, ja stać nad urwiskiem przed Chiesadeli' Immacolata, wiatr rozwiewać moje długie szaty, pod nogami mieć przepaść, nad głową mewy krążyć, a ja śpiewać *Nessun dormo..* *³²
W oknie zamku ukazać się Vittoria Colonna w ślubna suknia, myśleć, że to jej ukochany Ferrante - to *molto importante**³³, *signora* Andrea, żeby widzom opowiedzieć piękną historię miłości Vittorii i Ferrante, ludzie lubią słuchać o miłości
- olśniony jej urodą śpiewam *Bella figlia deli' amore**³⁴, na co ona mogłaby mi odpowiedzieć arią *Pace, pace mio Dio**³⁵ ...

- Nie mogłaby - przerwał mu profesor Schnuller-Gatzweiler, który, sądząc po kąpielówkach i przewieszonym przez ramię ręczniku, zmierzał w kierunku basenu, ale przystanął, żeby włączyć się do rozmowy i rzucić pod nasze nogi perły swojej erudycji. - Nie mogłaby, bo żyła prawie trzysta lat wcześniej niż Verdi. Za jej czasów opery w ogóle jeszcze nie znano, istniały co najwyżej recytatywa, deklamowane w starogreckim stylu. Dopiero Monteverdi....

- Sam wiedzieć, co Monteverdi - nastroszył się don Battista, który nie znosił, kiedy go pouczano. - Wiedzieć też, kiedy powstać opera włoska, już od dawna chcieć napisać jej historia i tylko związane z hotelem zobowiązania powstrzymać mnie do ta pora od realizacja tego planu. Tu nie chodzić jednak o rozprawa naukowa, *professore*, tylko o artystyczna interpretacja miłością Vittorii i Ferrante, a miłość, tęsknota, tragiczna śmierć, rozpacz młodej wdowy, to być *grandi emozioni*, i nic ich lepiej nie wyrazić od muzyka wielki Verdi. A tak w ogóle to na temat naszego filmu zamierzać dyskutować z *signorem* Holzbrinckiem, a nie z panem.

³² arie z: „Turandot” Pucciniego

³³ * bardzo ważne

³⁴ arie z: „Rigoletta” Verdiego

³⁵ arie z: „Mocy przeznaczenia” Verdiego

- Obowiązkiem naukowca jest przede wszystkim rzetelność, ale oczywiście ma pan rację, sztuka kieruje się innymi prawami. - profesor Schnuller-Gatzweiler wycofywał się już bokiem, jak krab, w kierunku basenu. - W przypadku Vittorii Colony mamy jednak do czynienia z postacią historyczną, należałoby więc...

Don Battista uniósł groźnym ruchem szczotkę do góry i profesor posłusznie zanurkował w basenie, pozostawiając po sobie jedynie bąbelki.

- Ci Niemcy - powiedział don Battista karcąco do szczotki. - Wszystko musi być u nich sprawdzone, sklasyfikowane, zweryfikowane i zatwierdzone. Nie mieć za grosz fantazji i żadnego pojęcia o miłości, ale być przekonane, że znać się na wszystkim. A ty teraz pójść ze mną, ja ci *progetto**³⁶ pokazać.

Obejrzałam się za siebie, ale nikogo tam nie było, nabrałam więc przekonania, że don Battista nadal rozmawiał ze swoją szczotką. Zrobił jednakże parę kroków w stronę willi i nie odwracając się, powiedział niecierpliwie, wykonując przy tym okrągły ruch ramieniem, jakby zarzucał sobie ciężki worek na ramię:

- No, co jest? Pospiesz się, ja tu nie być na wakacjach, ja tu pracować!

- Ma pan może mnie na myśli, don Battista? - zapytałam niepewnie.

- A kogóżby? Ty powiedzcie, że być *architetto*, więc przyniosłem *progetto* hotelu, żebyś je sobie obejrzała.

Zrozumiałam, że osiągnęliśmy właśnie ten stopień zażyłości, w którym don Battista zwracał się do gościa per „ty”, podczas gdy gość tytułował go nadal „donem”. Poczulałam się zaszczycona.

- Don Battista, to wielkie wyróżnienie, że chce pan zasięgnąć mojej rady i proszę mi wierzyć, bardzo je doceniam, ale wolałabym jednak żadnych planów nie oglądać. Ma pan swojego *architetto*, do którego ma pan zaufanie, z którym zawarł pan umowę i z nim musi pan rozmawiać. Zresztą właśnie wybierałam się do miasta, umówiłam się z przyjaciółmi z Kolonii w Ponte...

Don Battista powtórzył swój kolisty gest ze wzrastającą niecierpliwością.

- **Guardaprogetto, subito!**^{*37} - oświadczył władczo.

- Ale znajomi z Kolonii, don Battista. Ponte...

-Nie rozumieć co znaczyć „znajomi”. **Adessoprogetto, Ponte domani.**^{*38}

Jak większość Ischitańczyków, don Battista z miejsca przestawał rozumieć po niemiecku, kiedy mu treść wypowiedzi nie odpowiadała. Nie pozostawało mi więc nic innego, jak posłusznie za nim poczłapać, obiecując sobie, że plany uznam za doskonałe, zanim jeszcze je rozwinie i w ten sposób zdążę na czas do Trattoria Raffaele, gdzie czekali na mnie Steffi i Robert. Zamierzaliśmy przy winie ustalić program na jutro, bo wybieraliśmy się do Neapolu, gdzie w Museo di Capodimonte była zachwycająca, ich zdaniem, wystawa inkunabułów, którą ponoć koniecznie musiałam obejrzeć. Niemcy są fanatycznymi wielbicielami dziedzictwa kulturowego, własnego i cudzego, i kompletnie bym się zdyskwalifikowała, przyznając, że inkunabuły ani trochę mnie nie interesują - równie mało, jak **progetto** don Battisty. Steffi i Robert na pewno zaczęli już z rozdrażnieniem zerkać na zegarki, dlatego niespokojnie przestępowałam z nogi na nogę, kiedy don Battista z namaszczeniem zakładał na nos okulary, grzebał w szufladach rozklekotanego biurka, rozsypywał tasiemki tekturowej teczki i rozkładał plany na stole.

-Bardzo elegancki **progetto, molto** pieniędzy kosztować - stwierdził z zadowoleniem. - **Dottore** Morgano drogi **architetto**, z samego Neapolu. Aj, bardzo, bardzo drogi, ale dobry, komputery mieć w biurze.

-Aaa, to w takim razie z całą pewnością świetny projektant - powiedziałam uprzejmie, nie patrząc na plany i zezując w kierunku ściennego zegara.

- Tu, niech patrzy! - rozkazał surowo don Battista, postukując paluchem w papier. - Tu być nowy bar, **molto generoso**^{*39}, a to całe skrzydło przebudować.

³⁶ * projekt

³⁷ * Obejrzyj projekt, natychmiast!

Marmury, stiuki, kryształ, bidety... Goście potrzebować luksus. Biuro przesunąć, ściana rozwalić... Drogi, bardzo drogi **progetto**, ci wszyscy architekci z Neapolu to **mafiosi**, chcieć ostatnią skórę zderzyć z człowieka, ale co zrobić, za jaką cenę zawsze musieć płacić. No, podoba jej się?

Ze względu na poniekąd fachowy charakter naszej rozmowy don Battista wybrał nieoczekiwanie bardziej oficjalną formę, zwracając się do mnie w trzeciej osobie. Milczałam jak grób.

- Podoba się? - powtórzył groźnie. - Mówiła, że jest **architetto**, to chyba potrafi się poznać na dobrym **progetto**!

- Don Battista, ja bardzo przepraszam, ale naprawdę już jestem bardzo spóźniona. Moi znajomi z Kolonii...

- A więc nie zna się! - stwierdził z przekąsem don Battista. - Od razu nie chcieć wierzyć, że jest **architetto**, choć w tej Germanii to wszystko możliwe, ba-by tam być jak chłopcy.

- Jest **architetto** i znać się - warknęłam. - Znać się wystarczająco, żeby stwierdzić, że ten pański architekt powinien zmienić zawód, może rury przepychać albo kamienie tłuc, bo jak żyję nie widziałam czegoś równie beznadziejnego. Jaki urząd mu ten projekt zatwierdził, na litość boską?

Utkwiony w sufit wzrok don Battisty sygnalizował, że nie uznał za stosowne fatygować administracji państwowej i budował na czarno.

- Niedobre **progetto**! - zaszemrał cichutko. - **Perché***⁴⁰!

- Bo to jest piękny stary dom, który ma duszę, a ten projekt próbuje popełnić na tej duszy mord. Niszczy jego charakter, jego urok, wszystko, co składa się na jego niepowtarzalną atmosferę.

- **Perché**!

³⁸ * Teraz projekt, Ponte jutro.

³⁹ * z rozmachem

⁴⁰ * Dlaczego?

- Dlatego, że ten dom stoi na skale i patrzy na morze, na Castello, i to jest w nim najważniejsze: widok na Castello. Po przebudowie będzie go można oglądać tylko siedząc na klozecie, bo od strony morza architekt przewidział łazienki.

- Ale pokoje być większe i chłodniejsze. *Dottore* Morgano mówi, że *molto* zaoszczędzić na klimatyzacji.

- Może i zaoszczędził na klimatyzacji, ale na wszystkim innym nie. Realizacja tego projektu będzie kosztowała majątek.

- *Perché?*

- Przesuwa ściany konstrukcyjne o pół metra, ciągnie nowe piony instalacyjne, buduje nowe schody, zakłada nowe podciągi... To nie są tanie przedsięwzięcia, a co gorsza, pana piękny dom będzie po przebudowie wyglądał jak królicza nora.

- Nie rozumiem. - Don Battista potrząsnął z uporem głową. - To przecież bardzo ładny projekt, *architetto* namalować go komputerem, więc *perche* królicza nora?

Uświadomiłam sobie nagle, że don Battista, jak zresztą większość ludzi, nie potrafi czytać planów, ale jest zbyt próżny, żeby się do tego przyznać. Kiedy *dottore* Morgano roztaczał przed nim perspektywę przyszłej elegancji, najprawdopodobniej kiwał tylko mądrze głową, obawiając się, że weźmie go za wieśniaka.

- Don Battista, czy pan właściwie rozumie, co tu jest narysowane?

- *Si, si, naturalmente!**⁴¹ - obraził się właściciel Villi Don Battista. - *Progetto* mojego hotelu miałbym nie rozumieć?

- Ta ściana na przykład - poklepałam chłodną powierzchnię tynku - jest konstrukcyjna. Niesie całe górne piętro. Architekt chce ją przesunąć o pół metra, o, tutaj. Sala stanie się niewiele szersza, ale nieomalże cały dom trzeba będzie budować na nowo: *un divertimento costoso**⁴², rozumie pan?

⁴¹ * Tak, tak oczywiście!

⁴² * droga przyjemność

- *Costosol* - Don Battista się zasepił. Zbędne koszty oznaczały, że dał się nabrać, on, chytry lis, sprytny przedsiębiorca i dalekowzroczny inwestor. Co za cios dla jego miłości własnej! - *Costoso, ai*, niedobrze!

- Bardzo niedobrze. A teraz ten nowy bar - zaczęłam zsuwać stoliki i wlec wysokie stołki barowe na środek foyer - byłyby tutaj, dokładnie w tym miejscu. Zastawi całe drzwi. Każdy gość, wchodząc do hotelu, obije sobie o niego bok, a hall zmniejszy się o połowę, zrobi się tu bardzo ciasno. Rozumie pan teraz, dlaczego to nie jest dobry projekt?

- Rozumie, rozumie - zdenerwował się don Battista. - Niech mnie wciąż nie pyta, czy rozumiem, nie jestem głupi. Ewentualnie może zapytać: „Czy wyraziłam się jasno, don Battista?”. A tak w ogóle, to powinna mieć łagodniejszy charakter, w końcu jest kobietą.

- No więc dobrze, niech panu będzie. Czy wyraziłam się jasno, don Battista?

Do foyer wtoczyła się, sapiąc i podzwaniając bizuterią, pani Cornelia. Miała na sobie coś w rodzaju przetykanej złotą nitką tuniki i wachlowała się energicznie hiszpańskim wachlarzem z czarnej koronki. Dotarła do pierwszego z brzegu fotela i opadła na niego z westchnieniem ulgi.

- A to co za bałagan? - zapytała, wskazując wachlarzem na poprzesuwane stołki.

- Wizualizacja projektu przebudowy hotelu - wyjaśniłam.

- Mój drogi don Battista, a jednak zamierza pan budować? Co za odwaga! Podziwiam pana dalekowzroczność. Mądry przedsiębiorca zawsze inwestuje antycyklicznie, gratuluje! Czy mogę zobaczyć plany? Ach, już widzę: zachwycające, po prostu zachwycające, bardzo modernistyczne, a przy tym pełne rozmachu. Ma pan doskonały gust i wyjątkowe wyczucie ducha architektury, drogi *padronel*

Don Battista rozpromienił się i rzucił mi tryumfujące spojrzenie. Na szczęście istnieli jeszcze inni goście, którzy potrafili docenić *progetto dottore* Morgano z

samego Neapolu. Projekt, który kosztował tyle pieniędzy i był narysowany prawdziwym komputerem, po prostu nie mógł być zły.

- Widziałaś kiedykolwiek tego architekta? - zapytał następnego dnia wieczorem Jochen, rozlewając do kieliszków schłodzoną w bidecie biancollelę. Na razie zrezygnowaliśmy z wycieczki do Neapolu, bo Steffi i Robert, obrażeni z powodu mojego ponadgodzinnego spóźnienia, wypili w Trattoria Raffaele za dużo wytrawnego epomeo i obudzili się z potężnym kacem, wykluczającym ambitne plany kulturalne. - Tego *dottore* Morgano?

Potrząsnęłam przecząco głową.

- A ja tak. No, to był prawdziwy architekt, nie to, co ty, powiedziałbym nawet, uosobienie architekta, a wiesz, jak tu jest: najważniejsza jest samoinscenizacja. Spowity był od stóp do głów w Armaniego: biała marynarka, niedbale zarzucona na ramiona, biały kapelusz z szerokim rondem, okulary słoneczne, komórka. A ta retoryka! Cycero zbladłby z zawiści. Jak żyję nie usłyszałem w tak krótkim czasie tylu zdań tak całkowicie pozbawionych sensu, spływały z jego ust w tempie nawet jak na neapolitańczyka zawrotnym.

Dla neapolitańczyków rozmowa jest czymś zupełnie innym niż nasza konwersacja. Służy do nawiązywania niezbędnych dla przeżycia kontaktów, znajomości i przyjaźni, dlatego też nigdy nie bywa uważana za stratę czasu, tylko za ważne narzędzie pracy.

- Don Battista słuchał go olśniony i był dumny jak paw, że udało mu się zdobyć tak kompetentnego specjalistę, z komputerami w biurze i marynarką od Armaniego na ramionach, a teraz przychodzisz ty i mówisz, że projekt jest fatalny i do tego przepełacony. Nigdy ci tego nie wybaczy.

- Wcale nie chciałam oglądać tych planów – zaprotestowałam energicznie. - Zawłókł mnie do biura i zmusił, sam wiesz, jaki jest uparty. Przez niego spóźniłam się godzinę do Trattoria Raffaele, a Steffi i Robert najprawdopodobniej nig-

dy nie zobaczą inkunabułów w Capodimonte, co jest dla ludzi ich pokroju niepowetowaną stratą.

- Zawłókł, ale przecież nie po to, żebyś ten projekt skrytykowała! Pojęcia nie masz o mentalności mężczyzny *Mezzogiorno*. Oczekiwał od ciebie, że będziesz go podziwiała, dokładnie tak, jak to zrobiła pani Cornelia. Przegrałaś z nią na punkty. Uraziłaś jego uczucia, przyłapałaś na nieznajomości czytania planów, sugerowałaś, że dał się nabrać - aj, twoje dni są policzone! Trzeba było się nie odzywać, w końcu to nie twój hotel.

- Nie rozumiesz, Jochen. Takie stare domy naprawdę mają duszę i nie mogę przyglądać się spokojnie, jak jakiś ignorant z Neapolu zadaje jej śmiertelne rany.

- Na razie zadałaś śmiertelną ranę próżności don Battisty. To znacznie gorsze od pozbawienia fasady symetrii.

W jedynym w Porto papierniku kupiłam kalkę, flamastry, kredki i calówkę. Wymierzyłam sumiennie cały dom i ukryta w głębi parku wypełniłam metry kalki szkicami. Don Battista, ciekawski jak norka, krążył koło mnie na czubkach palców i zaglądał zaintrygowany przez ramie, ale nie mówił nic. Po trzech dniach położyłam przed nim stos kolorowych planów.

- *Caro* don Battista - powiedziałam z szacunkiem - wszystko, co mi pan opowiedział o tym domu i jego duszy, wzięłam sobie bardzo do serca. Ma pan całkowicie rację, nie powinno się zmieniać fasady, szczególnie symetrii *porte fenêtre* i drzwi. Zgadzam się też z panem, że ze względu na koszty należy pozostawić piony sanitarne tam, gdzie są, ale łazienki możemy przesunąć w głąb budynku kosztem korytarza, w ten sposób pokoje staną się przestronniejsze. Nie ruszymy też ścian nośnych, ale kosztem tego małego dziedzińca powiększymy biuro i bar. W tym miejscu natomiast moglibyśmy połączyć dwa pokoje i przebudować je na apartament dla nowożeńców w podróży poślubnej, z Whirlpoolem w łazience, zachwycającym małym patio, romantyczną altanką i wolierą z pa-

pużkami-nierozłączkami. Jeżeli te plany odpowiadają pana wyobrażeniom, to proszę je dać *dottore* Morgano i powiedzieć, że wprowadził pan do projektu kilka zmian, które znajomy *architetto tedesco*^{*43} przelał dla pana na papier. I lepiej, żeby pan nie wspominał, że ten *architetto tedesco* jest babą, być może *dottore* Morgano reaguje wrażliwie na kobiety w technicznych zawodach.

Don Battista skinął z powagą głową i w skupieniu zaczął przeglądać szkice.

- Umiesz ładnie rysować, podobać mi się - powiedział łaskawie. - Szczególnie ten perspektyw patio dla nowożeńców dobrze ci wyjść, papużki być jak żywe. Dokładnie tak ja wyobrażać sobie moja willa po przebudowie. Jutro wezwać *dottore* Morgano i kazać mu zmienić plany.

- Dziękuję panu,- don Battista - odparłam z wdzięcznością. - Cieszę się bardzo, że przynajmniej tym razem udało mi się wyrazić jasno.

- No cóż, może jeszcze z ciebie coś być - stwierdził wspaniałomyślnie don Battista, poklepując mnie po udzie. - Ale ty musisz bardziej pracować nad twój *carattere*^{*44}, bo on jest *terribile*^{*45} niekobiecy.

Uznałam, że miał to być w sumie komplement, i odetchnęłam z ulgą. Pilnie potrzebowałam jakiegoś miejsca na ziemi, a to z widokiem na Castello wcale nie było najgorsze.

*

Nie mam pojęcia, kto pierwszy nazwał ją dagestańską księżniczką, ale po upływie dwudziestu czterech godzin wszyscy wiedzieli, że w Villi Don Battista zamieszkała *principessa*. Przyjechała nobliwym mercedesem 600 z przydymionymi oknami, czarnym i lśniącym jak luksusowa trumna, prowadzonym przez

⁴³ * niemiecki architekt

⁴⁴ * charakter

⁴⁵ * straszliwie

kierowcę w ciemnym garniturze i śnieżnobiałej koszuli z krawatem, którego węzeł był tylko odrobinę poluzowany pod szyją, ze względu na nieludzki upał. Stwierdziłam z zachwytem, że miał też prawdziwą czapkę ze sztywnym daszkiem, którą oczywiście wsunął pod pachę, kiedy przytrzymał jej drzwiczki przy wysiadaniu. Do tej pory widywałam takich kierowców wyłącznie w filmach i nie bardzo wierzyłam, że istnieją naprawdę.

Towarzyszył jej brat, szalenie podobny do młodego Omara Sharifa z okresu „Doktora Żywago”, nawet z identycznym wąsem nad górną wargą, który u całych pokoleń kobiet powodował miękkość kolan, a także biały pudełek z różową kokardką na obroży. Zabójczo stylowy kierowca wystawił na podjazd pół tuzina zaopatrzonych w monogramy waliz z solidnej skóry, ale zanim przyjezdni zdążyli się półgłosem naradzić, jak je zataszczyć na osiemdziesiąty szósty schodek hotelu, olśniony don Battista uruchomił swoją przedpotopową windę bagażową.

Urządzenie to było rodzajem miniaturowej *funicolare*, zębatej kolejki o lilipucich rozmiarach, której don Battista używał wyłącznie wtedy, kiedy większa grupa gości w przeddzień wyjazdu wysyłała swój bagaż promem na lotnisko, żeby nie zawracać sobie nim głowy w czasie podróży. W drodze absolutnego wyjątku zajmowała w niej czasami miejsce donna Cornelia, która bez pomocy tej zmotoryzowanej taczki byłaby uwięziona na skale don Battisty przez cały okres pobytu.

Rzadko oliwiona winda wydawała pod ciężarem obfitego ciała pani Cornellii potępieńcze jęki i kiedy usłyszałam je po raz pierwszy, najadłam się porządnie strachu. Wyrwały mnie one z ciężkiego, pijackiego snu, w który zapadłam po długiej i pełnej powagi debacie z Holzbrinckami i profesorem Schnuller-Gatzweilerem na temat analogii, zachodzącej między imperium rzymskim i amerykańskim. Temat był piekielnie trudny, moja wiedza raczej powierzchowna, elokwencja profesora, który wczepił się w dyskusję jak kleszcz i absolutnie nie

dawał się strząsnąć, mordercza, toteż nic dziwnego, że popłynęło morze wina i poszłam spać śmiertelnie wyczerpana.

Ponure dzwonięcie łańcuchów i rozdzierające zawodzenia postawiły mnie w mgnieniu oka na nogi. Zerwałam się z łóżka, przekonana, że nadszedł dzień Sądu Ostatecznego. Dzień wcześniej oglądałam w zakrystii klasztoru San Martino w Neapolu sceny z Apokalipsy, których malowanie musiało szesnastowiecznym mistrzom sprawiać wielką frajdę, bo włożyli masę uczucia w odtwarzanie szczególnie odrażających detali. Wydawało mi się, że w stronę mojego tarasu czołga się jeden z tych skrzydlatych demonów z rogami i spiczastymi uszami, które wyrzyły się z parującego bagna i przetaczały swoje cielska przez usłane gnijącymi trupami płonące miasto.

Postanowiłam zginąć jak mężczyzna, to znaczy stojąc i z bronią w ręku, ale jedyna broń, jaką mi się udało znaleźć, to była elektryczna szczoteczka do zębów. Ściskając ją w garści jak sztylet, wyszłam odważnie do ogrodu, kierując się w stronę źródła upiornych jęków. Akurat w tym właśnie momencie tajemnicze odgłosy jednakże umilkły, a na stromym zboczu skały zarysowała się na tle rozgwieżdżonego nieba podobna do stogu siana sylwetka pani Cornellii, trwająca w majestatycznym bezruchu.

- Don Battista, kochasiu - rozległ się donośny szept – chodź no tu bliżej i pomóż mi wysiąść.

- *Subito, subito, dolce*^{*46} Cornelia - zaszemrał szarmancko w zaroślach oleandrów głos don Battisty - już pędzić po tobie!

Świerszczykowata postać pochyliła się nad bujnymi kształtami przyjaciółki, a po chwili rozległy się skoncentrowane sapnięcia i pochrząkiwania, towarzyszące nadludzkim wysiłkom drobnych ramionek, usiłujących uwolnić zaklinowany w wagoniku windy odwłok pani Cornellii. Zafascynowana przyglądałam się, jak

⁴⁶ * już, już, słodka

większy cień, wspierany rycerskim objęciem don Battisty, przyjmuje powoli pozycję pionową, chwiejnie opuszcza winę, traci równowagę, poślizguje się na omszałej skale i jak bezwładny wór mąki wali się na ziemię, przygniatając sobą don Battistę.

- Jiiip - zdążył jeszcze cichutko pisnąć, zanim dojrzały melon piersi pani Cornellii ostatecznie zamknął mu usta. Spod góry ciała widoczne były jedynie dwie drobne rączki, których rozcapierzone palce zamykały się i prostowały kurczowo.

- Halo! - zawołałam zaniepokojona. - Czy coś się stało? Po-trzebują może państwo pomocy?

- Ciiicho, proszę nie wrzeszczeć po nocy - skarcił mnie rozdrażniony głos pani Cornellii. - Tu ludzie śpią, w końcu to hotel, a nie dyskoteka. Nic się nie stało, tylko don Battista zasnął, a ja się potknęłam, spiesząc mu na pomoc. Niechże pani nie sterczy tam jak kołek, tylko podejdzie bliżej i pomoże nam wstać!

- Ależ naturalnie - zgodziłam się potulnie, bo w obliczu tak silnych osobowości jak donna Cornelia z zasady tracę kontenans, a potem się z tego powodu złoszczę. Zapierając się nogami w ziemię i nateżając wszystkie siły, uwolniłam rozplaszczony don Battistę od jej ciężaru. Kiedy obojgu udało się powrócić do pozycji pionowej, przysięgam sobie solennie, że jak tylko donna Cornelia ponownie zechce skorzystać z wyciągu, przetnę po prostu linę. Wbita w wagonik będzie koziołkowała po urwisku, wydając okrzyki śmiertelnego strachu, a ja, wychylona przez balustradę tarasu, będę surowo wołała w czerń nocy: „Cisza! Ludzie śpią, to w końcu hotel!”.

W tej chwili winda wypakowana była eleganckimi walizkami, kuframi i pudłami na kapelusze nowych gości. Na samym wierzchu tej góry bagaży leżała torba z kijami do golfa, akcesorium raczej zaskakujące na wyspie, na której nie było ani jednego pola golfowego. Zgromadzeni wokół wagonika mieszkańcy wil-

li przyglądali się wytwornemu wyposażeniu nowo przybyłych z szacunkiem, szczególnie tym absurdalnym kijom golfowym.

- Zarezerwowali apartament Caprifoglio - poinformował nas nabożnym szeptem Fabio. - Nasz najlepszy: dwie sypialnie i salon. I osobny pokój dla kierowcy.

Na tę rewelację zareagowaliśmy pełnym respektu milczeniem, bo nikt z nas nie podróżował z kierowcą i nawet nie znaleźliśmy nikogo, kto miałby to w zwyczaju. Nawet profesor Schnuller-Gatzweiler stracił mowę z wrażenia.

- A ten Dagestan, to niby gdzie? - przerwał ciszę don Battista, patrząc ufnie w moim kierunku. Przedstawiciele wielkich narodów zachodnioeuropejskich wychodzą na ogół z założenia, że kraje położone na wschód od niegdysiejszej żelaznej kurtyny są tak słabo zaludnione, że ich obywatele nawzajem się znają. W końcu na Ischii też wszyscy się znali.

- Pojęcia nie mam - przyznałam się bezradnie. - Za moich czasów o żadnym Dagestanie nie było mowy, wszędzie był Związek Radziecki. Dopiero jak padł, to się okazało, że każdy skrawek jego ziemi zamieszkiwały dziesiątki najróżniejszych narodów, plemion i klanów. O tym, że między Morzem Czarnym a Kaspijskim siedzą nie tylko Gruzini i Azerowie, ale i Abchazi, Osetyjczycy, Czeczeni, Ormianie i Dagestańczycy, mało kto wiedział.

- Stolica Dagestanu leży nad Morzem Kaspijskim i nazywa się Machaczkała - oznajmił tryumfalnie profesor Schnuller-Gatzweiler, który ukradkiem włączył swój laptop i teraz bezwstydnie chełpił się tym, co wiedział jego twardy dysk.

- To znaczy daleko od nas, bardzo daleko - zasepił się don Battista. - Gdzież tych Rosjan nosi! Ja słyszeć, że *nuovi Russi* kupować ziemia pod Rimini, ale żeby aż tu dojść? Ale jak patrzeć na te *bagagli*^{*47}, to myśleć, że mieć za co robić podróż.

- Nie Rosjanie, Dagestańczycy - przypomniałam mu.

⁴⁷ * bagaże

- Po dwudziestu pięciu latach pracy naukowej nawet nie mogę marzyć o takim mercedesie - uzalił się nad sobą profesor. – Nie wspominając już o kierowcy. Jakim cudem stać ich na kierowcę po osiemdziesięciu latach komunizmu?

- Bo tak to już jest w trakcie wielkich przemian - odezwał się „ojciec” Cokoiego i wszyscy odwrócili się zaskoczeni, bo wyjątkowo rzadko zabierał głos. Nagle zdałam sobie sprawę, że nawet nie wiem, czym się trudni i postanowiłam przy najbliższej okazji zapytać o to don Battistę. - Wszędzie, gdzie w ciągu nocy powstał kapitalizm, przyjmuje on swoją najbardziej prymitywną i agresywną formę. Tworzy oazy zbytku w oceanie nędzy, bo ani nie jest tą nędzą zainteresowany, ani nie krępuje się swoim przepychem. Imperium radzieckie padło, ale jego nomenklatura pozostała u władzy i rozdrapała między siebie majątek narodowy: jedni wzięli sobie rurociągi, inni banki, jednego zrobili prezydentem, a drugiego gubernatorem. Gospodarkę kontroluje teraz garść oligarchów i mafia.

- A pan to co, czerwony? Za komuną tęskni? - oburzyła się pani Cornelia, wytaczając się na taras. - Mademoiselle Marusia i jej brat nie są żadną mafią, tylko potomkami jednego z najstarszych gruzińskich rodów panujących.

- Doprawdy? A skąd pani to wie? - zainteresował się Jochen.

- Poznałam ją na promie, wracając z Capri. To ja dałam jej adres don Battisty, uważając, że jej obecność może tylko wzbogacić duchowo nasze małe grono. Jest to mianowicie naprawdę przemiła, bezpośrednia i bardzo kulturalna dziewczyna, a jaka przy tym bogata! - oświadczyła pani Cornelia, tryumfalnie wodząc oczami po zebranych.

- Pod dnem Morza Kaspijskiego spoczywają jedne z największych na świecie złóż ropy naftowej, a poza tym... – pospieszył z informacją profesor Schnuller-Gatzweiler.

- ...a poza tym rodzice panny Marusi mieli nad brzegiem chatkę i w odpowiednim momencie złowili złotą rybkę – dokończył niewinnie Jochen. - Zażyli sobie dużo ropy, dużo gazu i jeszcze więcej astrachańskiego kawioru, żeby

ich dzieci żyły długo i szczęśliwie, nie zaznając biedy i znoju dnia powszedniego.

- Kaukaz, kolebka ludzkości, jakie to romantyczne! - rozmarzył się profesor. - Miejsce, gdzie splatały się losy bogów i ludzi. Czy wiecie państwo, że to właśnie do skał Kaukazu Zeus przykuł Prometeusza, karząc go za to, że wykradł bogom ogień i podarował ludziom?

- Wiemy - uciał Jochen, obawiając się dłuższego wykładu z mitologii greckiej.

- Dzień w dzień okrutny orzeł wyszarpywał mu wątrobę i codziennie odrastała ona na nowo, gdyż męki Prometeusza nigdy nie miały mieć końca, chyba że znalazłby się ktoś, kto zechce dobrowolnie zająć jego miejsce - kontynuował profesor niewzruszenie. - I to właśnie tam znajdowała się starożytna Kolchida, gdzie ukryte było złote runo cudownego baranka, na którym dzieci bogini Nefele uciekły przed złą macochą i którego szukał Jazon z Argonautami.

- Widocznie panna Marusia znalazła złotą skórę i wymieniła na mercedesa, wybierając wygodniejszy środek lokomocji - mruknął Jochen i ziewnął. W tym momencie pojawili się w drzwiach hotelu kaukascy goście i Jochen zamarł z ręką wzniesioną do półotwartych ust. Oczy wszystkich mężczyzn zawisły na smukłej postaci w dziewiczej bieli, wypełniły się bezbrzeżną tęsknotą, a z ich piersi wyrwał się błagalny jęk:

- Och mój Boże, ja, ja, ja, proszę - ja!

- Zamknij usta, ślina ci z nich kapie - powiedziała jadownicie Andrea. Jochen pokornie przełknął, nie odrywając jednak wzroku od nieznajomej. Dziewczę obrzuciło zebranych spojrzeniem, kontrolując efekt, jaki wywarło, uśmiechnęło się leciutko i powiedziało grzecznie, ostrożnie stawiając pudelka na podłodze:

- *Buona sera, signore e signori**⁴⁸.

⁴⁸ * Dobry wieczór państwu.

Stojący za nią kierowca podszedł do walizek, bez trudu dwie z nich chwycił, a dwie wsunął sobie pod pachy, jakby były lekkie jak piórko, i oddalił się niedbalym krokiem w kierunku apartamentu Caprifoglio. Panie odprowadziły go wzrokiem pełnym uznania, panowie z pewną zawiścią.

- Taki osiłek musi być przydatny w podróży - westchnął profesor, krytycznie kontemplując swoje wątle raczej bicepsy. - Ciekawe, czy tylko do targania waliz?

- Piękne męskie zwierzę - przyznała Andrea, a Cookie przytaknął jej gorliwie, ale za chwilę całą jego uwagę przykuł młody Omar Sharif, który pobłyskując olśniewającym użębieniem, prowadził z don Battista jakieś bardzo zawile rokowania kulawym angielskim i ze straszliwym akcentem, co zresztą don Battistie, posługującemu się nie mniej przerażającą wersją tego języka, ani trochę nie przeszkadzało.

- Chyba chodzi mu o sejf - wyszeptał profesor, podsłuchując bezwstydnie. - Don Battista tłumaczy mu, że czegoś takiego tu nie ma, bo jesteśmy jedną wielką rodziną i nic nie ginie.

- Oni zawsze podróżują z gotówką albo surowymi diamentami - wyjaśniła pani Cornelia. - Pewnie dlatego tyle tego bagażu.

- Z diamentami to Jakuci - poprawił ją Jochen. - Ci z Kaukazu wożą narkotyki. Ten kierowca wygląda mi na takiego kuriera, pewnie ma w żołądku kilogram heroiny zapakowany w prezerwatywy. Może mi pani wierzyć, pani Cornelio, w końcu byłem w Afganistanie i takie rzeczy wyczuwam węchem.

- Jochen, powinien pan się wstydzić! Akurat po panu, człowieku, który niejedno w świecie widział, można by się spodziewać mniej uprzedzeń. Czasy się zmieniają i trzeba przyjąć do wiadomości, że teraz to my, kraj Schillera i Goethego, wlecemy się w ogonie Europy, a oni jeżdżą mercedesami.

- Tylko niektórzy z nich, tylko niektórzy, pani Cornelio!

- Niektórzy i do tych niektórych należą nasi młodzi goście z Kaukazu. Przedstawiciele nowej elity nowego kraju, naszym obowiązkiem jest ich serdecznie powitać w klubie wolnych narodów.

- Ślicznie to pani powiedziała, pani Cornelio. - Jochen pochylił się szarmancko nad fałdą tłuszczu otaczającą jej przegub. - Przyjmujemy tę nową elitę godnie. Słyszę już karczemną awanturę w kuchni i wnioskuje z tego, że don Battista ustala z Agnesiną jakieś wyjątkowo wystawne menu, a jeżeli mnie wzrok nie myli, młody pan Spinelli opuścił swoją placówkę przed telewizorem, zapewne, żeby przebrać się w strój wieczorowy. W takim razie przepraszam panią na chwilę i idę założyć czyste gatki.

Obaj panowie Spinelli przebrali się do kolacji, nie uzgadniając jednak uprzednio między sobą stylu. Don Battista zdecydował się na podkreślenie artystycznej strony swojej natury, ściągając okalające łysy czerep włosy w sugerujący niekonwencjonalność kucyk i zakładając jedwabną różową koszulę, rozpiętą do pasa i ukazującą pokrytą rzadkimi siwymi loczkami pierś. Pomarszczoną szyję owinął kolorowym fularem, za ucho wsunął pąsową różę i skropił się intensywnie gucci pour homme.

Fabio wbił się mimo upału w trzyczęściowy garnitur, który zakładał zazwyczaj na posiedzenia swojego Klubu Palaczy Cygar i Ischitańskiej Kooperatywy Producentów Win. Cygaro marki Laura Chavin w kieszonce marynarki dopełniało stroju. W czubkach jego lśniących jak lustro butów można było się przeglądać. Wyglądał imponująco.

Niestrudzenie krążył wokół stolika dagestańskiej piękności, strzepując śnieżnobiałą serwetką nieistniejące pyłki, otwierając i zamykając uroczyście kartę win, jak tokujący cietrzew ogon w tańcu godowym. Przyglądaliśmy się mu, zafascynowani niezwykłą metamorfozą: miękkie zazwyczaj i pozbawione konturów ciało, podobne do rzuconej w kął szmacianej lalki, robiło wrażenie naładowanego tajemniczą energią, wiło się i skręcało w pragnieniu zwrócenia na siebie uwa-

gi wybranki, każdy ruch był błaganiem: „Wybierz mnie! Tylko mnie! Serce ci dam, szczęście ci dam, rozkosz, o jakiej nigdy nie śniłaś, ale wybierz mnie jak najszybciej, bo umieram z tęsknoty!”.

Do tej pory nigdy nie zauważyliśmy, że oczy Fabia przypominają odbicie gwiazd w studni, nie wiedzieliśmy, że jego głos może być aksamitny i pełen słodczy jak gruchanie gołębia.

- Madame - mówił żarliwie, a jego palce pieściły szyjkę butelki - madame, proszę, do tej merluzy musi pani spróbować *lacrimae cristi*, zebranego na ciepłych zboczach Wezuwiusza, gdzie każdego dnia budzi je pocałunek słońca (tak jak ja będę cię budził, jeżeli mi na to tylko pozwolisz). Spójrz, pani, pod światło: w tym winie jest całe piękno Katanii, jej temperament i radość życia (pokażę ci mój kraj i ode mnie się dowiesz, co to jest włoski temperament), pozwoli pani, madame? (ach, zgódź się już i powiedz tak!).

- O cholera, to jest chyba ten słynny *latin lover*, o którym wszyscy mówią! - Jochen nie posiadał się ze zdumienia. - Ale żeby w środku naszego Fabia? Głaszczę tę butelkę z takim oddaniem, jakby to była wewnętrzna strona jej ud, dreszcz mnie przechodzi, kiedy na to patrzę! W każdym jego słowie są hormony, feromony i afrodyzjaki, tego się nie można nauczyć, z tym trzeba się urodzić. Słowo daje, ten chłopak jest prawdziwym artystą, marnuje się w tym hotelu.

W tym momencie don Battista, który nie mógł ścierpieć żadnej konkurencji, wepchnął się przed syna i opierając jedną rękę na oparciu krzesła dagestańskiej piękności, a drugą kładąc na sercu, zaśpiewał swoją popisową arię „Dolce Aida”, wpijając gorejący wzrok w jej oczy. Zaskoczona, zamarła i odłożyła widelec, którym muskała delikatnie merluzę, a kiedy don Battista skończył, roześmiała się, ucałowała koniuszki różowych palców i przesłała mu pocałunek. Towarzyszący jej mężczyźni wstali, wiwatując, wzniesli kieliszki na cześć maestro i wypili toast francuskim szampanem. Przez chwilę myślałam, że rzucą kieliszki o ziemię, ale tylko skłonili się głęboko przed don Battista. Podniecony tym sukce-

sem, rozplómienny namiętnością, rzucał pod nogi boskiej Marusi coraz to nowe miłosne wyznania - z „Traviaty” „Otella”, „Trubadura”, „Toski” i „Rigoletta”, unosząc w górę ramiona, przyciskając do serca cały świat, aż w kuchni rozległ się straszliwy ryk Agnesiny:

- Don Battista! Przypali mi się *U secondol* Jak długo mam czekać, żeby zajął się pan w końcu tym, co do pana należy, zamiast wyć jak kot w marcu? *Porca miseria*, czy każdy chłop aż do śmierci musi myśleć kutasem?

Don Battista schylił się nad dłonią piękności, ucałował z żarem koniuszki różowych paluszków i wręczył jej różę, którą uprzednio musnął wargami. Wycofując się na sztywnych nogach i z dumnie wypiętą piersią do kuchni, rzucił w stronę Fabia spojrzenie pełne pogardy. „Możesz się zwijać w korkociąg, mój drogi - mówiło ono - możesz tokować jak głuszcak i przebierać nogami jak ogier, ale to mnie kobiety prędzej czy później wybiorą, bo to ja mam w sobie to coś, czego ty nie masz, gdyż tobie, mój kochany, po prostu ikry brak”.

Przez następne dni cała uwaga mieszkańców willi koncentrowała się na egzotycznych gościach. Zaraz po śniadaniu don Battista zasiadał z Agnesiną do prowadzonych ściszym głosem pertraktacji na temat wieczornego menu.

- *No, no, troppo banale*^{*49} - docierały do nas strzępy utrzymanej w poważnym tonie rozmowy. - Potrzebujemy czegoś oryginalniejszego, z polotem, Agnesino.

- *Saltimbocca* banalna? - syczała Agnesina. - MOJA *saltimbocca*? Z MOIM sosem z białego wina i szałwii? *No, no*, don Battista, mojej *saltimbocca* nie muszę się wstydić przed koronowanymi głowami najstarszych domów panujących w Europie, a cóż dopiero przed taką księżniczką, co to wczoraj z kołchozu wyszła!

⁴⁹ * Nie, nie, zbyt banalne.

- Ciii... - Don Battista kładł palec na ustach i rozglądał się spłoszony. - Cóż, czasy się zmieniły i trzeba tych Rosjan brać na serio. Może i wyszli z kołchozu, ale nie wszyscy z pustymi rękami. Niektórym udało się zapakować a to źródółko nafty, a to kopalenkę diamentów. Twoje *saltimbocca* jest boskie, ale takie *fagiano eon tartufo* brzmi po prostu bardziej arystokratycznie... Nie sądzisz?

- Bażant z truflami? Na tylu ludzi? *Santa Maria*, czy ma pan pojęcie, ile to będzie kosztowało?

Wrodzone skąpstwo brało górę i don Battista wycofywał się, wsuwając pokornie sępią główkę w ramiona.

- *No, no*, Agnesina, nie dla wszystkich. Tylko dla *principessy* i jej brata. Dla reszty może być kurczak z pieczarkami, jak go podamy przy świecach, to nie uważają różnicy.

Fabio przechodził wszystkie stadia cielecego zakochania i obnosił z dumą swoje krwawiące serce. Jak przystało na prawdziwego Włocha z południa, odgrywał z zapalem główną rolę w swoim indywidualnym teatrze i był na zmianę Nieszczęśliwym Kochankiem, Zdobywcą Kobięcych Serc, Zwycięskim Uwodzi-cielem, pon Juanem, Romeem i Otellem.

Na widok ukochanej jego ciało drżało z tęsknoty, pierś falowała wzruszeniem, oczy stawały się granatowe z pragnienia, a z ust wydobywało się bolesne westchnienie. Kiedy piękna Marusia opuszczała willę, wkładał się do jej pokoju, żeby położyć na jej poduszce kwiat passiflory, oprzeć płomienny bilecik o lustro toaletki, postawić na stoliku nocnym bukiet róż i przycisnąć usta do szminki, której dotykały jej wargi. Cesarina, flirtująca zawzięcie z szoferem Olegiem, którego ślady po ospie brała mylnie za romantyczne blizny, wyniesione z bohaterskich walk w dalekim Afganistanie, udawała, że nic jej o tych wizytach nie wiadomo. Wieczorami Fabio wirował niestrudzenie wokół stolika, przy którym siedzieli *Russi*, jak ich w willi dla uproszczenia nazywano, nie odrywając rozkochanych

oczu od ciemnych półksiężyców rzes wybranki i błękitnej linii równego przedziałka rozdzielającego ciężkie fale włosów.

- Jak ćma wirująca wokół światła lampy - wzruszała się donna Cornelia.

- Jak kot pilnujący szperki - poprawiał ją Jochen. - Widzi pani, jak nerwowo oblizuje wargi? Zupełnie jak głodny kocur.

- Tenuta montevetrano, pani - szeptał Fabio, parząc ucho dagestańskiej piękności gorącym oddechem. - Z San Cipriano Picentino... koło Salerno... kropla tego wina kosztuje tyle, ile waży w złocie... tak go mało, tylko trzysta skrzynek na rok... a ja zdobyłem je dla ciebie, pani, więc wypij je, bo to krew brocząca z mojego zranionego serca...

- No proszę, mamy drugiego San Gennaro - zdumiewał się Jochen. - Z miłości ten pył, który do tej pory miał w żyłach, w krew mu się przemienił!

- Czy pan z wszystkiego musi kpić, Jochen? – zdenerwowała się pani Cornelia, absolutnie zdecydowana ożenić Fabia z postkomunistyczną fortuną. - Chłopiec zakochał się, cóż w tym jest śmiesznego? Dziewczyna jest piękna, doskonale ułożona, zamożna, trudno o lepszą partię dla Fabia.

- No właśnie, niech się pani zastanowi, pani Cornelio: dlaczego ta bogata dagańska arystokratka miałaby zainteresować się akurat naszym Fabiem?

- Miłość - wzdychała z rozczuleniem potencjalna swatka. - Młodość. A w ogóle to nie rozumiem, czego pan chce od tego chłopca: jest przystojny, niegłupi i ma dobre serce.

- Serce to on może i ma, ale jaj mu brak.

Urażona pani Cornelia wstawiała od stołu i wytaczała się z jadalni, falując gniewnie biustem. Jochen unosił się uprzejmie z krzesła, żegnając ją skinieniem głowy. Fabio przyciskał ukradkiem do ust serwetkę noszącą ślady warg Marusi i chował ją na piersi.

Po tygodniu najintensywniejszych starań wolno mu było od czasu do czasu ucałować jej koniuszki palców i nosić za nią po ogrodzie pudełka i owinięty koronkową wstążką słomkowy kapelusz z szerokim rondem. Pudełek, tulony w ramionach i hołubiony na podolku, już dawno zrezygnował z używania nóg, ale po smukłych i pachnących palcach Marusi dotknięcie miękkich dłoni Fabia budziło w nim wstępną i mściwie obsikiwał mu spodnie. W głębi duszy Fabio najchętniej skręciłby mu kark, ale czując na sobie spojrzenie migdałowych oczu ukochanej, uśmiechał się krzywo i delikatnie pieścił srebrzyste pukle, udając, że nie słyszy ostrzegawczego warczenia.

W rzadkich chwilach, kiedy musiał odstąpić od boku swojej bogdanki, natychmiast przysiadła się do niej pani Cornelia, żeby poufnym tonem informować ją o wyjątkowych zaletach młodego pana Spinelli. Marusia słuchała z uśmiechem i w milczeniu rysowała czubkiem pantofelka misterne wzorki na żwirku ogrodowej ścieżki.

- Kochający syn, szczery i wrażliwy chłopiec... - dobiegały do mnie składane łamaną angielszczyzną zapewnienia -artystyczna dusza, a jaki romantyczny!

Znam go od dziecka i jestem przekonana, że kobieta, z którą się zwiąże, będzie bardzo, bardzo szczęśliwa.

Trudno powiedzieć, czy to dyplomatyczne zabiegi pani Cornelia poskutkowały, czy też romantyczne uniesienia Fabia, w każdym razie Marusia w końcu zgodziła się, żeby pokazał jej wykopaliska w Pompejach, obrazy Caravaggia w galerii Capodimonte, czterdzieści siedem kościołów starego Neapolu i Gabinet Sekretny w Muzeum Archeologicznym, gdzie na widok rzeźby bożka Pana, niefrasobliwie kopulującego z uśmiechniętą kózką, spłoniona spuściła oczy, co ogromnie wzruszyło zachwyconego tą dziewczecą skromnością Fabia.

Zgodziła się też pojechać z nim na Capri, od stu lat miejsca pielgrzymek wszystkich kochanków, a kiedy zachwiała się, wsiadając do łódki, która miała ich zawieźć do Lazurowej Groty, spoczęła w jego ramionach nieco dłużej, niż było to absolutnie konieczne, i wcale nie protestowała, kiedy całował jej zachwycający karczek, starając się nie słyszeć śpiewu fałszującego nielitościwie przewodnika.

W willi przyjęto nieoczekiwany sukces Fabia z mieszanymi uczuciami. Don Battista poczuł rozdrażnienie połączone z niedowierzaniem, profesor Schnuller-Gatzweiler głównie zawiść, a Cookie współczucie, przy czym miał na myśli Marusię. Pani Cornelia stwierdziła z rozrzewnieniem, że stanowią bardzo piękną parę, na co Jochen zauważył rozbawiony:

- Samiec modliszki też myśli, że spotkało go wyjątkowe szczęście-jak długo ma jeszcze czym myśleć.

Przybycie Ingeborgi Kneipp odwróciło na pewien czas naszą uwagę od kielującego na naszych oczach romansu. Ingeborga, hoża blondynka z wesoło podskakującymi piersiami, nieskrepowanymi żadnym stanikiem, wyglądała z natury dorodnie i zdrowo, przypominając do złudzenia tę holenderską dziewczynę w czepeczku i sabotach na opakowaniach topionych serków. Miała okolone puszy-

stymi, prawie białymi rzęsami niebieskie oczy ze świetlistymi cętkami, buntowniczo nastroszone jasne włosy, w których pobłyskiwały utlenione pasemka, rumieńce na policzkach i zabawne piegi na nosie. Patrząc na nią, musiało się myśleć o niewinnych urokach wsi, długich spacerach na świeżym powietrzu, mleku prosto od krowy i o tym, że byłaby to naprawdę ładna dziewczyna, gdyby jej nos nie był tak zaczerwieniony i błyszczący, a duże oczy opuchnięte od płaczu.

Pierwszego dnia po przyjeździe usiadła przy wskazanym jej przez don Battistę „próbny” stoliku - don Battista poddawał nowo przybyłych gości okresowej kwarantannie, w czasie której brani byli pod obserwację, zanim pozwolono im dosiąść się do innych - odwracając się tyłem do zapierającego dech w piersiach widoku na Zatokę Neapolitańską, nalała sobie kawy, odgryzła kawałek rogalika, położyła głowę na stole i zalała się łzami.

Jeszcze nigdy nie widziałam kogoś, kto w miejscu publicznym oddawałby się z tak bezgraniczną koncentracją rozpaczy. Ingeborga Kneipp rozpływała się na naszych oczach, ze wszystkich otworów jej pulchnej twarzy wydobywały się sekrety i wydzieliny, strumienie łez łączyły się z ciekącym z nosa śluzem i szklistą niteczką śliny, sączącą się z kącika ust. Chociaż miała gardło i nos całkowicie zatkane, jakimś cudem była w stanie wydawać z siebie zaskakująco bogatą gamę dźwięków: wilgotnych pochrząkiwań, chrapliwych bulgotań, zduszonych skarg i przytłumionych jęków.

- Co jest? - zdenerwował się don Battista. - Kawa za gorąca czy jak?

Ingeborga potrząsnęła przecząco głową, nie podnosząc jej z obrusa i ani na chwilę nie przestając płakać.

- Ohyda - mruknął don Battista, kołysząc z potępieniem łysym czerepem. - Jak móc kobieta *inpubblico*^{*50} tak tracić dyscyplina, robić *una brutta figura*^{*51}.

⁵⁰ * publicznie

⁵¹ *głupoty

Cookie zsunął zdumiewająco zwinnie swoje przyciężkie ciało z krzesła i usiadł naprzeciwko Ingeborgi.

- No, no - powiedział uspokajająco, wsuwając łagodnie papierową chusteczkę w jej moką, piegowatą pięść. - Nie wolno się poddawać. Z wszystkiego można się podźwignąć, wszystko można zacząć na nowo. Byle nie tracić nadziei.

Ingeborga podniosła zapuchniętą twarz i przyjrzała mu się nieprzytomnym wzrokiem.

- Na nowo? Gdzie, w więzieniu? - wyjąkała.

- A dlaczegoż by nie? - Cookie wzruszył ramionami. - Tam też ludzie żyją. Niektórzy nawet bestsellery piszą.

- Mowy nie ma - oświadczyła Ingeborga stanowczo. - Ojciec by mnie zatłukł. To już wolę umrzeć.

- Umrzeć zawsze można - zgodził się Cookie. - Wymknąć się z życia po kryjomu, dlaczego nie? Ale tylko wtedy, kiedy człowiek sam nie jest w stanie unieść prawdy o sobie, a nie dlatego, że inni jej nie zniosą. Na przykład twój ojciec.

Ingeborga wytarła hałaśliwie nos, oddała Cookiemu moką chustkę i przyjrzała mu się podejrzliwie.

- A ty co, księdzem może jesteś? - zapytała.

- Nie, pedałem - odparł Cookie spokojnie.

Pokiwała ze zrozumieniem głową i powiedziała gorzko:

- Słowo daję, dla mnie byłoby lepiej, gdyby tylko tacy chodzili po świecie.

A jednak to nie jemu udało się zdobyć jej zaufanie, tylko pani Corneli, sprytniej jak lisica i ciekawskiej jak sroka.

- Siadź tu koło mnie, złotko - zachęciła Ingeborgę głosem słodkim jak miód, poklepując poduszkę ogrodowego fotela. Sama spoczywała na czymś w rodzaju szezlonga w granatowe i złote pasy, jedynym meblu, który wytrzymał bez protestów ciężar jej imponującego ciała. Wyszukała go dziesięć lat temu w neapolitańskim sklepiku z antykami na Vico Santa Maria di Constantinopoli i do tej

pory doskonale jej służył. Nikomu poza nią nie wolno było go używać, a kiedy wyjeżdżała, don Battista osobiście znosił go do piwnicy, gdzie drzemał na swoich złotych łapach między słojami marynowanych pomidorów, skrzynkami z winem, warkoczami czosnku i sznurami czerwonych, ostrych jak piekło *peperoncini*^{*52}, czekając na jej przyjazd.

- Skosztuj tych ciasteczek, moja droga, nic tak nie podtrzymuje na duchu, jak *sfogliatelle* - zagruchała ciepło pani Cornelia, podsuwając Ingebordze szklaną paterkę z podobnymi do muszli ciasteczkami. - Są tak wyśmienite, że przedtem wolno je było wypiekać tylko mniszkom z klasztorów dla szlachetnie urodzonych panien, a przepisy były trzymane w ścisłej tajemnicy. W tych tutaj jest ricotta, owoce kandyzowane i likier, ogromnie krzepiące. Bierz, bierz, drogie dziecko... czy mogę cię nazywać Ingeborgą? To bardzo piękne imię i pewnie wiesz, że twoim patronem jest germański bóg Inge.

- Tak, proszę pani, nie, proszę pani. To znaczy, oczywiście może mi pani mówić po imieniu, ale o żadnym bogu Inge nic mi nie wiadomo. Jemu o mnie też pewnie nie, bo nie wydaje mi się, żeby się mną specjalnie przejmował.

Oczy Ingeborgi podejrzenie się zaszklily i pani Cornelia pospiesznie podsunęła jej ciasteczka i paczkę Kleenexów. Wsunęła *sfogliatelle* do ust i kontynuowała macierzyńskim tonem:

-Ten bóg jest trochę zapomniany, może dlatego wyszedł z wprawy. Teraz, kiedy już o nim wiesz, niewątpliwie się tobą zajmie. Na razie opowiedz mi, jakie masz troski, bo przecież widzę, że się czymś martwisz. Otwórz przede mną swoje serce i sama zobaczysz, jak ci to dobrze zrobi. Wszystkie okropności tracą swoją grozę, kiedy się je wydobędzie na światło dzienne, to zupełnie tak samo, jak z nocnymi koszmarami. Odwagi, moja droga, razem z całą pewnością uda nam się znaleźć jakieś rozwiązanie.

- Sądzi pani? - zapytała z nadzieją Ingeborga.

⁵² * Małe, ostre papryczki

- O, moje dziecko, jestem o tym całkowicie przekonana! Nie chwaląc się, do tej pory udawało mi się znaleźć wyjście z każdej sytuacji, nawet z tych, które wydawały się bez wyjścia.

Na wspomnienie niektórych z tych sytuacji fałdy tłuszczu na twarzy pani Corneli ułożyły się w szczęśliwy uśmiech. Poklepała serdecznie dłoń Ingeborgi i umościła się wygodniej na szezlongu, wachlując dyskretnie gazetą rozpalone policzki i szeroko rozłożone uda, bo było naprawdę bardzo gorąco. Ingeborga zaczerpnęła tchu i słowa zaczęły płynąć z jej ust falą prawie tak gwałtowną, jak poprzednio łyzy. Pani Cornelia słuchała jej uważnie, nie przerywając.

Do chwili poznania Renato życie Ingeborgi przebiegało bez większych wzlotów i upadków, czego właściwie należało się spodziewać po kimś, kto urodził się w takiej dziurze jak Laudenbach. Praca w urzędzie finansowym w Bensheimie, gdzie była odpowiedzialna za podatników, których nazwiska zaczynały się na litery K i L - do Lam - nie należała do szczególnie interesujących, ale piątkowe popołudnia miała wolne i mogła wychodzić już o czwartej, jeżeli o siódmej podbiła kartę. W soboty szła z przyjaciółką do dyskoteki, w niedzielę do solarium, a we wtorki na siłownię. Nieudany związek z Simonem z wydziału promocji gospodarczej, z którym przez dwa lata dzieliła mieszkanie i łóżko, zdążyła dawno przeboleć, chociaż do tej pory ścisnęło się jej serce, kiedy widziała zapomnianą przez niego w łazience elektryczną szczoteczkę do zębów. W sumie nawet odczuła ulgę, kiedy się wyprowadził, niby to poza komputerem i piłką nożną nic go nie interesowało, ale zainteresowały go jednak piersi chudej jak szczapa Mareiki z podatku drogowego. Przez parę miesięcy mieszkali nadal razem, bo Simonowi brakowało inicjatywy, żeby spakować walizki i się wyprowadzić, chociaż wystarczyło mu jej, żeby przestać się dokładać do wspólnej kasy. Na szczęście Annette z nieruchomości miejskich, poznana na kursie doszkalającym „Rozwiązywanie konfliktów na drodze mediacji”, zwierzyła się jej w przerwie obiadowej,

że właśnie przeprowadziła się do swojego nowego chłopaka i szuka dla swojego eks, równie pozbawionego inicjatywy jak Simon, współlokatora. Wspólnie wstawiły więc graty Simona do mieszkania byłego przyjaciela Annette, wymieniły zamki w drzwiach i poszły to uczcić do Eis-Café Venezia, gdzie nad srebrzystymi pojemnikami z *cassate, gelati e sorbetti**⁵³ królował Renato.

Dla dziewczyny urodzonej między Bensheimem i Dieburgiem mężczyzna taki jak Renato musiał wydać się objawieniem. Miał wąskie biodra i szerokie bary, śnieżnobiałe zęby i zniewalający uśmiech, śniadą, gładko wygoloną twarz i nie tyle wąsik, co cieniutką linię zarostu, ciągnącą się nad górną wargą, wzdłuż kości zuchwy i brody. Był to z całą pewnością jedyny tego typu wąsik w całym Bensheimie. Poza tym był elegancki, nosił modnie skrojone garnitury, wążutkie okulary słoneczne przy każdej pogodzie i goździk w butonierce. Potrafił mówić komplementy, od których Ingebordze robiło się na przemian gorąco i zimno, unosił wskazującym palcem jej podbródek do góry, żeby ją pocałować, kupował jej czekoladki i kwiaty.

- Ale alfons! - stwierdził krótko Simon, kiedy wpadł po resztę swoich rzeczy i zastał Ingeborgę w ramionach Renato, ale ona wiedziała, że to zazdrość przez niego przemawia, bo zdążył już poobijać sobie boki o wystające kości Mareiki i teraz żałował, że dał się jej złapać, chociaż zamiast piersi miała dwa piegi.

Renato nie tylko wyglądem bił na głowę innych chłopaków, których znała - straszliwie nudnych urzędników, którzy szurając nogami, człapali po niekończących się korytarzach wydziału finansowego, i dawnych kolegów ze szkoły, wykonujących dziś mało romantyczne zawody mechaników samochodowych, hydraulików albo dekarzy. Renato był przedsiębiorcą, głowę miał pełną planów, chciał w życiu coś osiągnąć, zamierzał ze swojej Eis-Café Venezia zrobić ekskluzywną *ristorante* z ciężkimi meblami z ciemnego kasztanowca, belkami na

⁵³ *Desery lodowe.

suficie, z których zwieszałyby się warkocze czosnku i wiązanki ziół, haftowanymi ręcznie obrusami, świeżymi kwiatami w wazonach i olejnymi obrazami, pokazującymi zachód słońca nad Capri. Do takiej *ristorante* przyjeżdżaliby ludzie nawet z Frankfurtu albo Wiesbaden, w końcu jeżdżą tysiące kilometrów, żeby zjeść we Włoszech prawdziwą neapolitańską *pasta* i posłuchać przy tym *le canzoni*, które on może im zaśpiewać lepiej niż Eros Ramazotti. W tym momencie Renato brał do ręki mandolinę, na której grał całkiem zgrabnie i przyjemnym tenorem nucił „Płyn barko moja” i „Wróc do Sorrento”, od czego Ingeborga słabła, bo do tej pory jeszcze nikt dla niej nie śpiewał i nikt jej nie szeptał do ucha, że już wkrótce zabierze ją ze sobą do Neapolu, przedstawi *la mamma*, pokaże Lazurową Grotę i będzie dla niej zrywał dojrzałe cytryny.

Jakże więc mogła mu odmówić, kiedy poprosił o pomoc?

Długi Renato wynosiły 150 000 marek - suma wydała się Ingebordze astronomiczna: przez całe swoje życie udało jej się zaoszczędzić raptem 5000. Słaba koniunktura, tłumaczył, wysokie koszty, transport wina, które nieszczęśliwym trafem skwaśniało w drodze, horrendalne niemieckie podatki. Podatki! W tej dziedzinie Ingeborga niewątpliwie dysponowała sporą wiedzą, chociaż później w ogóle nie mogła sobie przypomnieć, czy pomysł stworzenia trzech wirtualnych podatników o nazwiskach zaczynających się na litery K bądź L, i wpłacenia na ich konta po 17 558 marek z tytułu zwrotu nadpłaconych podatków powstał w jej własnej głowie, czy też w głowie Renato. W każdym razie operacja przebiegła pomyślnie i nie zdziwiła nikogo, bo do dokonywania przelewów nieprzekraczających 20 000 marek Ingeborga była upoważniona; bez większych problemów udało jej się podreperować stan finansów trzech nieistniejących obywateli i ośmielona tym, właśnie zamierzała powołać do życia czwartego i zasilić jego konto, kiedy na korytarzu zastąpił jej drogę kolega Blum z wydziału rewizji wewnętrznej.

- Ingeborgo - powiedział głosem skrzypiącym jak żyletka przesuwana po szkle - daję ci trzy tygodnie czasu i ani dnia dłużej. Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, jak się nazywa to, co zrobiłaś? Sprzeniewierzenie, fałszowanie dokumentów, kradzież... Stracisz pracę i pójdziesz do więzienia, i to na progu nominacji na urzędnika dożywotniego! Wierzę, że miałaś ku temu poważne powody i szczerze chciałbym ci pomóc, ale mimo uczuć, jakie dla ciebie od lat żywię, dłużej nie mogę cię kryć. Wpłać te pieniądze z powrotem i módl się, żeby to nigdy nie wyszło na jaw, bo pójdziemy siedzieć oboje.

W ten sposób Ingeborga dowiedziała się, że zaprzęta myśli kolegi Bluma z wydziału rewizji wewnętrznej, którego obciążona ściśle skórą czaszka przypominała trupa głowę, palce były chude i nerwowe, a głos brzmiał jak skrzypiąca żyletka. Nigdy nie podejrzewała go o posiadanie jakichkolwiek uczuć, wydawał jej się istotą całkowicie aseksualną i wzdrygała się na samą myśl o dotknięciu jego ruchliwych dłoni, na pewno zimnych i wilgotnych jak skóra gada, a jednak kolega Blum - Heribert! - był gotów zaryzykować dla niej całą swoją karierę zawodową. Musiała przyznać, że było to bardzo szlachetne z jego strony.

Złożyła pełen wdzięczności pocałunek na policzku trupiej głowy i bliska histerii popędziła do Eis-Café Venezia.

- Nic się nie martw, *amore mio* - uspokoił Renato szlochającą rozpaczliwie w jego ramionach Ingeborgę, odsuwając ją lekko, żeby mu nie zaśliniła gorsu koszuli. - Do jutra zdobędę pieniądze, kuzyni mi pożyczą. Wpłacisz je i nikt nie zauważy, że przez jakiś czas coś się nie zgadzało.

Ale kiedy zjawiała się następnego dnia, kawiarnia była zamknięta, światła pogaszone, rolety spuszczone, a na drzwiach widniała kartka: **Zamknięte z powodu urlopu**. Najpierw stukała cierpliwie, potem waliła pięściami, aż zaczęły krwawić kostki jej palców, w końcu kopała z całych sił, ale za drzwiami panowała głucha cisza.

- Pan Leneto wyjechać - poinformował ją wietnamski sprzedawca sushi, popychający przed sobą wózek z przenośnym grillem.

- Wyjechał? Jak to, wyjechał? Dokąd? - zawołała zrozpaczona Ingeborga. - A kiedy wróci?

Sprzedawca sushi pokręcił przecząco głową.

- Nie włócić. Lokal mnie sprzedać. Tu być telaz Asia Lestolant - oznajmił z dumą i uniósł w górę plakat, na którym widniał czerwony smok na złotym tle, trzymający w zębach napis: *Wkrótce otwarcie! Nasza specjalność: kaczką po pekińsku i prosię w sosie kokosowym.*

Już od tygodnia Ingeborga szukała Renato w labiryncie Neapolu i powoli traciła nadzieję, że kiedykolwiek uda jej się odzyskać miłość ukochanego, a przynajmniej te 52 674 marki, które w niego zainwestowała. Ischia była ostatnim śladem: mieszkał tu kuzyn Renato, którego adres udało jej się odnaleźć, ale okazało się, że kuzyn wyemigrował do Kanady i w ten sposób także i ten ślad się urwał.

- Ajajajajaj - jęknęła donna Cornelia, kiedy Ingeborga skończyła swoją opowieść i utkwiała w niej ufne spojrzenie. - Akurat Neapol! To miasto ma ponad milion mieszkańców, z czego połowa to złodzieje! *Centauristi* na motorach wrywają ci w pełnym pędzie torebkę albo zdzierają z szyi łańcuszek, a kamorra? Nigdy nie słyszałaś o kamorze? Tu się każdy sklep, każda knajpa opłaca mafii! I jak ty chcesz znaleźć twojego gagatka wśród tych wszystkich gagatków?

- Niechże pani nie straszy tej nieszczęsnej dziewczyny, pani Cornelio. - Jochen położył opiekuńczym gestem rękę na piegowatych ramionach Ingeborgi. - Neapol wcale nie jest bardziej niebezpieczny niż na przykład Rzym, a kamorra jest poważną instytucją, największym pracodawcą regionu, i nie zaprzęta sobie głowy turystami.

- Jochen, chyba nie mówi pan tego na serio! Wymuszanie haraczu, handel bronią i narkotykami, prostytutka...

- Pani Cornelio, ja zawsze mówię serio. Tu, na Południu, kamorra zawsze była gwarancją przeżycia: załatwiała pracę, opiekowała się wdowami i sierotami. Owszem, trzeba się jej było opłacać, ale państwo też ściąga podatki, a roboty nie daje, o maluczkich szybko zapomina i jest znacznie gorzej zorganizowane. I na tę organizację właśnie liczę.

- Naprawdę mógłby pan pomóc Ingebordze? - Pani Cornelia splotła w modlitewnym geście serdelki palców na piersi i oczy jej zrobiły się okrągłe z ciekawości. - Chce pan przez to powiedzieć, że utrzymuje kontakty z mafią?

- Droga pani, poruszając się łątami na niepewnym terenie, nauczyłem się jednego: trzymać język za zębami. Dyskrecja jest gwarancją przeżycia. Gdybym miał kontakty z mafią, to bym o nich pani z całą pewnością nie opowiadał. Ingeborgo, zakładam, że nosi pani na sercu zdjęcie tego niewdzięcznego Renato? Proszę mi je pożyczyć i przestać płakać, na miłość boską, będzie pani miała czerwony nos, a na to żadna blondynka nie może sobie pozwolić. A teraz panie wybaczą, muszę przeprowadzić parę rozmów telefonicznych.

Pocałował powietrze nad tłustym przegubem pani Cornellii i oddalił się, pogwizdując.

- Fascynujący mężczyzna - powiedziała, odprowadzając go wzrokiem i masując czule przegub. - I taki tajemniczy. Czy on naprawdę ma jakieś dojścia do kamorry, Andrea?

Andrea uśmiechnęła się jak sfinks i nic nie powiedziała.

W rzeczywistości poza signorem Pasquale, właścicielem garażu, w którym wynajmował od czasu do czasu samochód, Jochen nie znał żadnych członków organizacji, a signor Pasquale był już na emeryturze i robił wyłącznie kryształowe interesy. Po wycofaniu się z aktywnej służby wielu inwestowało w bary, restauracje albo właśnie garaże. Dziewięćdziesiąt procent ich właścicieli miało za sobą kryminalną przeszłość i można im było powierzyć samochód z całkowitą

ufnością, bo nikt przy zdrowych zmysłach nie odważyłby się skraść czegoś, co stało pod dachem *camorristy*, obojętnie, aktywnego czy też znajdującego się w stanie spoczynku.

Nie bardzo można to było nazwać powiązaniem ze światem przestępczym, ale Jochen bywał czasami próżny i podobało mu się odgrywanie w oczach Wdowy po Artyście roli człowieka o nieograniczonych możliwościach. Liczył jednak nie tyle na swoje kontakty z mafią, ile na znajomości wśród lokalnych reporterów, szczególnie na Gina Letizie, moderatora z RAI 3, śledzącego skrupulatnie od lat kariery kolejnych ojców chrzestnych. Gino szczerze podziwiał nowego prezydenta prowincji, Amata Lambertiego, który wypowiedział zdecydowaną walkę organizacji. Lamberti, bardzo fotogeniczny profesor socjologii, założyciel Camorra-Osservatorio, instytutu badającego społeczne korzenie zorganizowanej przestępczości, i członek Parlamentarnej Komisji Antymafijnej, był człowiekiem rzeczywiście nieustraszonym. Kiedy Jochen ostatnio umówił się z Ginem na drinka w galerii Umberta, Włoch opowiadał mu głównie o syzyfowych wysiłkach prezydenta:

- Niezwykły facet! Jego własna policja mówi mu: „*Presidente*, czy naprawdę musi pan szukać guza?”. Pojechałem z nim raz do Torre Annunziata, tam jest dom starego Gionty, który w tej chwili siedzi. Dom, jako własność skazanego *camorristy*, niby to jest od dawna skonfiskowany, a tymczasem gnieździ się w nim z pięćdziesiąt rodzin - sami kuzyni, szwagrowie, siostrzeńcy. Jak tylko spróbowaliśmy tam wejść, cała ta szarańcza na nas się rzuciła - Lambertiemu nawet złamali ramię - a policja nic, stała i się przyglądała. Ostatnio, na meczu ligi regionalnej, kibice uczcili minutą milczenia pamięć innego ojca chrzestnego, Cosima Cordiego - tak to u nas wciąż jeszcze jest.

Jeżeli kogokolwiek można było nazwać ekspertem w sprawie kamorry, to był nim Lamberti, a w pobliżu Lambertiego był zawsze Gino - lepszych znawców sceny nie można było sobie wymarzyć. Na pewno mieli swoich informantów.

Nie było też wykluczone, że mafia, kierująca się swoistym kodeksem honorowym, roztaczała opiekę nie tylko nad wdowami i sierotami, ale też i nad naiwnymi, oszukanymi blondynkami. Bardzo możliwe, że Renato będzie się musiał z Ingeborgą ożenić.

Inny potencjalny oblubieniec, Fabio, chodził z dumnie wypiętą piersią, sygnalizując wszystkim innym samcom, że jego wysiłki zostały ukoronowane sukcesem, który przekroczył najśmielsze oczekiwania. Gestem posiadacza otulał ramiona dagestańskiej księżniczki koronkowym szalem, muskał palcami zachwycający karczek, szeptał do różowej muszli ucha płomienne zaklęcia i nosił pod pachą zrezygnowanego pudelka. Jego kroki nabrały sprężystości, policzki rumieńców, oko blasku.

- Nawet rusza się zupełnie inaczej - podzielił się ze mną swoimi obserwacjami Jochen. - Jak kogut na śmietniku: pycha tak go rozpiera, że mu ramiona od tułowia odstają, mam wciąż wrażenie, że za chwilę nimi zatrzepocze, zapieje i wzbije się w powietrze.

Któregoś wieczoru spotkałam go w ogrodzie, opartego o kamienną balustradę, z wzrokiem wbitym tęsknie w dal.

- *Principe* Spinelli? *Conte* Fabio? *Ducal* - szeptał do siebie rozmarzony. - A może *marchese!*

- No ja tam nie wiem, Fabio, jak to jest z arystokracją w takim Dagestanie - powiedziałam. - Byłabym na twoim miejscu raczej ostrożna. Taka *principessa* oznacza może w tym kraju tyle samo co „córka dyrektora kołchozu” albo „dziedziczka stada baranów”. Co kraj, to obyczaj, nigdy nie wiadomo.

- Z tym mercedesem? Kierowcą? Pudelkiem? - oburzył się Fabio. - Manierami, elegancją, znajomością obcych języków, kijami golfowymi? W kołchozie nauczyliby ją francuskiego i gry w golfa?

Przyznałam mu rację. Związek Radziecki pamiętałam jak przez mgłę, ale półgolfowych tam z całą pewnością nie widziałam. Widziałam natomiast niekończące się, bezludne stopy i starannie ułożone wzdłuż torów kolejowych hasła z białych kamyczków: ***Niech żyje wielka socjalistyczna Rewolucja Październikowa!***

W niedzielę po wieczornej mszy zakochany Fabio postanowił przedstawić wybrankę najbliższemu znajomym i ***padre*** Onofrio, duszpasterzowi rodziny Spinelli. Zapadał już mrok i otworzyły się bladożółte i fioletowe kwiaty nikocjany, rosnącej w załomach porowatych murów, a na wiodącym do Castello moście zapaliły się latarnie, kiedy z katedry wysypał się tłum wiernych i zaczął się dzielić na zaaferowane grupki, prowadzące radosnym wrzaskiem rozmowy. Na samym końcu wyszła z modlitewnikami w rękach grupa sióstr zakonnych w sztywnych białych habitach i czarnych welonach, a za nimi trzej księża, wszyscy w takich samych okularach w złotych oprawkach. Jednym z nich był ***padre*** Onofrio, który schodził powoli ze schodów, podkasawszy wysoko sutannę.

- ***Mia fidanzata, padre***^{*54} - przedstawił Fabio Marusię. - ***Principessa*** z Dagestanu. Żenić się będę!

Z dumą powiódł wzrokiem po zebranych, którzy na chwilę zaskoczeni umilkli, ale zaraz rzucili się do gratulowania, ściskania i całowania, poklepywania i wydawania okrzyków na cześć młodej pary. Zrobił się straszliwy tumult, a płynący tuż przed schodami katedry nieprzerwany potok samochodów i skuterów zbił się natychmiast w korek, bo każdy pragnął dowiedzieć się, o co chodzi, a kiedy już wiedział, przyłączał się do tłumy gratulantów, porzucając swój pojazd na środku jezdni. Radosne okrzyki ***Eviva! Eviva!*** mieszały się z dźwiękiem klaksonów, rykiem podrasowanych silników, nawoływaniem i trzaskiem otwieranych okiennic, bo mieszkańcy okolicznych domów też nie chcieli niczego uronić z widowiska. Zadowolony z efektu Fabio rozglądał się uszczęśliwiony dookoła,

⁵⁴ * Moja narzeczona, ojczec.

oddawał uściski, pozdrawiał, machał ręką i przesyłał koniuszkami palców pocałunki.

To było w niedzielę, a w poniedziałek Marusia, ubrana w dziewiczo białą sukienkę, z gałązką białego oleandra przy dekolcie, przefrunęła przez salę, powiewając kartką papieru i zarzuciła Fabiowi ramiona na szyję.

- Przyniosłam rachunek - zaćwierkała.

- Jaki rachunek? - zapytał zbity z tropu Fabio, mrugając bezradnie swoimi oczami krótkowidza. Okulary inne niż słoneczne nie wchodziły u prawdziwego południowca naturalnie w grę ze względu na *bella figura*. - Żadnego rachunku wam nie wystawiałem.

- Ale ja tobie! - promieniała Marusia. - Wyjeżdżamy, a tu masz rachunek.

- Za co?

- Za wszystko, za wszystko, za wszystko - podśpiewywało dagestańskie dziewczę. - Za Capri, za Neapol, za mój czas, za twoją przyjemność, za... Ach, sam wiesz najlepiej, za co jeszcze.

Fabio rozejrzał się bezradnie po sali. Brat Marusi i kierowca wstali jak na komendę i bezszelestnie ustawili się po obu stronach drzwi. Wybrzuszenia marynarek, pod którymi do tej pory dopatrywaliśmy się komórek, ukazały nam się pod zupełnie innym kątem widzenia. Fabio rozłożył kartkę sztywnymi palcami i jęknął jak śmiertelnie zranione zwierzę.

- Dziesięć tysięcy dolarów? Piętnaście milionów lirów? Na miłość boską, Marusiu, za co? Przecież się kochamy, mamy się pobrać! Czy to ma być *un scherzo*, coś do śmiechu, jakiś żart? *O Santa Madonna*, Marusiu, powiedz, że to żart!

- Do śmiechu? - zastanowiła się Marusia. - Nie wiem, czy Oleg w ogóle wie, co to jest poczucie humoru, ale możesz to, oczywiście, sprawdzić. A to, co dla jednych jest kochaniem, dla innych bywa ciężką pracą. Powiem ci zupełnie szczerze: jedyne go wartego grzechu fiuta, jakiego tu widziałam, miał ten facet z kopytami w muzeum archeologicznym, co rznął kozę.

- Milcz! - syknął Fabio, rozglądając się spłoszony. Obecni na sali pospiesznie skoncentrowali całą swoją uwagę na kontemplowaniu skorupki jajek i podziwianiu przez okno pięknych widoków.

- Dlaczego? Sam mnie przecież zaprowadziłeś do tego Sekretnego Gabinetu. Chciałam przez to tylko powiedzieć, że wy, Włosi, możecie się pochwalić piękną tradycją historyczną, wasze muzea kształcą, a zainteresowanie sztuką jest kolosalne: pół godziny trzeba było stać w kolejce, żeby sobie na te kamienne kutasy popatrzeć.

- Prom do Neapolu odpływa za pół godziny - przypomniał od drzwi brat Marusi, o ile był to w ogóle jej brat. Badając dokładniej rysy jego przystojnej twarzy, doszłam do wniosku, że wykazywały podobieństwo rodzinne tylko do Omara Sharifa.

- Na twoim miejscu dałbym jej te pieniądze, Fabio – doradził życzliwie Jochen, nie spuszczać oka z muskularnych sylwetek, niedbale flankujących jak dwie żywe kariatydy portal.

Grube krople potu na czole Fabia zamieniły się w rączy strumyki. Drżącą ręką sięgnął po książeczkę czekową, ale Marusia żartobliwie pogroziła mu wymaniakowanym paluszkiem przed nosem, a kierowca na widok takiej naiwności wzniósł oczy ku niebu.

- Gotówkę, kumpel - rzucił dobrotliwie brat. - Żadnych czeków.

- Kiedy nie mam tyle gotówki przy sobie! - zakwilił Fabio. - Dajcie mi pójść do banku.

- Masz, masz, przecież zamierzałeś zapłacić tym chorwackim murarzem, którzy przebudowują piętro. - Marusia ochoczo pomogła jego pamięci. - Nawiasem mówiąc, to bardzo niepatriotyczne, zatrudniać nielegalnie cudzoziemców. Pozwolenia na budowę też nie masz. Wy tu, na Południu, nie traktujecie przepisów zbyt serio, co? Pieniądze schowałeś w sejfie za obrazem świętego Antoniego Padewskiego z liliami; na twoim miejscu nie wieszalabym sobie świętego nad

łóżkiem, w którym... no, już sam wiesz co. To takie obsceniczne. Powinieneś go chociaż zasłaniać ręcznikiem, kiedy nie jesteś sam.

Fabio złapał się za głowę i rzucił w głąb korytarza wiodącego do sypialni gospodarzy. Don Battista odprowadził go wzrokiem pełnym pogardy.

- Madonna, serce mi pękać, kiedy pomyśleć, że ten *cornuto pazzo*^{*55} to mój syn - powiedział gorzko, składając ręce jak do modlitwy. - Oby mi jaja odpaść, zanim go spłodzi! Wierzyć mi się nie chce: piętnaście milionów lirów za to, że babę przelecieć! Mnie w jego wieku kobiety prezenty dawać, omdlewać z miłości, iść do klasztoru albo do wody, do łóżka mi się pchać i do ołtarza ciągnąć. Przebierać mogłem między niewinnymi dziewczeczkami i wesołymi wdówkami - rozwódek to u nas na Ischii, na szczęście, nigdy nie być - między młodymi, pięknymi i bogatymi, a ten co sobie znaleźć? Ruską dziwkę!

- Pan sam miał na nią ochotę, don Battista – przypomniała mu pani Cornelia złośliwie. - Jakie to były trele, jakie zachwyty! Jak słowik w maju, cały repertuar klasyczny przed nią pan odśpiewał. Guccim się pan spryskiwał, różę jej w zębach podawał, bażanta piec kazał, *principessa* nazywał, tak się panu podobała.

- Ale na czas się wycofać - zastrzegł się z godnością don Battista. - Mnie żadna kobieta w butelkę nie nabić, nawet taka noworuska!

Z głębi korytarza dobiegły nas jęki Fabia, oplakującego swoją miłość, marzenia o szczęśliwej przyszłości jako księżę małżonek i piętnaście milionów. Słaniając się, powłócząc nogami i czepiając ścian, dowlókł się w końcu do hallu i wyciągnął ku Marusi paczkę zawiniętych w papier banknotów.

- Piętnaście milionów - powiedział grobowym głosem. - Milion za każdy dzień.

- W takim razie była to oferta specjalna - zapewniła go Marusia, niedbale odbierając pieniądze. - Moim zdaniem obraz latynoskiego kochanka w literaturze i

filmie jest nieprawdopodobnie przesadzony. Bardzo możliwe, że robicie koło siebie tyle szumu, żeby podtrzymać się na duchu. W mojej ojczyźnie nazywamy ten fenomen chujem na kaczych łapach.

Kiedy błyszczący jak trumna mercedes dagestańskich gości zniknął za zakrętem, willa pogrzyżała się w żałobie. Zaciągnięto szczelnie zasłony, przykryto chustami lustra, w wazonach ułożono wydzielający mdły aromat białe chryzantemy. Zdaniem pani Cornelii, która znała don Battistę od lat, cierpienie, jakie odczuwał po stracie dziesięciu tysięcy dolarów, dało się porównać jedynie z rozpaczą po stracie żony. Przede wszystkim cierpiała jego miłość własna: świadomość, że padł ofiarą oszustki, sprawiała mu niewymowny ból. Opuściła go radość życia, przestał śpiewać, jego spojrzenie zmętniało, czerstwa do tej pory skóra poszarzała i opadły mu ramiona. Nie tylko przygarbił się, ale i zmałał, nogawki spodni ciągały się teraz po ziemi, a rękawy zwisały z przegubów.

- Ojej, może w ogóle nie podniesie się po tym ciosie – mówiła złowróźnie pani Cornelia.

Agnesina odczyniała energicznie czary i modły. Powiesiła wszędzie chroniące przed złym urokiem *corni*, czerwone różki, podobne do świeżo wyrwanych siekaczy, w kuchni ustawiła zaimprovizowany ołtarz z obrazem patrona wyspy, świętego Giovana Giuseppe delia Croce, ubranego w skromny habit franciszkanina i wyciągającego ręce do wychylającego się z filuternym uśmiechem z obłoków Dzieciątka. Przed ołtarzem migotał płomyk lampki oliwnej i stała tajemnicza szkatułka, w której Agnesina, jak się ku mojemu przerażeniu okazało, trzymała wypolerowaną do blasku ludzką czaszkę.

- No cóż, to taki ludowy zwyczaj - próbował nas uspokoić profesor Schnuller-Gatzweiler. - Cały Neapol stoi na pieczarach i katakumbach, pozostałych po wydobyciu wulkanicznego tufu, z którego zbudowano miasto. Na początku XIX wieku, po strasznej epidemii cholery, zaczęto tam grzebać ofiary zarazy, segre-

gując osobno czerepy, osobno piszczele i żebra. Po latach pobożne kobiety zaczęły te kości zbierać i kompletować z nich szkielety. Skompletowanego zmarłego zaopatrywano w tabliczkę z nazwiskiem i stawał się w ten sposób niejako zaadoptowanym członkiem rodziny. Zapalano mu świece i skracano czas pobytu w czyścicu modłami, oczekując jednocześnie, że zrewanżuje się dobrą radą w kwestiach finansowych albo podpowie właściwe liczby totolotka. Pomocną w trudnych sytuacjach może się też okazać sama czaszka, o ile jest pieczołowicie polerowana, i taką właśnie czaszkę z Cava delie Fontanelle trzyma Agnesina w swojej skrzyneczce.

- Czaszka zmarłego na cholere trupa w kuchni?! - wrzasnęłam. - Agnesina sieka szczypiorek, a w przerwach poleruje czerep? Może nawet ścierką do naczyń? Don Battista, ja się absolutnie nie zgadzam na żadne ludzkie szczątki w kuchni, jakieś przepisy higieniczne muszą chyba istnieć także i na Ischii!

- W przepisach nie być nic na temat czaszek - zastrzegł się don Battista z godnością. - O karaluchach być, o szcurach też, a o czaszkach ani słowa.

- Pozwolę sobie zauważyć, że miejscowa ludność traktuje tradycje religijne z dużą powagą i nie przystoi nam stawiać ich pod znakiem zapytania - szepnął ostrzegawczo profesor Schnuller-Gatzweiler. - Agnesina wierzy głęboko, że jej zmarły pośredniczy między nami i zaświatami, a odnoszę wrażenie, że i don Battista podziela tę wiarę.

- Religia religią, a kuchnia kuchnią - poparła mnie nieoczekiwanie pani Cornelia. - Wszelkie przejawy pobożności u ludności miejscowej, rzecz jasna, szanujemy, ale na czaszkę w kuchni stanowczo się nie zgadzamy. Dowody religijności może sobie Agnesina składać u siebie w sypialni. San Giovan Giuseppe może ostatecznie zostać, chociaż w tym połatanym habicie też jest ogromnie nieapetyczny.

- Był ascetą - wtrącił profesor. - Propagował życie w surowości. Obnosił swoje łachmany z dumą, aczkolwiek pochodził z arystokratycznego rodu.

- Na pewno okropnie śmierdział - stwierdziła sucho pani Cornelia. - Ci wszyscy katoliccy święci mieli skłonność do hysterii i egzaltacji... ciała przeszyte strzałami, palce w krwawiących ranach, odcięte głowy pod pachami... Bardzo niesmaczne.

Don Battista z dużą niechęcią podjął się prowadzenia rokowań z Agnesiną. Musiały być trudne, bo z kuchni dochodziły przez długi czas infernalne wrzaski, a potrawy wjeżdżały na stół przypalone i przesolone. Szkatułka z czaszką zniknęła w końcu dzięki taktownej interwencji Cookiego, którego Agnesina zawsze darzyła szczególnym szacunkiem, ze względu na jego wyjątkowe zdolności: Cookie był mianowicie synestetykiem i smaki gotowanych przez nią potraw miały dla niego określone barwy. Mówił na przykład: „Dzisiejszy suflet był nadzwyczajny, delikatna ultramaryna, wpadająca w indygo”, albo: „Doskonała ta *saltimbocca*, żółcień cynkowa i akurat tyle kurkumy, ile trzeba - w zeszłym tygodniu było może odrobinę za dużo sieni”. Muzykę natomiast kojarzył z zapachami, niektóre arie Verdiego pachniały mu rozgrzanym olejkiem lawendowym, inne rozmarynem, mazurki Chopina świeżo upieczonym chlebem, a Wagner szarym mydłem. Fakt, że don Battista śpiewał przy kolacji, wzbogacał, ale i komplikował Cookiemu spożywanie posiłków, bo do przyjemności związanej z gamą konsumowanych barw i naturalnego aromatu przypraw dołączał się intensywny zapach muzyki, pobudzając bądź hamując jego apetyt.

Umiejętności te budziły w Agnesinie podziw i respekt, po każdej kolacji kazała sobie zdawać szczegółowe sprawozdanie z całokształtu wrażeń, jakie odniósł Cookie przy jedzeniu, i prosiła go z powagą o wskazówki, w jaki sposób mogłaby doprowadzić także i kolorystyczny efekt potraw do doskonałości. Dzięki tej nieprzeciętnej wrażliwości uważała go też za idealne medium i prosiła o rady w kwestiach rodzinnych i zdrowotnych. Często widywało się ich razem w pobliżu cudownego termicznego źródła don Battisty, miejsca, w którym Cookie odczuwał u siebie zmienione stany świadomości, interesujące doznania dźwię-

kowe i wzrokowe, jak eksperymentowali z wahadłem albo kryształową piramidką Zdaniem profesora Schnuller-Gatzweilera nie było w tych paranormalnych fenomenach nic niezwykłego, spowodowane były one bowiem zmianami natężenia ziemskiego pola magnetycznego, które z reguły występują nad uskoki tektonicznymi - a czymże innym była Ischia, jak nie jednym wielkim uskokiem tektonicznym? - ale Agnesiny jego zdanie nie interesowało ani trochę.

- My tu sobie od stuleci z łaskawą pomocą świętego Giovana Giuseppe i Najświętszej Paniienki jakoś radziliśmy, zanim pan profesor się pojawił i pola magnetyczne wymyślił, to i teraz, zaprzeproszeniem, po swojemu sobie poradzimy. Bardzo możliwe, że w Niemczech wszystkiemu winne są uskoki, ale u nas to ktoś urok rzucił i tyle - oświadczyła i przedsięwzięła szereg koniecznych w przypadku zauroczenia kroków, konsultując się przy tym często u Cookiego.

Zastosowane przez nich metody i litanie, które Cesarina kierowała do świętego Antoniego Padewskiego, patrona rzeczy zagubionych, musiały w wypadku Renato odnieść skutek, bo któregoś dnia rzeczywiście pojawił się na progu willi. Wyglądał dokładnie tak, jak go nam Ingeborga opisała i był w asyście dwóch krótko ostrzyżonych i gładko wygolonych mężczyzn, ubranych w ciemne garnitury, białe koszule i krawaty. Ich oczy ukryte były starannie za okularami słonecznymi i może dlatego nie dało się na pierwszy rzut oka powiedzieć, czy byli menedżerami, pracownikami biur podróży, urzędnikami banków czy też członkami kamorry.

Na ich widok don Battista, celebryjący właśnie swój popołudniowy naparstek *limoncello*, zakrztusił się i zaniósł gwałtownym kaszlem, wypuszczając kieliszek z rąk, po który się jeden z przybyłych natychmiast uprzejmie schylił. Ingeborga, pogrążona w cichej rozmowie z panią Cornelią, w której jej naiwność i bezmiar życiowej niezaradności budziły uczucia macierzyńskie, zerwała się na widok ukochanego z szezlonga, na którym przycupnęła. Przy tym gwałtownym

ruchu mebel stracił równowagę, jego wezglowie opadło na ziemię, nogi podjechały do góry, a masa ciała pani Cornellii zaczęła spływać za wezglowiem. Z przyduszonego ciężarem zwałów tłuszczu gardła wyrwał się zdławiony bulgot:

- Na pomoc!

Don Battista, kawaler w każdym calu, dał potężnego szczupaka, chwycił w locie unoszące się majestatycznie kolumny nóg przyjaciółki i sprowadził szybujący w powietrzu mebel ciężarem swojego drobniutkiego ciała znowu do stanu równowagi. Wbity w bujne kształty pani Cornellii, wypłuł przetykane złotą nicią koronki jej tuniki i wybełkotał uprzejmie:

- Witam, signori, czym mogę służyć?

Goście przyglądali się tej scenie z zainteresowaniem.

- Ingeborgo, moje serce! - zawołał wiarołomny Renato, występując do przodu i otwierając zachęcającym gestem ramiona. - Chodź w moje objęcia, niechże cię uścisknę! Co słyszę, czyżbyś się istotnie o mnie niepokoiła? Przecież mówiłem ci, że muszę załatwić parę operacji finansowych, w końcu chodzi o naszą wspólną przyszłość. Dlaczego mi nigdy nie wspomniałaś, że znasz signora Giontę? Zupełnie niepotrzebnie go fatygowałaś, miałem zamiar wrócić w sobotę.

Twarze towarzyszących mu mężczyzn rozjaśnił szeroki uśmiech. Jeden z nich miał zęby jak piła. Drugi, z sygnetem na palcu, wyjął malutki pilniczek i zaczął sobie czyścić w skupieniu paznokcie.

- Zawieziemy cię na lotnisko i pomożemy nieść walizki - powiedział serdecznie. - Signor Gionta jest zdania, że nie byłbyś szczęśliwy w Neapolu. Zbyt wiele lat spędziłeś poza krajem, odwykłeś. Odstałeś od swoich. Wracaj do tego Bensheimu i bądź dobry dla signoriny. Don Federicowi pękłoby serce, gdyby się dowiedział, że skarży się na ciebie.

- Renato, a ja już zważyłam w ciebie - zakwiliła Ingeborga. - Myślałam, że ty nie wrócisz, a ten paskudny Blum doniesie na mnie i pójdę do pudła.

- Jak mogłaś! - oburzył się Renato. - Nigdy w życiu nie postawiłbym cię w trudnej sytuacji, przecież wiesz, ile dla mnie znaczysz. Wszystko ureguluję na czas, zobaczysz.

- Nie wątpimy. - Ten z zębami jak piła klepnął go po ramieniu. - Signor Gionta też jest przekonany, że jesteś człowiekiem honoru. Gdybyś miał jakieś inne plany, to pamiętaj, że wszędzie cię znajdziemy, nawet w tym Bensheimie.

Renato spojrział na niego z bólem i podniósł do ust piegowatą dłoń Ingeborgi.

- Ty mi wierzysz, *carissima*, prawda?

- Wierzę - wyszeptała z oddaniem. Przypominała w tej chwili nie tylko holenderską dziewczynę w sabotach, ale wręcz holenderską krowę. Andrea wzniosła oczy ku niebu.

- Istnieją kobiety tak głupie, że nie sposób ich nie oszukiwać - mruknęła. - Po prostu chcą być unieszczęśliwiane i nic nie można na to poradzić.

Tymczasem don Battista dwoił się i troił za barem, energicznie polerował błyszczący jak lustro kontuar i oglądał pod światło kieliszki.

- Signori, bardzo proszę - zachęcał. - Espresso? Kieliszeczek grappy? A może coś na ząbek? Moja kucharka robi wyśmienite *vitello trifolato*^{*56}... to znaczy robiła do tej pory, teraz więcej się modli, niż gotuje. Wytracona z równowagi, proszę panów, a wszystko przez tych rosyjskich oszustów, których przyjęliśmy pod nasz dach. Nakarmiliśmy ich, okazaliśmy serce i przyjaźń, a oni wykorzystali nasze zaufanie i okradli nas - panowie nie uwierzą, ile jest zła na świecie!

Przybysze pokiwali poważnie głowami.

- Spodziewałem się nieprzyjemności, bo znaki mnożyły się ostatnio. - Don Battista ściszył głos. - Tydzień temu Madonna w Barano krwawymi łzami płakała, zapaćkała księdzu całą sutannę, a w Buonopane źródło się czerwoną pianą

⁵⁶ * Potrawka cieleca z grzybami w sosie śmietanowym.

pokryło. Kuzyn z Vatoliere mi opowiadał. A znowu ciotce mojej kucharki Munaciello*⁵⁷ się ukazał i...

- Munaciello? - zainteresował się ten z pilniczką. - A czapkę na głowie miał?

- O to właśnie chodzi: czapkę miał, ale czarną.

- Zły znak. - Nieznajomi zasepili się i skrzyżowali palce od uroku. - Czarna czapka oznacza kłopoty. Może Wezuwiusz wybuchnie?

- Kłopoty już mieliśmy, przez tych ruskich - pospieszył z wyjaśnieniami don Battista. - Piętnaście milionów nam ukradli!

- Dolarów? - zapytał z niedowierzaniem ten z uśmiechem rekina, obrzucając krytycznym spojrzeniem powypychane na kolanach spodnie i zniszczone klapki don Battisty.

- No nie, lirów, ale to i tak moja ruina - rozczulił się nad sobą don Battista. - Okropność, jacy ludzie zrobili się teraz nieuczciwi, nawet tu, na Ischii. Ale powiedzcie sami panowie: czy to do pomyślenia, żeby się u nas jacyś ruscy oszuci panoszyli?

- Rzeczywiście, nie do pomyślenia - zgodzili się goście, sącząc grappe. - Panu Gionta na pewno się to nie spodoba, w końcu czujemy się odpowiedzialni za porządek w naszym regionie i żadnych ruskich tu nie potrzebujemy. Niech pan nas źle nie zrozumie, don Battista, nie to, żebyśmy mieli coś przeciwko obcokrajowcom, ale istnieją chyba jakieś granice tej pieprzonej globalizacji, no nie?

Don Battista energicznie przytaknął i ponownie napełnił kieliszki gości.

-Ale, ale, *scusi mia curiosità**⁵⁸, don Battista - zagał uprzejmie Uśmiech Rekina - a właściwie jak ci ruscy to zrobili? Napad z bronią w ręku może? Szantaż? Porwanie, nie daj Bóg?

⁵⁷ * Karzełek zamieszkujący wg legend podziemia Neapolu.

⁵⁸ * proszę wybaczyć moją ciekawość

Don Battista wciągnął jak żółw swoją sępią główkę w ramiona, rozejrzał się ostrożnie dookoła, przywołał bliżej swoich rozmówców okrągłym ruchem ręki i zaczął szeptem opowiadać, żywo gestykulując. Jego zwinne dłonie artysty rysowały w powietrzu miękkie kobiece kształty, strzeliste piersi i krągłe pośladki, smukłe uda i gibką talię. Nieznajomi słuchali zafascynowani, nie spuszczać wzroku z jego roztańczonych rąk, a kiedy zaczął kołysać się w biodrach i naśladować taneczne ruchy, przełknęli głośno ślinę i poklepalili się z uznaniem po kolanach. Z coraz większym trudem powstrzymywali chichot, aż w końcu ryknęli śmiechem.

-Aj, a to ci historia! - zawołał Uśmiech Rekina, wykonując wulgarny gest, na widok którego pani Cornelia splonęła rumieńcem i odwróciła z niesmakiem głowę. - To znaczy, za to wam tak słono policzyła? A wie pan, don Battista, że to zupełnie oryginalny pomysł, pan Gionta na pewno się uśmieje. Tak sobie myślę, że don Federico chętnie pozna tę rosyjską ślicznotkę.

- Dagestańską - poprawił don Battista z godnością. - Nie rosyjską, tylko dagestańską.

- Nigdy o takim państwie nie słyszałem.

- Bo go przedtem nie było i nie bez powodu. Stalin sam pochodził z Kaukazu i dobrze wiedział, dlaczego trzeba zadrutować ten cały kraj. - Tu don Battista westchnął, a Jochen wzniosł oczy ku niebu na ten tak uproszczony obraz świata. Woleliśmy nawet nie wiedzieć, na kogo głosuje don Battista w wyborach, wielu mieszkańców tej części kraju do tej pory uważało Mussoliniego za męża opatrnościowego, któremu Mezzogiorno zawdzięczało okres prosperity.

- Te pieniądze... czy widzą panowie jakąś możliwość?

- Fifty-fifty - zastrzegł się ten z pilniczkiem. - W razie, gdybyśmy je odzyskali, dzielimy na pół.

- Jedna czwarta? - zaproponował nieśmiało don Battista, ale jedno spojrzenie i wycelowany w jego pierś pilnik wystarczyły, żeby zaniechał dalszych pertraktacji.

cji. - Jasne, fifty-fifty - przytaknął, spuszczać głowę i szurając klapkami. Jego skąpe serce krwawiło na samą myśl o zawrotnej cenie proponowanej usługi, ale rozsądek odradzał próby dyskusji. Odzyskane siedem i pół miliona było oczywiście lepsze niż bezpowrotnie stracone piętnaście.

*

Jochen zamierzał jak najszybciej wybrać się do Neapolu, żeby podziękować Ginowi Letizii za tak błyskawiczną interwencję, ale następnego dnia pogoda się popsuła. Nad ranem rozpoczął się sztorm, potężny podmuch wiatru przewrócił z hukiem fotele na tarasie, przygiął do ziemi stuletnie pinie i położył pokotem krzewy oleandrów. Posadzkę zasłały wciśnięte jego impetem przez szczelinę pod drzwiami suche liście, przemoknięte motyle i długie szpilki pinii, a za oknami jak błękitny deszcz posypały się wielkie kwiaty powoju.

Przestraszone gekko weszło bezszelestnie do pokoju i znieruchomiało na suficie, przybierając kształt pełnego wyrzutu znaku zapytania. Zielone okiennice wyrwały się z zawiasów i gniewnie uderzały o ściany. Zanim zdążyłam zamknąć okno, do pokoju wtargnęła fala deszczu i lodowatego powietrza. Założyłam dwie pary skarpetek, naciągnęłam koc na głowę i próbowałam znowu zasnąć, ale dom jęczał i drżał, jakby nim targała dłoń olbrzyma, a na tarasie jedna po drugiej spadały z hukiem ceramiczne donice z posadzonymi dłonią pani Pawelke pelargoniami.

Ranek wstał blady, skąpo odsłaniając majaczące w półmroku mury budynków, postrzępione pióropusze palm i rozkołysane parasole pinii. W zielonkawej poświacie zatarła się granica między niebem a wodą, widoczne zazwyczaj na horyzoncie kontury Procidy i Capri gdzieś znikły i tylko jaśniejsze pasmo gotującej się kipieli pozwalało się domyślić, gdzie zaczyna się ląd. Przykryta kloszem deszczu willa stawiała w tym odmienionym przez noc świecie zupełnie samotnie

czoła nawałnicy, jak latarnia morska. Głęboko w dole potężne fale przelewały się przez kamienne ostrogi chroniące port i rozbijały z rykiem o skały.

- Bardzo prawdopodobne, że będzie trzęsienie ziemi - oświadczył profesor Schnuller-Gatzweiler z rozjaśnioną twarzą. Ubrany był w biały sweter z golfem, żółtą zydwestkę, kalosze z wywiniętym brzegiem i rybacki kapelusz zakrywający kark, a na szyi zawieszoną miał lornetkę.

Od świtu zajmował strategiczną pozycję w przeszklonym ze wszystkich stron wykuszu jadalni, skąd obserwował nieliczne statki, które sztorm zaskoczył na morzu. Wiatr wiał równoległe do brzegu wyspy i spiętrzone fale nie pozwalały im zawinąć do bezpiecznego portu. Niezmordowanie podejmowały próby zwrotu, ich rozkołysane dzioby wyłaniały się z wody i znowu ginęły pod jej powierzchnią, ale za każdym razem, kiedy choć przez chwilę ustawiały się bokiem do fali, nabierały tak niebezpiecznego przechyłu, że tylko szybki manewr ratował je od wywrócenia. Profesor, stojąc w lekkim rozkroku na niskim parapecie okna, kołysząc się z boku na bok, jakby miał pod nogami roztańczone deski pokładu, dyry-gował ich ruchami, wymachując lornetką.

-No dalej, dalej, dalej! - wołał niezadowolony. - Ustaw się dziobem do fali, ofiaro losu! Kurs na Punta San Piętro i cała naprzód! Jeszcze nie teraz, przecież ci mówiłem: dalej, dalej, dalej!

Dzięki wysiłkom profesora statkom udało się w końcu schronić w porcie, ale żółtozielony prom, nad którego pokładem przy kolejnych próbach wciąż zamykało się morze, nadal walczył z żywiołami. Zbici za plecami profesora w trwożliwe stadko, przyglądaliśmy się rozgrywającemu się u naszych stóp dramatowi, wydając pełne zgrozy okrzyki, kiedy dziób promu zbyt długo nie wyłaniał się z wody.

- Pięć pięter - wyszeptała Andrea. - Spójrz tylko, on za każdym razem zapada się pięć pięter w dół, a potem znowu podnosi pięć pięter do góry. Pomyśl, że byłby to ten środek lokomocji, którym musiałabyś bez względu na pogodę codziennie dojeżdżać do pracy, zamknięta pod pokładem jak w trumnie.

- Są przyzwyczajeni - powiedział profesor z przekonaniem. - Mieszkają pod wulkanem, ziemia im się pod nogami trzęsie, przejeżdżają skrzyżowania na czerwonym świetle i do sztormów też mają inny stosunek.

Prom zrezygnował, zawrócił i wziął kurs na Procidę.

- Oferma - skomentował profesor zimno. - Dyletant. A przecież niebo już się rozjaśnia i morze uspokaja!

Zeskoczył z parapetu, zdjął kapelusz i otrzepał go energicznie z nieistniejącej piany. Pogoda rzeczywiście się poprawiała i statki nie potrzebowały już jego pomocy.

Nad srebrnym paskiem kipieli wyłoniła się na horyzoncie krawędź lądu, na brudnej szarości wciąż jeszcze wzburzonego morza zaczęły rozlewać się plamy turkus, a za naszymi plecami rozstąpiły się chmury i poszybowały z zawrotną szybkością nad szczytami gór na wschód. Tutaj wszystko miało płynne granice, tylko krok dzielił idyllę od tragedii, a życie być może dlatego wydawało się tak kuszące, że można je było w każdej chwili stracić. Żywioły były nieokiełznane, przyroda nieobliczalna, a otoczeni nią ludzie namiętni i świadomi smaku każdej przeżytej chwili.

Na schodkach prowadzących do willi dały się słyszeć obce głosy. To Giancarlo, właściciel trójkołowej taksówki ozdobionej kolorowymi proporczykami, prowadził na taras swoich gości, żeby im pokazać najpiękniejszy na wyspie widok na Castello. Często się zastanawiałam, czy don Battista udostępniał mu ten widok za darmo, bo właściwie u don Battisty nic nie było gratis.

- Jaka szkoda, widoczność jest dzisiaj słaba - tłumaczył zmartwiony Giancarlo. - Tu, na prawo, proszę sobie wyobrazić Capri, a tam jest zazwyczaj widoczny Wezuwiusz.

Goście wydali pełne szacunku pochrząkiwania, wpatrując się z nateżeniem w sunące nad zatoką ławice chmur.

- Przerklamowana ta Ischia - zwierzył się sąsiadowi starszy pan, którego potężny brzuch opinała koszulka w hawajski deseń.

- Widoki mają być, ale ich akurat nie widać, pogoda jest zawsze, tylko nie teraz, ceny nieprzyzwoite i kuchnia też mi nie służy. Od przyjazdu cierpię na zaparcie.

- Może to przez zmianę klimatu? - zasugerował sąsiad.

- Tak też sobie właśnie myślałem: „Inny klimat, za dzień czy dwa samo z siebie się ruszy”, ale czas płynie i nic. Kupiłem na targu owoce - widział pan ceny w tym sklepiku z owocami na Via Roma? Czysty rozbój, moja noga tam więcej nie postanie! - winogrona, pomarańcze i śliwki, zjadłem i czekam, a tu nic. Żona przyniosła z supermarketu suszone figi - „Ale teraz, po tych figach, to już na pewno”, mówi, więc zabrałem się uczciwie za te figi, no i niech pan zgadnie, z jakim rezultatem?

- Znowu nic?

- Zgadł pan. Kompletnie nic. Dziś rano myślałem, że to już, poszedłem do toalety, przesiedziałem tam godzinę - i nic! Mówię panu: przerklamowana ta Ischia!

Panowie odwrócili się i zaczęli powoli schodzić.

Następnego dnia całą górę don Battisty spowijała gęsta jak wata chmura. Z gałęzi drzew spadały grube krople, w zagłębieniach leżaków zebrała się woda, ręczniki nie wysychały i rozłożone na stołach menu pofałdowało się jak skóra hipopotama. Moje sandały wydawały przy każdym kroku nieprzyjemne mlaśnięcie, a wilgotna koszula nieustannie przyklejała się do pleców. Na dole życie najprawdopodobniej szło nadal swoim tokiem, bo słychać było buczenie promu do Neapolu i rżenie wspinających się stronią drogą autobusów, ale dla nas morze i miasto przestały istnieć. Cały świat zniknął jak po tajemniczej katastrofie, która oszczędziła jedynie willę don Battisty, zawieszoną wysoko między niebem i ziemią, jakby była zamknięta w bańce mydlanej.

- No i co ja teraz zrobię? - rozpaczał profesor Schnuller-Gatzweiler. - Byłem umówiony z profesorem Morgioni w Pompejach, napisał szalenie interesującą rozprawę na temat kolorystyki fresków z trzeciego okresu pompejańskiego, ale przy tej pogodzie przecież żadnych kolorów nie będzie widać!

- A, na pogodę i na śmierć wciąż jeszcze żadnego sposobu nie wynaleziono - powiedział pogodnie pan Reiss, wchodząc do sali. - Do tej pory dobry Pan Bóg sam o jednym i drugim decyduje. Dzień dobry wszystkim!

Przepadałam za panem Reissem. Jego życzliwy stosunek do ludzi i pełna prostoty skromność, z jaką reagował na wszystko, co mu przynosił los, przypominały mi mojego dziadka. Pan Reiss miał już osiemdziesiąt siedem lat, ale trzymał się bardzo prosto, cieszył się doskonałą pamięcią, a jego niebieskie oczy spoglądały na świat ufnie i bystro. Miał prawie dwa metry wzrostu, wciąż jeszcze budzące szacunek bary, okazały brzuch i gęsta, siwą czuprynę. Tylko nogi odmawiały mu czasami posłuszeństwa, nie mógł o własnych siłach wspiąć się na górę don Battisty i musiał czekać na jeden z pomarańczowych autobusików, które raz na godzinę, charcząc, wdrapywały się na jej szczyt.

Typowy *Ostpreuße*, Prusak ze Wschodu, wymagał od siebie dużo, oczekiwał niewiele, zachował ufność w boską sprawiedliwość i przekonanie, że wszystko, co Jego ręka zsyła, już jakiś tam sens będzie miało. Urodził się nad Niemnem i spędził dzieciństwo na pokładach barek, bo jego ojciec miał przedsiębiorstwo żeglugi transportowej. Rzeka, która ich od pokoleń żywiła, zawiodła jednak w decydującym momencie: przygotowany do ucieczki do Rzeszy statek poszedł w burzliwą noc na dno, zabierając ze sobą ojca pana Reissa. Matce i młodszemu rodzeństwu udało się dostać na „Wilhelma Gustloff”, wraz z tysiącami innych uciekinierów, na ogół kobiet, dzieci i rannych żołnierzy. „Gustloff” zatonął już pierwszej nocy, zaraz po wyjściu z portu, storpedowany przez radziecką łódź podwodną, której załoga była przekonana, że niemiecki okręt transportuje wojsko. Był koniec stycznia, minus osiemnaście stopni - niewielu rozbitków przeży-

ło w lodowatej wodzie. Matki i rodzeństwa pana Reissa wśród ocalonych nie było.

On sam przez długi czas nie wiedział o ich śmierci. Stacjonował wówczas w Hamburgu, całe cztery lata służył na łodzi podwodnej, którą w myślach nazywał pływającą trumną. Do dziś nie przestawał dziękować Bogu za to, że pozwolił mu przejść przez ten okrutny czas z czystymi rękami, bo jakże strasznie byłoby żyć ze świadomością, że wystrzelone jego ręką torpedy przyniosły śmierć jakimś ludziom, być może równie niewinnym jak jego matka i rodzeństwo. I czy nie był to prawdziwy cud, że prawie całą wojnę spędził na tej maszynie do zabijania, ale w kambuzie?

-Niech pani tylko pomyśli, tyle nieszczęść, tyle okropnych prób, zesłanych na ludzkość i taka łaska! Bo jakże miałbym człowieka zabić, kiedy ja przez całe moje życie nawet kury zarznąć nie dałem rady? Pamiętam, jak byłem ordynansem u kapitana von Zitzewitza i kapitan kazał mi którejś niedzieli koguta na obiad przyrządzić, to ja, w desperacji mojej, ptaka do piwniczki zaniósłem, na pieńku położyłem, oczy zamknąłem i zamachnąłem się na oślepiek siekierą. Jezusie, co to się działo! Biedne stworzenie nawet i po trzecim uderzeniu wciąż jeszcze żyło, z wiszącą na strzępkach skóry głową miotano się po piwnicy, a krew sikała z niego na świeżo pobielone ściany. Kapitan von Zitzewitz szalu dostał, jak tę jatkę zobaczył. Przysięgłem sobie wówczas, że z mojej ręki nic, co żyje, już nigdy więcej nie zginie, a Pan Bóg w swojej wielkiej dobroci zechciał mnie wysłuchać i dał mi przeżyć wojnę bez krwi na rękach, choć wszędzie dookoła tyle było zabijania. Jak mnie jutro do siebie zawoła, będę mógł przed Jego tronem stanąć i powiedzieć: „Panie, melduje się posłusznie gefreiter Reiss znad Niemna, któremu w łaskawości swojej osiemdziesięciu siedmiu lat pozwoliłeś dożyć, za co Ci dziękuję, ale przede wszystkim dziękuję Ci za sny spokojne i ręce czyste”.

Zazdrościłam mu tej dziecięco ufnej i niewzruszonej wiary, przekonania, że w każdej chwili może liczyć na pomoc Najwyższej Instancji. Twierdził, że w

swoim długim i pełnym dramatycznych przeżyć życiu zdarzało mu się w decydujących momentach odczuwać chroniącą go dłoń Opatrzności, a może Anioła Stróża, obecność jakiejś potężnej mocy, która mu doradzała, jak się ma zachować.

- Wie pani, zupełnie jakby mnie ktoś popychał we właściwym kierunku albo mówił: „Idź i zrób to, nie wahaj się, zdaj się na mnie”. Któż miałby to być, jeżeli nie On? A jeżeli mogę dzisiaj siedzieć tu z panią wśród kwiatów i patrzeć na morze i niebo, to przecież tylko dlatego, że był koło mnie i czuwał nade mną przez całe moje życie. Jak w tamten Wielki Piątek.

W Wielki Piątek 1945 roku alianci zbombardowali Hamburg. Nad portem, w którym ukryte były w podwodnych bunkrach okręty, rozpętało się piekło. Załogi miały rozkaz w razie alarmu natychmiast powrócić do swoich jednostek, ale pan Reiss w decydującym momencie przez chwilę się zawahał. Od miejsca, w którym się właśnie znajdował, jego bunkier był najbardziej oddalony. Pod wpływem nagłego impulsu, pobiegł do innego i ta decyzja ocaliła mu życie: tylko ten przetrwał. Schron, w którym znajdowała się jego łódź, został trafiony na samym początku bombardowania i nie uratował się w nim nikt.

Piątego maja Hamburg skapitulował. Losy wojny były rozstrzygnięte, ale dowódca floty postanowił zginąć śmiercią bohatera, walczyć do ostatniego naboju i ostatniego człowieka. Przed opuszczeniem portu rozkazał jednak otworzyć magazyny i pozwolił wiecznie głodnym żołnierzom zaopatrzyć się w żywność. Pan Reiss twierdził, że przez wszystkie lata wojny mało co go tak zaszokowało, jak absurdalny widok owiniętych sznurami serdelków i pętami kiełbas mężczyzn pośrodku leżącego w agonii miasta. On sam nie robił żadnych zapasów, bo głos Opatrzności do niego powiedział: „Karl, czyś ty zwariował? Wojna się skończyła, bierz dupę w troki i znikaj!”.

Poszedł więc do swojego dowódcy i powiedział, że przed śmiercią bohatera chciałby jeszcze pożegnać się z rodziną, a ten zgodził się, kazał mu tylko zosta-

wić wszystko poza karabinem i pan Reiss nie potrzebował już żadnych dalszych dowodów na to, że taka była wola samego Boga, bo był to przecież cud, że pozwolono mu oddalić się od jednostki. Najpierw szedł, potem zaczął biec, wreszcie cisnął karabin w krzaki - i taki był koniec jego wojowania.

Pan Reiss przyjeżdżał co roku na Ischię, żeby moczyć bolące kości w gorącym źródle don Battisty, jak wszystkie źródła na wyspie, cudownym. Do pobliskiej termy chodził codziennie na *fango*, okłady z leczniczego szlamu, a wszystko po to, żeby zachować dobrą kondycję i zobaczyć przed śmiercią zielone brzegi Niemna.

- Bo to, proszę pani, drugiej takiej rzeki nigdzie na świecie nima - tłumaczył mi z przekonaniem. - Niebo nad nią przeogromne, a horyzont taki szeroki! Ludzie przychodzą i odchodzą, byli tam Niemcy, byli Polacy, Rosjanie, Litwini - wszystko się zmienia, ale Niemen będzie zawsze..

- A nie obawia się pan, że i tam wszystko dzisiaj wygląda inaczej? - pytałam ostrożnie. - Nie będzie panu przykro, że w pana domu ktoś inny mieszka albo że go już dawno nie ma?

- Nie, dlaczego? Ja tam nic nie muszę mieć na własność, bylebym Niemen zobaczył, a jego nikt nie zmieni. Z wnuczkiem pojedę, takim wielgachnym samochodem, co to nad szoferką łóżko ma, a przed nim szybę panoramiczną, widziała pani kiedy taki? Już go kupiliśmy i stoi sobie przed domem, bo w garażu się nie mieści. „Ty sobie będziesz, dziadziu, przez cały czas leżał i krajobrazy oglądał, a ja cię zdrowo nad ten twój Niemen dowiozę”, tak mi wnuczek obiecał. Dobre mam, proszę pani, dzieci, a wnuki jeszcze lepsze! Życie może i nie zawsze było łatwe, no cóż, tak to już bywa, ale starość mam dobrą, taką dobrą... Jest co wspominać i za co Bogu dziękować.

To pewnie dzięki tej wierze w sens boskich wyroków i pokorze, z jaką je przyjmował, przypominał mi pan Reiss mojego dziadka, bo wyglądem bardzo się

różnili. Dziadek był szczupły, tą chudością, o której długo nie wiedzieliśmy, że jest zapowiedzią śmiertelnej choroby, uważając ją za rezultat długich spacerów po lesie z psami. Miał kruczoczarne włosy bez jednej srebrnej nitki, starannie przystrzyżone wąsy, dobry uśmiech i poważne brązowe oczy za okularami w okrągłej oprawie. Na jedno ucho nie dosłyszał, bo na przesłuchaniu w alei Szucha gestapowiec rozerwał mu bębenek uderzeniem kolbą pistoletu w ucho, także i zmiądzona wtedy noga nigdy się dobrze nie zrosła i dokuczała mu szczególnie przed zmianą pogody. Utykał i musiał wspierać się na lasce, zakończonej srebrną gałką w kształcie głowy psa, która wzbudzała mój zachwyty. Wszystko w dziadku było fascynujące: studiował w Petersburgu i Lipsku, pamiętał konne tramwaje, stójkowych, podobne do cygar zeppelin i zamach na arcyksięcia Ferdynanda. Jego pokój pełen był niezwykłych i tajemniczych przedmiotów, których oglądanie uważałam za wielkie wyróżnienie. Zaliczałam do nich wiszący nad łóżkiem obraz, na którym myśliwi, walcząc z kłębami dymu, obracali nadzianego na rożen dzika o przerażających kłach, mosiężne szachy, z końmi o rozwianych grzywach i lauframi w tureckich kołpakach, srebrny krucyfiks z Chrystusem w cierniowej koronie i kropielniczkę z wodą święconą. Dziadek był głęboko wierzący, jako młody chłopak wstąpił nawet do seminarium duchownego i pewnie by je ukończył, gdyby nie uroda babci, jej tajemniczy urok panienki ze dworu i pokusa sięgnięcia po owoc zakazany. Mieszkańcy wsi instynktownie wyczuwali w nim widocznie niedoszłego duszpasterza, gdyż często przychodzili z prośbą o poradę w najróżniejszych sprawach, nawet w kłopotach małżeńskich.

Tak jak pan Reiss, także i dziadek w czasie wojny wszystko stracił. Jego fabryki zbombardowali Niemcy, pod gruzami zginęła prawie cała rodzina, na którym polu chwały poległ jedyny syn, Bóg tylko wiedział, a czego nie zabrała wojna, zabrali po wojnie komuniści. Był stary, schorowany i pozostał bez środków do życia, a jednak nie skarżył się nigdy ani na Niemców, którzy mu zabili rodzi-

nę, ani na Rosjan, którzy pozbawili go majątku - i też twierdził, że ma dobrą starość.

Kochałam go tak bardzo, że życzyłam sobie jakiegoś kataklizmu, trzęsienia ziemi czy pożogi, żeby móc umrzeć razem z nim, gdyż wiedziałam, że zbliża się już do kresu swojej drogi i nie chciałam przeżyć go ani o dzień. Kiedy odszedł, nie przestałam go przez całe moje życie szukać, i teraz wydawało mi się, że nareszcie udało mi się go odnaleźć w tych dwóch wspaniałych starcach: w don Battistie i w panu Reissie.

- Wypogodzić się - powiedział wspaniały starzec don Battista, klepiąc mnie uspokajająco po udzie. - Zobacz, już widać zarysy wieży Michała Anioła. To tylko chmury być nisko, za chwilę pokażą się znowu słońce.

Rozłożył szeroko ramiona, zaśpiewał grzmiącym głosem *Che bella cosa e' na jurnata 'e sole* i istotnie, blanki wieży zajaśniały w pierwszych nieśmiałych promieniach. Powitaliśmy je entuzjastycznymi oklaskami.

- Michał Anioł mieć wówczas sześćdziesiąt lat, a Vittoria Colonna koło czterdzięci - poinformował mnie poufnym tonem don Battista. - Od pięciu lat nie żyć Ferrante d'Avalos, jej ukochany mąż. Obiecana mu być od dziecka, jak mieć dziesięć lat przybyć na wyspę i zamieszkać na zamku, ciotka narzeczonego chciał ją starannie wychować i dać jej okazję poznać przyszłego męża...

- Ale nos miał paskudny ten Ferrante - wtrąciła się pani Cornelia. - Jak krogulce.

- Krogulce nie mają nosów, co najwyżej dzioby - poprawił ją natychmiast profesor Schnuller-Gatzweiler. - Są ptakami z rodziny jastrzębi.

- ...poznania i pokochania przyszłego męża - kontynuował don Battista, karcąc oboje wzrokiem. - Ich ślub przekroczy wszystkie granice przepychu, cała ówczesna arystokracja europejska na nim być. Niestety, już dwa lata później Ferrante pójdzie na wojnę przeciwko Francji i aż do swojej śmierci większość czasu

spędzić na polach bitew. Vittoria natomiast robić literatura i podtrzymywać intensywna przyjaźń z wielkimi twórcami tamtych czasów, szczególnie z Michał Anioł.

- Ciekawe, jak intensywna - zastanowiła się pani Cornelia.

-Wszystko bzdura, ich związek być głęboko spirytualny! - zdenerwował się don Battista. - Ona być dla niego muza i go inspirować, wiele postaci na jego obrazach mieć jej twarz, a dla niej Michelangelo być największy artysta wszystkich czasów. On mieszkać w tej wieży, żeby być jej bliżej, może wtedy istnieć podziemne przejście, które łączyć ją pod morzem z zamkiem. Kiedy Vittoria w Rzymie umierać, Michelangelo być z nią i bardzo cierpieć, ale ona dla niego być jak święta i on nie odważyć się jej dać ani jeden pocałunek.

- Kiedy nie ma żadnych dowodów na to, że Michał Anioł w ogóle kiedykolwiek był na wyspie - zaprotestował profesor, który potrafił być okropnie męczący. - A to podziemne przejście nigdy nie istniało. Rozmawiałem na ten temat z profesorem Morgionim i jego zdaniem....

- Czy pan nie wybierać się przypadkiem do Pompejów, *professore?* - zapytał lodowato don Battista. - To radzę się pospieszyć, bo pan nie zdążyć na prom.

Odwrócił się w moją stronę i ignorując kompletnie profesora, zakończył:

- Historia Vittorii i Michelangelo być piękna historia miłość platoniczna dwa wielkie artysta, których serca połączyć się na wieki w ich sztuka. Może nie być kochanki za życia, ale w legendzie oni zawsze robić *amore*, bo prawdziwa miłość wszystko zwyciężyć, nawet śmierć.

- Amen - zakończył Jochen, dla którego nic nie było święte.

Gino Letizia mieszkał na zachód od centrum Neapolu, w legendarnym Palazzo Donn' Anna na przylądku Posillipo. Pałac zawdzięczał nazwę żonie hiszpańskiego wicekróla, którego miał stać się siedzibą, ale wicekról został odwołany, zanim budowę zakończono. Zniszczony w połowie XVII wieku w czasie rewolty

Masaniella*⁵⁹, nigdy nie został odbudowany i pozostał najbardziej malowniczą ruiną Neapolu. Ze swoimi tajemniczymi krużgankami i labiryntem podwodnych pomieszczeń, po których snuły się cienie zaginionych żeglarzy, był szalenie romantycznym miejscem zamieszkania i duma Gina Letizii z tego wyjątkowego adresu była całkowicie usprawiedliwiona.

Na najwyższym piętrze *palazzo* mieszkały arystokratyczne rodziny Colonna i Di Bugnano, niżej dobrze zarabiający przedstawiciele wolnych zawodów i Gino, a na samym dole, na parterze i w suterrenach, zwanych *bassi*, gnieździli się rzemieślnicy i drobni handlarze. Podczas gdy na całym świecie różnice społeczne dawały się odczytać w podziałach na lepsze i gorsze dzielnice, w Neapolu przebiegały one w ramach tego samego budynku, jak warstwy w torcie. Biedni i bogaci zamieszkiwali to samo *palazzo*, byli sąsiadami, spotykali się na schodach i na dziedzińcu, świadczyli sobie nawzajem uprzejmości i drobne usługi. Dzieliły ich piętra i ilość promieni słonecznych docierających do ich mieszkań: mieszkańcy *bassi* nie widywali słońca praktycznie nigdy.

Jochen umówiony był dopiero po południu, ale wybraliśmy się do Neapolu zaraz po śniadaniu, promem o dziewiątej, żeby mieć czas na długi spacer po Starym Mieście. Ogromnie lubiłam pływać promem. Za każdym razem było to dla mnie wielkie przeżycie i ogarniało mnie świąteczne podniecenie, kiedy pokładem wstrząsało potężne drżenie, rozlegał się ryk syren i ze szczękiem opadały łańcuchy. Mogłam stać godzinami na pokładzie i przyglądać się, jak ciężki kadłub powoli mija kołyszące się na falach statki, przesuwa się przez wąski przesmyk portu i zanurza w płynne srebro słonecznego blasku, rozlane na falach.

Dopóki prom nie minął szarobłękitnych sylwetek Procidy i Vivary, na pokładach panowało zaaferowane zamieszanie. Pasażerowie przemieszczali się nie-

⁵⁹ * Przyczyną rewolty było wprowadzenie w 1647 roku nowych podatków na owoce. Zakończyła się ona poćwiartowaniem Tommasa Aniello, zwanego Masaniello, niesłusznie zresztą uważanego za przywódcę buntu.

strudzenie z pokładu na pokład, szukając miejsc osłoniętych od wiatru, słonecznych i z najlepszym widokiem. Po paru minutach, kiedy wszyscy się rozlokowali, dało się odczuć wyraźne odprężenie: mężczyźni założyli niedbałym ruchem okulary słoneczne, kontrolując spod oka, czy zauważono, jacy są nonszalancy, a dziewczyny wystawiły twarze pod wiatr, który szarpał ich długimi włosami. Dawało im to okazję do leniwego przeczesywania ich palcami i strzepywania z nich kropelek piany, lekkich jak skrzydła motyla. Turyści, w porównaniu z miejscowymi całkowicie pozbawieni wdzięku, dreptali niezgrabnie po pokładzie jak stado spłoszonych cieląt, zaciągali zamki błyskawiczne kurtek i kierowali kamery na koronkowy cień Procidy. Pod słońce wyspa wyglądała jak wycinanka z papieru, odróżnić można było tylko kopułę kościoła San Michele na Terra Murata, pojedyncze korony drzew i pasmo rozświetlonej mgły, oddzielające ląd od powierzchni morza.

Pod pokładem otworzono już bar. Oblegał go tłum mężczyzn, którzy jedli tu codziennie lekkie śniadanie - *espresso* albo *cappuccino* i słodki rogalik, *cornetto*. Nasz zwyczaj zaczynania dnia od sadzonych jajek na boczku miejscowi uważali za barbarzyński. O tak wczesnej porze człowiek potrzebował jedynie naparstka kawy i odrobiny komunikacji, do tego właśnie celu służyły niezliczone bary, do których wpadało się po drodze do pracy.

Większość podróżnych uzbrojona była w komórkę, nawet w trakcie jedzenia trzymaną przy uchu. Panujący na promie gwar najwyraźniej nie przeszkadzał przy telefonowaniu; równie niefrasobliwie prezentowali się pasażerowie zwinieci w kłębek przed nigdy nie wyłączanymi telewizorami. Turyści natomiast prawie nie schodzili z pokładu, fotografując i filmując zawzięcie, aż w końcu na horyzoncie ukazywał się stożek Wezuwiusza i prom brał kurs na niego, pozostawiając po lewej stronie port i brzydki kłoc Castel Nuovo. Dopiero w ostatniej chwili, kiedy traciło się już nadzieję, że dobieje tam, gdzie trzeba, zataczał nagle łuk i płynął prosto na wzgórze Vomero z białą sylwetką zamku San Elmo na szczycie.

Na nabrzeżu pulsowało ludzkie mrowisko i stały niezliczone ciężarówki i autokary, czekające na załadunek. Przekroczenie wielopasmowej jezdni dzielącej port od miasta wydawało się niemożliwe - płynął nią nieprzerwany potok samochodów, których kierowcy nie zwracali najmniejszej uwagi na światła. Piesi mierzyli nadjeżdżający pojazd wzrokiem, szacowali odległość i rzucali się pod koła; dobrowolnie nie zwalniał nikt - chyba że obcokrajowiec.

Środkiem ulicy telepał się mały, rozklekotany tramwaj, po którego torach niefrasobliwie pomykały taksówki, skutery i samochody, często pod prąd. Wsiedliśmy do niego, bo dobrze pamiętaliśmy, że pomarańczowe autobusy straszliwie trzęsły na nierównym bruku i miało się wrażenie, że za chwilę czaszka rozprysnie się na kawałki. We wnętrzu wagonika sprzedawał losy na loterię ślepiec, który na następnym przystanku wysiadł, zdjął ciemne okulary i przeliczył skrupulatnie monety. Pasażerowie odprowadzili go wzrokiem pełnym zrozumienia; w tym mieście talent improwizacyjny ceniono bardziej niż pracowitość, która na ogół do niczego nie prowadziła. Żeby przeżyć, trzeba było przede wszystkim mieć pomysł i tupet, stąd brały się te pełne fantazji zawody, które istniały tylko w Neapolu: odświeżacz zwiędłych kwiatów na straganach, przewodnik po dzielnicach kamorry, załatwiacz dokumentów, wskazywacz wolnych miejsc parkingowych albo organizator drobnych wypadków samochodowych.

- Pasolini powiedział kiedyś, że neapolitańczycy są jak indiańskie plemię, które koczuje pośrodku wielkiego miasta, zdecydowane raczej wymrzeć, niż dostosować się do wymogów cywilizacji - stwierdził Jochen, rzucając ślepcowi spojrzenie pełne uznania. - Coraz częściej przychyliam się do jego zdania. W każdym razie z tą płynną magmą pod nogami, wulkanem pod bokiem, niesamowitą wprost witalnością i tłumem ludzi na każdym rogu, jest to miasto wyjątkowe. Każdy, kto tu przez jakiś czas mieszkał, twierdzi, że po wyjeździe poczuł się,

jakby mu nagle wyciągnięto wtyczkę z kontaktu i przerwano dopływ prądu. Nigdzie nie żyje się na tak wysokich obrotach.

Zanurzyliśmy się w labirynt uliczek tak wąziutkich, że ledwie pozwalających na przecięnięcie się samochodu, gdzie tuż obok pozostawionych przez Aragończyków, Andegawenów i Burbonów pałaców stały nędzne kamieniczki, powiązane sznurami z suszącą się bielizną. Na każdym metrze kwadratowym wolnej powierzchni znajdował się jakiś zaimprovizowany stragan, rozłożona na ziemi walizka z towarami, kawał plastiku, a chociażby gazeta. Sprzedawano papierosy z kontrabandy, pirackie kasety, okulary słoneczne, tanie ciuchy, plastikowe zabawki, sztuczną biżuterię, losy na loterię i pocztówki. W podwórkach pracowały pełną parą manufaktury, w których wytwarzano meble, buty, parasole, instrumenty muzyczne i ten cały kicz, rozłożony tuż obok na bruku. Płomyki świec, płonących przed wmurowanymi w ściany zaułków niezliczonymi kapliczkami i ołtarzykami wotywnymi, migotały tajemniczo w półmroku. Większość z nich poświęcona była potępionym duszom czyściców, bo kult *pugatorium* był w Neapolu, uważanym przez jego mieszkańców za poczekalnię na drodze do lepszego życia, czyli za rodzaj współczesnego czyścica, wyjątkowo żywy.

Jeszcze niedawno wyprawa do Neapolu stanowiła akt heroizmu i wiązała się ze sporym ryzykiem: trzeba się było poważnie liczyć z tym, że mknący na skutek rabuś wyszarpienie człowiekowi z ręki torebkę albo zerwie z szyi łańcuszek. W ostatnich latach dzięki wysiłkom nowego, socjalistycznego burmistrza, miasto bardzo się zmieniło na korzyść i podreperowało swoją opinię. Uwolnione od lawiny samochodów place, na przykład Piazza del Plebiscito, niegdyś największy parking Neapolu, stały się ulubionymi miejscami spotkań, a turyści znowu zaczęli spacerować po wyłączonych z ruchu ulicach i zapełniać restauracje.

W Da Carmine na Via Tribunali, w centrum najstarszej części miasta, było tak pełno, że musieliśmy czekać na wolny stolik, skracając sobie czas szperaniem

w pobliskich antykwariatach. Obiad okazał się niedrogi i wyśmienity, ale Jochen był niezadowolony, bo salę wypełniali szczelnie turyści, w których na pierwszy rzut oka można było rozpoznać niemieckich nauczycieli gimnazjalnych. Kobiety, wszystkie po czterdziestce i bez śladu makijażu, dźwigały na plecach małe plecaczki, nosiły wygodne, sznurowane obuwie na płaskim obcasie i mówiły znacznie za głośno, tonem pewnym siebie i nietolerującym sprzeciwu, używanym zazwyczaj w stosunku do krnąbrnych dzieci: u nauczycieli ten ton łatwo staje się niejako drugą naturą. Na stolikach przed nimi leżały rozłożone zeszyty „Meriana” i przewodniki kulturalne Du-Monta. Towarzyszący im mężczyźni robili wrażenie, jakby się czuli trochę zagubieni i tęsknili za swoją męską grupą, z którą w weekendy trenowali okazywanie uczuć, umiejętność w tej chwili zresztą zupełnie zbędna, bo wystarczyło przez chwilę popatrzeć na ich partnerki, żeby wiedzieć, że cudze uczucia ani trochę ich nie interesują.

- Jeszcze niedawno był to taki uczciwy neapolitański lokal - grymasił Jochen.
- Z uczciwą neapolitańską atmosferą, a nie z niemieckimi nauczycielami gimnazjalnymi. Rok temu poleciał go „Merian” - bo taki niefałszowany - i same widzicie, co z tej atmosfery pozostało. O proszę, nawet chodzi taki z mandoliną od stolika do stolika i „O sole mio” śpiewa!

- No i bardzo miło, że śpiewa - orzekła ze stoickim spokojem Andrea. - Od neapolitańczyków oczekujemy, żeby byli biedni, weseli i muzycyjni, - więc się starają dopasować do naszych wyobrażeń.

- Właśnie. Turystyka zabija wszelką naturalność. Turyści jeżdżą wszędzie po świecie w poszukiwaniu czegoś innego, ale to właśnie oni są przyczyną, że to inne z czasem staje się takie samo. W każdym razie w Da Carmine na Via Tribunale mam prawo nie oczekiwać niemieckich nauczycieli gimnazjalnych.

- A oni ciebie.

- A wiesz, moja droga, że Frank między innymi właśnie dlatego wybrał sobie zawód korespondenta wojennego: żeby widzieć kraje i narody w ich niesfałszo-

wanej turystyką formie. Twierdził, że to owszem, straszne, kiedy padają bomby, ale przynajmniej powstrzymują turystów, dzięki czemu obszary objęte kryzysem powracają z czasem do swojej pierwotności i właśnie to jest fascynujące. Twój pierwszy mąż potrafił czasami być cyniczny. Jestem przekonany, że gdyby żył w XLX wieku, zostałby wielkim podróżnikiem i odkrywcą, ale urodził się za późno i wszystko już było odkryte. Zawsze mówił, że ten zawód pozwala mu na prowadzenie życia, o jakim marzył w wieku dwunastu lat, a tego pragnie w głębi serca każdy mężczyzna.

Mandolinista skończył śpiewać i z kapeluszem w ręku obchodził stoliki nauczycieli, którzy posłusznie sięgnęli po portfele i aparaty fotograficzne, bo większość pań zapragnęła mieć zdjęcie ze śpiewakiem. Przytulał je więc do siebie, choć zawadzały mu przy tym ich absurdalne plecaczki, i zasypywał potokiem słów, wśród których szczególnie często powtarzały się *cuore* i *amore*^{*60}. Wyglądały na uszczęśliwione.

Jochen przyglądał się tej scenie z rezygnacją.

- Mogę się założyć, że przyjechali mikrobusami campingowymi, takimi z miejscem do spania, stolikiem i szafkami w środku - powiedział ponuro. - Najprawdopodobniej volkswagenami. Na dachu mają deski do surfingu, z tyłu bagażnik na rowery górskie. Na Capri uczestniczą w intensywnym kursie języka włoskiego, połączonym z lepieniem garnków, i oczekują od pracodawcy, że uzna im te dwa tygodnie urlopu za kształcenie zawodowe. Muszę zapytać Gina, czy ma w „Merianie” jakieś znajomości, może mógłby wpłynąć na to, żeby polecali wyłącznie te lokale, w których ja sam nie bywam. Zamawiacie coś na deser, czy mogę już poprosić o rachunek?

Andrea położyła dłoń na jego ręce, uściśnęła ją leciutko i powiedziała:

⁶⁰ * serce, miłość

- Wiesz co? Nam się tu naprawdę podoba. Idź ty już do Gina, a my wypijemy jeszcze po kieliszku wina i pospacerujemy sobie po mieście. Ischia jest tak nieprawdopodobnie droga, może tu znajdziemy coś, co mogłybyśmy przywieźć chłopcom w prezencie. Spotkamy się wieczorem na Molo Beverello przy promie.

- W takim razie życzę wam miłych zakupów i do zobaczenia w porcie. - Jochen wstał z krzesła i pocałował Andreę w policzek. - Gino będzie niepokieszony, wiesz, jak bardzo cię lubi.

- Gino lubi wszystkie kobiety bez wyjątku. Pod tym względem jest typowym Włochem. Jestem przekonana, że moja nieobecność wcale was nie zmartwi, usiądziecie sobie w jakiejś ulicznej kawiarni i będziecie cmokać i gwizdać na dziewczyny.

- Nigdy w życiu! - oburzył się Jochen. - Będziemy omawiali sytuację geopolityczną w Europie.

Opuścił Da Carmine sprężystym krokiem i za chwilę zmieszał się z przelewającym się przez Via Tribunali tłumem. Andrea z uśmiechem odprowadziła go wzrokiem.

- Jeden drugiemu będzie próbował zaimponować i będą sobie opowiadali kombatanckie historie, od których krew w żyłach krzepnie, coś w rodzaju: „Oko w oko z mafią” albo „Na krwawych ścieżkach wojny”. Z Franka trudno było coś wydobyć, ograniczał się do rzeczowej analizy panujących w danym kraju stosunków, ale co one oznaczały dla niego samego i jak sobie tam radził, nigdy mi nie mówił. Chciał mnie chronić przed wszystkim co okrutne. Wracał do domu, otrzepywał na progu z siebie wojnę i nie chciał do niej wracać, jakbym była niewinną anielicą, której nie można ranić mówieniem prawdy. Cokolwiek wiem o zawodo- wym życiu Franka, wiem od Jochena.

- Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że twój pierwszy mąż jest obecny we wszystkich waszych rozmowach? - zapytałam. - Bardzo często o nim mówicie. Utrzymujecie ze sobą bliski kontakt?

- Nawet bardzo bliski. Frank ani na chwilę nie przestał być obecny w moim życiu. Bardzo mnie kochał, zawsze potrafił mnie zrozumieć, nawet wtedy, kiedy sama siebie nie rozumiałam. Był w stosunku do mnie niezwykle wielkoduszny, tak bardzo, że pogodził się nawet z moim związkiem z Jochenem. Ale nigdy nie pozwolił mi odejść.

Najprawdopodobniej wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby Rosjanie dali Jochenowi wizę, ale w ostatniej chwili zmienili zdanie. To właśnie usiłował mi Frank wytłumaczyć, siedząc w hamburskim studiu Telewizji Północnoniemieckiej za swoim pogrążonym w twórczym chaosie biurkiem. Styczniowy poranek był blady i tak mroźny, że równie dobrze mogli znajdować się w Czelabińsku albo w Chabarowsku.

- Wiesz, jacy są. Wychodzą pewnie z założenia, że pierestrojka jest dobra, ale kontrola lepsza. Powiedzieli, że na miejscu przydzielą mi operatora.

W czwartym roku pierestrojki stała się rzecz niesłychana: kilka buntowniczych republik zadeklarowało niepodległość i zapoczątkowało w ten sposób rozpad Związku Radzieckiego. Na razie jeszcze nie było wiadomo, czym to się skończy, wydawało się nieprawdopodobne, że imperium mogłoby nagle przestać istnieć, nie zatapiając uprzednio swoich obywateli w morzu krwi. Frank, którego takie przełomowe momenty szczególnie pasjonowały, postanowił na miejscu wyrobić sobie własne zdanie o sytuacji i przygotować cykl reportaży dla ARD. Teraz okazało się, że leci do Moskwy sam.

- A co ja mam w tym czasie robić? - zapytał Jochen urażonym tonem. On też nie życzył sobie, żeby Związek Radziecki rozleciał się bez niego.

- Wakacje! Należą ci się. Idealna pora roku, żeby opalać się nad Pacyfikiem albo jeździć w Alpach na nartach. Wiesz co? Pojedź po prostu do Lermoos, Andrea już tam jest z Ledbetterami. Mówiła, że warunki są idealne.

Frank miał w Tyrolu, w Lermoos, malowniczą starą chałupę, położoną niedaleko stacji kolejki na Zugspitze. Dom był piękny, drewniany, z malowanymi belkami i dużym, kaflowym piecem, ogrzewającym kuchnię i paradną izbę, otoczonym szeroką ławą, na której miło było siedzieć ze szklaneczką gorącego wina w rękę po całym dniu spędzonym na stoku. Jochen był już parę razy zaproszony do Lermoos, znał więc dobrze dom i trasy zjazdowe, które uważał za doskonałe. Jazdę na nartach zawsze traktował poważnie, należała do tych nielicznych umiejętności, które wyniósł z Babenhausen. Zawdzięczał ją ofiarnemu zaangażowaniu pana Lowenzahna, nauczyciela wychowania fizycznego, który dwa razy do roku organizował obozy narciarskie dla chłopców, skrzętnie ukrywając swoje skłonności pedofilskie i nigdy nie zdradzając się ze swoimi tęsknotami. Jedynym kontaktem fizycznym, na jaki sobie pan Lowenzahn wobec podopiecznych pozwalał, było sprawdzanie wiązań ich nart. Przyklekał, ujmował w obie ręce plastikowy pancierz buta, jego palce zaczynały delikatnie pieścić sprzączki i klamry, na czoło występowały mu grube krople potu, a oddech stawał się szybki i płytki. Na tym też się kończyło, na nic więcej pan Lowenzahn sobie nie pozwalał, bo był nauczycielem z zamiłowania i wiedział, czym by mu to groziło. Nie było więc żadnego szorowania chłopięcych pleców pod prysznicem, żadnego otulania kołdrą i żadnego wycierania ręcznikiem - tylko bogactwo fantazji pana Lowenzahna, ale fantazja nie podlegała jurysdykcji.

Dzięki tej jego niewinnej słabości do wiązań narciarskich całe pokolenia chłopców pochodzących z płaskich jak stół okolic Babenhausen miały okazję nauczyć się zupełnie nieźle jeździć na nartach i zachowały pana Lowenzahna we wdzięcznej pamięci jako oddanego pedagoga i wyśmienitego instruktora.

- Na narty do Lermoos? Zawsze! - odparł więc Jochen z zapalem. - I nie spiesz się w tym Związku Radzieckim, pamiętaj, że widzisz go po raz ostatni. Pozdrów ode mnie Gorbaczowa.

W Lermoos leżał pyszny firn, świeciło słońce i niebo było granatowe jak na pocztówkach. Andrea i Ledbetterowie zdążyli już opalić się na ekskluzywny wysokogórski brąz, wyglądali zdrowo, zamożnie i wysportowanie, jakby zeszli właśnie z reklamy sprzętu narciarskiego. Jochen dostał ten sam pokój, co ostatnim razem, z łbem jelenia nad drzwiami, rozgrzanym do czerwoności żeliwnym piecykiem i szerokim łóżkiem pod świeżo powleczonej pierzyną. Na poduszce Andrea położyła mu czysty ręcznik, a na stoliku nocnym postawiła dzbanek z gałązkami świerku, obwieszonymi długimi szyszkami. Kiedy Jochen rozpakowywał plecak, po gospodarsku kręciła się po pokoju, muskając palcami meble, dorzucając do ognia polana i poprawiając krzywo wiszące obrazy.

- Powinno ci się tu dobrze spać - powiedziała z uśmiechem, układając na talerzu piramidkę z jabłek.

- Nigdzie nie sypiam tak dobrze, jak w tym domu – zapewnił ją Jochen. Andrea była jedną z niewielu znanych mu osób, które robiły wrażenie, że znajdują się w stanie kompletnej harmonii ze sobą i z resztą świata. Wydawało się, że jest ze wszystkiego zadowolona: ze swojego małżeństwa, ze swojego domu, nawet z tego, że nie pracuje zawodowo. Inne kobiety robiły z tego martyrologię, jedno pasmo cierpień i poświęceń, przy każdej okazji powtarzały niezmordowanie, jakie cudowne perspektywy stały przed nimi i ile straciły, rezygnując z kariery, nawet jeżeli w rzeczywistości jedyną wchodzącą w grę karierą była kasa w supermarkecie. Andrea natomiast przyznawała głośno, że czuje się uprzywilejowana, ceni sobie możliwość swobodnego dysponowania czasem, częste podróże i wyjazdy na narty, ilekroć jej przyszła na to ochota i spadł świeży śnieg.

- Nie jestem pewna, czy rzeczywiście byłabym lepszym człowiekiem, pracując przez osiem godzin w biurze, i nie wiem, czy społeczeństwo odniosłoby z tego jakąkolwiek korzyść - mówiła spokojnie. - Mam wrażenie, że obecna sytuacja daje mi więcej możliwości angażowania się w te projekty, które uważam za sensowne.

W głębi ducha Jochen uważał działalność Andrei w Amnesty International, Welthungerhilfe czy Greenpeace za kaprysy zamożnej kobiety, ale podobała mu się jej szczerłość i naturalność, z jaką akceptowała swoją rolę. Dla Franka była idealną sekretarką i reasercherką - skończyła romanistykę, znała doskonale francuski i angielski, zbierała dla niego materiały i tłumaczyła artykuły. Jego dewizą była dziennikarska rzetelność, wyjeżdżając, chciał wiedzieć możliwie dużo na temat danego regionu, sytuacji politycznej, etnicznej czy społecznej i pomoc Andrei w tych przygotowaniach była nieoceniona. Ona sama odnosiła wrażenie, że uczestniczy w ten sposób w ryzykownym życiu swojego męża.

- Sam wiesz najlepiej, na czym polega praca Franka - powiedziała kiedyś do Jochena. - Gdybym podjęła działalność zawodową, w ogóle byśmy się nie widywali. Frank rzadko bywa w domu, ale jak w nim już jest, chcę, żeby czuł się jak najlepiej. Owszem, w ogóle nie wstydzę przyznać się do tego, że za moje podstawowe zadanie uważam ułatwianie mu życia, ale co jest w tym złego? On też ułatwia mi moje.

Widocznie coś jednak było, bo Jochen bywał świadkiem najdziwniejszych dyskusji na temat Andrei i wiedział, że jest obiektem druzgoczącej krytyki. W takich wypadkach kobiety sukcesu, pnące się po szczeblach kariery dziennikarki, rozgrzewające łóżka starzejących się reżyserów aktorki, zaangażowane lekarki i utalentowane projektantki jednoczyły się w niespotykanej harmonii z oddanymi matkami rodzin i nie pozostawiały na Andrei suchej nitki, zupełnie jakby zdradziła sprawę kobiet i Emmelina Pankhurst musiała przewracać się w grobie. Najprawdopodobniej była po prostu za ładna, żeby mogły zostawić ją w spokoju.

Jochen wielokrotnie usiłował sobie potem przypomnieć, jakie wrażenie wywarła na nim Andrea, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. Z całą pewnością nie zaskoczyło go, że Frank jest żonaty z kobietą o trzydzieści lat od siebie młodszą, zdziwiłoby go raczej, gdyby zobaczył u jego boku damę w wieku balzakowskim.

Wydawało mu się jednak, że ktoś taki jak Frank w ogóle nie nadaje się do małżeństwa i powinien pozostać sam, jak bohater starego westernu. Miało to swój głęboki sens, że kiedy bandyta osuwał się twarzą w piach, a niewinne dziewczę skrywało spłonione lico na piersi nieustraszonego samotnika, na horyzoncie ukazywało się zachodzące słońce i napis „Koniec”. Dalszy ciąg mógł przynieść tylko rozczarowanie. Nie bez powodu w bajkach poświęcano całą uwagę nadludzkim wysiłkom bohatera, które miały doprowadzić do zdobycia ręki pięknej księżniczki, ale dyskretnie przemilczano, co dalej z tą ręką po jej zdobyciu. Wspólna przyszłość zamykała się w jednym, jedynym zdaniu: „Żyli długo i szczęśliwie”, co oznaczało po prostu, że się rozpaczliwie nudzili, a ich pożycie do tego stopnia było pozbawione wzlotów i upadków, że nic więcej nie dało się na ten temat powiedzieć.

Jochen, na tyle młody, żeby nie obawiać się ani śmierci, ani samotności, nie wierząc, że jedno albo drugie mogłoby mu się naprawdę przytrafić, traktował kwestię małżeństwa z dużą rezerwą. Z domu wyniósł przekonanie, że jest to instytucja nie bez powodu popierana przez państwo, gdyż absorbuje ona do tego stopnia pozostających w ślubnym związku obywateli, że nie mają oni ani czasu, ani energii, żeby rozwinąć inicjatywę i postawić pod znakiem zapytania cokolwiek innego, niż siebie samych. Można więc było powiedzieć, że małżeństwo działa dzięki temu stabilizująco, a zatem państwowotwórczo. Żadnego innego sensu w nim nie widział i nie wiązał z nim większych nadziei. Miał przed sobą mnóstwo dobrych lat, wydawało mu się, że świat stoi przed nim otworem i jest pełen kuszących obietnic. Już samo słowo „telewizja” wywierało na dziewczynach piorunujące wrażenie, a cóż dopiero niedbale napomknięcie, że jest się w tej telewizji korespondentem wojennym. Wojennym! Natychmiast budziły się w nich markietanki, za wszelką cenę pragnęły przytrzymać bohaterowi strzemień, nakarmić go i napić, a przede wszystkim osłodzić mu ciepłem swoich ust i wilgocią ud te kilka chwil, co do których sugerował, że mogłyby być ostatnie. Wła-

ściwie uważały to za swój obowiązek, przynajmniej tyle były winne komuś, kto nieustraszenie wyruszał dla nich na front, żeby mogły zobaczyć w dzienniku codzienną porcję płonących zgliszcz i rozerwanych na strzępy ciał.

- *Auweh!* Wszystkie wygolone pod pachami i gdzie indziej chyba też - westchnął z zachwytem ryży Dany z S AT 1, kiedy w początkach operatorskiej kariery Jochena na chwilę opuścili rozćwierkane stadko piękności i sikali zgodnie w toalecie Tiger-Palastu do sąsiednich pisuarów. - Dojrzałe do ścięcia i aż się proszą, żeby je kosić. A więc koś, rąb i kładź pokotem, bo od osiemnastego roku życia potencja mężczyzny nieuchronnie maleje, a możesz wierzyć doświadczonemu koledze: to się daje z czasem we znaki. Uważaj, żebyś jako bezzębny dziad nie żałował wszystkich zmarnowanych okazji. Albo żebyś się nie ożenił i nie cierpiał na permanentny nadmiar okazji i brak ochoty.

- To też na podstawie własnych doświadczeń? Masz rodzinę?

- Rodzinę, mój kochany, to ja zawsze noszę przy sobie! – Dany zarechotał i poklepał się czule po jądrach. - Brylanty są najlepszymi przyjaciółmi dziewczyny, jak mówiła boska Marylin, a jaja są najlepszymi przyjaciółmi chłopaków. Zapamiętaj to sobie, mój mały.

- Frank jest żonaty.

- Frankowi nie mogło się nic lepszego przytrafić, Andrea to spełnienie wszystkich jurnych marzeń. Gdyby kiedykolwiek miała zamiar wymienić Franka na jakiś młodszy egzemplarz, koniecznie mnie zawiadom. Taka ognista dziewczyna nie powinna marnować się w łóżku faceta, który mógłby być jej dziadkiem.

Jochenowi nie podobała się ta uwaga, w końcu obaj uważali się za przyjaciół Franka. Nawet gdyby żona Franka siusiała jeszcze w majtki, była to wyłącznie jego sprawa. Aktorzy i politycy z reguły żenili się z kobietami, które mogłyby być ich córkami i jakoś nikt się temu nie dziwił. Nawet Johannes Rau, mający w sobie tyle seksu, co święty Antoni Padewski, znalazł sobie tę młodszą o dwadzie-

ścia pięć lat Christinę i spłodził z nią troje dzieci. Wiek był być może śmiertelnym wrogiem potencji, ale władza i pieniądze skutecznie podtrzymywały ją przy życiu. Frank był absolutnie w porządku i nazywanie go dziadkiem było co najmniej niesprawiedliwe.

- Masz bardzo piękną żonę - powiedział więc tylko do Franka ze szczerym podziwem, a ten roześmiał się i poklepał go po ramieniu.

- Cierpliwości, mój drogi! Jak będziesz w moim wieku, będziesz miał jeszcze piękniejszą.

To chyba był ten właśnie rodzaj męskiego humoru, przed którym ostrzegały feministki.

Jochen był trochę o nią zazdrosny, o rolę, jaką odgrywała w życiu Franka, o łączącą ich zażyłość, o tajemnicze drobne gesty i uśmiechy, tylko dla nich zrozumiałe, o miękki ton, jakiego nabierał głos przyjaciela na widok Andrei. Czuł się z tej wspólnoty wyłączony. W trakcie wspólnych wyjazdów to on i Frank stanowili zespół, jeden musiał nadstawiać karku za drugiego i absolutne zaufanie było warunkiem przeżycia, ale potem wracali, na lotnisku czekała Andrea, i Jochen stawał się niepotrzebny. Od tej chwili zaczynał liczyć dni do następnej podróży. Nie to, żeby się nudził i rzadko kiedy musiał zasypiać samotnie, ale równie rzadko miał ochotę na spędzenie także i dnia z dziewczyną, z którą właśnie spędził noc. Nawet wspólne śniadanie wydawało mu się już zbyt intymne.

Wszystko to w niczym nie przypominało Babenhausen, ale naprawdę satysfakcjonujące też nie było. Jeżeli pomiędzy beznadziejnością małżeństwa jego rodziców i szybkim seksem z ofiarnymi markietankami coś jeszcze istniało, to Jochen tego nie znał. Najprawdopodobniej ucieleśniała to coś Andrea, ale Andrea była żoną Franka, a więc pozostawała dla niego istotą poniekąd bezpłciową, nawet w jego fantazjach. Nigdy nie zastanawiał się, jakby to było, gdyby udało mu się zaciągnąć ją do łóżka, bo o zaciąganiu do łóżka żony Franka nie było mowy. Nie bardzo zresztą wiedział, o czym miałyby z nią rozmawiać; opowieści komb-

tantów, na które tak leciały inne dziewczyny, w tym wypadku zupełnie nie wchodziły w grę. „Nie słyszeliśmy wcale tej bomby, leciała zupełnie bezgłośnie, dopiero kiedy zobaczyliśmy, że Michele z France Press obraca w palcach z niedowierzaniem swoje własne jelita, zrozumieliśmy, że stało się coś strasznego”. Kompletnie idiotyczne.

Tylko raz spróbował jej zaimponować historią o tym chłopaczku z anielską buzią w Kompong Som, który na oczach zachodnich korespondentów wyniósł na własnym grzbiecie swoją siostrzyczkę spod wietnamskiego ostrzału, co dziennikarze uznali za wzruszający materiał i kręcili jak szaleni, ale chłopczyk położył małą ostrożnie na ziemi, troskliwie wytarł jej buzię i wskazując na nią, powiedział: „Pięćdziesiąt dolarów, mister? *Very good* dupa!”.

- Zamknij się - powiedziała mu na to uprzejmie Andrea. - Jesteś obrzydliwy. Nie chcę nic wiedzieć na ten temat.

A powinnaś! - chciał zawołać. - Twój mąż z tego właśnie żyje, z takich obrzydliwych historii, w ten sposób zapracował na tych pięć pokoi w amfiladzie, volvo w garażu i pierścionek z szafirem na twoim palcu. To za łatwe, korzystać z tych pieniędzy i nie chcieć wiedzieć, jak zostały zarobione.

Ale Andrea jednym chłodnym spojrzeniem zamknęła mu usta, więc mruknął tylko z urazą:

- Jak chcesz, myślałem, że interesuje cię praca twojego męża.

- Interesowałby mnie każdy szczegół, gdybym była w stanie unieść wiedzę o tym, co robicie.

Jochen nie rozumiał, o co jej chodziło i postanowił schodzić jej z drogi, co mu się udawało aż do tej pamiętnej zimy w Lermoos.

W zasypanej śniegiem chałupie, w starych dżinsach i grubym białym swetrze z golfem, prawie bez makijażu, z włosami niedbale ściągniętymi gumką, wydała mu się bardzo młoda i zupełnie niegroźna. Miał wrażenie, że szczerze ucieszyła się na jego widok: jeździła na nartach ostro, po męsku i Ledbetterowie nie umieli

dotrzymać jej kroku. Kathi miała okropny zwyczaj histerycznego piszczenia, ile razy stanęła na stoku, a Detlef większość czasu spędzał na zaciskaniu i poluzowywaniu klamer przy butach. Z trudem utrzymywali na nartach równowagę i jazda nie sprawiała im żadnej przyjemności, ale z zapałem odwiedzali Lermoos przynajmniej raz w roku, bo podobała im się przytulna chałupa Franka, atmosfera w knajpach, tupanie ciężkich butów i zapach grzanego wina. W Jochenie Andrea miała godnego siebie przeciwnika i mogła się z nim bez tchu ścigać na najtrudniejszych z czarnych tras.

- Może udałoby się nam skłonić Ledbetterów do wzięcia paru lekcji z instruktorem i pozbyć się ich w ten sposób na parę godzin - wyszeptała Andrea konspiracyjnym szeptem. - Anton jest fenomenalny, nawet krowę nauczyłby kirstianii. Oni są jako współmieszkańcy idealni, ale na stoku odczuwam przemożną potrzebę udawania, że ich nie znam. Chyba powinnam się wstydzić, prawda? W końcu to nasi przyjaciele.

- Nawet przyjaźń nie usprawiedliwia histerycznego pisku w górach - orzekł surowo Jochen. - Myślę, że masz pełne prawo folgować swoim najgorszym instynktom. Wyślij ich do Antona.

Popatrzyli po sobie i wybuchnęli śmiechem. Na myśl o niefrasobliwych dniach, które go oczekiwały, Jochen poczuł się lekko i radośnie, jakby już za chwilę miało wydarzyć się coś cudownego. Iskrzący się w słońcu śnieg, przeciągły gwizd szusujących nart, niebieskie cienie pod świerkami na zboczu, jasne głosy dziewcząt w mroźnym powietrzu - Boże, pobłogosław Lowenzahna, starego pedała, za to, że nauczył go to wszystko kochać!

Objął Andreeę w pasie i tak wkroczyli zgodnie do przestronnej kuchni, w której pachniało przysmażoną cebulką, mokrą wełną, goździkami i cynamonem. Pół ściany zajmował ładny chłopski kredens z przeszklonymi drzwiczkami i rzędem porcelanowych szufladek, na których widniały napisy informujące, że w środku znajduje się sól, pieprz, cukier, rodzyunki albo migdały. W garnku stojącym na

żeliwnym piecu z prawdziwą duchówką i fajerkami, którymi trzeba było żonglować za pomocą pogrzebacza, bulgotała wesoło woda. Detlef i Kathi pochylali w skupieniu głowy nad wyszorowanym do białości stołem, krojąc oliwki, czosnek i bazylię na sos do spaghetti.

- Witaj, wędrowcze - powiedział wesoło Detlef na widok Jochena, salutując nożem. - Czy twój przyjazd oznacza, że należy się w Tyrolu spodziewać zamachu stanu albo krwawej rewolucji?

- Czy twoja obecność tutaj oznacza, że zagraża nam osunięcie się w chaos? - odpowiedział pytaniem na pytanie Jochen, całując Kathi w policzek i w ogóle nie zdając sobie sprawy z tego, jak proroctwo okazało się już wkrótce jego słowa.

Detlef Ledbetter był fizykiem, nad wyraz cenionym ekspertem w swojej dziedzinie i profesorem na uniwersytecie w Monachium. Zajmował się teorią chaosu - cokolwiek pod tym pojęciem rozumieć. Miał ujmujący wygląd promiennego chłopca, okrągłe niebieskie oczy, obserwujące z ciekawością świat, włosy tak jasne, że nieomal niewidoczne, szczupłe wysportowane ciało i zaskakująco długie ręce i nogi. Na jego gładkiej twarzy o żadnej porze dnia i nocy nie widać było ani śladu zarostu i Jochen przy każdym spotkaniu zaczynał na nowo się zastanawiać, czy wieczny chłopiec Detlef, niczym Piotruś Pan zachowujący od lat wygląd i sposób bycia siedemnastolatka, w ogóle musiał się golić.

Kathi i Detlef poznali się w szkole. Zakochali się w sobie na zajęciach kółka przyrodniczego, na poważnie zaczęli ze sobą chodzić w dziewiątej klasie i tak już zostało: spędzili ze sobą wytrwale, w mniejszej czy większej harmonii, całe dwadzieścia lat. W odróżnieniu od młodzieńczego oblicza Detlefa ślady tych lat zapisały się głębokimi bruzdami wzdłuż nosa i ust Kathii, nadając jej twarzy wyraz goryczy. Nie znosząc z natury małych dzieci, uczyła je z rezygnacją w obskurnych szkołach podstawowych, rozsypanych po całych Niemczech, ciągnąc śladem olśniewającej kariery naukowej Detlefa. Każdy kamień milowy na drodze jego sukcesów spoczywał ciężko na jej piersi. Jak tylko udało jej się poskromić

ządnych jej krwi gówniarzy, zapoznać się z panującymi w nowej szkole zwyczajami, pozyskać sobie grono pedagogiczne, zdobyć przyjaciół i dowiedzieć się, gdzie są najtańsze sklepy, Detlef już otrzymywał następną propozycję na kolejnej uczelni, jeszcze ciekawszą, jeszcze korzystniejszą, jeszcze ważniejszą dla jego naukowej przyszłości. Kathi przestała już pakować i rozpakowywać serwis po babce i otrzymane w ślubnym prezencie srebra, bo nigdzie nie udawało jej się zostać na tyle długo, żeby mogła urządzić jakiegokolwiek przyjęcie. Miała nadzieję, że może teraz, po przeprowadzce do Monachium, uda jej się w nowym mieszkaniu już umrzeć, bo perspektywa następnej napelniała ją nieopisaną zgrozą, a poza tym po długich miesiącach, czasami nawet latach rozłąki z Detlesem miała za każdym razem idiotyczne uczucie, że wprowadza się do jakiegoś obcego face-
ta.

Jeszcze większa zgroza ogarniała ją na myśl o coraz to młodszych i coraz atrakcyjniejszych studentkach, jakimi otaczał się jej mąż. Dziewczęta te nosiły rozmiar 34, co najwyżej 36, były twarde jak stal, nie znały ani litości, ani zasad, i były całkowicie przekonane, że Detlef się w tym małżeństwie marnuje. Co gorsza, z czasem Detlef sam zaczął się skłaniać do tej teorii, czuł już nawet, jak wloką się za nim te skrzydła, których nie może rozwinąć. Po dwudziestu latach z Kathi musiał przyznać, że zaniedbał podstawową i najważniejszą cechę naukowca: ciekawość i że ma, przynajmniej jeśli chodzi o jego doświadczenia w dziedzinie seksualnej, całą masę do nadrobienia. Właściwie musi dzień i noc nadrabiać.

Pisma kobiece doradzały cierpliwość i wyrozumiałość, ślepotę i skórę nosorożca, więc Kathi konsekwentnie starała się nie widzieć i nie słyszeć, choć te młode stworzenia obdarzone były niewiarygodnym tupetem i wcale się nie ukrywały. Detlef, chcąc odciążyć swoje sumienie, proponował jej wspaniało-myślnie wolną rękę i związek otwarty, ale zmęczona i wypalona Kathi nie czuła się na siłach, żeby postarać się o kochanka. Nie miała zresztą najmniejszej po-

trzeby eksperymentowania, jej wystarczał Detlef, jeżeli miała coś do nadrabiania, to tylko z nim i była absolutnie zdecydowana zatrzymać go przy sobie za wszelką cenę. Chociaż szczerze nie lubiła dzieci, a niemowlęta wręcz ją przerażały, przestała w tajemnicy przed Detlesem brać pigułkę, w nadziei, że zajdzie w ciążę i w ten sposób będzie miała w ręku poważny atut w rozgrywkach z młodszą konkurencją. Niestety, ginekolog nie robił jej większych nadziei, jego zdaniem zaawansowany wiek nie rokował dużych szans na macierzyństwo. A więc musiała przełknąć jeszcze i to upokorzenie, żyć ze świadomością, że nawet na to jest za stara, i umierać ze strachu, że któraś z tych wysportowanych dziewczyn o sprawnych jajnikach wpadnie na ten sam pomysł, a Detlef dojdzie nagle do wniosku, że jest człowiekiem honoru i musi się z matką swojego dziecka ożenić.

Im większe były obawy Kathi, tym uporczywiej manifestowała na zewnątrz niewzruszalność jej związku. „Ludzie sami nie wiedzą, czego chcą - mówiła na przykład. - Uważają, że małżeństwo to taki sam towar do skonsumowania jak wszystko inne i jeżeli nam się partner znudzi, to należy go wymienić, jak samochód, na model nowszy i sprawniejszy. Tymczasem nad małżeństwem trzeba nieustannie pracować, doskonalić je, żeby każdy wspólny rok je stabilizował i wzbogacał, jak stare wino. My z Detlesem jesteśmy już od dwudziestu lat razem i wciąż odkrywamy w sobie coś nowego”.

Także i tego wieczora Kathi nie omieszkała udzielić niepytana wyczerpujących informacji, jak to Ledbetterowie tyrają w pocie czoła, doprowadzając swoje stadło do perfekcji. W czym się ta perfekcja objawiała, nie wyjaśniła, ale prowadząca do niej droga wyglądała na tak uciążliwą, że wysiłek ten wystarczyłby z pewnością do osiągnięcia stanu nirwany.

Detlef uśmiechał się i milczał. Jochenowi, którego najdłuższe związki trwały najwyżej trzy miesiące, ale który wciąż jeszcze tęsknił za takim, który byłby szczęśliwy i wieczny, gadanie Kathi działało na nerwy.

Po kolacji założyli kurtki i wyszli na trzaskający mróz. Musieli iść gęsiego po wijącej się między zaspami wąskiej ścieżce i ustawiać się bokiem, kiedy zbliżał się przechodzień spieszący w odwrotnym kierunku. Jochenowi wszystko wydawało się swojskie i miłe: pachnące świeżym świerkiem i dymem drzewnym ostre powietrze, wirujące bezgłośnie w ciemności płatki śniegu, szczekające we wsi psy i ciepłe światła w oknach chałup, nadające im przytulny i gościnny wygląd. Szli rażno, śmiejąc się i żartując, młodzi, zamożni, przystojni i racjonalnie odżywieni, zamarzający śnieg chrzęścił wesoło pod ich butami i cały świat zmniejszył się do tej białej bańki mydlanej, której byli środkiem. W tym świecie nie istniały żadne wojny i żadne pogromy, a fanatycy religijni, krwawi dyktatorzy i samobójczy zamachowcy nie mieli do niego wstępu, chociażby dlatego, że nie jeździli na nartach.

W knajpie, ustylizowanej na góralską, z kolekcją staroświeckich kuflów na zwisającej z sufitu na kutyh łańcuchach półce, wypili po kilka kubków grzanego wina, wymieniając uwagi na temat stanu tras zjazdowych, nowo uruchomionych wyciągów, pogody i spotkanych w Lermoos znajomych. Jochen, rozparty na wygodnej ławie przykrytej baranicą, przyglądał się ich pogodnym, ożywionym twarzom, myśląc, że czuje się wspaniale w gronie tych miłych i beztroskich ludzi, że jutro będzie jeździł do upadłego i pojutrze także, a może nawet zostanie tu, póki nie stopnieje śnieg, bo w końcu jest, do diabła, młody i coś mu się należy od życia, no i jeszcze myślał, że ta Andrea z włosami ściągniętymi gumką i bez makijażu wygląda na czternaście lat, a kiedy się śmieje, robią się jej naprawdę urocze dołeczki w policzkach.

Pobyty w Lermoos zapowiadał się więc początkowo wspaniale ale już następnej nocy wyrwał Kathi z pierwszego snu pijacki śpiew członków sekcji alpejskiej związku sportowego Szarotka z Freiburga i przy tej okazji stwierdziła, że leży samotnie w łóżku. W takich sytuacjach fantazja natychmiast podrzucała jej obra-

zy wijącego się w ataku kolki nerkowej albo sztywniejącego po zawale Detlefa, założyła więc wełniane skarpetki, bo kapci jakoś nie mogła znaleźć, narzuciła na ramiona szal i poczłapała go szukać. W kuchni i w paradnej izbie go nie znalazła, więc zaczęła się martwić, czy nie zaszkoziły mu pierożki z grzybami, które jedli na kolację i których nadzienie przyrządzone było z zebranych jesienią przez Andreę prawdziwków, a ogólnie przecież wiadomo, że piękne kobiety bywają roz-targnione. Drzwi do łazienki były uchylone, przez szparę sączyła się smuga świa-tła, a kiedy zajrzała do wnętrza, zobaczyła siedzącego na klozecie Detlefa, ubra-nego w długi narciarski sweter ozdobiony norweskim wzorem z reniferów i śnie-gowych gwiazdek, spod którego wystawały chude owłosione łydki i stopy, wsu-nięte w jej własne kapcie z różowym puszkim, co wyglądało absolutnie grote-skowo i właśnie dlatego te kapcie z puszkim i renifery miały na zawsze utrwalić się w jej pamięci. Do ucha Detlef przyciskał komórkę i zaklinał ją nabrzmiałym namiętnością głosem, którego Kathi dawno już nie słyszała:

- Ja ciebie też, mój skarbie. Jesteś najlepszym, co mogło mi się w życiu przydarzyć. Nie wiedziałem, że coś takiego w ogóle istnieje, nie przypuszczałem, że odczuję to w stosunku do jakiegokolwiek kobiety. Daj mi tylko trochę czasu.

Kathi cofnęła się i oparła ciężko o ścianę. „To nieprawda, nieprawda, nie-prawda - powtarzała tępo w myślach. - Najlepsze, co mu się mogło przydarzyć. Skurwysyn”.

- Beatrice, aniele... Marzę o tym, ale nie mogę teraz do ciebie przyjechać. To sympozjum jest dla moich badań bardzo ważne, rozumiesz? Przecież dopiero co byliśmy razem w Brukseli, całe dziesięć dni i dziesięć nocy. Każdą minutę spędzoną z tobą mam wciąż przed oczami, każda myśl moja jest przy tobie... Co mówisz? Nie, nie, koledzy jeszcze dyskutują, no wiesz, naukowcy, dla nas nigdy nie jest za późno. Wyszedłem teraz do parku, żeby być tylko z tobą, z dala od lu-dzi, pod niebem pełnym gwiazd.

Każda gwiazda to moje życzenie - czy słyszysz, jak je szepczą, Beatrice?

Beatrice, ta francuska dziwka z Bordeaux. Studentka. Jedna z tych, co pragnęły uwolnić Detlefa od nędzy jego obecnej egzystencji. Przedtem chociaż katoliczki miały skrupuły, wyciągając łapy po cudzego męża, dzisiaj uważają uwolnienie go ze szponów żony wręcz za swój obowiązek moralny. Co najwyżej wyśpiewują się. Ten skurwysyn! Skurwysyn i łgarz. W Brukseli miała być konferencja dotycząca współpracy uczelni europejskich, akurat, dzień i noc pieprzył tę francuską dziwkę w jakimś hotelu na wszystkie europejskie sposoby i to była ta współpraca.

Kathi poczuła, że marznie, korytarz był nieogrzewany, piece wygasły. Zadrżała i zawinęła się szczelniej szalem. Uświadomiła sobie nagle, że przez dwadzieścia lat obawiała się tej właśnie chwili, i że od tej chwili już nie musi się bać. Jej mąż ma o dwadzieścia lat młodszą francuską dziwkę, najlepsze, co mogło mu się przydarzyć, a ona sama jest oszukiwaną żoną. Oszukiwaną, owszem, ale tamtą też oszukuje: jakie sympozjum naukowe, jaki park? A jaki poetyczny: niebo pełne gwiazd, a wszystkie szepczą życzenia Detlefa - słyszysz, Beatrice? Nie tylko skurwiel, ale i kretyn.

Zdecydowanym krokiem weszła do łazienki i pociągnęła za staroświecki łańcuszek, wprawiający w ruch spłuczkę. Woda spłynęła z hukiem pod siedzeniem Detlefa, który przerażony wystrzelił w górę.

- Życzenia. Szepczące gwiazdy - wyjaśniła mu uprzejmie. - Teraz Beatrice na pewno je usłyszała.

Spakowała tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Napisała liścik do Andrei, zostawiła go na kuchennym stole, zabrała kluczyki od samochodu i wyszła. Śniadanie zjadła już w Monachium. Detlefa odwiózł w południe na stację Jochen.

- I co teraz? - zapytał po powrocie. - Mam się spakować i też wyjechać?

Andrea wzruszyła ramionami.

- Teraz - odparła - będziemy jeździć na nartach jak potępieńcy. Do upadłego.

Pozostał więc, ale szybko okazało się, że w ich wzajemnych stosunkach coś się zmieniło. Zaistniała sytuacja stworzyła między nimi nieoczekiwaną intymność. Kiedy zapadał wieczór, siadywali w kuchni na ławie przy kaflowym piecu, nad którym suszyły się na sznurze ich skafandry, i godzinami rozmawiali. Jochen przypominał sobie przepis na płonący poncz, za pomocą którego wiele lat temu odnosił towarzyskie sukcesy w akademiku i przyrządzał go teraz codziennie po kolacji, pochlebiony entuzjazmem Andrei, którą fascynowały tańczące wokół garnka błękitnawe płomyki i tajemnicze cienie, rzucane przez nie na ściany. Za oknami zamieć unosiła tumany mokrego śniegu, jęczały świerki, przyduszane do ziemi wiatrem i od czasu do czasu schodziła z dachu z hukiem lawina, ale w chałupie było ciepło i przytulnie, w piecu uspokajająco trzaskał ogień i kubki z gorącym ponczem przyjemnie grzały ręce. Najczęściej Jochen opowiadał o swoich podróżach z Frankiem, uczciwie, nie koloryzując, o podnieceniu i strachu, zapale i wątpliwościach, dumie i wstydzie, a potem znowu o Franku. Frank nieustannie był obecny w ich rozmowach, w jakiś sposób oboje byli dziećmi Franka, a może raczej jego dziełem, w życiu każdego z nich odegrał decydującą rolę i to właśnie ich kiedyś ukształtowało, a dziś łączyło. Dlatego mieli sobie tyle do opowiedzenia, także i o Babenhausen i o Judith, bo właśnie ta część ich historii kazała im szukać Franka i może dlatego musieli go spotkać, żeby móc zapomnieć wszystko, co było przedtem. Jochen był zdumiony: ta chłodna, niedostępna Andrea! Słuchała go uważnie, obejmując ramionami podciągnięte kolana, z włosami opadającymi na czoło, które co jakiś czas odsuwała niecierpliwym dmuchnięciem. Mógł patrzeć godzinami na jej poważną, zatopioną w myślach twarz, jej bliskość oszalała go i zachwycała. Proste, codzienne czynności, wykonywane razem nabierały nieznanego słodyczy: Urok nakrywania stołu! Czar zmywania naczyń! Misterium wspólnego posiłku! Nigdy też nie myślał, że odśnieżanie ścieżki może być tak głębokim przeżyciem. Nie zastanawiał się nad znaczeniem tego, co od-

czuwał, powtarzał w myślach tylko to jedno zdanie: „Niech to trwa nadal”. Z czasem zaczął negować istnienie świata za oknami chałupy, zapomniał o pracy, redakcji, kolegach i coraz częściej udawało mu się nie pamiętać o Franku. Siedzieli zasypani śniegiem pośrodku oceanu bieli jak para ocalałych rozbitków na samotnej tratwie, połączeni niewidzialnym przewodem, po którym w każdej chwili mogła przeskoczyć iskra i czekali, że halny, lawina albo niespodziewane nadejście wiosny rozładują napięcie.

Narty oboje traktowali bardzo serio i nie schodzili ze stoku aż do ukazania się pierwszych gwiazd. Andrea jeździła pewnie i odważnie, jak mężczyzna, znacznie lepiej niż Jochen. Śmigła przed nim, ciągnąc za sobą pióropusz śniegu i pozostawiając na zboczu idealny w swoim rysunku ślad. Nic to jej jednak nie pomogło w momencie, kiedy jak pocisk armatni ściał ją z nóg szusujący na oślepie ortodonta, którego do Lermoos przywlokła ambitna kochanka w nadziei, że dużo ruchu, świeże powietrze i romantyczny seks w pseudogóralskiej chałupie skłonią go w końcu do podjęcia jakiejś decyzji. Jakiejś, to znaczy korzystnej dla niej. Tego dnia ortodonta zupełnie niepotrzebnie wypożyczył sobie narty, licząc, że zaimponuje ukochanej tężyzną fizyczną i natychmiast pożałował tej decyzji, kiedy deski zupełnie samodzielnie wprawiły się w ruch.

W rzeczywistości Andrea i Jochen niczego się o nim nie dowiedzieli, bo jak tylko znowu się ocknął i zobaczył przed sobą bladą jak opłatek twarz Andrei, przypomniało mu się, że w opowiedzianej żonie wersji przebywa w tej chwili na Kongresie Implantologów Środkowoniemieckich w Hamburgu i nigdy się z tego trupa na stoku w Lermoos nie wytłumaczy. Rozejrzał się więc szybko wybałuszonym z przerażenia okiem, stwierdził, że akurat są sami, odbił się kijkami, zacisnął powieki i poszusował dalej.

- Gnojek! - zawołał za nim Jochen.

Z pomocą zachwyconego dziesięciolatka, który przeszedł w szkole kurs pierwszej pomocy i już od dawna czekał na okazję do tamowania krwotoków z urwanych kończyn i wykonania masażu na otwartym sercu, odpiął ostrożnie Andrei narty i sprowadził ją ze stoku.

Znudzony młody lekarz na pogotowiu wykluczył złamanie, zapisał okłady i kompletnie stracił zainteresowanie pacjentką. Siedział w Lermoos od początku sezonu i już nie mógł patrzeć na połamane, zwichnięte albo stłuczone kończyny. Był chirurgiem z powołania i śniły mu się po nocach ropiejące nowotwory i pękające woreczki żółciowe, tymczasem od miesięcy nie trafił mu się nawet wyrostek robaczkowy.

W chałupie Jochen pościelił Andrei łóżko, ostrożnie wyłuskał ją z kombinezonu i delikatnie ściągnął z niej dzinsy i rajstopy. Siedziała w pościeli ubrana tylko w biały sweter z golfem i cnotliwe w kroju czarne figi, z włosami splecionymi w dwa warkoczyki, żeby zmieściły się pod narciarską czapkę i nie spadały na czoło. Położył jej nogę na swoich kolanach, tak dobrze, jak potrafił, zrobił okład na stłuczoną kostkę i owinął bandażem.

- Powinno się trzymać - powiedział dumny z siebie, przesuwając palcami po opatrunku. - Nie chciałbym się chwalić, ale bandażowanie to moja specjalność. W ostatnich latach miałem okazję dojść do perfekcji, chociaż muszę przyznać, że to moja pierwsza pokojowa noga, uszkodzona na nartach, a nie w trakcie strzelaniny czy bijatyki.

Intensywność dreszczu, który nim wstrząsnął przy tym muśnięciu, zaskoczyła go i przeraziła. Cofnął dłoń, nie spuszczać wzroku ze szczupłej twarzy o wystających kościach policzkowych, na które półksiężyc rzes rzucały długie cienie. Andrea leżała cicha i milcząca, czy miał to rozumieć jako przyzwolenie? Tydzień temu uważał ją za nieprzystępną, jej uroda i inteligencja budziły w nim strach i poczucie niższości; czym mógł akurat on, chłopak z Babenhausen, zaimponować

zanie Franka? Teraz trzymał na kolanach jej obnażoną nogę i obejmował palcami smukłą kostkę, czując jak pod nimi pulsuje niebieskawa żyłka.

Wiedziony nagłym impulsem pochylił się i przycisnął usta do jej ciała tuż nad opatrunkiem, a potem nie przestawał jej całować, przesuwał się coraz wyżej i wyżej, aż jego wargi dotknęły śliskiego materiału bielizny, który musiał jakoś sam się zsunąć, bo poczuł zapach jej skóry i wtulił twarz między jej wilgotne uda, i już było za późno, i już nie mógł przestać, bo ona przywarła do niego i oplotła go ramionami, wijąc się i płacząc, aż w końcu wyprężyła się i krzyknęła, a on pomyślał przerażony: „Chyba zrobiliśmy coś strasznego” - i usłyszał swój własny głos mówiący:

- Chyba stało się coś cudownego.

Przez cały następny tydzień praktycznie nie opuszczali łóżka, kochając się na wszelkie wynalezione do tej pory sposoby, a także i na te, o których sądzili, że to oni je odkryli, aż delikatna skóra na wewnętrznej stronie ud Andrei nabrała koloru dojrzałego pomidora, a usta popekały od pocałunków. Przy każdej próbie zbliżenia jej jęk rozkoszy mieszał się z okrzykiem bólu i musieli wysilić całą swoją fantazję, żeby wyszukiwać u siebie te partie ciała, które jeszcze nie były nadwyrężone miłością. Niektóre pozycje wymagały umiejętności wręcz akrobatycznych, ale nie brakowało im zapału i oboje byli na szczęście bardzo wysportowani.

Tylko raz Jochen pojechał do miasteczka, żeby uzupełnić zapasy. Zatankował samochód i w małym supermarkecie kupił wino, rum i głowę cukru do przyrządzenia ponczu, świeże wędliny, szwajcarskie sery, parę puszek ravioli, świece i zapalki. Pakując jego zakupy do torby, właścicielka sklepiku zapytała uprzejmie:

- Pan mieszka w domu państwa Jacobi, prawda? Czy pan Jacobi też przyjechał, bo jakoś go do tej pory nie widziałam?

Jochen przyjrzał się bacznie pulchnej twarzy z okrągłymi plackami rumieńców na policzkach, wyglądającymi jakby je namalowano burakiem, niepewny,

czy ma to pytanie traktować jako aluzję. Okrągłe niebieskie oczy spoglądały na niego niewinnie, z wyrazem zawodowej serdeczności.

- Bo mam dla niego skrzynkę saint-emilion grand cru, Cateau fleur lartigue - powiedziała kobieta z dumą, niemiłosiernie kalecząc francuską nazwę. W jej ustach zabrzmiała ona jak santemiljon grandkri, szato fler lartyk i Jochen musiał się zastanowić, co ma na myśli. - Pan Jacobi ją zamówił. Może by ją pan zabrał dla niego? Poza panem Jacobi nikt tu takiego drogiego wina nie pije.

- Jasne, jasne - powiedział szybko Jochen, którego sumienie zameldowało się boleśnie, przypominając mu, że to Frank nauczył go, jakie wina do jakich potraw się pije i że to z nim wypił pierwsze saint-emilion w swoim życiu. - I poproszę jeszcze skrzynkę chianti, co tam z tyłu stoi.

W każdym razie nie wypije wina, które zamówił Frank, leżąc w łóżku z jego żoną.

-I niech pan pozdrowi panią Jacobi! - zawołała za nim sklepikarka, kiedy już zamykały się za nim drzwi, wprawiając przy tym w ruch alpejskie dzwoneczki, takie same, jakie nosiły tu krowy na szyjach. Na ich wesoły dźwięk kilku przechodniów odwróciło się z ciekawością. - Od Effi Trautmannowej, dobrze?

- Z przyjemnością - wymamrotał, odnosząc wrażenie, że ma na plecach napis: „Kochanek pani Jacobi” i każdy mieszkaniec miasteczka wie, czym się ostatnio zajmował. Może pachniał z daleka Andream?

Kiedy nagle ktoś trzepnął go w plecy i zawołał: „Halo, stary, no i jak tam było?”, serce stanęło mu w piersi, bo był przekonany, że pytanie to może odnosić się tylko do jego romansu z żoną Franka. Podskoczył przerażony i zapytałam nieprzytomnie:

- Niby co jak było?

- Jak to co? Jak cię tydzień temu spotkałem, wybierałeś się na Zugspitze - wyjaśnił lekko urażonym tonem olbrzym w futrzanej czapce uszatce, na której

widniała enerdowska odznaka policyjna, obecnie cenny zabytek. Jochen rozpoznał w nim z trudem technika dźwięku z NDR. - Pod kolejką, nie pamiętasz?

-Ach, Zugspitze. - Odetchnął. - Fantastycznie było. Firn i doskonała widoczność.

- Musimy się koniecznie wybrać razem wieczorem na wino - oświadczył z przekonaniem osiłek, waląc Jochena ponownie po plecach. - Gdzie ty właściwie mieszkasz?

- Mieszkam? - Jochen rozejrzał się bezradnie po szczytach okolicznych świerków, jakby miał nadzieję znaleźć między nimi swój rozwieszony hamak. - Nie mieszkam. Właśnie wyjeżdżam.

- Szkoda - zmartwił się technik. - Myślałem, że razem będziemy siać popłoch na oślej łączce wśród dojrzałych do ścięcia licealistek.

Odszedł rozczarowany, powłócząc ciężkimi narciarskimi butami.

Jochen wracał do chałupy, przemykając się pod ścianami i zanim do niej dotarł, był już skąpany w pocie. Stawiając skrzynkę chateau fleur lartigue na kuchennym stole, powiedział do Andrei z rezygnacją:

- Kompletnie nie nadaję się do tej roli. Czuję się jak ostatnia świnia. Nie możemy tego Frankowi zrobić.

- Nie możemy - przytaknęła Andrea, spuszczać głowę i na ten widok Jochena ogarnęło współczucie i przemożna potrzeba wsparcia jej w niedoli. Podzieleną winą wydała mu się teraz łatwiejsza do usprawiedliwienia. Zapragnął, żeby mu zaprzeczyła, żeby próbowała go przekonać, zapewniła, że kiedyś będą razem, na zawsze. Nie uwierzyłby jej, ale byłby jej wdzięczny za te słowa.

Otulił ją ramionami i w momencie, kiedy poczuł na swojej piersi ciepło jej ciała, zapomniał o wyrzutach sumienia. Jakim właściwie prawem zagradzał Frank drogę kobiecie o trzydzieści lat od siebie młodszej? Zatrzymywanie jej było z jego strony czystym egoizmem. Myśl, że inny mężczyzna był jej mężem i miał prawo całować to piękne ciało i wnikać w nie, doprowadzać ją do krzyku

rozkoszy, była nie do zniesienia, nawet jeżeli tym mężczyzną był Frank. Owszem, wiele mu zawdzięczał, ale teraz jakoś nie potrafił wskrzesić uczucia podziwu i przyjaźni, pozostała tylko zazdrość.

Był przekonany, że znalazł w Andrei tę jedyną kobietę, z którą chciałby spędzić życie, mieć dzieci, kupować meble, budować domy, sadzić drzewa, i świadomość, że nie może jej zatrzymać, doprowadzała go do rozpacz. „Byli stworzeni dla siebie” brzmiało idiotycznie, ale pasowali do siebie, przy żadnej innej kobiecie do tej pory nie odnosił wrażenia, że stanowi ona jakąś jego brakującą część, odnalezioną połówkę, niezbędny organ. Byli w tym samym wieku, ich ciała rozpoznały się w mgnieniu oka i łączyły w sposób tak naturalny, jakby się znały od lat i nie istniało nic, czego by nie zechcieli wypróbować, przed czym by się cofnęli.

Frank mógł znaleźć sobie inną partnerkę, mężczyźni tego typu nigdy nie pozostawali długo sami, kobiety kochały ich i podziwiałały, a kiedy nic już nie pozostało do kochania i podziwiania, spalały się w swojej ofiarności, pielęgnowały, wspierały, czytały na głos gazety i odliczały kropelki. Ucierpi jego miłość własna, na pewno, ale przeboleje to i się podniesie. Frank miał w sobie tyle siły; jak tylko go poznał, od razu sobie pomyślał: „Tego nic nie złamię”. Zanim śnieg przestanie padać, musi przekonać Andree, że tylko z nim będzie szczęśliwa.

A śnieg padał i padał, tłumiając wszystkie dźwięki i odgradzając ich od reszty świata, napelniając wnętrze chaty o każdej porze dnia i nocy mleczną poświatą, aż w końcu zaczęło im się wydawać, że znajdują się we wnętrzu jednej z tych szklanych kul napelnionych płynem, w których białe płatki nigdy nie przestają wirować. Wszystko, co ich do tej pory otaczało, znikło, z zewnątrz przestały dochodzić odgłosy przejeżdżających drogą samochodów, raz tylko przesunął się z hałasem pług śnieżny, pozostało tylko ich dwoje, zamkniętych w żeglującej przez białe odmęty chałupie jak w arce. Stracili poczucie czasu, raz wydawało im się, że minęło tylko parę dni, bo spędzone razem dni wciąż były za krótkie, a znowu

innym razem myśleli, że są zasypani od lat, bo tyle dowiedzieli się o sobie, jakby znali się od wieków i byli już bardzo starzy.

- Dajesz mi siłę, Andreo, dajesz mi wszystko, co niezbędne do życia, więc byłoby tchórzostwem z mojej strony, gdybym o ciebie nie walczył - szeptał Jochen do ucha Andrei skulonej na jego kolanach i opartej plecami o kaflowy piec.
- To nie może się skończyć, to się dopiero zaczęło.

Czekał na jakieś słowa, które dałyby mu nadzieję, ale Andrea milczała. Jej milczenie przedłużało się i oznaczało, że wyrok zapadł i ich arka bierze teraz kurs na skały.

- Andreo?

- Nie odejdę od Franka.

- Ale przecież...

Położyła mu palce na ustach i powtórzyła:

- Nie odejdę od Franka. I obiecaj mi, że nigdy się nie dowie, co się stało. Nie chcę mu sprawiać bólu.

- Co za dziwna logika! Zdradzasz go przecież, zdradzasz go ze mną, i to z dużym zapalem, ale nie chcesz mu sprawiać bólu, więc sprawiasz go mnie. Co Frank ci daje, czego ja ci nie daję?

- Przede wszystkim dwanaście szczęśliwych lat. Za nie jestem mu coś winna.

- Ze mną nie byłaś szczęśliwa?

- Ależ tak! Najszczęśliwsza. Ale to jeszcze nie upoważnia nas do zabrania Frankowi jego szczęścia.

Jochen zrozumiał, że była to decyzja nieodwołalna i jedyne, co mu teraz pozostało, to zapominanie. Odtąd czas będzie już tylko czekaniem na chwilę, kiedy uda mu się o niej przestać myśleć, co potrwa długo, bardzo długo, a zanim nastąpi, Andrea wciąż będzie powracała w jego myślach, będzie stała przed jego oczami, śmiejąc się, zdmuchując włosy z czoła, płacząc i krzycząc w jego ramio-

nach, ciągle i ciągle, jak w zwolnionym filmie. Kiedyś się od niej pewnie uwolni, ale kiedy?

- Och, Andreo - powiedział ze smutkiem - jak szczerze dajesz i jak łatwo zabierasz!

Po powrocie z Lermoos Jochen przez długi czas nie tracił nadziei. Każdego dnia czekał na listonosza, stało się to istotną częścią jego codziennego programu. Z reguły długo zwlekał z otwarciem skrzynki na listy, odsuwając w ten sposób moment rozczarowania. Niekiedy wracał w ciągu dnia do domu, żeby sprawdzić, czy nie było poczty. Wielokrotnie sprawdzał, czy telefon działa i czy nie zepsuł się dzwonek u drzwi, dwa razy sprowadził technika, twierdząc, że nie dochodzą do niego majle. Może była chora? Leżała zupełnie sama w chałupie, wstrząsana kaszlem i rozpalona gorączką, skończyły jej się zapasy i wyładowała komórka. Nawet na pewno była chora - kiedy wyjeżdżał, skarżyła się na ból głowy. W tym wypadku mógłby się nią zająć, nawet powinien.

Ale ktoś ze znajomych wspomniał mimochodem, że Andrea znowu jest w Hamburgu, a kiedy w końcu zdecydował się wystukać jej numer telefonu, usłyszał spokojny głos:

- Andrea

Jacobi.

Odłożył słuchawkę.

Traktował swój stan jak chorobę i zdawał sobie sprawę, że tak długo nie wyzdrowieje, jak długo będzie trwało to szaleństwo czekania, ale cóż miał zrobić? Czekał - a Andrea milczała.

Po jakimś czasie zaczął odczuwać złość. Zakpiła z niego, zabawiła się jego kosztem! Postanowiła przeżyć romantyczną przygodę w alpejskiej scenerii, gdyby nie przyjechał, wzięłaby sobie do łóżka Antona albo Seppa, albo innego opalonego na brąz osiłka. Może robiła to co roku? Może wszyscy o tym wiedzieli - Effi Trautmann, Ledbetterowie, listonosz, chłopak ze stacji benzynowej i lekarz z

pogotowia - wszyscy, tylko nie on? Śmiali się za jego plecami, wytykali go sobie palcami, nazywali między sobą „tegorocznym ogierem pani Jacobi”? Dziwka, dziwka, przekłeta dziwka!

Andrea w miłosnym zapamiętaniu.

Andrea zdmuchująca włosy z czoła.

Andrea przytulona do jego piersi.

O Andreo, Andreo, Andreo, rzuć mi jakąkolwiek jałmużnę!

Wiosna nadeszła, jak zwykle, nieoczekiwanie. Jeszcze wczoraj piętrzyły się na Łabie zwały kry, a już nabrzmiewały forsycje i rozkwitały w parkach pierwsze krokusy. Do tej pory Jochen przeszedł przez wszystkie fazy nadziei, rozpaczy, wściekłości i rezygnacji, ale wciąż jeszcze serce stawało mu w piersi, kiedy dzwonił telefon. Także i tego dnia. Ale i tym razem nie była to Andrea, tylko Frank, który powiedział:

- Słuchaj no, Jochen, sądzę, że powinieneś o tym wiedzieć: Andrea jest w ciąży. Z tobą.

*

Rok 1989 był dla wielu początkiem końca.

W Polsce oznaczał on pożegnanie z Peerelem, dyktaturą proletariatu i realnym socjalizmem, chociaż miały przecież trwać wiecznie. W Berlinie towarzyszył Honecker u boku towarzysza Ceausescu po raz ostatni pobłogosławił z trybuny sto tysięcy młodych aktywistów, maszerujących z okazji czterdziestych urodzin Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Więcej urodzin nie było. Towarzysz Ceausescu nie doczekał końca roku, a co się stało z młodymi aktywistami, nie wiadomo, być może zasilili szeregi Junger Union.

Dla Franka Jacobi początkiem końca stał się dzień urodzin Andrei. Jakikolwiek by zawieruchy wojenne, rewolucje i zamachy stanu wstrząsały światem, zawsze starał się w jej urodziny być w domu i już chociażby dzięki temu był to dzień wyjątkowy.

Zadawał sobie też wiele trudu z wyborem prezentów, tym razem zamówił jej portret u Horsta Janssena, postarał się o bilety na „Aidę” w słynnej Arena di Verona i kupił pierścionek z szafirem, który w Paryżu przyciągnął jego wzrok na wystawie sklepu z antykami przy Place de Vosges.

- Czego sobie jeszcze życzysz, moja śliczna? - zapytał, zamykając ją w ramionach i przyciskając usta do jej zachwycającego karczku. - Weekend w Nowym Jorku? Wyścigi konne w Baden-Baden? *Große Woche* zaczyna się w końcu sierpnia, miałabyś czas, żeby kupić sobie odpowiednie rękawiczki i olśniewający kapelusz, na którym zmieściłby się cały ogród.

- Chcę mieć dziecko, Frank - odparła spokojnie Andrea, wysuwając się z jego objęć. - Skończyłam trzydziesty pierwszy rok życia i mój zegar biologiczny to nie tyle zegar, ile bomba zegarowa. W moim wieku Annika miała dzieci w gimnazjum.

Przez chwilę twarz Franka stężała w wyrazie zniecierpliwienia, ale jego rysy natychmiast się wygładziły. Ujął dłoń Andrei i przycisnął ją do ust.

- Myślałem, że już powiedzieliśmy sobie na ten temat wszystko, co było do powiedzenia, mój skarbie. Mam sześćdziesiąt trzy lata, w tym wieku zostaje się co najwyżej dziadkiem, a nie ojcem. Nie będę się ośmieszał. Moje dzieci są dorosłe, koklusze, nocniki, niańki, przedszkolanki i komitety rodzicielskie mam już za sobą i nie czuję się na siłach jeszcze raz zaczynać wszystko od początku. Ożeniłem się, bo Barbara była w ciąży i następne dwadzieścia lat spędziliśmy głównie na wychowywaniu potomstwa. Mieszkaliśmy w mieszkaniach odpowiadających dziecięcym wymogom, w których kontakty były zabezpieczone, meble obciągnięte zmywalnym plastikiem, wykładziny podłogowe miały ochronne kolory,

a świnki morskie sikały do mojego łóżka. Ze względu na ciągłe zapalenia oskrze-
li dzieci jeździliśmy latem nad Morze Północne, które było tak zimne, że mi jaja
odpadały, a w restauracjach od razu kazaliśmy kelnerowi dostawiać dwa głębo-
kie talerze, bo po wszystkim rzygały. Spróbuj zrozumieć, że resztę życia chcę
spędzić inaczej.

Zanim Barbara, pierwsza żona Franka, znalazła w macierzyństwie treść swo-
jego życia, była bardzo wesołą dziewczyną z dużym temperamentem. W łóżku
żywe srebro, poza łóżkiem dobry kumpel. Miała przepyszne ciemnorude włosy,
które nosiła ściągnięte zwykłą aptekarską gumką, bardzo jasną delikatną skórę,
chłopięco wąskie biodra i małe twarde piersi, których sutki zaczepnie zarysowy-
wały się pod obcisłą bluzką. Barbara nie uznawała staników i nigdy ich nie nosi-
ła, a działo się to wszystko, jeszcze zanim aktywistki Women's Lib zdarły z sie-
bie biustonosze i uroczyście je spaliły, można więc było Barbarę nazwać prekur-
sorką w tej dziedzinie i nic dziwnego, że wydała się Frankowi szczytem zepsu-
cia.

W redakcji Franka pojawiła się któregoś dnia jako wolontariuszka i już trze-
ciego dnia pracy nadała temu określeniu zupełnie inny sens, osuwając się przed
nim w sali konferencyjnej na kolana i uwalniając z radosnym zapałem jego na-
brzmiały członek z przyciasnych dżinsów. Na szczęście konferencja zdążyła
przedtem dobiec końca.

W tamtych czasach Barbarze nie brakowało w tej dziedzinie ani odwagi, ani
fantazji. Kochali się w windzie, w pakamerze na szczotki i wiadra, na skórzanej
kanapie w gabinecie naczelnego i tylnym siedzeniu jej volkwagena. Potrafiła
przyjść do pokoju Franka już bez majtek, oprzeć łokcie o parapet okna i uśmie-
chać się niewinnie do pracujących piętro niżej na rusztowaniu murarzy, podczas
gdy stojący za nią Frank miotał się między jej pośladkami, umierając ze strachu,
że ktoś ich zaskoczy.

Barbara dostarczała mu niewątpliwie mocnych wrażeń, ale nie tylko seks z nią był podniecający - Frank cenił ją też za pogodne usposobienie i poczucie humoru. Była najciekawszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek spotkał, toteż bez wahania zaproponował jej małżeństwo, kiedy okazało się, że jest w ciąży. Nie zdawał sobie jednak wtedy sprawy z tego, że dzieci na wiele lat radykalnie zmienią jego życie i tylko z najwyższym trudem uda mu się zaakceptować związane z nimi ograniczenia. Największe jednak zmiany zaszły w samej Barbarze - Frank z przerażeniem obserwował tę nagłą metamorfozę: jej małe, zuchwałe piersi osiągnęły już przy pierwszym dziecku rozmiary arbuźów i wymagały teraz sztywnych płóciennych staników, z miseczkami wymoszczonymi gazą i zapinanych z przodu na haftki.

Początkowo Barbara bohatercko walczyła z nadwagą. Do sypialni wjechały elektryczne pasy do masażu, rowery treningowe, przenośna trampolina i piłki gimnastyczne w trzech rozmiarach. Z lodówki zniknęły wędliny i francuskie sery, a kuchnia zmieniła się w laboratorium, w którym Barbara na wadze do listów odważała mikroskopijne porcje i pipetką odmierzała krople oliwy. Nie schudła ani grama, ale Frank zaczął się stołować na mieście.

Po drugim dziecku Barbara machnęła ręką na diety i nie próbowała nawet odzyskać dawnej figury. Twierdziła, że jej nadwaga jest dziedziczna i nic na nią nie można poradzić.

- To genetyczne - mówiła, wzruszając ramionami. - Moje obie babki były bardzo tęgie.

Wkrótce rysy jej twarzy zaginęły na dobre w fałdach tłuszczu. Szanse na odnalezienie ich kiedykolwiek były, biorąc pod uwagę tryb życia Barbary, minimalne. Dzieci prowadziły zatrwająco intensywne życie towarzyskie, były zapraszane i same zapraszały na urodziny, pikniki, ogniska, mikołajki, dożynki, haloweeny i walentynki, co dawało matkom okazję do kulinarnych wzlotów i wypiekania całych gór ciast. W czasie tych imprez dzieci, rozgorączkowane i nie-

przytomne z przejęcia, z zasady niczego nie jadły, natomiast matki wymieniały przepisy i pochłaniały ogromne ilości tortów, szarlotek, makowców, serników, drożdżówek, bezików, makaroników i biszkoptów.

Kiedy dzieci poszły do szkoły, Barbara została wybrana przewodniczącą komitetu rodzicielskiego. Zaangażowała się z zapałem w jego działalność, a wkrótce potem kandydowała do rady kościelnej i ostatecznie zrezygnowała z ambicji zawodowych. Frank stwierdził z zaskoczeniem, że sypiają ze sobą co najwyżej raz na dwa tygodnie i wcale mu to nie przeszkadza. W jego otoczeniu nie brakowało interesujących - szczupłych! - kobiet, z którymi seks sprawiał mu więcej przyjemności. Czasami przyglądał się ze smutkiem Barbarze, myśląc z żalem o tej pełnej temperamentu dziewczynie, której twardych piersi nie krępował żaden biustonosz i która być może gdzieś tam pod tymi fałdami tłuszczu wciąż jeszcze była ukryta.

Na szczęście miał swoją pracę. Z czasem jego pobyty za granicą stawały się coraz dłuższe, nie odczuwał jednak żadnej tęsknoty ani za Barbarą, ani za dziećmi. W czasie krótkich wizyt w domu nie bardzo wiedział, o czym miałyby z nimi rozmawiać i odnosił wrażenie, że jego obecność wszystkich krępuje. Miał trudności z zapamiętywaniem, w której klasie są jego dzieci i do jakiej szkoły chodzą, właściwie wcale ich nie znał. Zaspakajał ich potrzeby finansowe, o resztę troszczyła się Barbara i był jej za to wdzięczny. Nie było to szczególnie udane życie rodzinne, ale wychodził z założenia, że przy jego zawodzie i trybie życia nie może oczekiwać czegoś lepszego.

Mimo to odczuł ulgę, kiedy Barbara wystąpiła o rozwód, jak tylko dzieci zaczęły studiować i wyprowadziły się z domu. Znowu go zaskoczyła: okazało się, że od lat miała przyjaciela - siwego, nobliwego pana, emerytowanego dyrektora gimnazjum i członka Parafialnej Rady Kościelnej, który nosił okulary na srebrnym łańcuszku i szpikował każde zdanie łacińskimi cytatami. Był bezdzietnym wdowcem, samotnie zamieszkiwał odziedziczony po ojcu, kapitanie żeglugi

wielkiej, domek w Blankenese, pielęgnował z oddaniem róże i angielski trawnik, grywał na skrzypcach, malował akwarele i bardzo pragnął ożenić się z Barbarą. Frank musiał przyznać, że nie mogła lepiej trafić, i okazał daleko idącą przychylność, kiedy doktor Vogele, straszliwie zdenerwowany, poprosił go o jej rękę.

- Oczywiście nie *expressis verbis* - wytłumaczył zbaraniałemu Frankowi. - Jest pan jednak *de jure jej* mężem i to od pana zależy, na ile żmudny będzie przebieg postępowania rozwodowego. Bardzo mi więc na tym zależy, żeby wyraził pan zgodę na nasz związek i rozstał się z Barbarą polubownie. Oszczędzi to nam wszystkim zdenerwowania i kosztów.

- Jezu, jakie ty masz szczęście! - westchnął z zawiścią zaprzyjaźniony dziennikarz. - Oddać nie pierwszej świeżości żonę w dobre ręce to, statystycznie rzecz biorąc, prawdziwy cud. Masz pojęcie, jakie alimenty ja muszę płacić?

Frank nie wiedział i nie chciał wiedzieć. Odczuwał ulgę nie dlatego, że los uwolnił go od Barbary bez zobowiązań finansowych, tylko dlatego, że ułożyła sobie życie i wycofała się dobrowolnie, nie obciążając jego sumienia. Właściwie odeszła od niego już dawno temu, w momencie, kiedy rozpoczęła się jej zagadkowa metamorfoza z pełnej temperamentu dziewczyny w matronę. Kochał swoje dzieci, ale to one zabrały mu tę dawną Barbarę, ich przyjście na świat zapoczątkowało jej ewakuację z jego życia. Za nic na świecie nie chciał dopuścić do tego, żeby podobne rozczarowanie przydarzyło mu się po raz drugi. Andrei nie będzie dzielił z nikim. Zachowa ją tylko dla siebie, jej zachwycającą linię ramion, prostą falę włosów, dołeczki w policzkach, płaski brzuch, zagłębienie pępka i aksamitną skórę na udach. Czuł się za stary na dzieci, to prawda, ale przede wszystkim czuł się wystarczająco stary na to, żeby wiedzieć, ile Andrea dla niego znaczy. Nie będzie ryzykował jej straty.

- Andrea, mój skarbie, spróbuj mnie zrozumieć. Wiedziałaś, wychodząc za mnie, że jestem od ciebie znacznie starszy i że wpłynie to na nasz związek. On musi być z natury rzeczy inny niż małżeństwo dwojga równoletków. Inny, ale

przecież nie gorszy: żyjemy na szerokiej stopie, możemy sobie pozwolić na chałupę w Alpach i dom nad Lago Maggiore, dużo podróżujemy, znamy fascynujących ludzi.

- Wszystko to jest, owszem, miłe i zupełnie nie przeszkadza nam mieć dzieci. Zawsze chciałam je mieć. Dlaczego właściwie jesteś im przeciwny? Na ogół i tak nie ma cię w domu, a ja czuję się czasami samotna.

- Och, mój skarbie! Nie wiedziałem o tym. W takim razie koniecznie musimy temu zaradzić... A może kupilibyśmy dla ciebie psa?

Jeszcze zanim skończył mówić, zrozumiał, że popełnił błąd.

Andrea odsunęła się od niego gwałtownie, a jej łagodne rysy twarzy stężały w pełnym urazy grymasie.

- Nie chce mi się wierzyć, że mogłeś powiedzieć coś równie idiotycznego.

Każde słowo tej rozmowy wbiło się w jego pamięć i powtarzał je wciąż na nowo w myślach. Jakiż był głupi, jaki głupi! Los sam włożył mu w ręce szansę zatrzymania Andrei, przywiązania jej do siebie jeszcze bardziej, więc dlaczego, u Boga Ojca, nie spełnił jej życzenia? W obecnych czasach takie późne ojcostwo ani trochę nie było żenujące, wprost przeciwnie, znani aktorzy i politycy z dumą prezentowali całemu światu owoce swoich lędźwi. Nie zgodził się z wygodnictwa, z egoizmu i z próżności, nie zgodził się, bo chciał zachować tylko dla siebie to piękne ciało, które miało na zawsze pozostać młode i niezdeformowane żadną ciążą - i podpisał wyrok na siebie.

Jakież to życie jest dziwne i zmienne! I jak niewiele potrzeba, aby nas zgubić lub ocalić!*⁶¹

⁶¹ * Słowa pani Loisel z noweli Guy de Maupassanta „Naszyjnik”. Pani Loisel gubi na balu pożyczony od bogatej przyjaciółki diamentowy naszyjnik, nie przyznaje się jednak do straty, kupuje u jubilera identyczny i przez dziesięć lat pracuje jak wyrobnica, żeby zwrócić dług. Kiedy jej się to w końcu udaje, dowiaduje się, że zgubiony naszyjnik w rzeczywistości był fałszywy.

Sam popchnął Andreę w ramiona młodszego od siebie mężczyzny, który mógł jej zaoferować nie tylko więcej orgazmów, ale i wspólne odkrywanie tego odcinka życia, który on już dawno miał za sobą i którego nie był skłonny powtarzać. Mówiąc jej wówczas, że jest za stary, jeszcze nie czuł wcale balastu lat, wprost przeciwnie, u boku Andrei odzyskał młodość, miał wrażenie, że po raz pierwszy odkrywa miłość. To jej odejście zrobiło z niego starca, dopiero wtedy zobaczył się z całą brutalnością takim, jakim w rzeczywistości był: smutnym facetem w wieku, w którym inni już dawno są na emeryturze, udającym chojraka na frontach cudzych wojen. Facetem, którego odbicie w lustrze miało głębokie bruzdy przy nosie, zmarszczki w kącikach oczu, zwiotczałą skórę podbródka, spiczaste łokcie i kolana, kłęb posiwiałych włosów na podbrzuszu i sflaczałego penisa, zwisającego żałośnie między jądrami. Temu facetowi przyglądał się bez cienia litości i nic nie uchodziło jego uwagi. Był skończony.

Początkowo myślał, że wolałby widzieć Andreę martwą. Przynajmniej mógłby o niej myśleć bez goryczy, nie odczuwałby obłędu zazdrości, nie wyobrażałby jej sobie w ramionach innego mężczyzny i nie musiałby nienawidzić Jochena. Jochena, który był mu bliższy niż jego własny syn, Jochena, z którym spał pod jednym kocem i dzielił się ostatnim łykiem wody, którego by bez wahania zasłonił własną pierś. Jochena, tego skurwysyna.

Teraz, patrząc na odbicie starego mężczyzny w lustrze, czuł, jak opada z niego uczucie urazy. Czego właściwie oczekiwał od Andrei? Że będzie go zawsze pragnęła, do końca jego życia, nawet gdyby stał się zaślinionym staruchem, robiącym pod siebie? Poświęci swoje najlepsze lata na parzenie mu ziółek? Dlaczego się nigdy do tej pory nad tym nie zastanawiał? Wydawało mu się, że akurat jego starość ominie, czy też miał nadzieję, że w porę zdąży go szlag trafić w jednym z tych półdzikich krajów, w których łatwiej było o kałasznikowa niż o bochenek chleba? Owszem, tak właśnie to sobie wyobrażał: odejdzie z godnością, jak stary lew, zostawiając po sobie legendę. Tymczasem jednak wciąż jesz-

cze żył i ani na chwilę nie mógł przestać o nich myśleć, bo jego wyobraźnia nieustannie malowała przed jego oczami te dwa młode, piękne ciała, łączące się ze sobą w miłosnym akcie, a szczególnie w tych właśnie momentach, kiedy ponuro konstatował u siebie kolejne oznaki rozpadu, wstając na przykład pięć razy w nocy, żeby opróżnić pęcherz. Już to wystarczyło, żeby czuł się kompletnym impotentem, wydawało mu się, że tam na dole, między jego udami, ustało wszelkie życie i nie rejestrował żadnych sygnałów, że jego penis kiedykolwiek zmartwychwstanie. Czy naprawdę chciał, żeby jego śliczna Andrea - taka dobra! taka wyrozumiała! taka szlachetna! - nie szczydziła samarytańskich wysiłków, żeby go znowu ożywić i mówiła z anielskim uśmiechem: „To nic, kochanie, to przecież nie ma najmniejszego znaczenia”?

Powinien dziękować Bogu za to, że zachowa go w pamięci jako pełnosprawnego mężczyznę, a nie starca mającego problemy z erekcją. Powinien być jej wdzięczny za tych dwanaście wspólnych lat, za to, że tak długo wolno mu było ją kochać i być przez nią kochanym, za jej zapach, za uśmiech i za drobne gesty, za wszystko, czym go w tym czasie obdarzyła, bo obdarzyła go szczerze i tych wspomnień nikt mu nie zabierze. Jak skąpiec, który zanurza ręce w szkatułce z kosztownościami i przesiewa je przez palce, będzie mógł w nich do woli przebieierać - i jest to już znacznie więcej, niż innym ludziom zostało dane.

Przez długi czas łudził się, że jej nieobecność jest tylko przelotna. W szafach wciąż jeszcze wisały jej sukienki, w szufladach leżały koszule nocne, majteczki i staniki. Czasami wyjmował jakąś sztukę bielizny, takie koronkowe nic, co na ciele Andrei wyglądało zachwycająco, a teraz było tylko szmatką, martwą wążką, kupką zwiędłych liści, i przyciskał do nosa, w nadziei, że poczuje ślad jej zapachu, ale chłodny i śliski materiał nie pachniał niczym. Postanowił, że nie będzie go w domu, kiedy Andrea przyjdzie zabrać resztę swoich rzeczy i natychmiast poczuł szaloną tęsknotę i pragnienie zobaczenia jej chociażby przez moment. Mój Boże, przecież nadal ją kochał, może nigdy nie kochał jej tak bardzo,

jak teraz, dlaczego więc miałby pozbawiać się jej widoku? Nigdy więcej nie zobaczyć, jak z roztargnieniem okręca kosmyk włosów na palcu, zwija się w kłębek na kanapie, marszczy brwi, czytając gazetę? Dlaczego miałby pozwolić, żeby ból i nienawiść go zaślepiły? Mieć Andrei za złe, że jest szczęśliwa? Chciał przecież, żeby była szczęśliwa, obiecał jej to, kiedy się z nią żenił, nie miał więc prawa oczekiwać teraz od niej, że zrezygnuje z mężczyzny, którego pokochała i którego dziecka oczekuje. Czy w ogóle pragnąłby takiej ofiary? A jeżeli nie - to czego właściwie pragnął?

Gdyby chociaż na chwilę udało mu się przerwać natłok myśli!

Gdyby istniał jakiś środek uśmierzający ból, jak zbawienny zastrzyk u dentysty! Ale nawet największe ilości alkoholu nie mąciły jego świadomości i nie przynosiły żadnej ulgi. Jak ranny tygrys krążył niestrudzenie z butelką w rękę po wielkim mieszkaniu, które nosiło wszędzie ślady jej ręki. Na cholerę mu teraz pięć pokoi? Chalet narciarski w Alpach? Dom nad Lago Maggiore? Po co gromadził to wszystko, dlaczego był z tego dumny? Na cóż mu były samotne chaty w samotnych górach, jeżeli już tutaj jest tak rozpaczliwie samotny? Tyle tych pytań i żadnych odpowiedzi!

Któregoś wieczora wydało mu się jednak, że znalazł odpowiedź. Ukazała się ona jego oczom tak wyraźnie, jak słowa *mane, tekel, fares*, które tajemnicza ręka wypisała na ścianie w czasie uczyty Baltazara i wydała mu się prosta i zupełnie oczywista, bo czyż nie był śmiertelnie wyczerpany życiem bez Andrei? Sięgnął po telefon, wystukał jej numer i powiedział zupełnie spokojnie, chociaż serce mu biło jak szalone:

- Andrea, mój skarbie, chciałbym ci coś zaproponować.

*

- To był układ, rodzaj *arrangement*. Przyznaję, trochę nietypowy, w pewnym sensie *un ménage à trois** - powiedziała Andrea, dziękując kelnerowi za cappuccino olśniewającym uśmiechem, który został przez niego natychmiast fałszywie zinterpretowany i wprawił jego ciało w zachęcające falowanie. Przez resztę dnia będzie przechwalał się w kuchni, jakie to wrażenie zrobił na tej atrakcyjnej Niemce. - Frank chciał zachować nadal miejsce w moim życiu, akceptując jednocześnie zmianę roli, jaką w nim odgrywał.

- Zgodziliście się na to?

- Zgodzilibyśmy się na wszystko, co tylko dawało nam szansę na uzyskanie absencji. Zrozum, czuliśmy się w stosunku do Franka okropnie winni. Zawiedliśmy go, a przecież naprawdę go kochaliśmy. Oboje znaleźliśmy w nim oparcie, jakiego nie dały nam nasze rodziny, w pewien sposób byliśmy jego dziełem ukształtował nas, jak Pigmalion, a my, jak w greckiej tragedii, zadaliśmy mu śmiertelny cios. Mieliśmy wrażenie, że popełniliśmy ojcobójstwo.

- Mimo to rozwiodłaś się z Frankiem i wyszłaś za Jochena.

- Tak, Frank sam na to nalegał, ze względu na dziecko. Uważał, że powinno dorastać w zalegalizowanym związku, ale byłby też skłonny je zaadoptować. Robił sobie okropne wyrzuty, że przedtem nie chciał się na dziecko zgodzić. Miesiąc poślubny spędziliśmy w jego domu nad Lago Maggiore.

- Razem z nim?!

- Nie, skądże. Frank był bardzo taktowny. Zawiadomił tylko kobietę, która przychodziła do sprzątnięcia, żeby doprowadziła dom do porządku, wywietrzyła pokoje i zaopatrzyła lodówkę. Jak przyjechaliśmy, wszędzie stały świeże kwiaty i szampan był już zamrożony.

- Hm... A co na to Jochen?

Spędzanie miesiąca poślubnego nie tylko z żoną przyjaciela, ale i w jego łóżku wydało mi się trochę krępujące.

- Był przede wszystkim szczęśliwy, że Frank pogodził się z sytuacją i nie robi mu wyrzutów. Wiesz, jak tchórzliwi potrafią być mężczyźni w takich wypadkach. Poza tym znajdował się wówczas w opłakanej sytuacji finansowej, bo zupełnie niepotrzebnie wpakował pieniądze w projekt filmu, z którego nic nie wyszło. Gdyby Frank nie zaproponował nam swojego domu nad Lago Maggiore, nigdzie nie moglibyśmy wyjechać. W tamtych czasach było naprawdę krucho z pieniędzmi i byłam szczęśliwa, że możemy korzystać z Brissago, szczególnie kiedy urodził się Timo. Frank na jego punkcie zupełnie oszalał, czym mnie ogromnie zaskoczył, bo przecież przedtem absolutnie nie zgadzał się na dziecko i nigdy nie przypuszczałam, że niemowlę może go tak zainteresować.

Frank też tego nie przypuszczał i burzliwe emocje, które budziło w nim dziecko Andrei, przede wszystkim go zdumiały. Może czuł się z nim tak związany, bo asystował przy jego przyjściu na świat? Kiedy rodziły się jego własne dzieci, był akurat na Bliskim Wschodzie, zresztą w tamtych czasach obecność ojca na sali porodowej była wykluczona. Dzieci były sprawą Barbary, która nie oczekiwała od niego, na szczęście, że będzie towarzyszył przy ich porodach, a potem zmieniał im pieluszki.

Andrea natomiast, niepewna, czy rzeczywiście Pana Boga nie ma i czy, gdyby jednak był, nie zechce ukarać jej za wiarołomstwo i zabierze jej albo dziecko, albo życie, albo jedno i drugie, bardzo się bała i koniecznie chciała w tym momencie mieć Franka koło siebie. Frank był dla niej uosobieniem bezpieczeństwa, chciała, żeby trzymał ją za rękę, zapewniał, że jej wybaczył i szeptał do ucha te wszystkie dobre słowa, którymi ją pocieszał w ciągu tych wspólnych dwunastu lat. Na Jochena mogła liczyć w godzinach miłości, ale czy mogła na niego liczyć w godzinach trwogi? Woląca nie eksperymentować i kiedy bardzo młody lekarz, co do którego miała duże wątpliwości, czy już się goli, czy kiedykolwiek odbie-

rał poród i czy w ogóle nie jest na coś takiego za młody, zapytał: „A któryż to z panów jest ojcem i zostaje z panią?”, odparła zdecydowanie:

-Obaj!

Lekarz przyjrzał jej się z dużym zainteresowaniem i wziął Franka na stronę.

- Jesteśmy kliniką uniwersytecką, proszę pana - wyszeptał pouf- nym tonem. - Możemy się pochwalić bardzo wysokim poziomem naukowym. Przeprowadzamy testy DNS... genetyczny odcisk palca, rozumie pan?

- A to po co? - spłoszył się Frank. - Przecież nie mam żadnych wątpliwości.

- Tu nie ma się czego wstydzić, co dziesiąte dziecko nie zostało poczęte z aktualnym partnerem. Zawsze dobrze wiedzieć, na wypadek rozwodu albo nowego związku. Mamy bardzo przystępne ceny - tysiąc czterysta marek, drobiazg w porównaniu z alimentami! Poza tym udzielamy rabatu ilościowego: drugi kandydat do przetestowania płaci już tylko połowę, a trzeci i czwarty...

- Nie dziękuję, nie jestem zainteresowany - uciał Frank. - A co do opłat, to proponuję, żeby ci potencjalni ojcowie, którym uszło na sucho, zrzucili się na pechowca, który przez ćwierć wieku będzie musiał płacić alimenty. Byłoby to tylko fair, w końcu powinni mu być szczerze wdzięczni.

- A wie pan, to ciekawa myśl - zastanowił się lekarz. - Głęboko humanitarna. Przekażę profesorowi. No więc jak? Test jest absolutnie bezbolesny, pobieramy jedynie próbkę śliny.

- Nie potrzebuję żadnego testu, sprawa jest zupełnie jasna - zniecierpliwił się Frank. - Ja jestem mężem, a ten drugi ojcem. Nie zechciałby pan doktor zająć się w końcu pacjentką?

Lekarz milczał skonsternowany.

- No tak, to bardzo piękna kobieta - powiedział w końcu ze zrozumieniem.

- Niestety, nie tylko ja to zauważyłem - mruknął Frank. Dziecko urodziło się nad ranem i było podobne wyłącznie do matki, co Frank za-

rejestrował z ulgą. Na widok pomiętej buzi, w której rysach rozpoznał Andreę, ogarnęła go fala nieoczekiwanej czułości i przez chwilę żywił szaleńczą nadzieję, że teraz uda mu się zatrzymać ich oboje: mogliby przecież żyć w trójkę, niechby sobie sypiała z kim chce, byleby nadal z nim pozostała. Zgodziłby się na wszystko. Rozjaśnione szczęściem oczy Andrei ominęły go jednak i poszukały nad jego głową oczu Jochena i już było wszystko jasne. No cóż, otrzymał swoją szansę i sam ją zmarnował, mógł przecież stać tu na miejscu Jochena i trzymać w ramionach swojego syna. Sam podpisał wyrok na siebie i pozostanie zupełnie samotny, jeżeli nie pogodzi się ze swoją nową rolą u rogu stołu tych dwojga i nie zadowoli zbieraniem okruchów, które z niego spadną.

Odsunął się na bok, robiąc Jochenowi miejsce i poczuł, że ogarnia go pełen rezygnacji spokój: od tej pory musi mu to miejsce wystarczyć. I wystarczy. Jest przecież zmęczony i stary.

Zupełnie dla Franka nieoczekiwanie okazało się, że dziecko go naprawdę interesuje. Swoimi własnymi niewiele się zajmował, a jednak więcej miał pojęcia o niemowlętach niż Andrea i Jochen. Przynajmniej wiedział, że są zaskakująco odporne, nie rozpuszczają się w kąpielach i nie duszą od własnego krzyku.

Spędzając czas z synkiem Andrei, chętnie wyobrażał sobie, że to jego dziecko: tak niewiele do tego brakowało! Mógłby być ojcem Andrei, ale chciał być jej kochankiem, mógłby być ojcem Tima, ale sam z tego zrezygnował. Teraz rozumiał, dlaczego późne ojcostwo tak bardzo fascynuje mężczyzn u szczytu władzy i sławy. Małe dziecko w zaawansowanym wieku było nie tylko niezbitym dowodem sprawności seksualnej - dawało też szansę powtórzenia życia jeszcze raz od początku, jakby człowiek nigdy nie miał się zestarzeć i umrzeć, i mógł powrócić do niektórych etapów swojej przeszłości z większym tym razem spokojem i rozwagą. Kiedy jego własne dzieci były małe, wyrabiał sobie pozycję zawodową i niewiele czasu mógł im poświęcić. Rzadko bywał w domu i nie towa-

rzyszył im w ich rozwoju, po prostu zauważał nagle z zaskoczeniem, że pokazują w uśmiechu garnitur zębów, a ich gaworzenie przekształciło się w artykułowaną mowę. W wypadku Tima miał cały bezmiar czasu, żeby obserwować, jak przekształca się powoli z nieporadnej poczwarki w małego człowieka, i uznał tę przemianę za ogromnie frapującą. Jego życie było niewątpliwie barwne i pełne mocnych wrażeń, a jednak mało co do tej pory w taki stopniu przykuło jego uwagę.

- Dla Tima to Frank jest jego prawdziwym dziadkiem - powiedziała kiedyś Andrea. - Kiedy się urodził, mój ojciec był akurat po drugim zawale, miał sparaliżowaną lewą część ciała i mówił ledwie zrozumiałym bełkotem. Chyba nawet nie wiedział, że ma nowego wnuka, trudno było ocenić, co do niego w ogóle docierało. Za to w mojej matce zaszła niezwykła zmiana na korzyść

Od chwili, kiedy pogotowie zabrało ojca do szpitala, matka Andrei zaczęła w szybkim tempie odzyskiwać zdrowie i wkrótce mogła opuścić swój wózek inwalidzki.

- Bóg przywrócił mi siły, abym mogła unieść ciężar, który postanowił złożyć na moje barki - powiedziała do Andrei z emfazą - Bo cóż stałoby się z twoim ojcem, gdybym nie mogła go pielęgnować?

Andrea też tego nie wiedziała: może mógłby umrzeć z godnością? Teraz leżał bezwładnie na łóżku, uwięziony w ciele rozkładającym się już za życia, z pustymi oczami wbitymi w sufit i niteczką śliny spływającą z kącika ust. Ozdrowiała w cudowny sposób matka krzątała się koło niego, poprawiając poduszki, przecierając mu mokrą ściereczką skronie i zwilżając usta pipetką.

- Zniszczył mi życie, ale nie uchylam się od moich obowiązków - mówiła pogodnie. - Moje pokolenie bierze słowa „na dobre i złe” serio, nie to, co wy dzisiaj.

Wyglądała na szczęśliwą. Nie była ani wdową, ani rozwódką, a jednak udało jej się uwolnić od męża. Przez te wszystkie lata musiała nieustannie umierać ze

strachu, że popełni po pijanemu jakiś katastrofalny błąd w pracy, spowoduje straszliwy wypadek na autostradzie, a chociażby spadnie ze schodów na oczach sąsiadów, teraz mogła nareszcie odetchnąć: ze strony tej nieruchomej masy ciała nie zagrażało już żadne niebezpieczeństwo. Będzie ją miała pod kontrolą, jak długo kołacze się w niej dusza. Znowu mogła zapraszać do domu gości, po raz pierwszy od wielu lat, sąsiadki i dawne koleżanki szkolne, które podziwiała jej ofiarność i wielkoduszność. Ich wizyty sprawiały jej dużą przyjemność, wyciągała na ich cześć swój wyprawowy serwis, piekła ciasto i podawała ciężką maderę w kryształowych kieliszkach.

- Ach, każda z was zrobiłaby przecież to samo - mówiła skromnie, promieniąc z dumy.

Andrea patrzyła na swoich rodziców z przerażeniem. Z całą pewnością nie byli to dziadkowie, jakich życzyłaby Timowi. Odwiedzała ich możliwie rzadko, widok żywego trupa, jakim stał się jej ojciec, i zapału, z jakim się koło niego krzątała matka, był nie do zniesienia. Któregoś dnia usłyszała na korytarzu cichy głos nucący dziecięcą piosenkę, a kiedy podniosła oczy, zobaczyła na szczycie schodów Judith. Miała po staroświecku upięte włosy i nie stała się ani o rok starsza.

- Powiedziałam ci, że potrafię ją rozweselić - powiedziała do Andrei z uśmiechem. - Wygląda teraz na zupełnie zadowoloną, prawda?

Andrea zamknęła mocno powieki i potrząsnęła głową, ale kiedy znowu otworzyła oczy, Judith wciąż stała na schodach, w swojej sukience z wysokim stanem i koronkowym kołnierzykiem.

- Słyszałam, że masz synka - kontynuowała spokojnie, tonem gawędy. - Przyrowadź go tutaj, chciałabym się z nim pobawić.

- Nigdy! - odparła Andrea z mocą. - Trzymaj się od Tima z daleka. On nie ma z tym wszystkim nic wspólnego.

- Dom moich rodziców zaludniały upiory, a oni sami mnie przerażali. Na dziadków Tima absolutnie się nie nadawali i starałam się, żeby widywał ich jak najrzadziej, chociaż byłam zdania, że każde dziecko powinno mieć dziadków, bo tylko oni mogą ofiarować dziecku niepodzielną uwagę. Rodzice są zajęci samymi sobą, pracą i Bóg wie czym jeszcze, dziadkom wolno po prostu kochać i dzieci to czują.

Siedziałyśmy z Andreą na tarasie willi, wygrzewając się leniwie w promieniach słońca. Przed chwilą Fabio przyniósł nam dwie filiżanki cappuccino, opuszczając w tym celu na chwilę swoją strategiczną pozycję w fotelu przed telewizorem. Jochen zaraz po śniadaniu poszedł grać z Cookiem w tenisa na kortach pobliskiego hotelu, pani Pawelke, w dużym słomkowym kapeluszu i ogrodowych rękawiczkach, pielęła rabaty margerytek na jednym z dolnych tarasów, a profesor Schnuller-Gatzweiler przeprowadzał wywiad z dwójką zasmarkanych miejscowych dzieciaków, zbierając materiały do swojej antologii wyliczanek dziecięcych. Dzieci dostawały tysiąc lirów za wyliczankę i łąły jak najęte.

Przyznałam Andrei rację. Nigdy nie przestałam kochać mojego dziadka i w każdej chwili mogłam przywołać jego obraz pod powiekami. Jan też wciąż wspominał moją matkę, chociaż zmarła, kiedy miał sześć lat.

- Niestety, moi rodzice nie mogli podarować wnukom niepodzielnej uwagi, w ogóle nie mieli nic do ofiarowania. Za to Frank okazał się cudownym dziadkiem, co mnie ogromnie zaskoczyło, bo przecież przedtem bronił się przed dziećmi rękoma i nogami, a poza tym był mimo wieku naprawdę przystojnym mężczyzną, podobał się kobietom i sądziłam, że będzie zbyt próżny, żeby pchać wózek z niemowlęciem. Tymczasem robił to z wielkim zapalem, a kiedy Timo był trochę starszy, odprowadzał go do przedszkola, zostawał z nim, ile razy chcieliśmy z Jochenem wyjść wieczorem, budował mu szałas i latawce, chodził z nim zimą na sanki, a latem na ryby. Wakacje spędzaliśmy często razem, bo Timo nie chciał się z nim rozstać, a dla nas też to było wygodne, mieliśmy w ten sposób więcej

swobody. W tej chwili Timo też jest z Frankiem w Brissago. Frank ma tam swoją zagłówkę i całe dni spędzają razem na jeziorze. Timo jest dzieckiem nas trojga, wychowywaliśmy go wspólnie, ale zawsze miałam wrażenie, że to Franka kocha najbardziej. To dobrze, Frank zasłużył sobie na to, jest naprawdę niezwykłym człowiekiem.

Widziałam w moim życiu tylu korespondentów wojennych i większość z nich stawała się z biegiem czasu cyniczna. Jak sępy czekali na stosy trupów, o których będą mogli zdawać wstrząsającą relację, zaczynali pić, chodzili z żołnierzami do burdelu, brali narkotyki, żeby nie zwariować. Frank pozostał wrażliwy. Czasami myślę, że Frank...

Nie dowiedziałam się, co myślała Andrea o Franku, bo na szczycie prowadzących do willi schodów pojawił się Jochen z rakieta pod pachą.

- Nie do wiary - poskarżył się, kręcąc głową z niedowierzaniem. - Cookie, ta ciepła kluska, pobił mnie z kretesem! Kto by pomyślał, że śmiga po korcie jak pasikonik. Fabio, *un cappuccino per favore!**⁶²

Pocałował Andreę w policzek i usadowił się obok niej w fotelu, wyciągając daleko przed siebie swoje długie nogi. Mimo przegranej nie wyglądał na przygnębionego.

- Nie uwierzcie, kto właśnie do mnie zadzwonił - zakomunikował nam zadowolonym tonem. - Walter Ratschow z ARD. Zaproponował mi cykl reportaży z Syberii, od Bajkału po Czukotkę. Trzy miesiące w tajdze i tundrze. Rosja teraz w modzie, a co się dzieje poza Moskwą i Petersburgiem właściwie nikt nie wie. No i co o tym sądzicie?

- Walterowi się nie odmawia - odparła rozsądnie Andrea. Walter Ratschow, interesujący pięćdziesięciolatek o nobliwie

⁶² * ...cappuccino poproszę!

oszronionych skroniach i rozbrajającym uśmiechu, prowadził w telewizji bardzo popularny program „Ekspedycje”. Jego twarz była nie tylko mnie doskonale znana, w czasach próby obalenia rządu Jelcyna widywało się go co wieczór w dzienniku na tle płonącego Białego Domu. Zdaniem Jochena ambicją Ratschowa było zostanie następcą legendarnego Klause Bednarza w moskiewskiej siedzibie ARD. O jego nagłych atakach szału i równie nieoczekiwanych napadach wielkoduszności krążyła masa anegdot, ale ogólnie uważany był za człowieka ogromnie kompetentnego i niepozbanionego uroku, z całą pewnością był gwiazdą.

- A to będziecie musieli się pospieszyć - zauważyłam. – Akurat w tej chwili można się po Syberii mniej więcej swobodnie poruszać, po raz pierwszy w historii. Pewnie przez roztargnienie albo przypadek. Nigdy nie wiadomo, kiedy zadru-
tują kraj z powrotem.

- Zważywszy, że sama urodziłaś się na Wschodzie, masz zadziwiającą potrzebę rozpowszechniania przesądów na ten temat. Mam nadzieję, że nasze reportaże pomogą rozprawić się z taką ciasnotą umysłu, jak twoja.

- Nasze reportaże! Czy to znaczy, że się już zdecydowałaś?

- Jasne! Od czternastego roku życia koniecznie chciałem zobaczyć tajgę. Mam zamiar spotkać się z Ratschowem, jak tylko wrócimy do Hamburga.

- Wspólne podejmowanie decyzji jest tym, co sobie w małżeństwie cenię szczególnie - oświadczyła Andrea w kierunku kamiennego amorka, sikającego do oczka wodnego z nenufarami.

- Skarbie, wszystkie ważne decyzje podejmujemy razem, a właściwie podejmujesz ty sama. Na przykład co mam na siebie włożyć do kolacji. Mamy zresztą jeszcze masę czasu do mojego wyjazdu i możemy sobie wszystko spokojnie przedyskutować. Przygotowania są zawsze najmiłsze. W tej chwili Walter szuka na gwałt kogoś, kto by dobrze znał język i stosunki w Rosji, żeby nam wcześniej załatwił całą papierkową robotę i zorganizował na miejscu transport. Skarżył się,

że trzy miliony Rosjan w Niemczech podobno siedzą, a takiego, co by się nadawał, ni cholery znaleźć nie może.

- Takiego, wyobraź sobie, to ja akurat znam – powiedziałam bez namysłu. - Moim zdaniem nadawałby się, i to nawet bardzo. Nazywa się Tola.

Do tej pory świat Villi Don Battista nie przeplatał się ze światem, z którym miałam do czynienia na co dzień. Gdyby Jochen Kamerzysta i Andrea nie odwiedzali mnie od czasu do czasu po drodze do Brissago, mogłabym przypuszczać, że wyspa przestaje istnieć w chwili, kiedy zielonożółty prom odbija od przystani i bierze kurs na Neapol. Teraz pojawił się w tym świecie nagle Tola i nad Zatoką Neapolitańską zawiała syberyjska purga.

- Wspaniale, Walter na pewno się ucieszy! - zawołał Jochen. - Zadzwońię do niego zaraz po kolacji. Opowiedz mi więcej o tym Toli.

- Znam Tolę od dziecka - zaczęłam. - Jego ojciec był popem praskiej cerkwi w Warszawie. Jako dziecko Tola...

W tym momencie za naszymi plecami rozległy się potępieńcze jęki i podskoczyliśmy przerażeni.

- Nigdy nie przyzwyczaję się do tej piekielnej windy – jęknęła Andrea, chwytając się za serce. - Któregoś dnia umrę na zawał albo kupię butelkę oliwy i ją nasmaruję. Czasami odnoszę wrażenie, że don Battistę bawi straszenie własnych gości.

- No wiesz! Don Battista jest wspaniałym starcem i ja tam ogromnie go lubię
- zaprotestowałam, odprowadzając oddanym wzrokiem pomykającego w stronę *funicolare* don Battistę. Na grzbiet zarzucił sobie jedną walizkę, drugą włókł za sobą. Spoczywający w swoim fotelu przed telewizorem Fabio uniósł na chwilę jedną powiekę, ale natychmiast ją opuścił, na jego przystojnej twarzy malował się wyraz nieskończonego znużenia. Góra czekającego na wysyłkę promem bagażu piętrzyła się tuż u jego skrzyżowanych kostek nóg.

- Czy nie sądzicie, że powinniśmy mu pomóc? – zapytałam z troską. - W końcu to stary człowiek.

- Ani się waż! Propozycja pomocy okropnie by go uraziła.

Zresztą nie widzę powodu, dla którego my mielibyśmy targać walizy, podczas gdy junior szef leży wygodnie przed telewizorem. Wkrótce skończy się sezon, hotel zostanie zamknięty na zimę i ten młody, dobrze odżywiony człowiek nie będzie robił kompletnie nic aż do kwietnia. Latem też się zresztą nie przemęczał, poza tym krótkim okresem aktywności seksualnej podczas pobytu dagestańskiej księżniczki, oczywiście.

Sezon na Ischii dobiegał końca, a z nim i nasz pobyt. Część gości już wyjechała, pozostali zsunęli swoje stoliki i po kolacji jeszcze długo siedzieli razem, jak ostatni niedobitkowie broniący twierdzy, której dni były policzone. Don Battista miał teraz znacznie mniej roboty, odprężył się i chętnie przysiadł się do nas na pogawędkę. Był w szampańskim humorze: od czasu, kiedy wyjechał ostatni włoskojęzyczny gość, wprowadził w kuchni szereg drakońskich oszczędności, przestał rozumieć obce języki i na każdą próbę protestu reagował kompletną głuchotą.

- Don Battista, co to jest za wybór menu: „spaghetti z sosem” albo „spaghetti bez sosu”? - ryczał Jochen jak rozwścieczony bawół. - To w ogóle nie jest menu, tylko bezczelność!

- *Ehi, signor Holdzzzbringg, non la capisco*^{*63}. Ja też mieć straszny smutek, że wy wyjeżdżać i czekać na was w maju, kochani - odpowiadał wesoło don Battista, poklepując go po kolanie. - W czas zima o was myśleć i robić budowa, bar i buro, i toalety, jak ta tutaj signora narysować. - Wycelowany we mnie szpon nie pozostawiał żadnych wątpliwości, o jaką signora chodzi. - Wy we wiosna zobaczyć, *cari amici*, jak wam się podobać! *Naturalmente* będzie musieć ceny podnieść, ale między przyjaciele nie dyskutować o pieniądze, vero^{*64}? Już *progetto* kosztować mnie majątek, a cóż dopiero sama budowa! Murarze! Cegły! Cement! Kafle! Farby! Posadzki! Ajajajaj! Pójść z torbami przez ten remont, do grobu on mnie wpędzić, ale co zrobić: gość mój pan i on musieć być zadowolony i dlatego my wszyscy teraz pasa zaciskać i oszczędzać.

Jako pierwszy krok w tym kierunku don Battista pozbierał ze stołów z anielskim uśmiechem srebrne pojemniki z parmezanem, solniczki i młynki do pieprzu, żeby zapobiec rozrzutności przy przyprawianiu potraw. Od tej pory wyłącznie jemu wolno było posypywać spaghetti tartym serem, skrapiać sałatę oliwą i wydzielać ziarenka pieprzu. Do śniadania podgrzewał w piekarniku bułki z poprzedniego dnia, resztki mięsa przerabiał na pasztet, kartofle na *gnocchi*^{*65}, jarzyny na zapiekankę, nawet resztki wina zlewał do butelek. Jochen szalał, mnie skąpstwo don Battisty bawiło. Był bardzo dzielny staruszką, który miał syna fajtlapę i sam dźwigał ciężar odpowiedzialności za willę i jej mieszkańców, próbując dzielnie radzić sobie w coraz mniej dla niego zrozumiałym świecie komputerów, internetu i aparatów cyfrowych. Uważałam, że jest wzruszający.

Wieczorami przychodził na taras, żeby przycupnąć koło nas z kieliszeczkiem wina, które pochleptywał szybko jak kot, oblizując wąskie wargi. Opowiadał wtedy o tym, co stanowiło treść jego życia - o willi, o śpiewie, o Castello.

⁶³ * nie rozumiem pana

⁶⁴ * Oczywiście... nieprawdą?

⁶⁵ * Kluski podobne do polskich kopytek.

- Może w ta zima napisać biografia Verdi - mówił z ważną miną. - Mieć już *moltissimo*^{*66} pomysły, wszystko, co o nim do ta pora inni napisać, mnie się nie podobać. O Castello też nie być historia w komplet naukowa. A może ja połączyć muzyka z literatura i napisać opera o Vittoria Colonna i Michelangelo?

- Jestem pewna, że będzie to dzieło epokowe – pospieszyłam z zapewnieniem, a usta Jochena sformułowały bezgłośnie słówko „lizus”. Udałam, że tego nie widzę. Byłam szczęśliwa, siedząc obok don Battisty, Małego Pana na Wielkiej Skale, właściciela najpiękniejszego widoku na całej wyspie, którego serce było pełne śpiewu. Marzyłam o tym, żeby powrócić tu w maju i za rok, znowu i znowu, aż stanę się częścią tego krajobrazu, jak podrabiane na antyki posągi w ogrodzie. Czułam, jak udziela mi się jego siła i entuzjazm, zupełnie jakby miał w sobie źródło energii, która rozświetlała jego samego i emanowała na zewnątrz.

- Don Battista, czy nie zechciałby pan któregoś dnia wygrzebać w tej górze i dla mnie jakiejś dziury? - zapytałam nieśmiało. Don Battista rył jak kret w swojej skale, ile razy potrzebował jeszcze jednego garażu, kolejnej spiżarni albo nowych pokoiów gościnnych, inwestycji rzecz jasna, nielegalnych, gdyż krajobraz objęty był ochroną i przepisy zabraniały dalszej zabudowy, ale przepisów uchwalanych w dalekim Rzymie nikt na wyspie nie brał serio. Czasami znajdował przy tej okazji gorące źródło, czasami greckie skorupy z terakoty, ale najczęściej zardzewiałe obciążki i śrubokręty, które Fabio kiedyś wywlókł i natychmiast zgubił.

- *Perchè no?*- odparł bez wahania. - Można by tu zrobić dla ciebie dziura, *un appartamento*, będziesz przyjeżdżać dwa razy w roku, jak donna Cornelia, i my dwa być przyjaciele, bardzo dobrzy przyjaciele. Ja myśleć w zima nad twoim *appartamento*, a jak ty w maj znowu przyjechać, my razem szukać *il più bello posto ombroso*^{*67}. Ale takie *appartamento* być drogo, bardzo drogo, więc ty lepiej

⁶⁶ * mnóstwo

⁶⁷ * najpiękniejsze miejsce w cieniu

mieszkać dalej w Margherita - zakończył przebiegle i klepnął mnie przyjacielsko po udzie. - Przecież podobać ci się Margherita, praw- da? Ja tobie w maj *molto* kwiatów w twój pokój postawić, róże i oleandry, anemony i fiołki, glicynie i bugenwille, a wieczorem dla ciebie śpiewać. Ty przyjechać w ta wiosna, vero?

Noc była jasna, księżycowa, po zatoce rozlewała się poświata jak płynne srebro. Pośrodku tej poświaty trwało niewzruszenie Castello, tak jak trwało od stuleci, i jego spokojna obojętność działała na mnie kojąco. Każdy człowiek musi mieć miejsce, do którego mógłby wracać, a jeżeli takim miejscem przestał być dla mnie Łosinek, to dlaczego nie miałyby ono być tutaj? Wyobraziłam sobie, jak starzeję się z widokiem na Castello, u boku don Battisty, i ta myśl bardzo mi się spodobała.

-Jasne, że wrócę, don Battista - powiedziałam, - W maju i w październiku, i przez wiele następnych lat.

*

Na Ischii don Battista szykował się do zimy, a w Polsce Tola zbierał się do wyjazdu na Syberię. Warunki, jakie ARD mu zaproponowało, były bardzo dobre, z Walterem Ratschowem przypadli sobie do gustu już po pierwszej rozmowie, a niemiecka firma, w której aktualnie pracował, akurat postanowiła wycofać się z polskiego rynku. Dlatego wszystko potoczyło się bardzo szybko i zanim wróciłam do Niemiec, Tola był już w Irkucku. O tym, że przed wyjazdem postawił Aleksandrze ultimatum, dowiedziałam się znacznie później.

Aleksandra nie zapaliła światła. W kątach pokoju gęstniał już mrok, ale na deskach podłogi jaśniał blady kwadrat wpadającej przez okno księżycowej poświaty. Siedziała przy łóżeczku dziecka, wpatrzona w jego uśpioną twarzyczkę i

walczyła z nieodpartą potrzebą wtulenia ust w zwichrzone, mokre od potu włoski. Spokojna, szczęśliwa, spełniona. Zapatrzona w swojego syna nie usłyszała cichego pukania do drzwi i wzdrygnęła się, kiedy Tola położył jej rękę na ramieniu.

- Trzeba nam porozmawiać, Aleksandra - szepnął.

Skinęła głową, posłusznie wstała i poszła za nim do kuchni.

- Ja w ten czas dużo o nas myślał - zaczął Tola. - Znaczący, o każdym osobno myślał, o dziecku, o tobie i o mnie, bo „nas”, jak ty mówisz, przecież nie ma. Ty wiesz, jaka ty zawsze ważna dla mnie była, jak ja na ciebie jak na święty obrazek patrzył, gdyby ty mi w przepaść kazała skoczyć, to też bym to zrobił. Ja już kiedyś dla ciebie skoczył, pamiętasz?

Przytaknęła ledwie widocznym pochyleniem głowy. Pamiętała, oczywiście pamiętała, do tej pory wspomnienie to napełniało ją zażenowaniem i wstydem. Gdybyż tylko mogła zapomnieć!

Przed jej oczami stanęła znowu wzburzona po długotrwałych deszczach Odra, spienione, brudne fale i sunące po nich majestatycznie śnieżnobiałe łabędzie. Stali na moście i nie mogli oderwać wzroku od szalejącej w dole rzeki, chociaż pani bardzo się na nich złościła, bo mieli jeszcze tyle do zwiedzenia we Wrocławiu: i ratusz, i rynek, i Muzeum Architektury.

Nagle ktoś krzyknął. Ludzie rzucili się do balustrady i zaczęli sobie pokazywać coś palcami. Aleksandra zanurkowała między nogami gapiów i udało jej się znaleźć na samym przodzie, dlatego zobaczyła wyraźnie unoszony przez prąd wiklinowy koszyczek, w którym piszczały rozpaczliwie trzy szczeniaki.

- Utopią się! - krzyknęła rozpaczliwie. - Ludzie, zróbcie coś, przecież się utopia!

Zgromadzeni odsunęli się od niej, patrząc po sobie, pomrukując i wzruszając ramionami.

- A co tu można zrobić, dziecko - powiedział łagodnie stojący najbliżej Aleksandry gruby mężczyzna w ortalionowej kurtce i kapeluszu, który wyglądał jak przewrócony dnem do góry kubełek. - Pogotowie po psy nie wyjedzie. Nie martw się, może prąd wyrzuci je gdzieś na brzeg.

- Zdechną do tego czasu z zimna i głodu - chlipnęła Aleksandra.

- Dzieci, dość tego, idziemy dalej! - Nauczycielka zaklaskała w ręce. - Aleksandro, rusz się, mamy mało czasu! Jak już wam opowiadałam, Wrocław był stolicą księstwa śląskiego, władanego przez Piastów, a od połowy czternastego wieku...

Uczepiona kurczowo balustrady Aleksandra nawet nie drgnęła. Z jej oczu sypały się łzy jak groch.

- Szura - szepnął drepczący jak zwykle koło niej Tola – ty wiesz, ja bym dla ciebie, **Bog znajet**, wszystko... Mam skoczyć do wody?

- Skacz! - krzyknęła histerycznie Aleksandra. - Nie gadaj, tylko skacz!

Drobne chłopięce ciało prześliznęło się na drugą stronę balustrady, odbiło od przęsła mostu i szybowało przez nieskończenie długie sekundy, zanim przecięło ciemne, wzburzone fale. Tłum wydał okrzyk przerażenia, ale za chwilę głowa Toli wyłoniła się z wody. Zgromadzeni pod mostem gapie rzucili się w jego stronę, niektórzy zdjęli buty, weszli do wody i brodzili w niej ostrożnie. Kiedy Tola, holując koszyk ze szczeniakami, dopłynął do brzegu i dał się wyciągnąć pomocnym dłoniom, rozległy się wiwaty, gwizdy i oklaski.

- Zuch chłopak! - stwierdził gruby sąsiad Aleksandry, kręcąc z podziwem osadzoną na byczym karku głową.

- Wariat, po prostu wariat - jęknęła Aleksandra, płacząc ze strachu i wstydu.

Nauczycielka podbiegła do Toli, ściągnęła z niego przemoczone ubranie, rozarta drżące z zimna chude ciało i otuliła je swoim płaszczem. Zaciskając wargi, zbliżyła się do Aleksandry i wymierzyła jej siarczysty policzek.

- Głupia, niedobra dziewczyna - syknęła z furją.

- Ja przecież wszystko by dla ciebie zrobił, żebyś ty tylko szczęśliwa była - powiedział spokojnie dorosły Tola do Aleksandry czternaście lat później. - Ja by cię kochał i chronił, czuwał nad tobą i pomagał, ale ty nic z tego nie chcesz. Tyle już czasu ja czekał cierpliwie i myślał: przywyknie, nauczy się, oswoi. U mnie miłość była wielka, ale ty ją dzień po dniu zabijała, kawałek po kawałku, aż mi nic nie zostało, tylko te myśli moje zatroskane i siły już nie ma u mnie, żeby pa-trzeć, jak ty się z tym swoim skomplikowaniem mocujesz. Ja ci nie potrzebny, może nikt ci nie potrzebny. Nie będzie mnie teraz długo, czasu będziesz miała dostatek, żeby myśleć, czego ty właściwie chcesz. Ale wrócę do ciebie z tej Sy-berii tylko wtedy, jeśli ty będziesz żyła ze mną *normalno*, po bożemu, jak to lu-dzie ze sobą żyją. A teraz bywaj zdrowa, Aleksandra. *Wsiech błag**.⁶⁸

Odwrócił się i wyszedł. Aleksandra, przerażona i nieszczęśliwa, miała wraże-nie, że znowu wymierzono jej policzek. Tak bardzo chciała zrobić coś, co Tola mógłby zrozumieć, coś, co każda inna kobieta w jej sytuacji by zrobiła: wybuch-nąć płaczem, prosić, żeby jej nie opuszczał, próbować wyjaśnień, wszystko to jednak przekraczało jej siły.

Wyszeptała więc tylko: - Tak bardzo mi żal... - ale Tola już jej nie słyszał.

*

Jan wyjechał po mnie do Frankfurtu na lotnisko, wiedziony szczerą troską, czy dam sobie sama radę wśród tych wszystkich monitorów, klekoczących tablic informacyjnych i schodów ruchomych. Wiedział, że rodzice z dnia na dzień mo-gą przekroczyć granicę starczej bezradności i nie chciał tej chwili przeoczyć. Jan był dzieckiem pragmatycznym, z zasady przygotowanym na najgorsze.

- No, jak się bawiłaś? - zapytał, wyjmując mi walizkę z ręki. Do tej pory to ja zadawałam takie protekcyjne pytania.

⁶⁸ * Wszystkiego najlepszego.

- Dziękuję, doskonale - odparłam potulnie, już czując się bezradną staruszką.

- A co u ciebie nowego?

- Wszystko w porządku. Padła zamrażarka, ale zauważyłem to w porę i tylko trochę jeszcze śmierdzi. Anna Franchetti-Querini założyła w końcu telefon w tym swoim walącym się *palazzo* i zadzwoniła, żeby ci to powiedzieć. Poza tym ma tam teraz nową pokojówkę, jakiegoś rumuńskiego muzyka, który nazywa się Kaganescu, a może Namordescu, artystycznie prasuje obrusy, ale co drugie słowo mówi „dupa”, więc Anna nie wie, czy nie jest przypadkiem niezadowolony.

- Nie, skądże, *dupa* po rumuńsku to po prostu „po”. *Wal dupa wal* na przykład oznacza „fala po fali”.

- Nie wiedziałem. Moim zdaniem Paweł i Maciek używali tej dupy w zupełnie innym znaczeniu. Poradziłem Annie, żeby się dowiedziała, czy ten Kaganescu nie jest przypadkiem z Transylwanii i powiesiła wszędzie czosnek, bo z tymi Rumunami nigdy nie wiadomo.

- Nie powinieneś mieć uprzedzeń w stosunku do przedstawicieli innych narodów!

- Lepiej mieć uprzedzenia niż puste żyły. Przez trzy dni mieszkał u nas Basti, bo jakiś wariat regularnie podpalał im dom i jego matka już była bliska hysterii. Widziała ich wszystkich zwęglonych na kość, a poza tym straż pożarna zalała im cały parter wodą i dywany okropnie chlupały, więc zapytała, czy Basti mógłby u nas nocować, a ja powiedziałem, że na pewno nie miałabyś nic przeciwko temu, bo przecież nie miałabyś, prawda?

- Jasne - zapewniłam go, chociaż Basti miał paskudny zwyczaj zjadania tapety ze ściany nad łóżkiem. Najprawdopodobnie uzupełniał w ten sposób brakujący wapń. - Mimo wszystko mogłeś mnie zapytać. Znaleźli tego piromana?

- Piro... co? Tego podpalacza? Owszem, znaleźli. Policja zainstalowała w łazience sąsiada kamerę wideo i pięknie się nagrał, jak się skradał koło domu Bastiego ze szmatami i butelką benzyny.

- No i kto to był? Mąż jakiejś niezadowolonej pacjentki ojca Bastiego? Zrobił jej krzywą pierś?

Ojciec Bastiego był znanym chirurgiem plastycznym, operował podbródki, pośladki i brzuchy, więc hipoteza była zupełnie prawdopodobna.

- Wszyscy początkowo tak przypuszczali i policja sprawdziła całą kartotekę pacjentów, ale okazało się, że nie był to żaden z nich, tylko jakiś wieczny student, który w ten sposób protestował przeciwko globalizacji. Dom rodziców Bastiego wybrał tylko dlatego, że był pięknie oszalowany drewnem i dobrze mu się pod to oszalowanie szmaty z benzyną wpychało. Teraz ten student siedzi w więzieniu, a Basti znowu u siebie w domu i właściwie dobrze, że się wyprowadził, bo jakoś nie rozumieli się z panem Schroterem.

Pan Schroter, sąsiad z dołu, uważał się za dobrą duszę naszego domu, czyli był człowiekiem bardzo ciekawskim i nieludzko wprost upierdliwym.

-Pan Schroter podejrzewał Bastiego o wyrzucanie butelek przez okno, co nie było prawdą, bo my w ogóle nie piliśmy wina tylko daiquiri, trzy czwarte białego rumu na jedną czwartą soku z limety, a butelki po winie wyrzucała ta rodzina z czwartego piętra, co jest na socjalu. Basti wyrzucił tylko jeden jedyny raz plastikową po wodzie mineralnej, ale trafił, idiota, akurat w samochód pana Schrotera i pech chciał, że pan Schroter siedział w środku.

- Oj... - jęknęłam.

-No właśnie. Ale rodzice Bastiego mają pełne ubezpieczenie od odpowiedzialności cywilnej i znajomego prawnika, więc nawet gdyby Bastiego zaaresztowano, to nie posiedzi długo.

- Miejmy nadzieję.

- I w ogóle nie zdenerwuj się stanem łazienki: te kafle trzeba było odbić, bo u państwa Binder pod nami lało się z sufitu, ale hydraulik już znalazł tę pękniętą rurę i jak wszystko wyschnie, to administracja przyśle kogoś, żeby położył nowe kafle. Za jakieś trzy miesiące pewnie.

- A to szalenie uprzejmie z ich strony. Jak widzę, wszystko w najlepszym porządku i doskonale sobie sam poradziłeś. A co tam w Łosinku? Dzwonił ktoś?

Powiedziałam to możliwie niedbałym tonem, żeby tylko nikt sobie nie pomyślał, że mi na tej informacji zależy.

- Owszem, jak się dowiedzieli, że jesteś we Włoszech, to dzwonili nawet co drugi dzień. Z Pawłem spotykam się na czacie, a Tola jest w tej chwili w Rosji i przysłała mi majle. Umówiliśmy się, że do niego wiosną przyjadę. Moglibyśmy spotkać się na przykład w Irkucku.

- Mowy nie ma! Na żadną Rosję się nie zgadzam!

- Ale ty przecież tam byłaś. Mówiłaś nawet, że to była najpiękniejsza podróż twojego życia.

- Moskwę, no może w ostateczności, Petersburg może i mogłabym sobie wyobrazić, ale Irkuck?

- A ty byłaś na Kaukazie, doradzasz mi Kaukaz?

- Na miłość boską, tylko nie Kaukaz! Toż to tam właśnie każdy tylko czeka, żeby złapać za broń, kindżał, puginał, kałasznikowa, co ma pod ręką, i rznąć się nawzajem... Straszna tam dzicz.

- Tak to pamiętasz?

Pamiętam? Pamiętam góry wielkie, wierzchołki przykryte śniegiem, doliny wąskie i uroczyście jak nawy kościołów, drogi prowadzące pod nawisami skalnymi, zasypane często lawinami kamieni, strome urwiska i krążące wolno po niebie drapieżne ptaki. Pamiętam zapachy wschodu, egzotycznych przypraw i baraniego łoju, smażonej papryki i kwiatów pomarańczy, pamiętam palmy i drzewa granatu, sprzedawców arbuźów, baranie czapy, burki i chałaty, osiołki,

bystry nurt Kury i Tereku, upał, zielone, zadbane miasta, obrośnięte winoroślą werandy i altanki, ludzi o pięknych twarzach i orlich profilach, gościnnych i serdecznych, a przede wszystkim pamiętam tego wspaniałego starca, o którym mówiono, że ma sto dwadzieścia lat, jak tańczył w kręgu klaszczących mężczyzn, dumny i prosty jak strzała, jak śmiał się i mówił, co trzeba robić, żeby dożyć tak pięknego wieku: kochać! Kobiety kochać codziennie, dzieci robić, nikomu niczego nie zazdrościć i pracować, jak długo się żyje.

- Nie, oczywiście nie, mam stamtąd cudowne wspomnienia, ale wtedy wszystko przecież było inaczej. Związek Radziecki był najbezpieczniejszym krajem na świecie, jednym wielkim, doskonale zorganizowanym łagrem, od Odessy po Władywostok. Ale teraz nie ma już Związku Radzieckiego, tylko są Abchazi, Czeczeńcy, Osetyjczycy, Ormianie, Azerowie, Kabardyńcy, Buriaci, Tunguzi, Jakuci, Ewenkowie, Czukcze i Bóg wie ilu jeszcze innych, i wszystkie te narody chcą wolności, wszystkie chcą odłączyć się od Rosji, a taki proces nigdy nie przebiega bezboleśnie.

Chyba nie sądzisz, że pozwolę ci pojechać do kraju, który jest politycznie niestabilny? I dlaczego, na miłość boską, nie wybierasz się tam, gdzie jeżdżą wszyscy inni twoi koledzy, na przykład na Costa Brava albo na Majorkę? Wiadomo przecież, że tam na plażach piją i nie trzeźwieją uczniowie klas wyższych niemieckich gimnazjów, więc dlaczego akurat ty musisz inaczej i dlaczego akurat na Wschód?

- Geny może? Twoje własne?

Jęknęłam. Moje polskie pochodzenie uczyniło mnie w tym kraju obcą i bezdomną, a teraz spuścizna genetyczna gnała moje dziecko w kierunku Syberii.

- Masz jeszcze całą kolekcję innych genów, nie mógłbyś od czasu do czasu dopuścić ich do głosu? Słuchaj, dopiero co wylądowałam, w domu czeka mnie popsuta zamrażarka, zdewastowana łazienka i rozdrażniony pan Schroter, nie jestem w tej chwili w stanie dyskutować o Irkucku. Teraz tam zima, purga wieje,

oddychać się nie da, taki mróz. Za parę minut odjeżdża Airliner, musimy się pośpieszyć. Syberia jest wieczna i nam nie ucieknie.

W takich sytuacjach mam zawsze nadzieję, że nastąpi coś, co odwróci uwagę Jana, na przykład zakocha się nieprzytomnie w jakiejś koleżance i zapragnie spędzić z nią wakacje w Groß Bieberau, albo trener zaproponuje mu wyjazd na obóz kondycyjny aikido. Najważniejsze, że zyskam na czasie, Tola zdąży wrócić z Rosji, a Jan zainteresuje się czymś innym.

I rzeczywiście coś zaszło - ale niezupełnie tak, jak to sobie wyobrażałam.

*

- Moje nazwisko Bergmann - powiedział sympatyczny głos w słuchawce. - Jestem matką Vereny z klasy Jana... Przepraszam, czy Jan jest w tej chwili w domu?

- Pojęcia nie mam - odparłam zgodnie z prawdą. - Dopiero co przyszedłam z biura i jeszcze nie zaglądałam do jego pokoju. Mam sprawdzić?

- Bardzo proszę.

Odłożyłam słuchawkę i przekłusowałam przez całe mieszkanie w stronę drzwi, na których widniał napis: **Wstęp wzbroniony**, a pod nim informacja: **Praca podobno jeszcze nikogo nie zabiła, ale nie chciałbym podejmować niepotrzebnego ryzyka**. Zapukałam, odczekałam z szacunkiem chwilkę i zajrzałam do środka. Pokój wyglądał na pusty, monitor komputera był czarny i ślepy, a na wzmacniaczu nie migotało ani jedno światełko. Na podłodze piętrzył się stos skarpet i kalesonów, łóżko było, jak zwykle, nieposłane, na skopanej pościeli spoczywał samotnie monstrualnej wielkości pies Bello, którego Jan otrzymał na swoje piąte urodziny, ale do tej pory z nim sypiał. Wycofałam się, obiecując sobie w duchu, że przeprowadzę z Janem poważną rozmowę na temat minimalnych wymogów porządku.

- Jana nie ma w domu - zameldowałam służbiście do słuchawki.

- Tak też sobie myślałam, bo widzi pani, Vereny też nie ma. Czy byłaby pani łaskawa sprawdzić, co Jan ma pod poduszką i materacem?

- No wie pani, tego u nas w domu się nie robi - oburzyłam się. - Każdy człowiek, nawet młody, ma prawo do swojej sfery prywatnej. Do tej pory nie kontrolowałam, co mój syn ma pod poduszką i nadal kontrolować nie będę.

Głos westchnął ciężko.

- Ma pani, oczywiście, rację. A jednak... Tylko ręką przeciągnąć po prześcieradle i pod poduszką, to chyba nie jest od razu kryzys zaufania?

- Jak najbardziej jest - stwierdziłam surowo i po chwili wahania dodałam już mniej zdecydowanie: - A niby czego miałabym szukać?

- Sama nie wiem, niestety. - Głos brzmiał teraz grobowo. - Jakiejś wskazówki, czegoś niepokojącego. Haszyszku może? Myślałam też o prezerwatywach. Ewentualnie o pigułkach, ale raczej psychotropowych niż antykoncepcyjnych.

Wstrząsnęłam się i popatrzyłam na słuchawkę z przerażeniem, jakby to był padalec.

- Pani poczeka - tchnęłam w nią i pobiegłam do pokoju mojego dziecka, które najwyraźniej przestawało być dzieckiem. Uniosłam Bella, poduszkę i prześcieradło, ale poza papierkami po cukierkach nie znalazłam nic.

- Nic - poinformowałam słuchawkę. Jęknęła cichutko, ale nie potrafiłam ocenić, czy był to jęk ulgi, czy też rozczarowania.

-To niczego nie wyjaśnia, niestety. Bardzo mi przykro, ale obawiam się, że z naszymi dziećmi dzieje się coś niepokojącego. Jesteśmy z mężem zdania, że powinniśmy razem usiąść i się naradzić... Czy nie zechciałaby pani wpaść do nas wieczorem na lampkę wina? Tak o ósmej?

Zanotowałam adres drżącymi palcami, konstatuując przy okazji, że państwo Bergmann mieszkają w eleganckiej dzielnicy willowej z pięknym starodrzewem, domami z przełomu wieku i cenami działek nie z tej ziemi. Jakichkolwiek kłopo-

tów narobił tym razem Jan, narobił ich w lepszych sferach, co oznaczało, że jak amen w pacierzu będę miała do czynienia z ludźmi elokwentnymi, pewnymi siebie i aroganckimi. Być może od razu z ich prawnikami.

Z trudem doczekałam do ósmej. Przyjechałam wcześniej, zaparkowałam za rogiem i ukradkiem obejrzałam dom, usiłując wyobrazić sobie jego mieszkańców. Sądząc po żywopłocie z bambusa, jedynym tego rodzaju na całej ulicy, państwo Bergmann mieli niekonwencjonalne poglądy - wszystkie inne ogródki okalały tradycyjne bukszpany albo tuje. Przeszklona weranda, zmniejszająca zużycie energii i koszty ogrzewania, dowodziła zaangażowania ekologicznego. W środku wisały różnokolorowe *koinobori*, papierowe karpie, które w Japonii rozwiesza się na majowe Święto Chłopców. Razem z amerykańską blaszaną skrzynką na listy, maltańską kołatką do drzwi i ceramicznymi donicami z Toskanii świadczyły one o dalekich podróżach i kosmopolityzmie właścicieli.

Nieco uspokojona, położyłam palec na dzwonku.

Drzwi otworzyły się natychmiast, jakby stojąca w nich kobieta już od dawna na mnie czekała. Spłoszona zrobiłam krok do tyłu.

- Ależ prosimy, prosimy! - zawołała, nerwowo zacierając ręce o długich, białych palcach. - Mąż już rozpałił kominek. To bardzo uprzejme, że zgodziła się pani nas odwiedzić.

Przez moment zastanawiałam się, czy mam jej przypomnieć, że moja wizyta nie ma charakteru towarzyskiego i że wciąż nie wiem, o co właściwie chodzi, ale machnęłam ręką i poszłam za nią w głąb mieszkania.

Z fotela przed kominkiem, na którym rzeczywiście trzaskał ogień, podniósł się wysoki i bardzo szczupły mężczyzna, którego siwa grzywa ściągnięta była gumką w kucyk, świadczący o artystycznej duszy. Pan Bergmann był bardzo starannie ubrany, miał na sobie obcisłą marynarkę z czarnego weluru, białą koszulę ze spinkami w mankietach i amarantowy fular ze śliskiego jedwabiu na szyi. Jego kosztowny miniutarowy aparacik słuchowy wyglądał jak kolczyk i kojarzył

się nie tyle z głuchotą, ile z ekstrawagancką biżuterią. Gdyby miał wachlarz w ręce, można by go było wziąć za Karla Lagerfelda.

- Martin Bergmann. Jestem ojcem Vereny - przedstawił się uprzejmie.

- Vereny? A gdzie są chłopcy? - zapytałam, rozglądając się dookoła.

- Chłopcy? - powtórzył pan Bergmann, zbity z tropu. – Jacy chłopcy?

- Widziałam na werandzie *koinobori*, te japońskie karpie. Za- wieszają je się przecież na Święto Chłopców, więc pewnie jakichś chłopców państwo macie.

Oczywiście nigdy w życiu bym tego nie wiedziała, gdyby moja przyjaciółka Silja nie wyszła za mąż za Japończyka, nie studiowała z miłości do niego przez rok Ceremonii Podawania Herbaty i nie usiłowała nam wszystkim wmówić, że życie w Japonii jest pod każdym względem lepsze, a zwyczaje godne podziwu. Ostatnio entuzjazm Silji nieco ochłódł, bo Takamushi dał jej do zrozumienia, że do tych pięknych tradycji należy również respektować nie kochanki męża.

- Ach, karpie! Nie, nie mamy chłopców. Obchodzimy w maju Święto Dziewczynek, ze względu na równouprawnienie.

No tak, mogłam się domyślić, że jestem w domu ludzi o nowoczesnych poglądach. Na regałach stały równe szeregi książek i sprzęt elektroniczny w najlepszym gatunku, na ścianach wisiały dobre obrazy, amatorskie zdjęcia pejzaży Toskanii i oprawione w srebrne ramki afgańskie, a może kurdyjskie hafty. Verena, Verena... Jak wygląda ta cała Verena? Nie przypominałam sobie żadnej Vereny obok Jana, moim zdaniem dziewczyny wciąż jeszcze go nie interesowały; pojawiał się w towarzystwie Olivera, zwanego Olii, Sebastiana, czyli Bastiego, Tima albo Stefana, którego nikt jednak nie nazywał Stefanem, tylko Stasi, bo miał nie-szczęście nosić nazwisko Stasicki. Dziewczyny go nudziły, chociaż... chwileczkę! Spędziłam na Ischii trzy tygodnie, w tym wieku to cała wieczność, skąd wiem, czy dziewczyny wciąż jeszcze go nudzą i co w tej chwili zaprzęta jego uwagę? To przecież właśnie w tym wieku wszystko się zaczyna, ten szal hormonów, sny erotyczne, nocne polucje, seks telefoniczny i filmy pornograficzne - o

mój Boże, a ja na to wszystko w ogóle nie jestem przygotowana! Czy ta Verena jest w ciąży?

- Czym mogę pani służyć? Kieliszeczek madery, portwajnu, sherry? - proponował uprzejmie ojciec Vereny.

- Podwójny koniak poproszę - wyszeptałam, osuwając się na kanapę jak umierający łabędź. - Państwo chcieli ze mną rozmawiać... czy dzieciom, nie daj Bóg, coś się stało?

- Nie wiemy. - Ojciec Vereny bezradnie rozłożył ręce. - Obawiamy się jednak, że ich przyjaźń przekroczyła granice odpowiednie dla ich wieku - pani rozumie, co mam na myśli?

- Są nierozłączni i znikają razem na całe dni - włączyła się do rozmowy matka Vereny. - Zamykają się w pokoju Vereny na klucz. Na klucz! Do tej pory Verena zwierzała mi się ze wszystkiego, ab-so-lut-nie wszystkiego! Miałyśmy do siebie bardzo bliski stosunek, jak dwie siostry, a teraz nagle - na klucz!

Jej głos nabrał histerycznego tonu, a arystokratyczny, cienki nos pobladł z przejęcia. Ten nos... rozdęte chrapki, elegancki wzgórek u nasady, delikatne błękitne żyłki, wypełnione zapewne delikatną błękitną krwią... ten skończony w swojej formie organ wydał mi się nagle znajomy.

- Verena była bardzo późnym dzieckiem - kontynuowała pani Bergmann. - Wie pani, jak to jest, człowiek najpierw stara się osiągnąć coś w zawodzie i zanim się obejrzy, zbliża się do czterdziestki. W końcu straciliśmy już nadzieję i przestaliśmy nawet mówić o dziecku. Szczerze mówiąc, jak mi się okres zatrzymał, myślałam, że to klimakterium. Gdybyśmy byli młodszy, pewnie lżej potraktowalibyśmy przyjście Vereny na świat, ach, mój Boże, koleżanki przynosiły swoje niemowlęta na wykłady w torbie na zakupy, wieczorami szły tańczyć, a dziecko zostawiały w zaparkowanym przed dyskoteką samochodzie, ale my mieliśmy już swoje lata i od pierwszej chwili drżeliśmy o Verene. Przestałam pracować, żeby mieć dla niej czas, odprowadzałam ją na balet, jogę, jazdę konną i

basen, do tej pory odwożę ją do szkoły. Umieraliśmy ze strachu, kiedy miała koklusz, świnkę i odrę. Jest naszym jedynym dzieckiem i chcielibyśmy uchronić ją przed każdym niebezpieczeństwem i każdym rozczarowaniem.

- Ma pani na myśli Jana? - zapytałam uprzejmie.

- Ach, Boże, nie! Uważamy Jana za czarującego chłopca, ale to po prostu za wcześnie. Dzieci powinny osiągnąć pewien stopień dojrzałości, nauczyć się kontrolować swoją seksualność, zanim wybiorą sobie partnera. Nasza Verena jest ogromnie wrażliwa i jedynym naszym pragnieniem jest oszczędzenie jej frustracji, także seksualnych.

Frustracje seksualne!

W ciemnościach mojej pamięci z hukiem otworzyło się jakieś okienko i zobaczyłam nagle drobną dziewczynę z arystokratycznym nosem i masą rudawych loków, przetykanych paciorkami i kwiatami. Miała bose stopy i owinięta była szeroką hinduską szatą, której staniczek wyszywany był cekinami. „Towarzysze! - wołała. - Odwagi! Precz z seksualną frustracją, precz z wszelkimi tabu, precz z tym naszym cholernym burżuazyjnym wychowaniem! Mój brzuch należy tylko do mnie i tylko ja o nim decyduję!”.

Widziałam też wielką fabryczną halę z czerwonego klinkieru, portrety Che na ścianach, przepierzenia z nieheblowanych desek i drewniane platformy, na które prowadziły drabiny. Na platformach siedzieli na skrzynkach po pomarańczach brodaci chłopcy z długimi włosami i dziewczyny do złudzenia podobne do mówczyń, w takich samych koralikach, haftach i cekinach. Między nimi nieustrudzenie krążył Szalony Jo, schizofrenik, uważający się za Mahatmę Gandhiego i bardzo do niego podobny w swoim długim białym gieżle i owiniętym wokół głowy ręczniku. Szalony Jo cieszył się ogólnym szacunkiem, bo miał często prorocze wizje zupełnie bez pomocy narkotyków, co ogólnie uważane było za dowód osiągnięcia wyższego stopnia wtajemniczenia.

Była to legendarna Fabryka, od dawna już nieczynna odlewnia, w której osiedlili się przedstawiciele najbardziej radykalnych ugrupowań studenckich: maoiści, marksiści-leniniści, anarchiści i trockiści. Widocznie w miejscu przesiąkniętym potem klasy robotniczej oddychało im się lżej. Komunardzi mieli zamiar stworzyć nowe, wolne społeczeństwo, ale nie mogli dogadać się co do detali i większość czasu spędzali na niekończących się zebraniach, dotyczących tematów tak oryginalnych, jak na przykład reforma rolna. Specjalnością dziewczyny z paciorkami w rudych włosach było wyzwolenie seksualne kobiet, kwestia, w której mieszkający w Fabryce mężczyźni bez ograniczeń ją popierali.

- Rosemarie! - zawołałam, nie wierząc własnym oczom. - Rosemarie Apfelblum! Rose!

W samą porę przypomniałam sobie, że chciała, żeby ją nazywano z angielska „Rose”, powtórzyłam więc jeszcze raz: „Rouz”. Obie przyjrzałyśmy się sobie z niedowierzaniem.

- Niesamowite! - powiedziała w końcu matka Vereny. - To ty jesteś matką Jana? Nasze dzieci chodzą do tej samej klasy? No wiesz, nigdy bym nie przypuszczała, że pošlesz syna do takiej konserwatywnej katolickiej szkoły!

- Nie ma w tym nic dziwnego, większość osób polskiego pochodzenia jest wychowana po katolicku - wyjaśniłam. - Nie wiedziałam natomiast, że przyjmują tam też dzieci trockistów.

-Ach, zaraz trockistów... Wiesz, jakie to były czasy. Wtedy wszyscy chcieliśmy zmieniać świat, a teraz...

- ...a teraz już wiemy, że świat jest optymalny i nie wymaga żadnych zmian - dokończyłam za nią. - Rose, wtedy, w Fabryce, byłaś najzarliwszą bojowniczką o wyzwolenie seksualne kobiet. Spaliłaś na dziedzińcu biustonosz, pamiętasz? Nad wejściem wisiał transparent: „Temu samemu dwa razy dajesz, establishmentu częścią się stajesz”, wszystko miało działa się otwarcie, bez hipokryzji i zahamowań, zupełnie inaczej niż u naszych rodziców, a teraz...

- Ach, mój Boże, bo to byli wtedy nasi rodzice i mieli te wszystkie koszmarne zahamowania seksualne, ale teraz to my jesteśmy rodzicami i to jest zupełnie co innego. My jesteśmy tolerancyjni, dajemy naszym dzieciom możliwość zdobywania doświadczeń i traktujemy je serio.

Doprawdy? Przeszukując ich łóżka? - miałam ochotę zapytać, ale spotkanie ze zmartwychwstałą z otchłani przeszłości Rose sprawiło mi wielką przyjemność i żadnymi sarkazmami nie chciałam zakłócać toku wspomnień.

- Wy już wtedy byliście razem, prawda? Mieszkaliście za jednym z tych drewnianych przepierzeń i byliście urządzeni wyłącznie skrzynkami po pomarańczach i meksykańskimi hamakami, ogromnie pomysłowo. Bardzo mi się to wasze ówczesne mieszkanie podobało.

- Ale zimą było piesko zimno, woda w dzbanku zamarzała.

- A pamiętasz, jak Martin wchodził na drabinę, żeby przemawiać? Ludzie schodzili się z całego miasta, żeby go posłuchać, taki był dobry. Porywał masy! Jak zaczynał mówić, to wszyscy nie mogli się doczekać tej rewolucji. Niektóre jego teorie były wręcz prorocze, na przykład ta o automatyzacji, pamiętam ją do dziś. Często potem wracałam do jego słów myślami.

Martin ożywił się, chwycił butelkę sherry i wskoczył na stół.

- Towarzysze! Koledzy! Przyjaciele! - zawołał. - Nie ma ucieczki przed automatyzacją! To ona stanie się przekleństwem międzynarodowego proletariatu i wpędzi całe rzesze robotników w bezrobocie! Kryzys świata kapitalistycznego jest nieunikniony, ale nieunikniony też jest nasz gniew, sprawiedliwy gniew proletariatu i nie ustaniemy w naszej walce! *We want the world, and we want it now*

Zaklaskałam, a Rose włożyła dwa palce do ust i gwizdnęła - tej umiejętności zawsze jej zazdrościłam. Przez chwilę zobaczyłyśmy w tym siwym mężczyźnie młodego chłopaka z tamtych lat, z gitarą i czerwoną książeczką z myślami przewodniczącego Mao w ręku, chłopaka, który chciał zmieniać świat na lepszy.

Przez chwilę jego twarz rzeczywiście płonąła dawną wiarą, że mu się to uda, ale wzniesione do góry ramiona opadły, plecy znowu się przygarbiły i blask w oczach zgasł.

- Ach - powiedział - dawne czasy... Było, minęło. Nie wróci. Dzisiaj wszystko jest inaczej.

- Wprost przeciwnie - zaprotestowałam. - Wszystko jest jak było i nadal można mieć wątpliwości, czy jest to dla człowieka dobre. Globalizacja, automatyzacja, coraz więcej samochodów, coraz większe lotniska, coraz więcej samolotów, coraz więcej nikomu niepotrzebnych produktów i coraz więcej ludzi na coraz ciaśniejszej Ziemi. Powiedziałabym, że dziś także nie brakuje powodów, dla których należałoby ten świat przebudować.

- Ale brakuje chętnych do tego przebudowywania – westchnął Martin.

Musiałam przyznać mu w duchu rację. Tych Niemiec, do których przed laty przyjechałam, już dawno nie było - a może nigdy tak naprawdę nie istniały? Po potężnej fali studenckiej rewolty, która wstrząsnęła republiką, pozostały w encyklopedii zaledwie dwie linijki. Bardzo możliwe, że ktoś korygował historię, kasując niewygodne fragmenty. Ci, którzy wtedy obrzucali policjantów kamieniami, zajmowali dzisiaj stanowiska tak wysokie, że sami domagali się ochrony policyjnej.

- Uważam, że to niesprawiedliwe, w końcu tymi wiecami i demonstracjami zmarnowaliście mi najpiękniejsze lata życia. Poza tym dawaliście mi stale do zrozumienia, że jestem okropnie zaściankowa, bo nie czytałam myśli Mao, nie wiedziałam, kim był Rudi Dutschke*⁶⁹ i Herbert Marcuse, oblewałam się rumieńcem, kiedy mowa była o seksie i ani trochę nie interesowałam się reformą rolną. Musiałam chować przed wami srebra rodzinne i kryształowe kieliszki, bo wszystko to uważaliście za szczyt kołtuństwa i zaszczuliście mnie, gdybym

⁶⁹ * Rudi Dutschke, jeden z przywódców rewolty studenckiej, w 1968 ciężko ranny w zamachu.

przyznała się otwarcie do posiadania obrusów, ścierek kuchennych i bielizny pościelowej. Wy w tym czasie wyzwoliliście się już spod dyktatury drobnomieszczaństwa, jedliście palcami, mlaskaliście i odbijało się wam przy stole, co w wielu obcych kulturach należy do dobrego tonu i te kultury poznawaliście, wędrując z plecakiem przez Kalahari i pustynię Gobi. Zamierzaliście budować w Afryce studnie i szpitale w dorzeczu Amazonki, adoptować wietnamskie sierotki i spać po ciotecznej babce wpłacić na konto Frente Sandinista de Liberación Nacional, a teraz mówicie po prostu: „Czasy się zmieniły”? Co się z wami wszystkimi, na miłość boską, stało?

- A to różnie. - Martin wzruszył ramionami. - Joschka Fischer, sama wiesz, został ministrem, Czerwony Dany*⁷⁰ siedzi w Parlamencie Europejskim, Carl Reddich ma dobrze prosperujące biuro architektoniczne i parę interesujących nieruchomości na Deutschherrnufer we Frankfurcie, wynajmuje mieszkania za duże pieniądze...

- Carl? Ten, który ze swoją komuną okupował we Frankfurcie domy przeznaczone do rozbiórki? - zapytałam z niedowierzaniem.

- Ten sam. Johnny Klinke też do nich należał, ale jak go dzisiaj o ten okres jego życia zapytać, to mówi, że „zajmował się wtedy ochroną zabytków”. Volker Saar robi właściwie nadal to samo, co robił, te prowokujące performance i instalacje, ale teraz media go sobie wyrywają i nawet jeżeli położy na talerzu zdechłego szczura, to krytycy okrzykują tego szczura natychmiast dziełem sztuki. Gerd i Thilo postanowili obalić system od wewnątrz i poszli do administracji publicznej, Thilo jest dyrektorem Wydziału Architektury w Salzufen, a Gerd referentem w Heskim Ministerstwie Sprawiedliwości. Prawa ręka ministra.

-I co, obalili coś od środka?

- Swoich konkurentów, jak sądzę.

⁷⁰ * Daniel Cohn-Bendit, jeden z przywódców studenckiej rewolty w Paryżu

- A jak wam się losy ułożyły? Widzę, że macie piękny dom w doskonałej dzielnicy...

- Rosemarie miała przez dłuższy czas profesurę w katedrze socjologii na Wyższej Szkole Ewangelickiej, ale musiała z niej, oczywiście, zrezygnować, kiedy urodziła się Verena.

- Oczywiście.

- Ale dwa razy w tygodniu prowadzi zajęcia integracji zawodowej dla kobiet, które po przerwie wychowawczej chciałyby wrócić do zawodu. Treningi samo-prezentacji i tak dalej. Ja natomiast chciałem kształtować społeczeństwo, kształtując jego młodzież; zrobiłem więc drugi egzamin państwowy i uczę teraz historii i niemieckiego.

Kształtować społeczeństwo, akurat! Widziałam przed garażem miniautokar z deskami do surfingu na dachu i rowerami na bagażniku. Jakimikolwiek motywami kierował się Martin dwadzieścia lat temu, w obecnej chwili głównym powodem tej potrzeby kształtowania młodzieży były cztery miesiące wakacji.

- Fabryka istnieje jeszcze?

- O tak. Nie poznałabyś jej, została pięknie wyremontowana w ścisłej współpracy z konserwatorem zabytków. Mieszkaliśmy tam jeszcze długo, wyprowadziliśmy się, dopiero kiedy Rosemarie odziedziczyła po matce mały spadek i kupiliśmy ten dom.

- Bardzo piękny - pochwaliłam. - Musiał kosztować majątek.

- Owszem, nie był tani. Mogliśmy sobie na niego pozwolić tylko dlatego, że udało się nam korzystnie sprzedać nasze mieszkanie w Fabryce.

- Tę drewnianą klatkę na słupach?

- Ach, ty pamiętasz jeszcze te zabawne podesty i przepierzenia. Nie, nie, z czasem ta forma mieszkania przestała funkcjonować, brak było intymności. Pociągnęliśmy normalne ściany i stropy, a w końcu podzieliliśmy Fabrykę na mieszkania własnościowe. Nie uwierzysz, jakie się zrobiły popularne! Początko-

wo rozchwytywali je architekci, malarze i rzeźbiarze, ale potem rzucili się na nie młodzi bankowcy i menedżerowie, mieliśmy nawet jednego polityka z Junger Union. Na Fabryce zrobiliśmy świetny interes.

Świetny interes, no proszę! W tamych czasach Martin nie myślał nawet o rozbiciu interesów, wprost przeciwnie, zamierzał zlikwidować własność prywatną i na znak protestu przeciwko dyktaturze międzynarodowego kapitału palił razem z Carlem, Gerdem i Thilo na dziedzińcu Fabryki pieniądze. Nie było też mowy o żadnych bubkach z Junger Union i Deutscher Bank pod wspólnym dachem Fabryki: drzwi do tych drewnianych kojców nigdy nie były zamykane, a w oknach nie wisały żadne zasłony, bo byliście komuną, kolektywem, jeden za wszystkich i wszyscy za jednego, nie mieliście przed sobą żadnych tajemnic i niczego przed innymi nie ukrywaliście - ani marzeń, ani tęsknot, ani preferencji seksualnych.

Ach tak, preferencji seksualnych! Przypomniał mi się właściwy cel mojej wizyty i zwróciłam się do matki Vereny a niegdysiejszej komunardki:

- Rose, wydawało mi się, że w Fabryce byłaś bardzo zaangażowana w walkę przeciwko tabuizowaniu seksualności, szczególnie kobiecej. Mówiłaś nawet, że uważasz ją za formę walki klasowej. Czyżbyś zmieniła zdanie na ten temat?

- Głupia byłam - powiedziała Rosemarie sucho. - Nie zdawałam sobie sprawy, że tę całą rewolucję seksualną wymyślili mężczyźni, bo leżała w ich interesie. Tłumaczyli nam, że powinniśmy swobodnie dysponować naszymi ciałami, a mieli na myśli, że to oni będą nimi swobodnie dysponować. Pakował ci się taki do łóżka, nawet nóg sobie przedtem nie umył, a jak protestowałam, to zaraz z pyskiem na ciebie: „Coś ty taka niedotykańska? Zahamowania jakieś masz? Odpręż się, daj swojej duszy skrzydła i rozłóż je szeroko. Nogi też”.

Biedne dziewczyny miały z tą całą swobodą seksualną znacznie więcej problemów niż z jej brakiem. Najpierw musiały sobie głowy łamać, kto tu je jak najszybciej rozdziewiczy, żeby nie uchodzić w kolektywie za przedwczorajsze, a potem okazywało się, że ten zdrowy, nieskomplikowany seks, o którym wszyscy

mówili, był zdrowy i nieskomplikowany tylko dla chłopaków, o pigułkę i rezultaty niepożądaney ciąży musiały zatroszczyć się same.

-Naprawdę myślicie, że to właśnie tym się nasze dzieci po szkole zajmują? Nieskomplikowanym seksem?

- No cóż, sądząc z odgłosów, jakie dochodziły z pokoju Vereny, nie mogło to być nic innego. Verena najwyraźniej przeżywała orgazm... Ty wiesz, jaki to szok dla matki?

Poczułam przyływ macierzyńskiej dumy. Doprowadzenie koleżanki szkolnej do orgazmu - w tym wieku! uczeń katolickiej szkoły! - wydało mi się dowodem dużej dojrzałości. Mając tyle lat co oni, nie miałam nawet pojęcia, że coś takiego w ogóle istnieje, a cóż dopiero, jak się to robi. Jan zachował się jak dżentelmen, a co do Rose, to matka, która pragnie oszczędzić sobie szoku, nie powinna podsłuchiwać pod drzwiami dorastającej córki.

Przypomniałam sobie jednak natychmiast, że mówimy tu o chłopcu, który do tej pory sypiał z dużym pluszowym psem i że najprawdopodobniej jest to przypadek seksu z nieletnimi, karanego przez prawo, przy czym nie miałam pojęcia, kogo w tym wypadku prawo karze, bo oboje byli nieletni. We wszystkich znanych mi przykładach nieletnia była tylko jedna strona, natomiast ta druga była nawet bardzo posunięta w latach, jak Woody Allen albo Roman Polański. Być może zamykało się w takiej sytuacji rodziców? Ale kto wówczas zajmowałby się nieletnimi i pilnował, żeby po szkole zajmowali się odrabianiem lekcji, a nie seksem?

- Mam nadzieję, że to jest jedynie problem moralny, a nie prawny? - zastanowiłam się głośno, a Martin otworzył następną butelkę koniaku, bo ta pierwsza była już pusta. Postanowiłam zostawić samochód pod domem Bergmannów i wrócić taksówką.

- Powiem ci szczerze: wciąż się zastanawiam, czy Rosemarie nie przesadza - wyznał, podsuwając mi kieliszek. - Przecież właśnie tego sobie życzyliśmy: żeby nasze dzieci przekraczały próg dojrzałości bez zahamowań i obaw.

- Co to znaczy: bez obaw? - zdenerwowała się Rosemarie. - Skąd wiesz, czy oni myślą o AIDS albo niepożądaney ciąży?

- Dowiemy się, mój aniele - uspokoił ją Martin. - Nie dramatyzuj, w końcu jest to zupełnie naturalne stadium rozwoju w życiu każdego człowieka i wszyscy przez nie przechodziliśmy. Przypomnijcie sobie, co same robiłyście w wieku Vereny.

Rzuciłam spłoszone spojrzenie na Rosemarie, a ona na mnie i obie oblałyśmy się rumieńcem. Naprawdę wołałybyśmy, żeby Verena nie zajmowała się tym, czym my się zajmowałyśmy w jej wieku! Podczas gdy Rosemarie rozpaczliwie poszukiwała kogoś, kto pomógłby jej pozbyć się dziewictwa, żeby mogła bez tego balastu zająć się walką klasową i sprawą kobiet, ja zbierałam pod śpiworem w schronisku na Kalatówkach bogate doświadczenia z instruktorem Akademickiego Klubu Narciarskiego. Wziąwszy pod uwagę moją niewinność, młodość, katolickie wychowanie i kompletny brak informacji, należałoby to, co się pod tym śpiworem działo, określić jako „bardzo śmiałe”. Nie straciłam dziewictwa wyłącznie dlatego, że instruktor bez nart tracił połowę swojej atrakcyjności erotycznej, a z nartami nie mieścił się, niestety, do śpiwora, a poza tym na sąsiednich pryczach spali alpiniści, którzy co jakiś czas budzili się i pakowali ze straszliwym hukiem swoje haki i czekany.

Mogłam mieć tylko nadzieję, że Verena miała więcej poczucia wstydu.

Rosemarie zachichotała nagle i pociągnęła łyk portwajnu prsto z butelki. Wydawała mi się już mocno podchmielona.

- Tylne siedzenia garbusa - powiedziała. - To było na tylnym siedzeniu garbusa, i musiałam go w końcu upić, bo zamiast zabierać się do rzeczy, wygłaszał prelekcje. Miał przy sobie tę słynną czerwoną książeczkę z myślami przewodni-

czącego Mao i nieustannie z niej cytował. Bardzo się martwił, bo masy w ogóle nie odpowiadały wyobrażeniom przewodniczącego i nie chciały być spontanicznie rewolucyjne, tylko dawały się otępiać ideologii burżuazyjnej. On sam uważał się za całkowicie wyzwolonego, bo nigdy się nie mył i szczerze mówiąc, śmierdział jak stary cap, ale nie miałam wyjścia, jedyna w klasie wciąż jeszcze byłam dziewicą - tak przynajmniej twierdziły inne. Cały czas starałam się sobie wyobrazić, że jest to coś w rodzaju rwania zębów: przykre, boli, ale wkrótce zagoi się i na zawsze o tym zapomnę.

- No to chyba wszyscy jesteśmy zgodni co do tego, że nie ma czym się chwalić i wolelibyśmy oszczędzić im naszych doświadczeń, przynajmniej w tej dziedzinie - podsumowałam dyplomatycznie. - W ogóle nie wiem, czego mogliby się od nas nauczyć. Ale przynajmniej przez jakiś czas wierzyliśmy, że zmienimy świat, że trzeba i można go zmienić, i było w tym coś wielkiego. Szkoda, że nasze dzieci takich porywów nawet nie mogą sobie wyobrazić.

- Daj spokój, próby zmieniania świata zawsze kończyły się katastrofą, nawet te podejmowane w najlepszej wierze – stwierdził filozoficznie Martin. - No cóż, ty zawsze musiałaś płynąć pod prąd: stałaś z boku, jak wszyscy pragnęli światowej rewolucji, a teraz będziesz musiała ją sobie robić sama, bo inni już wiedzą, że świata zmienić się nie da.

- Co nie znaczy, że zrobił się lepszy.

W drzwiach ukazała się Rose, bosą i w orientalnej szacie wyszywanej cekinami. Rozpuściła włosy i zatknęła w nie kwiaty ośmiału, zerwane z rosnącej w doniczkę roślinki. Wsunęła do odtwarzacza płytę kompaktową, uniosła do góry ramiona i kołysząc się powoli w rytm muzyki, zanuciła:

Yes, how many times must a man look up

Before he can see the sky?

Yes, how many ears must one man have

Before he can hear people cry?

Yes, how many deaths will it take till he knows

That too many people have died?

The answer my friend is blowin in the wind

The answer is blowin in the wind^{*71}

- Bob Dylan, Jimi Hendrix, Janis Joplin - powiedział Martin, przymykając tęsknie oczy. - I Joan Baez. Cóż to byli za giganci! Bez nich nie byłoby całego ruchu. Jeszcze dziś przechodzi mnie dreszcz, jak słyszę ich muzykę. Flowerpower. Woodstock. LSD. No i Che Guevara, na wszystkich plakatach, w tym swoim słynnym berecie z czerwoną gwiazdą, Chrystus rewolucji. Do tej pory mam taki beret, wiecie? Poczekajcie, zaraz wam pokażę.

Zniknął i za chwilę pojawił się w rewolucyjnym nakryciu głowy i z gitarą w ręce. W drugiej trzymał skrzęta.

- Skonfiskowałem uczniom - powiedział konspiracyjnym tonem. - Holenderski, dobry gatunek.

- Ja dziękuję - zastrzegłam się.

Martin zapalił, zaciągnął się parę razy dymem i oddał papiersa Rosemarie, a sam zaczął śpiewać, akompaniując sobie całkiem zgrabnie na gitarze:

⁷¹ * „Blowin' In The Wind", Bob Dylan

*Z czerwoną gwiazdą i beretem,
W czarnej brodzie tkwi cygaro,
Jezus Chrystus z pistoletem*

Do boju wie dzie swoją wiarę.

*To nam zostało, dobre i czyste,
Miłość, nienawiść, w świat lepszy wiara,
Bez cienia strachu, zawsze przejrzysty—
nasz Commandante Che Guevara*⁷²*

W drzwiach wejściowych zazgrzytał klucz, z hallu dobiegły nas młodzieńcze głosy i po chwili do pokoju weszły dzieci. Ich inkwizytorskie spojrzenia spoczęły natychmiast na naszych napelnionych kieliszkach, pustych butelkach po koniaku i skrecie, którego Martin usiłował ukryć za plecami. Na widok bosych stóp Rosemarie, jej cekinów, paciorków i kwiatków, na ładnej twarzy Vereny, wysokiej blondynki o rasowym nosie i długich do ramion włosach z rudymi przebłyskami, odmalował się wyraz bezbrzeżnej pogardy.

- Spóźniliśmy się na jakieś przyjęcie? - zapytała. Nie mogłam pozbyć się złudzenia, że każde ze słów, które kształtowały jej zgrabnie wykrojone wargi, było bryłką lodu i rozpryskiwało się, padając na posadzkę. - Kostiumowe może?

- Wspominaliśmy z matką Jana dawne czasy - odparła mężnie Rosemarie.

- Musiały to być bardzo dawne czasy, skoro ubrana jesteś jak na zabawę w przedszkolu - zauważyła bezlitośnie Verena, podnosząc w górę jedną brew gestem, który czynił ją jeszcze bardziej podobną do Rose. - Pozwól sobie powiedzieć szczerze: wyglądasz idiotycznie z tymi kwiatkami we włosach. Dzisiaj piernik. A ojciec po tej zabawie wybiera się pewnie na front?

Wzniosłam moje myśli ku niebiosom w akcie strzelistym, dziękując im za to, że nie obdarzyły mnie córką. Nie dałabym rady. Słyszałam już, że potrafią być

gorsze od zarazy, a teraz miałam okazję na własne oczy przekonać się, że są przede wszystkim bardziej wyrafinowane i spostrzegawcze od chłopców. Nawet gdybym stała na środku głównego skrzyżowania w mieście w koszuli nocnej, Jan by tego po prostu nie zauważył.

Martin zaszurał nogami i chciał coś odpowiedzieć, ale jedno zimne jak lód spojrzenie Vereny wystarczyło, żeby szczeka mu opadła. Machnął więc tylko bezradnie ręką i zamilkł.

- A cóż my tu widzimy? - kontynuowała jego córka. - Alkohol? Joint? Jesteście zalani i na haju? Czy naprawdę nie można was na chwilę zostawić samych? Musisz mi wybaczyć – zwróciła się do Jana - wstyd mi za nich, gdybym wiedziała, w jakim są stanie, nie proponowałabym, żebyś do nas wstąpił.

- Nie przejmuj się, to przecież normalka - odparł wspaniałomyślnie tonem, który mówił, że nie takie sceny widuje u siebie w domu. - A ty co tu właściwie robisz?

Pytanie było niewątpliwie skierowane do mnie, ale rozejrzałam się dookoła, żeby zyskać na czasie.

- Masz mnie na myśli?

- No chyba.

- Zaprosiliśmy twoją matkę, żeby razem coś omówić - pospieszył mi z pomocą Martin. - Musicie zrozumieć, że chodzi nam wyłącznie o wasze dobro. Oczywiście zdajemy sobie sprawę z tego, że jesteście już dorośli i szanujemy wasze decyzje, również i w... eee... no tych sprawach.

- Właśnie - włączyła się Rosemarie. - W sprawach, które są niezwykle ważne dla rozwoju człowieka. Pozwólcie, że spróbuję to wam wytłumaczyć: chodzi o to, że natura jest z zasady dobra, nie ma w niej niczego zbędnego albo nadmiernego i nie należy uważać, że tkwi w niej coś fałszywego, przed czym trzeba się

bronić. Nasze postępowanie musi być jednak zawsze decyzją człowieka wolnego i nie może być oderwane od źródeł naszej duchowej energii.

- Bredzisz - orzekła krótko Verena. - Nie zrozumiałam ani słowa.

- No więc dobrze - powiedziała Rosemarie z desperacją. – Czy to jest z waszej strony poważne i czy używacie prezerwatyw?

Cisza, która po tych słowach zapadła, była tak absolutna, że szelest, z jakim kwiat ośmiału wysunął się z włosów Rose i upadł na posadzkę, wydał się nam hukiem i wszyscy na ten dźwięk podskoczyliśmy.

- Wariatka - wyszeptała Verena ze zgrozą w stronę Jana. - Nieszczęsna, zdeorientowana wariatka z obsesjami na tle seksualnym! To podobno u kobiet w jej wieku normalka. Jak ją przyłapałam na próbie wbicia się w mój kostium kąpielowy, to od razu pomyślałam, że jej klimakterium się zbliża.

- Państwo Bergmann martwią się po prostu, że wasza przyjaźń osiągnęła poniekąd formy, które są być może zbyt intensywne, że tak powiem - wyjaśniłam dyplomatycznie w stronę Jana. - Odnoszą wrażenie, że spędzacie zbyt wiele czasu razem, co mogłoby ewentualnie wpłynąć negatywnie na waszą psychikę, jak również, niewykluczone, a nawet i bardzo możliwe, na wasze wyniki szkolne. Chcemy przez to powiedzieć, że obawiamy się, czy nie jesteście na to, w pewnym sensie i biorąc pod uwagę okoliczności, niejako za młodzi.

- Niby na co? - zdumiał się Jan, oszołomiony moimi retorycznymi zmaganiem.

- Nie rozumiesz? Jak rodzice zaczynają się jękać, to z całą pewnością chodzi im o seks - wyjaśniła mu Verena. - Chcą wiedzieć, czy śpimy ze sobą i nie mają odwagi zapytać o to wprost.

- No właśnie - jęknęła Rosemarie, a z jej rozmazanego oka spłynęła czarna łza upokorzenia. - A śpicie?

- Chyba zgłupiałas do końca, jeżeli sądzisz, że cię będę na ten temat informowała. Słowo daję, udali mi się rodzice! Alkohol, trawka, heroiczne wspo-

mnienia z czasów partyzantki i kretyńskie przesłuchania. Włosy dęba stają, jak się na was patrzy.

Wymaszerowała z pokoju z wysoko uniesioną brodą i z hukiem zatrzęsła za sobą drzwi. Jej rodzice opadli bezradnie na kanapę jak dwie sflaczałe lalki, którym okrutne dziecko wypruło wszystkie wnętrzności.

- No to ja już sobie pójdę - powiedziałam z ożywieniem. - Bardzo miło było was znowu zobaczyć, koniecznie musimy się w najbliższych dniach wybrać razem na wino i pogadać o dawnych czasach. Albo posłuchać płyt Boba Dylana.

Przez całą drogę powrotną starannie unikałam w samochodzie wzroku Jana. Jeżeli nawet byłam przedtem na rauszu, to po poznaniu Vereny alkohol natychmiast ze mnie wyparował i taksówka okazała się całkowicie zbędna.

- Miła dziewczyna, ta Verena - zauważyłam mimochodem, parkując przed domem. - I bardzo atrakcyjna.

- Uważasz? Ale ma koszmarnych rodziców. Na jakim właściwie froncie walczył jej ojciec?

- Antyimperialistycznym. Wtedy wszyscy studenci walczyli na froncie antyimperialistycznym. Chcieli obalić istniejący system i zbudować lepszy świat.

- Interesujące. I co, udało im się z tym lepszym światem?

Przed oczami stanęły mi te jedyne dwie linijki tekstu, które znalazłam na ten temat w encyklopedii: ***Fala rozruchów studenckich wstrząsnęła Europą. Zamieszki zakończyły się samoistnie.***

- Niezupełnie. Z czasem zmienili zdanie na ten temat. Przestali publicznie palić pieniądze i zaczęli je robić, normalna kolej rzeczy. Tylko jeden się nie zmienił i już nigdy nie zmieni: Che Guevara. Zginął w walkach partyzanckich w Boliwii i na zawsze pozostanie młody.

- Tacy, którzy nie zmieniają zdania, wydają mi się sympatyczniejsi.

- Mnie też. Szczególnie kiedy widzę polityków, którzy wczoraj rzucali kamieniami w policjantów, a dziś od nich oczekują, że będą ich chronili przed takimi, co je rzucają.

- Jacy byli wtedy rodzice Vereny?

- Bardzo radykalni. Mieszkali w radykalnej komunie, mieli radykalne poglądy i radykalnie tępiłi wszystkich, którzy mieli inne zdanie. Martin marzył o rewolucji kulturalnej, jak w Chinach za Mao, a Rosemarie była gorącą orędowniczką praw kobiet. Często sobie wówczas myślałam, że nic nie czyni ludzi tak nietolerancyjnymi, jak walka o więcej tolerancji. W tamtych czasach trzeba było mieć znacznie więcej odwagi cywilnej, żeby przyznać się do konwencjonalnych poglądów niż do tych niekonwencjonalnych. Wiesz, ten protest był wymierzony nie tylko przeciwko istniejącym układom politycznym, ale także i przeciwko wszystkim uznanym autorytetom. W tym celu eksperymentowano ze wszystkim, na przykład z dziećmi, które próbowano wychowywać na żywioł, bez szacunku dla jakikolwiek autorytetów i bez zakazów. Takie dorastające bez zakazów małenstwo mogło człowiekowi napędzić porządnego stracha. Byli też tacy, którzy traktowali seks jak oręż w walce klasowej i byli za całkowitą swobodą w tej dziedzinie: „Temu samemu dwa razy dajesz, establishmentu częścią się stajesz” - takie wtedy były hasła.

- Jejku, ekstra! To musiało być bardzo wesołe pokolenie.

- Interesujące, w każdym razie.

- Ale po rodzicach Vereny wszystko to jakoś spłynęło bez śladu. Powiedziałbym, że są znacznie bardziej upierdliwi niż ty.

- Ślicznie dziękuję. Po prostu martwią się o Verenę.

- Niby dlaczego? Verena sama potrafi na siebie uważać.

- Kiedy ja też się martwię. Podobno znikacie na całe godziny, nie mówicie, co robicie, a jak jesteście razem, to zamykacie się w pokoju Vereny na klucz. Zdaniem pani Bergmann dochodzące z tego pokoju odgłosy nie pozostawiają

żadnych wątpliwości co do tego, czym się tam zajmujecie - i na to jesteście stanowczo za młodzi.

Jan parsknął śmiechem.

- Nareszcie zrozumiałem! Jak na rewolucyjnych przemiana czy świata, państwo Bergmann mają wyjątkowo ciasne horyzonty: my wcale nie jesteśmy za młodzi, ten film jest dozwolony od sześciu lat. Jesteśmy po prostu z Vereną w kółku teatralnym i gramy główne role w „Harry i Sally”. Napisaaliśmy na podstawie filmu adaptację teatralną i przygotowujemy ją na imprezę adwentową. W tajemnicy przed rodzicami, bo to miała być niespodzianka. Nasze role są najdłuższe i mamy z nimi najwięcej roboty, dlatego stale jesteśmy na próbach. A te odgłosy... Matka Vereny nie powinna leżeć z uchem przy drzwiach, to i nie musiałaby się niczym denerwować. Mam nadzieję, że tobie takie pomysły nie przychodzą do głowy? Tę scenę wszyscy przecież znają: Sally twierdzi, że każda kobieta potrafi symulować orgazm i udowadnia to Harremu pośrodku restauracji. Verenie zupełnie nieźle to wychodzi, ale też i byliśmy na tym filmie osiem razy.

Słowo „orgazm” spłynęło mu z ust tak niewinnie i naturalnie, jakby mówił o zawodach sportowych.

- Sama więc widzisz, że nie ma się czym martwić. A zresztą Verena w ogóle nie jest w moim typie. Jest koścista i płaska jak deska, wygląda jak chłopak, no i - tu uśmiechnął się szeroko - ma wyjątkowo wścibskich rodziców!

*

O siódmej rano pod koniec października panuje na świecie najczarniejsza noc. W tygodniu nie ma innego wyjścia, trzeba zacisnąć zęby i rzucić się z desperacją w tę ciemność, na której końcu majaczy w trupim świetle jarzeniówki wyźębione biuro, w niedzielę natomiast można naciągnąć kołdrę na głowę i

przespać tę nieprzyjazną ludziom porę. Właśnie dlatego dzwonek telefonu o siódmej rano w niedzielę sprawia fizyczny ból.

Czasami śni mi się trzęsienie ziemi, eksplozja wybuchu atomowego albo wybrzusające się w ciszy ściany, z których opada bezszelestnie tynk. Ach, więc to tak jest, kiedy wydarza się prawdziwa katastrofa, myślę wówczas, oczekując niechybnego końca z szeroko otwartymi oczami. Teraz najważniejsze jest, żeby zachować godność i nie histeryzować, ostatecznie i tak to nic nie pomoże. Kiedy jednak minuty mijają i miasto nadal jest uspione, nie słysząc wycia syren i nieba nie barwi czerwienią łuna pożarów, zaczynam rozumieć, że to tylko sen i odwracam się z ulgą na drugi bok.

Tego dnia jednak telefon nie przestawał dzwonić. Zerknęłam przez okno w ciemność, czy na horyzoncie nie wyrasta nad elektrownią w Biblis atomowy grzyb, chociaż w ogóle nie mogłam sobie przypomnieć, co należałoby w takim wypadku zrobić poza trzymaniem nad głową aktówki. Grzyba nie było, ale pobliskie zakłady chemiczne też dałyby radę uśmiercić pół miasta, sądząc po pełnych fantazji planach ewakuacyjnych, które firma co roku kolportowała wśród mieszkańców sąsiadujących z nimi dzielnic. Zwlokłam się z jękiem z łóżka, poczłapałam do pokoju i sięgnęłam po słuchawkę.

- *Buongiorno, buongiorno*, tu mówić don Battista – usłyszałam pełen godności głos. - Ty teraz do mnie dzwonić *subito*, ja tu czekać!

Odgłos rzuconej na widełki słuchawki nieomalże rozerwał mi bębenek, podskoczyłam więc z przerażenia. W każdym razie było jasne, że jakiegokolwiek ważnej sprawy miał don Battista ze mną do omówienia o siódmej rano w niedzielę, zamierzał omówić je na mój koszt. Posłusznie wystukałam numer.

- Aaach, dzień dobry, dzień dobry, *come stai?** ⁷³ - zaćwierkał wesoło głos don Battisty. - Pogoda być u nas *bellissima* ostatnio, słoneczko, lekka bryza, dwadzieścia stopni ciepła, morze gładkie jak stół...

- Don Battista, co się stało, na miłość boską?

- Stało? A niby dlaczego? - zdziwił się.

- Jest niedziela, świt blady, spałam jeszcze, wróciłam wczoraj bardzo późno z teatru...

- No i co z tego, że niedziela? Nawet w niedziela nie wolno życie przesypiać - pouczył mnie surowo głos don Battisty. - Ja tu już od godziny pracować, pokoje wietrzyć, po murarzach sprzątać, a teraz chcesz ci *buongiorno* powiedzieć.

- To ogromnie miło z pana strony, ale...

- *Non fa niente, non fa niente**⁷⁴, z przyjemnością do ciebie dzwonić, ty nie musisz mi dziękować. Ja wiedzieć, co damy lubić, za czym kobiecie serce tęsknić: serce kobiety *molto romantico* i moje serce też *molto romantico*.

- To dla mnie wielki zaszczyt, don Battista, słowo honoru, ale żeby tak w niedzielę i o siódmej rano?

- Nigdy nie być za wcześnie na słowa płynące z serca - powiedział don Battista uroczyście i odłożył słuchawkę.

Drapiąc się po gołych łydkach, stałam przed telefonem i rozmyślałam, poziewując, nad sensem tej wypowiedzi. W końcu zdecydowałam się uznać ją za głęboko wzruszającą: na dalekiej Ischii, w pustym hotelu, przepasany ścierką don Battista przemykał się jak chochlik z pokoju do pokoju, otwierał wychodzące na zatokę okna, rozkładał szeroko ramiona i wyrzucał z siebie bolesną skargę: „Nes-sun dorma”, a myśli jego szybowały w kierunku dalekiej Germanii. Świadczyło to o wiernej przyjaźni, subtelności uczuć i rokowało pewne nadzieje na to, że

⁷³ * jak leci?

⁷⁴ * Nie szkodzi, nie szkodzi

któregoś dnia jednak wydrapie dla mnie nową dziurę w swojej skale. Mogłabym w niej zamieszkać na stare lata, do woli patrzeć na Castello i na światło, które co wieczór zapalało się na północnym skraju urwiska, wskazując drogę zagubionym statkom i bezdomnym duszom. W obliczu takiej perspektywy nietrudno było się pogodzić z drobną niewygodą telefonów o siódmej rano.

Parę dni później don Battista zaskoczył mnie napisanym energicznymi kulfo-nami listem, rozpoczynającym się od *Divina Principessa**⁷⁵. Jeżący się od licz-nych *cuore, amore, dolore* tekst był najprawdopodobniej zbiorem cytatów z roz-dzierających serce pieśni należących do jego repertuaru, w każdym razie było oczywiste, że ociekał krwią i łzami, chociaż moja znajomość włoskiego nie wy-starczyła, żebym zrozumiała, dlaczego. Zapewne w celu zwiększenia dramatycz-nego napięcia list był przebity jesienną różą z hotelowego ogrodu. Jego autor za-dzwonił ponownie w niedzielę, ale łaskawie dopiero o ósmej, co było dowodem daleko idącej uprzejmości.

- No jak tam? - zaskrzeczał. - Ty już dostać moja list? To zaraz do mnie dzwonić, *immediato!*

Nie ważyłam się sprzeciwić.

- Piękna list, prawda? - powiedział don Battista zadowolony. - Bardzo oryginalna i taka elegancka, *ottima*. *⁷⁶ Ty taka list jeszcze nigdy nie dostać, co?

Przyznałam mu rację.

- Ty teraz piękna skrzyneczka kupić z czerwony atlas w środ-ku i tam moja lista włożyć. Mieć na starość co czytać.

Czekając na starość, zbierałam korespondencję od don Battisty w pudełku po butach, razem z zasuszonymi kwiatami bugenwilli, różami, gałązkami oleandra i

⁷⁵ * Boska księżniczko

⁷⁶ * doskonała

skrzydełkami motyli, które regularnie załączał. Rewanżowałam się pełnymi szacunku pocztówkami w rodzaju: *Serdeczne pozdrowienia ze słonecznego Schwarzwaldu; Wszystkiego najlepszego życzy z Hamburga...* albo *Przekazuję ukłony z romantycznego Heidelbergu*, ale don Battista był ze mnie niezadowolony.

- *Mamma mia*, wy w tej Germanii kamień w piersi mieć zamiast serca! Ja ci przysyłać takie wrażliwe, delikatne listy, a ty odpisywać: *Wyraży szczerej sympatii przekazuję z urokliwego Michelstadfi* Nic innego nie wpadać ci do głowy? Postaraj się o odrobinę chociażby fantazji, *più finezza, eleganza, più sensibilità!**⁷⁷

Tłumaczyłam się potulnie brakiem wystarczającej znajomości języka, nawet pracy zawodowej i nadwyrężonym zdrowiem, ale don Battista nie okazywał ani cienia wyrozumiałości.

- Z tobą mówić o uczuciach, to jak z krową o Verdim dyskutować. *Dio mio**⁷⁸, strasznie tępy naród, ci Niemcy! Ja tobie pisać: Ty być jak lampa oliwna i mrok w moim sercu rozświecić, a ty mnie pytać, czy my mieć na Ischia awaria prądu. Ty myśleć i czuć jak blok zimnego marmuru, aleja być twoim Michelangelo i z tego marmuru żywego człowieka wyciosać.

Od czasu do czasu jednakże don Battista stawał się zadziwiająco trzeźwy i zlecał mi do wykonania jakiegoś konkretnego zadania, związane z modernizacją hotelu. Na ogół kazał mi zbierać materiały dotyczące jakichś technicznych urządzeń, na przykład kotłów do centralnego ogrzewania firmy Buderus, pralki przemysłowej Miele albo generatorów Boscha. Starłam się jak najlepiej wywiązać z powierzonej mi misji, prowadziłam z producentami niekończące się dyskusje o śrubkach, wentylach i zaworach, pertraktowałam na temat gwarancji i kosztów, wyklócałam się o korzystne terminy dostawy. Znając jego przysłowiowe wręcz

⁷⁷ * więcej subtelności, elegancji, wrażliwości

⁷⁸ * Boże mój

skapstwo, nie bardzo wierzyłam, że istotnie zdecyduje się zastąpić balie, nad którą sterczała Cesarina, jakimś cudem techniki, ale posłusznie zbierałam katalogi i zanosilaam je na pocztę. Czułam się zaszczycona, że wolno mi współuczestniczyć w projekcie, który stanowił aktualnie sens życia don Battisty.

Don Battista nie dziękował mi nigdy, widocznie nie leżało to w zwyczaju mężczyzn Mezzogiorno. Od czasu do czasu jednakże rewanżował się zapakowaną w stare gazety i przewiazaną sznurowadłem butelką Biancolelli, warkoczykiem czosnku albo dorodną cytryną. Biancolellę wypijałam, czosnek wieszałam w kuchni nad oknem, a cytryny chowałam do zamrażalnika, żeby zachowały swój soczysty kolor. Gazety czytałam z zainteresowaniem: donosiły o otwarciu nowej kawiarni na Via Seminario, ślubach i pogrzebach w Ischia Porto oraz terminach spotkań Towarzystwa Przyjaciół Festynu Świętego Alessandro.

- Dostałaś mój prezent? - pytał zadowolony z siebie don Battista. - *Molto romantico*, co? Takich pomysłów to wy, Niemcy, nie mieć.

Zgadzałam się z nim całkowicie: jeszcze żaden Niemiec nie podarował mi główki czosnku.

- Chyba będę musiał odwiedzić cię i sprawdzić, czy ty należycie przechowujesz moje listy i dary w tej wybijanej atlas skrzyneczka, jak ci kazać - zastanawiał się na głos don Battista. - Ja być mężczyzną bardzo uczuciowym i życzyć sobie, żeby ty moje uczucia doceniać. Atlas być czerwony?

- Czerwony, czerwony - uspokajałam go i dla uspokojenia sumienia przykrywałam listy kawałkiem szkarłatnego materiału, w który bardzo dawno temu zawijał się Jan, kiedy w przedszkolu odgrywał rolę hrabiego Draculi. Sztuczna szczeka z długimi kłami wciąż jeszcze była do niego przymocowana tasiemką. - Ja doceniam, don Battista, słowo honoru, i czułabym się bardzo zaszczycona, gdyby zechciał pan złożyć mi wizytę. Właśnie zastanawiałam się, czy miałby pan, maestro, ochotę zobaczyć w Wiesbaden „Nabucco” albo „Trubadura”, tak dla porównania, jak to tutaj śpiewają. Czy mam zarezerwować bilety?

Z zaniepokojeniem uświadomiłam sobie, że nigdy do tej pory nie widziałam don Battisty w garniturze, nie miałam nawet pojęcia, czy w ogóle ma coś takiego i czy ma poza klapkami jakiegokolwiek inne obuwie. Chyba jednak nie poszedłby do teatru w klapkach i przepasany fartuchem w kwiatki? Opera w Wiesbaden była szacowną świątynią muz z kryształami, lustrami oraz złoceniami i wolałabym nie kroczyć po jej marmurowych schodach pośród tych wszystkich atlasów, brokatów, pluszów, piór i aksamitów u boku przepasanego fartuchem w kwiatki don Battisty. I co zrobię, jeżeli tenor mu się nie spodoba, wstanie z fotela, rozłoży ramiona i zaśpiewa?

Miałam jeszcze dobrze w pamięci tego miłego, młodego chłopaka, który zapragnął olśnić ukochaną i nieopatrznie odważył się w obecności don Battisty zaintonować przy kolacji „Di quella pira”^{*79}, podczas gdy wszyscy wiedzieli, że w willi don Battisty śpiewa tylko i wyłącznie on sam.

Zanim się obejrzał, dłoń dziewczęcia spoczywała już w szponach don Battisty, a jego własny głos stał się ledwie słyszalny, stłumiony potęgą organu maestra. „O nie, ty gnojku, nie będziesz mi obsikiwał mojego rewiru - mówiło lodowate spojrzenie zmrużonych oczu don Battisty. - Zachowaj sobie te trele na brudne podwórka Forcelli^{*80} gdzie jest twoje miejsce, a tu, w moim hotelu, z łaski swojej zamknij się, jasne?”.

I tak głos biedaka słabł i słabł z każdą chwilą, aż w końcu chłopak poczerwieniał, zwiesił głowę i zamilkł. Arię dokończył za niego brawurowo don Battista. Następnego dnia młoda para wyjechała zaraz po śniadaniu, co nikogo z nas nie zdziwiło.

- Ale proszę pamiętać, że to jest bardzo zimny kraj, przedwczoraj spadł już nawet śnieg - powiedziałam z troską. – Proszę się więc ciepło ubrać i nie zapomnieć o zabraniu jakiegoś nakrycia głowy.

⁷⁹ * Aria z „Trubadura” Verdiego.

⁸⁰ * Dzielnica w starej części Neapolu.

Łysa i naga czaszka don Battisty, otoczona wianuszkiem długich siwych loków, świecąca filuternie o zmroku wśród posągów w ogrodzie, była jego znakiem firmowym, ale w zimnym i wilgotnym klimacie środkowych Niemiec przyniosłaby mu pewną śmierć. Wymagała więc szczególnej troski, czym jednakże można by było przykryć czerep tak artystyczny? Nie mogłam go sobie wyobrazić w kapeluszu, czapce albo nausznikach. Jeszcze najbardziej pasowałby mu duży pąsowy biret ze strusim piórem. Z drugiej strony nie wyobrażałam sobie, jaką minę zrobiłby pan Schroter na widok don Battisty w jego nieśmiertelnych klapkach, wielkim fartuchu w kwiatki i birecie na głowie. W ogóle nie bardzo mogłam go sobie tutaj wyobrazić. Na Ischii, na szczycie swojej skały, z Castello Aragonese przed oczami i Zatoką Neapolitańską u stóp był tytanem - u nas byłby uważany w najlepszym wypadku za bardzo ekscentrycznego cudzoziemca. Jak tylko by otworzył usta, żeby wypuścić pierwszą arię ze swojego złotego gardła, pan Schroter wezwałby policję.

Nie, stanowczo byłoby lepiej, gdyby don Battista nie opuszczał swojej góry.

- Ja jeszcze nie wiem, czy obowiązki mi pozwolą opuścić Ischię - tłumaczył mi właśnie z godnością. - Choć musieć przyznać, że chciałbym bardzo zobaczyć Wiesbaden i Verdi opera, jak ją robić niemiecka artysta, co być zresztą absurdalne, bo co taki Niemiec z *bel canto* rozumieć? Dla Verdi opera trzeba mieć i serce, i duszę, i głębię, i ja bardzo wątpię, czy to wszystko niemiecka artysta mieć, ale aż ciekawość popatrzeć. Ja się jeszcze zastanowić i tobie znać dawać. A poza tym, co nowego?

Nowego, nowego? Szukałam gwałtownie w pamięci nowin, które mogłyby zainteresować don Battistę i nie spotkałyby się z potępieniem z jego strony. Było to ogromnie trudne, bo szereg tematów z góry nie wchodził w grę: wszystko, co było związane z moją pracą, bo działalność zawodową uważał za zajęcie bardzo niekobiece i zamach na prymat męczyzny, odpadał także ogół zagadnień doty-

czących moich znajomych, bo szanująca się kobieta nie powinna mieć żadnych znajomych, choć wolno jej było należeć do grona wielbicielek jego samego.

- No więc, don Battista, mamy teraz nowy rząd - polityka wydała mi się pomysłem neutralnym, a więc zbawiennym i byłam z siebie bardzo dumna. - Socjaldemokraci i Zieloni. Nowy kanclerz nazywa się Schröder.

- Ajajaj, czerwoni i chaoci - zmartwił się don Battista. – To źle, to nawet bardzo niedobrze dla gospodarki.

- Gospodarce chyba nie może być gorzej, już była na samym dnie - zaproponowałam. - Szesnaście lat Kohla naprawdę wystarczy, ten kraj potrzebuje nowych ludzi i reform.

- Czerwoni nie potrafić robić żadna reforma, już ty sobie głowy nad polityką nie łamać, kobiety na tym się nie znać.

- Dobrze, don Battista - zgodziłam się potulnie. - A co nowego w takim razie na Ischii?

- Och, niedobrze, bardzo niedobrze! Wielkie nieszczęście, drzewa Pinety chorować i umierać, wszyscy być bardzo zmartwieni.

Pineta była pięknym gajem piniowym, posadzonym z rozkazu króla Ferdynanda II Burbona na języku ostygłej lawy, wijącym się od Epomeo aż do morza, w setkach wywierconych w jej powierzchni dziur. Był to ten sam władca, który polecił też przebić przesmyk łączący zalany wodą krater wygasłego wulkanu z morzem, dzięki czemu powstał idealnie okrągły i zaciszny port. Patrząc na te imponujące przedsięwzięcia, wykonane przed stu pięćdziesięciu laty za pomocą kilofów i łopat, myślałam sobie za każdym razem, że byłyby one dzisiaj, w czasach lotów kosmicznych, absolutnie nie do pomyślenia. Drzewa, sadzone obecnie w naszych miastach, rzadko kiedy wytrzymywały piętnaście lat, cóż dopiero mówić o stu pięćdziesięciu.

- *Padre* Onofrio dołączyć modlitwę o wyzdrowienie Pinety do mszy. My zapalać też świeczka przed świętym Giovanem Giuseppe della Croce, ale jeszcze

nic nie pomagać. W Forio policja aresztować jednego osobnika z narkotykami, no, to już koniec świata, jak u nas na Ischia narkotyki! Poza tym Agnesina cierpieć na żylaki, ale wczoraj palce lizać *saltimbocca* upiec, i my wypić do tego falerno del massico z okolic Caserty, mówię ci, pyszności!

Nam, oczywiście, takich pyszności nigdy nie serwował.

Zazdrościłam don Battiscie tego spokojnego życia, w którym czas odmierzany był posiłkami i kazaniami *padre* Onófrío, a katastrofy ograniczały się do szkodników obgryzających gałęzie pinii. „Wy, Niemcy, w ogóle żyć nie potraficie - powiadał z wyższością. - Tylko praca i praca, jakby nic innego na świecie nie być. Ile razy ja dzwonić, twoje mieszkanie puste i zimne jak katafalk. Ty musisz znowu przyjechać na Ischia, to ja ci pokazać, jak się z każdego dnia cieszyć”.

Ze względów tylko jemu samemu zrozumiałych don Battista podkreślał, że uważa mnie za Niemkę, ile razy wygłaszał pod moim adresem uwagi krytyczne. W rzadkich wypadkach, kiedy był ze mnie zadowolony, dostrzegał u mnie „polską fantazję i romantyzm”, sugerując, że nie wszystko jest stracone i mogą jeszcze ze mnie być ludzie.

Im krótsze i smutniejsze stawały się dni, tym bardziej tęskniłam za Ischią, tym bardziej brakowało mi widoku na Castello. Gawędy z don Battistą przybliżały mi wyspę, nieomalże czułam smak słonej bryzy na języku i zapach dziko rosnącego rozmarynu. Niecierpliwie czekałam, kiedy znowu stanę na osiemdziesiątym szóstym stopniu prowadzących do willi schodków i ogarnę wzrokiem całą zatokę, od Sorrento aż po Capri. Pragnęłam zobaczyć jej mieszkańców, zamknąć ich w ramionach i dowiedzieć się, jak spędzili długie zimowe miesiące. Tęskniłam za nimi, ale z czasem do tej tęsknoty zaczął wkradać się cień niepokoju. Najchętniej poradziłabym się Anny Franchetti-Querini, w końcu była Włoszką i znała swoich rodaków, chociaż czasami odnosiłam wrażenie, że Annie, jako prawdziwej florentynce, Paryż wydawał się bliższy niż Neapol. Wiedziałam jednak,

że jej piękna twarz stężałaby w wyrazie niesmaku, a odpowiedź byłaby druzgocąca:

„Naprawdę chcesz ode mnie wiedzieć, jaki charakter powinnaś nadać twoim stosunkom z... kim właściwie? Z kucharką, pokojówką i hotelarzem? Musisz mi wybaczyć, moja droga, ale nie mogę ci pomóc, gdyż - wyobraź to sobie - z takimi ludźmi żadnych bliższych stosunków nie utrzymuję. Moim zdaniem we Włoszech, jak na całym świecie, kucharki powinny zajmować się kuchnią, pokojówki pokojami, a hotelarze hotelem - i to już wszystko, co mogę ci na ten temat powiedzieć”.

Istotnie, sama myśl, że jakikolwiek właściciel hotelu ośmieliłby się obudzić swoim telefonem Annę Franchetti-Querini o siódmej rano w niedzielę, była absurdalna. Byłby to z całą pewnością ostatni telefon w jego życiu, bo Anna posiadała arystokratyczną umiejętność zamieniania swoich rozmówców samym tonem głosu w sople lodu. Emanował z niej niewzruszony autorytet, który dać może jedynie świadomość poprzedzających człowieka pięciu wieków tradycji i niekończący się orszak przodków.

W takim towarzystwie mogła się czuć absolutnie bezpieczna i zapewne właśnie dlatego nie przytrafiały jej się nigdy sytuacje niezręczne bądź wręcz kompromitujące, które nieustannie komplikowały moje życie.

*

Tola liczył ze zmarszczonymi brwiami metalowe skrzynie z ekwipunkiem, walizki, komputery, plecaki, kanistry z benzyną, statywy, nawinięte na bębny kable, namioty i generatory. Samolot, niezgrabny Antonów 74, stał z otwartą pod ogonem klapą, czekając na załadunek. We wnętrzu jego potężnego brzucha widać było parę rzędów siedzeń i przestronną ładownię.

- No, Tola, zadowolony, że wracamy do domu?

Tola odwrócił się z uśmiechem. Lubił Aleksieja Timofiejewicza, pilota, za jego prostolinijność i niewzruszony spokój, z jakim radził sobie z tą latającą kupą złomu. Kiedy po raz pierwszy zobaczył, jak Aleksiej Timofiejewicz, walcząc z opornym podwoziem, wyciąga z ładowni młot, rozgląda się na boki, czy nie ma w pobliżu zachodnich dziennikarzy, i z całej siły wali w koła, zamarło mu serce w piersi, ale pilot wyszczerzył do niego zęby, położył palec na ustach i powiedział:

- Psst, Tola. Tu, w tym kimacie, ta cała wasza supertechnika zawiodłaby po dwóch dniach. Sprawdzają się tylko nasze pocziwe radzieckie krowy, czy to samoloty, czy też samochody, ale jak widzisz, wymagają z naszej strony specjalnego traktowania.

Aleksiej Timofiejewicz latał w Afryce i w Afganistanie, nie chciał jednak mówić na ten temat, chociaż niemieccy dziennikarze umierali z ciekawości. Jasne było, że niejedno przeżył i niewiele mogło go wyprowadzić z równowagi. Teraz miał pięćdziesiąt sześć lat i oficjalnie był na rencie, ale na rencie była połowa ludności tego kraju i naturalnie nikt nie był w stanie z niej wyżyć.

- Jaki tam dom, Aleksieju Timofiejewiczu? Nawet do Moskwy jeszcze tysiące kilometrów, a do domu jeszcze dalej i Bóg jeden wie, czy to w ogóle jest mój dom.

- No, po powrocie może i ty będziesz wiedział.

Najwięcej czasu zabrało Toli zebranie odpowiedniej załogi. Na Północy najważniejsi byli ludzie, to od nich zależało przeżycie. Zachodni dziennikarze byli jak dzieci, wierzyli ślepo w swoje najnowsze zabawki, telefony satelitarne i komputery, nie zdając sobie sprawy, jak wrażliwy jest taki sprzęt tam, gdzie nie ma dróg, prądu i supermarketów. Wybierali się na tereny, które jeszcze niedawno były terenami zamkniętymi, objętymi tajemnicą wojskową i dostępnymi nawet dla Rosjan tylko za przepustką. Wszyscy zachodni korespondenci otrzymali oficjalne zezwolenie Ministerstwa Obrony Narodowej, a Tola sporządził jeszcze

urzędowo wyglądającą pieczętą z napisem *Międzynarodowe Towarzystwo Naukowo-Badawcze Polarsib*, tak na wszelki wypadek, bo z doświadczenia wiedział, że pieczętka w Rosji wciąż jeszcze może zdziałać cuda i otworzyć niejedne drzwi.

Już w Moskwie okazało się, że nikt nie miał pojęcia, jak po drodze organizować statki, samochody czy samoloty, skąd brać paliwo i jak zdobywać pieniądze. Stolica kraju była tylko mętnie poinformowana, jak żyją jego obywatele na kolosalnych, rozciągających się przez jedenaście stref czasowych obszarach i najwyraźniej nikomu nie spędzało to snu z oczu. Jakoś tam pewnie sobie radzili, nie mieli przecież innego wyjścia.

Tola spędził długie godziny na układaniu list z nazwiskami ludzi, na których pomoc można było na każdym etapie podróży liczyć. Pomagali mu przy tym zaprzyjaźnieni dziennikarze, starannie rozważając przy każdym nazwisku, jakimi kwalifikacjami wyróżnia się jego właściciel. Pozostali w końcu na niej tylko ci, których ktoś znał osobiście i którzy sprawdzili się w trudnych sytuacjach.

- Szczęśliwej drogi, Toleczka - mówili współtwórcy listy, żegnając się z nim na lotnisku. - A pozdrów ich od nas, dowiedz się, jak żyją i wszystko nam opowiedz, to już tyle lat i tak mało o naszym własnym kraju wiemy.

Właśnie dlatego takie ważne było zrobić ten film.

Pierwszym etapem podróży była Ławrentia, najbardziej na wschód wysunięty port, oddalony od granicy amerykańskiej zaledwie o sto kilometrów i mający jedyne lotnisko po rosyjskiej stronie Cieśniny Beringa. W czasie drugiej wojny światowej lądowały tu amerykańskie samoloty zaopatrzeniowe, po wojnie Ławrentia stała się jedną z najważniejszych baz wojskowych. Za czasów Związku Radzieckiego miała być wzorcowym osiedlem socjalistycznym dla koczowniczych plemion Czukotki; stosując mniej czy bardziej łagodną przemoc, zasiedlono bloki hodowcami renów, myśliwymi i łowcami wielorybów, wybudowano dla nich stację weterynaryjną, szpital i szkołę z internatem. Ludzie przybywali tu

skuszeni perspektywą trzykrotnie wyższych zarobków i zaopatrzeniem lepszym niż w Moskwie. Dziś siedzieli w pułapce.

Garnizony okazały się niepotrzebne, kopalnie wolframu i złota nieopłacalne, podtrzymywanie miasta przy życiu - nierentowne. Do portu przestały zawijać statki z owocami, warzywami i mięsem, zabrakło materiałów budowlanych, farb i odzieży. Przez pięć lat nie było w żadnym sklepie masła. Latami nie wypłacano zarobków, wydawano tylko kartki na żywność, jak w czasie wojny. Cena butelki coli osiągnęła niebotyczne dziesięć marek, wszystko stało się trzykrotnie droższe niż w Moskwie.

Dwie trzecie ludności opuściło już miasto, większość budynków miała okna zabite deskami, także i Gostinica Sewier, jedyny hotel w Ławrentii, ale któż by miał tu przyjeżdżać i po co? Niektóre domy zdążyły się już rozsypać. Ostatni agregat do dychawicznej elektrociepłowni przysłano osiem lat temu, chociaż w tym klimacie była to kwestia życia i śmierci, bo gdyby zabrakło prądu, przestałyby działać pompy i rury zamarłyby w ciągu paru minut - i co wtedy?

Czucze pozostali, bo nie mieli gdzie pójść, ale system, który uzależnił ich od nieznanej im uprzednio infrastruktury, przestał istnieć i przestała istnieć również sama infrastruktura. Teraz lud, którym rządził gubernator Roman Abramowicz, jeden z najbogatszych ludzi w Rosji, starał się znów powrócić do poziomu swoich przodków, uczył się robić łodzie ze skóry wieloryba, szyć ością odzież i polować harpunem na wieloryby.

- Co to ma znaczyć: ochrona gatunku? - powiedział z goryczą do Toli jeden z młodych myśliwych, ale tu wszyscy byli młodzi, bo średnia wieku Czuczów nie przekraczała czterdziestu lat. - Powiedz tym swoim zagranicznym mądralom, że tutaj to my jesteśmy zagrożonym gatunkiem i do naszego przeżycia potrzebujemy wielorybów. Ostatniej zimy zjedliśmy psy zaprzęgowe. Z czego mamy, waszym zdaniem, żyć? Niby co mamy jeść?

Osiedle otaczały góry odpadków, puste beczki po benzynie, wybielone słoncem kości wielorybów, plastikowe butelki, odcięte głowy fok, cały ten arktyczny śmietnik, który Tola zobaczył w Ławrentii po raz pierwszy i który miał im towarzyszyć na każdym etapie podróży. Nikt go nie usuwał, bo za jakie pieniądze?

Ludzie, niszczeni przez alkohol i choroby, mieli większe problemy od śmieci, ale nikt się nimi nie interesował. Być może państwo rzeczywiście nie było w stanie im pomóc, ale niewykluczone też było, że w tych nowych czasach stali się tylko ciężarem, archaicznym przeżytkiem i zupełnie nie opłacało się w nich inwestować.

„Nie opłaca się” - to magiczne zdanie słyszał Tola wszędzie po drodze i rzeczywiście, pośród tej bezkresnej lodowej pustyni człowiek był mały, nieistotny i zupełnie się nie opłacał. Setki, tysiące kilometrów bezlitosnej bieli, a w ogromie milczącego krajobrazu tu i ówdzie ludzka drobinka, z kobyłką i sankami, chałupką przycupniętą pod śniegiem, pokorna w swojej nieważności - w skali Syberii nie było jej widać, w skali świętej Rosji nie było jej widać, i z Moskwy też nikt jej nie dostrzegał. A to właśnie tam, w Moskwie, decydował ktoś, że się „nie opłaca” i tym jednym zdaniem podpisywał wyrok na tych nieopłacalnych i niepotrzebnych. Od tej chwili przestawały przybywać statki, nie dolatywał helikopter z lekarzem, nie przywożono opału i żywności. Wczorajsi pionierzy tajgi, argonauci Północy, bohaterowie pracy socjalistycznej dziś nie opłacali się, więc spisano ich na straty. Była dobra praca, darmowy urlop na Krymie, Dom Kultury, przychodnia, szkoły, kino i sklepy, ale przyszła pierestrojka i wszystko się skończyło.

- Czy pan zdaje sobie sprawę z tego, ile to kosztuje, jeżeli kopalnia utrzymuje nie tylko swoich górników, ale i całe miasto? - zapytał poważnie Tolę w Worucie poznany w samolocie młody przedsiębiorca. - Za czasów Związku Radzieckiego nikt się nad tym nie zastanawiał, ale my musimy kalkulować, jeżeli chcemy pozostać konkurencyjni.

- No i co robicie, kalkulując? - chciał wiedzieć Tola.

- Otwieramy kopalnię tylko na cztery miesiące w roku, od maja do września. Zatrudniamy pracowników samotnych, którzy nie mają rodzin, których nie interesują przedszkola czy szkoły. Mieszkają w opuszczonych domach, nie potrzebują ani ogrzewania, ani prądu, robią swoje i znikają jesienią.

- A co z tymi... tam? - Tola pokazał brodą na parę postaci, brodzących w śniegu wśród opustoszałych bloków z wybitymi szybami, pomiędzy pustymi beczkami i wrakami samochodów.

- Bo ja wiem? Jakoś muszą sobie poradzić, ale to już nie moja sprawa. Zawsze mogą wyjechać.

Wszędzie było to samo, od Kamczatki po Morze Łaptiewa brakowało kontenerów, w które wczorajsi pionierzy tajgi i dzisiejsi roz-bitkowie pierestrojki mogliby zapakować dorobek swojego życia. Na Północy stali się zbędni, podobnie jak lotniska dla bombowców, bunkry dla rakiet dalekiego zasięgu, bazy łodzi podwodnych i Północna Droga Morska. Dlaczego wszystko to, co zostało jeszcze niedawno z tak wielkim wysiłkiem wybudowane, straciło swoje znaczenie i przestało być potrzebne, Tola wciąż jeszcze nie mógł pojąć. W Tiksi pozostał - przy wjeździe do miasta - transparent: **Tiksi - brama do Republiki Sacha**, trzy gatunki konserwy rybnej w sklepach i wódka. Jeszcze niedawno zawijało tu o cieplejszej porze roku sto frachtowców, a zimą konwoje statków, prowadzone przez łamacze lodu. Magadan, zawdzięczający swoją ponurą sławę setkom tysięcy więźniów, którzy gołymi rękami wygrzebywali z ziemi złoto, stracił połowę mieszkańców, we Władywostoku rdzewiała w porcie Flota Pacyfiku, zbędna okazała się kolejowa magistrala Bajkał - Amur. Młodzi komsomolcy, którzy ją budowali, mieszkając w tajdze w namiotach, otrzymali Ordery Lenina i Złote Gwiazdy Bohaterów Pracy Socjalistycznej oraz nic dziś niewarte mieszkania w blokach, których nikt od nich nie odkupi.

No i cóż oni na to, bohaterowie Północy? Biją pięścią w stół? Krzyczą? Grożą? Wychodzą na ulicę? A cóż starzy, którym młodość zabrała wojna, a pier-

strojka złamała kark? Przedtem byli chociaż szanowani jako inwalidzi i weterani, dziś są tylko niepotrzebni. Co robi naród lekceważony i niekochany?

A nic.

Mówi: *U nas-że Rossija!* Tu jest Rosja! *U nas po drugomu!* U nas inaczej! Najważniejsze, że żyjemy. Jakoś to będzie. *Jest normalno.*

Jest normalno - wyrażenie, które wszystko może oznaczać. Jest okropnie, jest strasznie, ale w końcu - *normalno* i nie ma co narzekać. Trzeba żyć dalej, chować krówkę i kurki, sadzić *kartoszku*, bo bez *kartoszki* ani rusz, zimy nie przetrwasz, rybkę złowić, wódeczkę wypić. Czasem zapłakać.

Myślisz, Tola, że tu jest twoja ojczyzna?

- My wszystko przełkniemy z pokorą - powiedziała z goryczą do Toli Olga Andriejewna, nauczycielka z Chabarowska, zniszczona kobieta, wyglądająca na znacznie więcej niż swoje czterdzieści pięć lat, z upiętymi do tyłu włosami, w których całe pasma były siwe, i pięknymi oczami bez blasku. - Od stuleci cerkiew nakazuje posłuszeństwo: na kolana i błagaj o wybaczenie, jakby to całe twoje pieskie życie było grzechem. Popatrz tylko dookoła: ci wszyscy ludzie idą codziennie posłuszenie do pracy, chociaż od miesięcy, czasami od lat, nikt im nie wypłaca pensji. Najczęściej dostają coś w naturze, coś, co ich zakład akurat produkuje, albo jakieś zaliczki, towary, bony. Dadzą ci części do silników i martw się, co z nimi dalej zrobić! My, Rosjanie, jesteśmy cierpliwym narodem i to jest nasze nieszczęście. Gdzie indziej ludzie dawno poszliby na barykady, a u nas nie, siedzą cicho i nie protestują, wiedzą, że są tacy, co rządzą, i tacy, co są rządzeni, i że z władzą żartów nie ma. Jak przyszedł Gorbaczow i miało być teraz nowe myślenie, to wielka była nasza radość i wielkie nadzieje, ale już widać, że myślenie pozostało to samo, tylko gadanie jest nowe. Wolno ci mówić, co chcesz, ale nie masz co do garnka włożyć, więc co ci z tego mówienia? Moja matka oszczędzała, żeby „na starość było”, sześć tysięcy rubli odłożyła, za to można było wtedy samochód kupić. A potem przyszła inflacja i za te oszczędności stać ją było

raptem na dwie butelki wódki. Całe pokolenie straciło w ten sposób dorobek swojego życia; powiedz, Tola, jak można tak strasznie ludzi oszukać? Przecież oni na wojnie walczyli, po wojnie kraj odbudowywali, a teraz śmietniki przeszukują, zebrać muszą, na każdy pociąg z kubkiem orzeszków, słóiczkiem kiszonych ogórków, miseczką *warienikow*^{*81} wychodzą: „Kupuj synku, pomóż biednej kobiecie, sama kisiłam i gotowałam, sama orzeszki w lesie zbierałam”. Co byśmy zrobili, gdyby nie było tych grzybów i jagód? Z głodu przyszłoby nam zdechnąć!

Córka Olgi Andriejewny, Masza, wiedziała, że matka nauczycielka, czekająca miesiącami na nędzną pensję, to stary system. Również siostra Daria, po studiach geologicznych - jedno dziecko, wspólne mieszkanie z teściową, warzywa z ogródka - należała do starego systemu. Masza natomiast dysponowała podłączonym do internetu komputerem i nie miała wątpliwości, że może też być inaczej. Chciała mieć wszystko, co pokazywały reklamy - Donnę Karan, Trussardi, Diora, kryształ, perfumy, szampany - i to jak najszybciej. Najważniejsze były przy tym znajomości i dlatego można ją było często spotkać w hotelu Siewiernaja Zwiezda, ubraną w długie botki, wążutką spódniczkę mini i puszysty, obcisły lila sweterek z naszywkami, uczepioną łokcia jakiegoś zachodniego biznesmena. Któregoś dnia jeden z nich zabierze ją do Moskwy, a może nawet dalej, do Niemiec albo do Holandii - dlaczego nie? Masza była młoda i świat stał przed nią otworem. Ewentualnie otworzy go sobie sama.

Mara, ich rosyjska asystentka, polecona gorąco Toli przez przyjaciół z moskiewskiej telewizji, już go sobie otworzyła. Historia jej rodziny przypominała wszystkie inne. Rodzice przyjechali na Syberię w latach siedemdziesiątych z ochotniczym hufcem pracy, śpiewali ballady przy ognisku w tundrze i budowali kolej Bajkał - Amur. Odkładali na mieszkanie w Moskwie, ale jak w końcu do niej wrócili, okazało się, że ich oszczędności straciły wszelką wartość, a na wy-

⁸¹ * pierożków

uczone zawody nie ma zapotrzebowania. Za Jelcyna pieniądze ostatecznie przestały fizycznie istnieć i zastąpiła je gospodarka wymienna: ja ci samochód zrepruję, a ty mi pół świniaka zorganizujesz.

Z tych trosk i rozczarowań ojciec Mary zaczął pić. Do łowienia ryb w przerebłu zabierał ze sobą namiocik z plastiku, składane krzeselko i butelkę Stolicznej. Któregoś dnia spadł ze stołeczka, zasnął obok przerebła i już się nie obudził - *normalno*. Matka popłakała, ale też i odczuła pewną ulgę, bo ojciec wynosił z domu wszystko, co tylko dało się wymienić na wódkę.

Z czasem znalazła sobie pracę w kiosku z gazetami, gdzie sprzedawała prasę na zmianę z germanistką, prawniczką i inżynier geolog, wszystko zawody starego systemu, z którym Mara naprawdę nie chciała mieć nic wspólnego i właśnie w tym momencie postanowiła, że za nic na świecie nie dopuści do tego, żeby takie zmarnowane życie jej się przytrafiło.

Skończyła historię sztuki i dziennikarstwo, przez jakiś czas pracowała w Muzeum Puszkina, ale podstawy finansowe zdobyła, roznosząc nielegalnie piwo w ogródkach bawarskich piwiarni i szmuglując markowe ciuchy z Włoch, co z czasem pozwoliło jej otworzyć w Moskwie solarium. Wkrótce знаła wszystkich: ekspandujących biznesmenów, potencjalnych sponsorów, dostojników kościelnych, muzyków awangardowych i ojców chrzestnych gruzińskiej mafii. Znając wszystkich, potrafiła też wszystko załatwić i nic dziwnego, że stała się niezbędną w telewizji, dzięki czemu nosiła tytuł asystentki reżysera. Ta ostatnia działalność pozwoliła jej z kolei osiągnąć odpowiednie kwalifikacje do wykonywania zawodu „imidżmejkerki”, czyli doradczynie medialnej kandydujących do wyborów polityków, którzy pod jej czujnym okiem nabywali telewizyjnego uśmiechu, budzącego zaufania spojrzenia, szczerego głosu i serdecznego uścisku ręki. Była w tym tak dobra, że nawet jeden *mafioznik* poprosił ją o odpowiednie wystylizowanie, bo bardzo chciał wyglądać na dyrektora Banku Centralnego. Mara, która nie widziała żadnej istotnej różnicy między politykiem i gangsterem, przyjęła

zlecenie i twierdziła później, że udał jej się nadspodziewanie: sama byłaby skłonna powierzyć mu oszczędności całego życia.

Stacją teraz było na ciuchy od Armaniego, torebkę od Versace, norki z Grecji, przyjęcia z astrachańskim kawiozem, szkocką whisky, jeepa cheerokee i mieszkanie w odnowionej dziewiętnastowiecznej kamienicy. Była prawdziwą Nową Rosjanką, kobietą sukcesu, i miała wszystko, czego dusza zapagnie - poza chłopem, gdyż im silniejsze stawały się rosyjskie kobiety, tym słabsi ro-syjscy mężczyźni i Mara nie znajdowała wśród nich ani jednego, który by odpowiadał jej wysokim wymaganiom. Zaczęła nawet poważnie zastanawiać się nad sprowadzeniem sobie chłopca z zagranicy, najlepiej ze Szwecji albo Szwajcarii, ale Holender albo Niemiec też by jej się nadawał.

Agencji kojarzących międzynarodowe związki w Moskwie nie brakowało, potencjalnych narzeczonych też. Przed Marą przewinęła się cała kolekcja młodych, starszych i zupełnie starych kandydatów do jej ręki. Dawali jej perfumy, czekoladki i kwiaty, zapraszali do restauracji i na koncerty, prawili komplementy i koniecznie chcieli od razu ją wypróbować, bo mieli wykupiony bilet na powrotny samolot, a czekały jeszcze inne panie. Mara stawiała sprawę ucziwie i od razu wyjaśniała, o co jej chodzi.

- Nasi mężczyźni - tłumaczyła - więcej wiedzą o budowie snopowiązałki niż o kobietach. *Kunca nie ptica, żeńszczyzna nie czelowiek*^{*82} - mówią, a to nieprawda, bo u nas kobieta płeć mocniejsza. Przez ostatnie pokolenia na trzy kobiety przypadał jeden mężczyzna, miliony zginęły na wojnie albo w łagrach. To baby pracowały na budowach i w fabrykach, to baby samotnie wychowywały dzieci i właśnie dlatego teraz lepiej sobie radzą, bo już przedtem kapitalizm wypróbowowały: zawsze musiały coś kupić, coś sprzedać, coś zorganizować. Cóż mi po rosyjskim chłopie? Duszy nie zrozumie, w łóżku rozczaruje, zarobić nawet na

82 * Kura nie ptak, baba nie człowiek.

siebie nie umie, po pięćdziesiątce szlag go trafi. Mężczyzna z Zachodu to co innego: kobietę szanuje, wie, co to związek partnerski, Kamasutrę przeczytał i używa dezodorantu.

Najpóźniej przy słowach: „Duszy nie zrozumie, w łóżku rozczaruje”, kandydat oblewał się potem. Przed oczami stawał mu długi rząd kobiet, które do tej pory przewinęły się przez jego życie, mówiąc oskarżycielsko: „Bo ty mnie w ogóle nie rozumiesz”, albo, co gorsza: „Nie, nie, to mi wcale nie przeszkadza. Najważniejsza jest więź duchowa, więc nic się nie martw. To na pewno tylko stres i szybko minie”, a także: „Inni mężczyźni jakoś potrafią zarobić na dom, Mullerowie w tym roku byli już dwa razy na Korsyce, więc właściwie dlaczego nas na nic nie stać?”. Kobiet, które miały swoją stałą knajpę, gdzie spotykały się z grupą podobnych sobie harpii, kobiet, które upranie pary gaci uważały za obrazę majestatu, a podanie obiadu za akt gwałtu, kobiet, które uprawiały ryzykowne sporty i zarabiały dwukrotnie więcej od niego. Kobiet, które dosiadały go jak wierzchowca, władcym gestem wpychały sobie jego członek do otchłani między nogami i ściskając mu boleśnie jądra posługiwały się nim, jakby był narzędziem kuchennym, a kiedy już miały dość, po prostu wypluwały go z siebie, parszkając śmiechem.

Wszystko to kandydat miał u siebie w domu i nie zamierzał powiększać tej kolekcji bab niezależnych i niezadowolonych o jeszcze jedną: Marę. Nie po to tu przyjechał. Moskwa była pełna ślicznych dziewczyn o wielkich sercach i pełnych oddania oczach, które gotowe były opleść go jak ciepły bluszcz, dając do zrozumienia, że uważają go za kawał chłopca i tylko czekają, że będzie je przebijał, penetrował i przeszywał. Lekarki, redaktorki, prawniczki, jedna fizyk atomowy, dwie wiolonczelistki i parę zachwycających nauczycielek, nie licząc już przedszkolanek, wszystkie pragnęły spędzić życie z kandydatem, za którym w rodzinnej Nadrenii Palatynacie pies z kulawą nogą się nie oglądał. Ze zrozumiałych

względów zamierzał przywieźć sobie z Rosji takiego słodkiego długonogiego króliczka, a nie rosyjską wersję walkirii.

Mara nie była głupia i szybko zorientowała się, że nie uosabia wyobrażeń rolników ze Schwarzwaldy o słowiańskiej żonie. Nie zmartwiła się jednak specjalnie, rolnicy absolutnie nie pasowali do jej greckich norek i torebki od Versace. Niezrażona, szukała dalej, zamieszczała ogłoszenia w „Die Zeit”, wiedząc o tym, że nie czytują go ani rolnicy, ani malarze pokojowi. W ten sposób poznała do tej pory berlińskiego stomatologa z jednym jądrem, ale dwoma mercedesami - 600 i SL - ginekologa z dużą praktyką w Hamburgu i nerwowego architekta z Wormacji, prowadzącego dobrze prosperujące biuro projektowe z filią w Erfurcie. Wszyscy trzej proponowali olśniewające warunki materialne, ale za cenę, którą Mara musiała z żalem uznać za zbyt wygórowaną. Dentysta nie tylko do tej pory mieszkał z matką, ale i sypiał z nią w tym samym pokoju, a Mara podejrzewała, że nawet i w tym samym łóżku - przynajmniej czasami, z okazji urodzin i świąt. Uważała też za mało erotyczne, że przypinał się do jej ciężkich piersi z zapalem oseska. Lekarz wyznał jej, że potrzebuje do aktu miłosnego fotela ginekologicznego, bo tylko na nim może mieć erekcję, co Marę bardzo speszyło: taki fotel w żadnym wypadku nie pasowałby do eleganckiego wnętrza jej mieszkania. Nerwowego architekt należał w czasach studenckich do Komunistycznej Partii Niemiec i chociaż już od dawna prowadził normalny żywot kapitalistycznego krwio pijcy, w momentach romantycznego uniesienia życzył sobie rewolucyjnych akcesoriów, flag z sierpem i młotem, koszulek z Che Guevara i czapki przewodniczącego Mao.

Mara nie mogła pozbyć się wrażenia, że architekt uważa ją za relikwię pozostałą po Kraju Rad, podczas gdy ona sama wcale nie tęskniła za starym systemem i nie miała najmniejszej ochoty kochać się na jego zgliszczach.

Dotychczasowe niepowodzenia wcale jej jednak nie zniechęciły i miała zamiar ze zdwojoną energią wznowić swoje poszukiwania zaraz po zakończeniu

pracy nad „Reportażem syberyjskim” -jak brzmiał roboczy tytuł przygotowywanej przez niemiecką ekipę serii. Na razie skoncentrowała uwagę na Toli.

Już na samym początku podróży, w Ławrentii, z butelką szampana pod pachą zapukała po kolacji do drzwi jego pokoju. Miała na sobie greckie norki i nic poza tym.

- Francuski - powiedziała, uśmiechając się. - Teraz łatwiej o francuski niż o nasz. Pamiętasz jeszcze *Sowietskoje igristoje*? Nowy Rok bez niego był nie do pomyślenia, spiker w telewizji wznosił nim toast. „Szczęśliwego Nowego Roku, towarzysze, na zdrowie!” - mówił i otwierał swoją własną butelkę. Kto wtedy wiedział, że rozlewano go na Krymie, na Ukrainie, to znaczy – za granicą? Czy mogłabym zostać troszkę u ciebie? W moim pokoju jest wściekle zimno, okno się nie domyka, a teraz, w nocy, nikt nie przyjdzie, żeby je zreperować. Mam zresztą wrażenie, że tu już nikt niczego nie reperuje.

- Proszę bardzo - zgodził się uprzejmie Tola. - Może byłoby ci cieplej, gdybyś założyła majtki? Chętnie pożyczę ci moje kalesony. Na wszelki wypadek chciałbym zaznaczyć, że mam żonę i dziecko.

- Nic nie szkodzi - odparła nie mniej uprzejmie Mara. - Absolutnie mi to nie przeszkadza. Nie nosisz obrączki?

- Nie jesteśmy małżeństwem w konwencjonalnym tego słowa znaczeniu. Ale wspólne dziecko to chyba więcej niż obrączka, nie sądzisz?

- Och, w Moskwie nikt tego zdania nie podzieli. W Rosji kobieta samotnie wychowująca dziecko to reguła, nie wyjątek. Wszystkie moje przyjaciółki są po przynajmniej dwóch rozwodach.

- A ty?

- A ja, mój drogi, jestem pragmatyczna i nie uważam, że należy kupować krowę, jeżeli człowiek zechce wypić szklanekę mleka... rozumiesz?

Tola zrozumiał.

W marcu podróż zbliżała się wreszcie do końca. Po źle oczyszczonych oblodzonych szosach i zamarzniętych korytach rzek zmierzali powoli w kierunku Irkucka. Większość syberyjskich „dróg” stanowiły zamarznięte rzeki: kiedy lód osiągał odpowiednią grubość, wbijano w niego znaki drogowe i zaczynały po nim mknąć ciężarówki i zaprzężone w konie sanie z półokrągłą *duhą*^{*83}. Przy niskich temperaturach lód stawał się porowaty jak asfalt, ale niemieccy dziennikarze czuli się na tych lodowych autostradach niepewnie. Lód był lodem, przy próbach hamowania topił się i nawierzchnia stawała się śliska jak szkło. Kierowca Sierioża wyśmiewał ich obawy.

- Ach wy, cudzoziemcy... Nie wiecie, co to zima. My przez cały rok tak jeździmy, przez całe nasze życie. Dla nas to normalka.

Normalką były jednak także i niezliczone wraki rozbitych i wypalonych samochodów wzdłuż trasy. Nie wszystkie jednak, zdaniem Sierioży, spaliły się w wyniku wypadku: większość z nich podpalili sami ich właściciele, ratując się przed zamarznięciem.

- Co robić, jak jest minus trzydzieści stopni i nikogo w promieniu pięciuset kilometrów? Czasami nie ma innego wyjścia. Pamiętajcie, żeby w pierwszej kolejności palić opony, a dopiero potem siedzenia, ciężarówki mają też często skrzynie z drewna.

Najlepiej jednak było polecić się opiece czuwających nad okolicą duchów, dlatego na przełęczach Sierioża zawiązywał na świętych krzakach *obo* paski materiału i wylewał parę kropel wódki na cztery strony świata.

- ŚmieJCie się, śmieJCie, tu wszędzie bieleją kości tych, co się śmiali!

Na Bajkale pokrywa lodowa była gruba na półtora metra i gdzieniegdzie przejrzysta jak szkło, kręciło się w głowie, kiedy patrzyło się w nieskończoną głąbię pod nogami. Wciąż słyChać było szumy i grzmoty, jakby pod powierzch-

⁸³ * Drewniany kabłak spinający nad chomątem hołoble.

nią dyszało jakieś przedpotopowe wielkie zwierzę, lody pękały, przemieszczały się, tworząc szczeliny i znowu nasuwały na siebie. Przy brzegu piętrzyła się wysoko kra, skrząca się w promieniach słońca jak kopalnia diamentów, granatowym niebem nie wędrowała ani jedna chmurka, toteż kamerzysta kręcił jak szalony, płacząc z zachwytu. Ostatnie dni podróży były wyjątkowo pogodne, zebrany materiał pasjonujący i już wiadomo było, że dobiegająca końca wyprawa będzie ogromnym sukcesem. Walter Ratschow nie ukrywał zadowolenia i z własnej woli kupił butelkę wódki, żeby skropić nią lody Bajkału w podziękę za udaną ekspedycję.

Leżały za nimi tysiące kilometrów białej pustym i niekończącej się tajgi. Na Czukotce towarzyszyli łowcom wielorybów, dla których polowanie było ratunkiem przed śmiercią głodową, na Kamczatce spotkali niemieckich myśliwych, którzy płacili bez mrugnięcia okiem siedem tysięcy dolarów, żeby zabrać do domu niedźwiedzią skórę. Widzieli ginące porty i opuszczone miasta, łagry Magadanu, kopalnie diamentów, hodowców renów, białe foki, szkielety mamutów, pola naftowe, zbudowane na kościach więźniów drogi Kołymy, a przede wszystkim ludzi - mocnych i odważnych.

- Mamy jeszcze trochę czasu - powiedział w Irkucku bardzo z siebie zadowolony Walter przy śniadaniu. Grupa zakwaterowała się w hotelu Intourist na brzegu Angary i po długim okresie wyrzeczeń korzystała z dużą przyjemnością z wszelkich dostępnych osiągnięć cywilizacji. - Aleksiej Timofiejewicz przyleci po nas dopiero za cztery dni. Są jakieś propozycje?

- Święto pożegnania zimy? - zaproponował Tola.

- Szaman Kamień? Woda tam nigdy nie zamarza, przez całą zimę paruje i na drzewach osadza się szadź - myślała na głos Mara.

- A ja tu jedną szamankę znam! - Sierioża wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. Wszyscy popatrzyli na niego z szacunkiem.

- Szamanka, doskonale! - zawołał Walter. - Brakowało nam akurat jeszcze mistycyzmu, teraz duchowość w Rosji się odradza, a ja sam mam bardzo wysokie zdanie o medycynie ludowej. Zauważyliście, że niemieccy przesiedleńcy z Rosji do tej pory sprowadzają sobie zioła z Przybajkala? „Kurylski czaj” na przykład, albo ten „złoty korzeń”, który cuda ma działać. Musiał zresztą działać, na Syberii ludzie musieli przez wieki całe radzić sobie bez lekarzy.

W nocy Mara wysunęła się łagodnie z ramion Toli i ziewnęła jak zadowolona kotka, pokazując różowe podniebienie.

- Nadbajkalska szamanka to potęga - szepnęła. - Na Syberii nie ma większego autorytetu. Mam nadzieję, że dostanę od niej coś na wzmocnienie żeńskiego powabu. Szaman znad Bajkału, który ogłasza się w tygodniku „Iz ruk w ruki”, uzdrawia siłą czterech mocy, gwarantowanie leczy alkoholizm, zapewnia stuprocentową ochronę energetyczną i usuwa konkurentkę z serca ukochanego mężczyzny. Jak sądzisz, czy ta Sierioży też to wszystko potrafi?

Tola nic nie odpowiedział, przytulił ją tylko do siebie i pogłaskał po włosach. Aleksandra była daleko, dzieliły ją od niego tysiące kilometrów, a może i więcej niż tylko kilometry i strefy czasów. Gdziekolwiek był, widział jej szare oczy, jak patrzą na niego z powagą i słyszał roztargniony głos, który mówił: „Związek? Jaki związek, Anatolij? My nie znajdujemy się w żadnym związku, my mamy tylko wspólne dziecko”. Czy można powiedzieć coś bardziej okrutnego?

Czasami nocą widywał w kącie pokoju ojca, ubranego w czarną i fioletową szatę, ze splątaną brodą spływającą na pierś, na której wisiał na grubym łańcuchu krzyż. Timofiej Wissarionowicz spoglądał na niego posepnie i z niezadowoleniem. Tola nie wiedział, czy chodzi mu o Aleksandrę, której syn nie potrafił ani zatrzymać, ani przepędzić, czy też o Lizę, a może o niefrasobliwą Marę? Czy dusza ojcowska opuściła na chwilę swój złoty tron wśród świętych i serafinów, żeby podsunąć mu tę nieskomplikowaną dziewczynę, czy też wprost przeciwnie,

frywolność Mary budziła jej wstręt? Tola chętnie by ją o to zapytał, ale kiedy w końcu zebrał się na odwagę, dusza Timofieja Wissarionowicza była akurat w szczególnie złym humorze.

- Siedemdziesiąt bezbożnych lat - odparła dudniącym głosem, od którego w dzieciństwie Toli drżały w cerkwi carskie wrota - a teraz, kiedy nasz Pan do świętej Rosji powrócił, nie przed nim padają na kolana, nie jego miłują, tylko przed złotym cielcem w prochu się tarzają! Greckie norki, torebki od Versace, tfu, paskudztwo, twoja matka chustką się owijała i na zakupy z siatką chodziła.

Z tego Tola wywnioskował, że Mara nie zrobiła na ojcu dobrego wrażenia.

Ku zdumieniu ekipy szamanka nie mieszkała ani w jurcie, ani w czumie^{*84}. Gdybyż to chociaż była drewniana chatka, po parapet zapadająca się w ziemię! Ale nie, dom świętej kobiety miał solidną podmurówkę, dach nowo pokryty holenderską dachówką i zielonożółte, świeżo pomalowane okiennice. Walter był rozczarowany.

- Widzowie oczekują od nas czegoś innego, nie możemy tego tak dać - marudził.

- Mimo wszystko widzowie powinni zobaczyć to, co jest, a nie to, czego się spodziewają - poprawił go łagodnie Jochen Holzbrinck. Tola bardzo lubił pana Holzbrincka: jego zainteresowanie krajem i ludźmi było serdeczne i szczerze, brak wymagań nieomalże syberyjski, cierpliwość przysłowiowa. Walter natomiast miał sposób bycia gwiazdy, bywał arogancki i charakteryzowała go denerwująca, niespokojna nerwowość. Miał wyrobione zdanie o wszystkim, także o tym, czego jeszcze nie zdążył zobaczyć. Wyrastał wszędzie spod ziemi jak diabeł z pudełka, zawsze przekonany, że wszystko potrafi zrobić lepiej i szybciej, czym doprowadzał resztę ekipy do rozpacz.

⁸⁴ * Namiot pokryty korą.

- Na jakiego chuja tu w ogóle przyjeżdża, jeżeli z góry wszystko wie lepiej? - paniel się Sierioża. - Na wszystkim się zna, a od Syberii to on już ekspert.

- Nie przejmuj się, wszyscy Niemcy są tacy - uspokajał go Tola. - Do tej pory uważają, że niemiecki ład uratuje świat.

A jednak musieli przyznać, że obaj Niemcy okazywali więcej szczerego zainteresowania społecznym dramatem, którego wszędzie na Syberii byli świadkami, niż sami Rosjanie. Ludzkie tragedie, beznadziejność losu, pokora, z jaką przyjmowali jego wyroki, zagłada miast - wszystko to poruszało ich żywo. Rozmawiali z ludźmi, podsadzali babcie do autobusów, mężnie jedli ich podejrzanego pie- rożki, rozdawali dzieciom cukierki, a przede wszystkim uważali za swój obowią- zek informowanie Moskwy i reszty świata, jak żyją na bezkresnych obszarach między Uralem i Cieśniną Beringa obywatele tego kraju, pionierzy tajgi, bohate- rowie Północy, odpadki pierestrojki, za które nikt nie czuł się odpowiedzialny.

Mara wzruszała tylko ramionami i jej oczy stawały się twarde jak dwa agaty.

- Dla wszystkich nie wystarczy - mówiła spokojnie. - Już próbowaliśmy da- wać każdemu według jego potrzeb. Każdy musi sobie radzić sam, państwo nie mamka, nie można przez całe życie mu wisieć u cycka.

Wnętrze domu szamanki wybite było jednakże pięknymi kolorowymi dywa- nami, czerwone zasłony oddzielały tajemnicze kąty, pod ścianami suszyły się na płachtach odurzająco pachnące zioła, a na niskim stole leżał buńczuk z końskiego włosia. Sama szamanka, młoda jeszcze kobieta o płaskiej, buriackiej twarzy z wydatnymi kośćmi policzkowymi i wąskimi czarnymi oczami, przekroczyła wszelkie oczekiwania Waltera, który natychmiast się rozpromienił. Ubrana była w biały strój obwieszony ogonkami soboli i burunduków*⁸⁵, kolorowe rzemyki, wisiorki i dzwoneczki furkotały i dzwoniły przy każdym jej kroku, a na głowie

⁸⁵ * Gryzoń wielkości wiewiórki o żółtym futerku z czarnymi pręgami.

miała futrzany kołpak z okrągłymi złotymi blaszkami. Przyglądała się gościom niewzruszenie, kiedy Tola tłumaczył jej cel wizyty.

- Znam Niemcy - powiedziała spokojnie. - Udzielam latem konsultacji w Berlinie. Mieszkają tam tysiące Rosjan.

Przesiedleńców z Rosji nazywano oficjalnie *Deutsch-Russen*, byli potomkami tych Niemców, których sprowadziła jeszcze Katarzyna Wielka, sama Niemka, księżniczka von Anhalt-Zerbst. W czasie wojny Stalin większość z nich zesłał na Syberię, traktując jako potencjalnych zdrajców.

- Wielu z nich ufa tylko naszej medycynie - ciągnęła szamanka. - Widziałam w Berlinie całe strony gazet z reklamami syberyjskich ziół. Nasza sztuka leczenia różni się od waszej, nie oddziela ciała od ducha. Jeżeli człowiek jest chory, to sam sobie jest winien, zakłócił swoją harmonię złymi myślami albo czynami. Tę harmonię pomagamy mu odzyskać, docierając w naszych obrzędach do jego podświadomości. Być może też jego dusza zbłądziła, została porwana albo opętana - wtedy staramy się ją odzyskać.

- W jaki sposób? - chciał wiedzieć Walter.

Szamanka przyjrzała mu się z zainteresowaniem.

- Nie wiem, czy martwiłabym się o twoją - powiedziała z uśmiechem. - Musiałbyś najpierw chcieć pozbyć się swoich grzechów i wad, a twoim zdaniem nie masz żadnych. To twoja dusza mnie potrzebuje - zwróciła się do Toli. - To ona ma mi coś do przekazania, może z innego świata? My, szamani, potrafimy przenikać w inne światy i rozmawiać z duchami, a wszystko w naturze, czy żywe, czy martwe, ma swojego ducha. Według naszych wierzeń istnieją trzy światy: górny, środkowy i dolny, podziemny, połączone Złotym Filarem, kosmiczną osią. Po niej bogowie schodzą na ziemię, zmarli do podziemi, a moja dusza przenika do innych światów. Moimi skrzydłami jest mój bęben, na nim podróżuję w zaświaty, za jego pomocą przywołuję dobre duchy i odstraszam złe.

- Jak to się stało, że jesteś szamanką? - zapytał Tola. – Czy każdy może nią zostać?

Szamanka potrząsnęła głową.

- Tylko ten, kto ma powołanie, tak samo, jak u waszych kapłanów. Objawia ci się ono w snach i niepokoi cię na jawie, masz widzenia, przemawiają do ciebie duchy twoich przodków, tracisz przytomność... Różnie bywa. Powołanie to ciężkie brzemie, ale jeżeli zostałeś wybrany, to nie ma od tej decyzji odwołania – taki już twój los. Ja moją siłę odziedziczyłam po babce: była szamanką i jej życzeniem było, żebym i ja nią została.

Zapaliła w glinianej misie wilgotny mech i gałązki, prysnęła na ziemię i na cztery strony świata parę kropli kumysu, zamknęła oczy i zaczęła miarowo uderzać w bęben.

- Dym oczyszcza ze złych myśli - wyjaśniła, nie otwierając oczu. - A kumysem dzielimy się z bogami i skrapiamy nim ziemię, żeby ją poświęcić.

Podawała Toli buńczuk, kazała mu wyrwać koński włos i wrzucić go do ognia. Płomień podskoczył z sykiem do góry, a potem z misy zaczął się wydobywać coraz gęstszy mleczny dym.

- Nie powiedziałeś mi, że twój ojciec był wielkim szamanem - oświadczyła nagle szamanka. - Widzę go przed ścianą ze szczerego złota... wiesz może, co to jest?

Tola kiwnął głową.

- Carskie wrota w cerkwi - odparł. - Mój ojciec był popem. Co z nim teraz jest?

Uderzenia w bęben stały się szybsze, na czole szamanki wystąpił pot. Zaczęła wirować wokół Toli, popluwając na niego, uderzając buńczukiem i mamrocząc niezrozumiałe słowa.

- Nie widzę go - powiedziała ze zdumieniem. - Nie ma go w żadnym ze światów. Widocznie niezłatwione sprawy nie pozwalają jego duszy odpocząć.

- Popatrz na dym... - szepnął bez tchu Walter za plecami Toli. - Może mi ktoś wytłumaczyć, co się, u Boga Ojca, z tym dymem dzieje?

Wypływające z misy kłęby dymu przestały trzymać się ogólnie przyjętych zasad termodynamiki i krążyły teraz statecznie wokół szamanki, to rozdzielając się na pasma, to znowu łącząc.

- Moim zdaniem on ociera się o jej kolana, jak kot - odmruknął Jochen.

- A moim zdaniem to jest jakiś prymitywny trik, a wy macie fioła - orzekła trzeźwo Mara i zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę misy, ale Tola zatrzymał ją, chwytając za ramię. Okrążające szamanek pasma dymu uniosły się na wysokość jej głowy i zaczęły układać w zasepioną twarz Timofieja Wissarionowicza.

- Nikt nam w to nie uwierzy - pożalił się Walter.

- Wyjdź - powiedziała szamanka do Mary, wskazując buńczukiem na drzwi. - On chce, żebyś odeszła i zostawiła jego syna w spokoju. Nie należy do ciebie.

- Bardzo przepraszam, ale to przestaje być zabawne - zaproponowała gwałtownie Mara. - Chyba nie macie zamiaru słuchać dalej tych bzdur? Rozumiem, Walterze, że chciałeś mieć w programie trochę magii, ale to nie jest żaden mistycyzm, tylko zwyczajny hokus-pokus. - Ale twarde palce Sierioży już zacisnęły się na jej ramieniu i popchnęły ją w stronę drzwi.

Wszyscy w napięciu czekali na film Jochena, ale poza wybałuszonymi oczami Toli, pogrążoną w transie szamanką i gotującą się z wściekłości Marą nic szczególnego na nim nie było widać. Nad glinianą misą z palącymi się ziołami unosił się gęsty srebrzysty dym i nic poza tym.

- A jednak tam coś było, sam widziałem - powtarzał zawiedziony Walter. - Wszyscy widzieliśmy. Ten dym zachowywał się, jakby był żywy, a potem naprawdę coś się ukazało, wyglądało jak ludzka twarz. Cholerny pech, że na filmie

niczego nie widać, byłaby sensacja. Jak myślisz, Tola, co to mogło być? Zbiorowa hipnoza?

Tola milczał uparcie. Timofiej Wissarionowicz stanowił problem za życia i nie przestał nim być po śmierci, ale nie zasłużył sobie na to, żeby niemieccy telewidzowie pokazywali sobie palcem jego szybującą po chałupie nadbajkalskiej szamanki duszę.

W Łosinku mały Tola przybiegł przestraszony do Aleksandry i przytulił się do jej kolan.

- Pan dał Toli - chlipnął i wyciągnął do niej zaciśniętą brudną piąstkę. Odgięła ostrożnie paluszki i wyjęła z nich biały koński włos.

- Gdzie ten pan? - zapytała, rozglądając się dookoła. Tola rozłożył bezradnie rączki i podniósł oczy ku niebu.

- Poleciał? Tam?

Aleksandra odprowadziła wzrokiem obłoki szybujące nad koronami dębów, owijając w zamyśleniu koński włos o swój kciuk. Po kim to dziecko miało tyle fantazji? Świat małego Toli zaludniały całe tłumy bajkowych postaci, codziennie rozmawiał z wrózkami i krasnoludkami, w ogrodzie spotykał przyjazne smoki i różowe króliki. Przykucnęła i przytuliła drobniutkie ciało mocno do siebie, a jego ciepło napełniło ją uczuciem szczęścia i cudownego spokoju. Lekko skośne oczy dziecka patrzyły na nią ufnie i poważnie. Ma oczy swojego ojca - pomyślała nagle Aleksandra. - I nie tylko oczy. Przecież Tola jako dziecko też miał głowę pełną tych swoich skazek, tak się przecież wszystko zaczęło: od opowiadania bajek. Jak on mnie wtedy nazwał? Srebrnozęba Pampalcze. A potem były Koniki Garbuski i Zar-Ptice, Baby-Jagi, carewny i Kościeje, pierwsze pieszczoty i pocałunki... O Boże, jaka ja jestem głupia!

Bo jakże to było możliwe, że tak bezgranicznie kochała swoje dziecko, nie wiedząc do tej pory, że kocha w nim jego ojca?

*

Jan opuścił, rozczarowany, aparat fotograficzny. Okna pociągu w żaden sposób nie dawały się otworzyć, a skraplająca się między podwójnymi szybami para uniemożliwiała robienie przez nie zdjęć.

- Trzy dni w drodze i ani jednego zdjęcia! - powiedział z żalem do siedzącej naprzeciwko niego dziewczyny o leciutko wystających kościach policzkowych, zgrabnym, prostym nosku i długich włosach koloru dojrzałej pszenicy, związanym na karku aksamitką. Siedziała sztywno na samym brzeжку pokrytej sztuczną skórą kuszetki, ściśle zwierając kolana i przyciskając łokcie do boków. Jej puszyste rzęsy rzucały cienie na policzki, kiedy pochylała głowę nad rozłożoną na podolku książką. Zdaniem Jana pozycja ta wyglądała bardzo wdzięcznie, ale musiała być szalenie niewygodna i żadna z jego koleżanek nie przyjęłaby jej dobrowolnie. Na dźwięk głosu Jana dziewczyna podniosła głowę i uśmiechnęła się.

- Spróbuj odkręcić górną część, tę, która się uchyla - poradziła. - A ja wyjdę na korytarz i przypilnuję, czy Olga Pawłowna nie idzie.

Olga Pawłowna odpowiadała za porządek w wagonie, samowar, ogrzewanie, temperaturę hamulców, moralność pasażerów i radiowęzeł. Od rana do nocy zalewała przedziały pieśniami o złamanym sercach i niespełnionych nadziejach. Poza tym dwa razy dziennie odkurzała gruby granatowy dywan, leżący w przejściu, a na każdym postoju przecierała poręcz przy wiodących do wagonu schodkach - ten ambitnie wysoki poziom higieny ogromnie fascynował Jana, który nigdy jeszcze nie widział, żeby ktoś mył poręcz w pociągu. Wieczorami Olga Pawłowna roznosiła pościel i ręczniki, wypożyczała szklanki albo szachy i gawędziła z podróżnymi. Transsib był jej domem, praktycznie tu mieszkała. W Nowosybirsku spotykała męża - przyprowadzał na dworzec dzieci, dwóch chłopców z krótko ostrzyżonymi jasnymi łebkami - wymieniali wtedy uściski i tajem-

nicze paczuski. Być może Olga Pawłowna uzupełniała w ten sposób zapasy wódki, czekoladowych batoników i słonych orzeszków, które sprzedawała pasażerom. Bajkał był pociągiem firmowym, to znaczy najlepszym i najdroższym na trasie, jeździła nim zamożniejsza klientela, na której można było coś zarobić, nie to, co na osobowych, których pasażerowie zaopatrywali się wyłącznie na peronach.

Ku rozpaczy Jana macierzyńskie serce Olgi Pawłowny z miejsca stopniało na jego widok - od samego początku *prowadnica* nie spuszczała go z oka, zupełnie jakby nie wystarczyły mu poprzedzające wyjazd awantury z matką. Matka do ostatniej chwili walczyła jak lwica, usiłowała mu wybić tę podróż z głowy i wylizowała ponuro, jakie okropności mogą mu się w tym kraju mafii przydarzyć, zupełnie nie pamiętając, że statystycznie rzecz biorąc, każda jazda samochodem po niemieckiej autostradzie była związana ze znacznie większym ryzykiem. Dopiero kiedy zaprzyjaźniony z panem Holzbrinckiem dziennikarz z moskiewskiego studia ARD obiecał odebrać go na lotnisku i osobiście wsadzić do pociągu do Irkucka, gdzie miał na niego czekać Tola, zaczęła słabnąć. Nie omieszkała jednak na lotnisku zrobić kompromitującej sceny, żegnając się z nim tak rozdzierająco, jakby wybierał się co najmniej do Afganistanu. Na szczęście jego sąsiedzi w samolocie, myśliwi z Dolnej Saksonii, chłopcy na schwał w panterkach i wysoko sznurowanych butach, nie zauważyli, jak zalewając się łzami, upychała mu po kieszeniach aspirynę, pastę do zębów, chustki do nosa i pastylki przeciwko sracze. Myśliwi wybierali się na Kamczatkę, gdzie mieli polować na niedźwiedzie - starcie oko w oko, pojedynki człowieka z bestią. Jan słuchał oczarowany, ale kiedy Saksończycy zagłębili się w dyskusję ze stewardesą na temat podawanych na pokładzie drinków, siedzący za nimi niechlujny blondyn z długimi tłustymi włosami pochylił się w jego stronę i syknął:

- Gówna prawda! Wsiadają do helikoptera i strzelają z niego do wszystkiego, co się rusza, pierdolenie takie, a nie polowanie.

Znajomy pana Holzbrincka nie omieszkał, oczywiście, polecić go opiece Olgi Pawłowny i wsunąć dyskretnie do kieszeni jej munduru zwiniętego banknotu dziesięciodolarowego, który kolosalnie spotęgował instynkt macierzyński *pro-wadnicy*. Jak tylko miała wolne ręce, przyciskała głowę Jana do swojej obfitej piersi, mówiła do niego *goiubczyk* i *mileńkij*, niemal wsuwała mu do ust batony czekoladowe i pokrzykiwała za nim, kiedy na peronie zbliżał się do jakiejś babiny z koszem pełnym smakołyków:

-Tylko nie kupuj *chieburielow**⁸⁶, Janoczek! Czort wie, czy świeże, jeszcze sraczki dostaniesz, kochanieńki!

Jan umierał ze wstydu, szczególnie, kiedy słyszała to Oksana, pszenicznowłosa sąsiadka z przedziału. Zupełnie jakby był dzieckiem! W zeszłym roku siedział sam przez dwa miesiące pod Detroit, bo ojciec doszedł do wniosku, że musi doskonalić swój angielski, i nikt go tam nie niańczył, chociaż w centrum miasta w biały dzień zwalczały się tam wrogie gangi i nikt przy zdrowych zmysłach nie chodził piechotą. Na szczęście matka nie miała o tym pojęcia. Wszyscy wysyłali dzieci do Ameryki, jeżeli tylko mogli sobie na to pozwolić, taki pobyt widziany był przez szkołę bardzo przychylnie - rozszerzone horyzonty, kraj wszelkich możliwości, korzyści językowe i tak dalej.

Oksana nigdy nie była w Ameryce. W ogóle jeszcze nie była za granicą i tylko jeden, jedyny raz wyjechała ze szkołą na Krym, gdzie w ogóle nie było śniegu, morze było cieplusieńkie i wszędzie kwitły prześliczne kwiaty. Mówiła jednak zupełnie znośnie po angielsku, z prześmiesznym co prawda akcentem, ale można było się z nią, chwała Bogu, porozumieć. W szkole, do której chodziła, Krasnojarskim Gimnazjum Szlachetnie Urodzonych Panien, uczono angielskiego, baletu, gry na fortepianie i choreografii, ale też dobrych manier, robót ręcznych i gotowania - wszystkiego, co miało zrobić z Oksany wzorową żonę i mat-

⁸⁶ * Naleśniki z mielonym mięsem.

kę. Jan słuchał tego wszystkiego jak bajki o żelaznym wilku, ale Oksana była naprawdę dumna ze swojej szkoły, a przede wszystkim z tego, że się do niej dostała, chociaż było sześć kandydatek na jedno miejsce. Bardzo jej na tym zależało, bo jak się mieszka w rozsypującym się bloku, w dwóch pokojach z chorą babcią i mamą, która od pół roku nie dostała wypłaty, to taka pięknie odnowiona szkoła z komputerami i telewizorami wydaje się pałacem i oknem na świat. Podobały się jej też koleżanki i nauczycielki, były takie delikatne i eleganckie! Mężczyzn wcale jej tam nie brakowało, mężczyźni potrafili być okropnie ordynarni. Swojego ojca nie znała, zniknął, kiedy matka zaszła w ciążę, i nie był wyjątkiem, większość kobiet w osiedlu wychowywała dzieci sama. Janowi Oksana przyglądała się z zaciekawieniem, ale nieufnie. On też był zaintrygowany. Nigdy jeszcze nie spotkał tak dziwnej dziewczyny - wydawało mu się, że zeszła wprost ze stron powieści Czechowa i z gracją zajęła miejsce na skraju kuszetki. Właśnie tak: „zajęła miejsce”, bo siedzeniem nie można było tego nazwać. Był z siebie bardzo dumny, że po drodze do wagonu restauracyjnego udało mu się nawiązać z nią znajomość, do tego wypadło to tak naturalnie! Jechała trzecią, najtańszą klasą, gdzie nie było przedziałów, tylko otwarte na korytarz przepierzenia, z których wystawał długi rząd nóg w skarpetach. Dwóch podpitych poborowych zastawiało jej drogę, chuchając w twarz oddechem śmierdzącym wódką. Zgrabny nos Oksany zmarszczył się w grymasie obrzydzenia, kiedy wyższy z nich, w podkoszulku bez rękawów, objął ją w pasie i próbował pocałować. Niższy, ze złotym łańcuszkiem na nagim torsie, powtarzał tępo, pobłyskując złotym zębem:

- No nie bądź taka ważna, bladź jebana, my tu jedziemy twojej dupy przed Chinolami bronić, a ty się stawiasz.

Jan ujął Oksanę za łokieć i powiedział do poborowychprzejmie:

*-I beg your pardon, Sir, but this lady is with me. We are going together on a trip round the world. On a trip!**⁸⁷

- Parda, parda, pierdola, lejdi, lejdi, w mordę lej ich. Po świętej ziemi rosyjskiej chodzą, a ludzkiego języka nie znają. - Rozgoryczony złotozęby odsunął się na bok, przepuszczając Jana, holującego za sobą Oksanę.

- Ty, co on chciał z tym: Ona tryp, ona tryp! - zastanawiał się głośno, patrząc za odchodzącymi. - Że ona ma trypra, czy jak?

Kolejnych dziesięć dolarów zniknęło w przepastnej kieszeni Olgi Pawłownej, budząc w niej obok instynktu macierzyńskiego instynkt rajfurki.

- Ach, moje wy kurczątko! - zawołała, promieniejąc. - Oczywiście, możecie sobie siedzieć razem. W twoim *kupe*, Janoczek, miejsce wolne aż do Irkucka. Jakby na Oksankę sobie czekało.

Oksana, która poczuła ogromną potrzebę podzielenia się z kimś swoimi przeżyciami z *plackartnego*, natychmiast zarzuciła Olgę Pawłówną lawiną niezrozumiałych dla Jana słów. Sądząc jednak po jej żywej gestykulacji, oburzonej minie *prowadnicy*, plaskaniu w ręce, okrzykach „ojojjojjoj!” i pełnych podziwu spojrzeń, jakie mu obie rzucały, musiała to być opowieść o świętym Jerzym pokonującym gołymi rękami smoka. Kiedy Oksana zamilkła, Jan poczuł, że zamykają się na nim pulchne ramiona Olgi Pawłowny, a jego głowa uwięziona jest między jej miękkimi piersiami, które zatykają mu usta i nos. Wierzgnął gwałtownie jak żrebak i ciężko łapiąc powietrze, uwolnił się z uścisku.

- *Bog ty moj*, jakiś ty odważny, synku! - zawołała Olga Pawłówna, ponownie usiłując obślić policzki Jana. - Prawdziwy bohater! Aleja tu za twoje bezpieczeństwo odpowiadam, więc siedź sobie w *kupe* i już nigdzie się nie kręć, a ja z Oksanką przyniesiemy jej bagaż.

⁸⁷ * Wybaczcie panowie, ale ta pani jest ze mną. Jesteśmy w podróży dookoła świata. Podróżujemy!

Osobiście przywlokła odrapaną walizkę, zrobiła im herbaty, a nawet wspaniałomyślnie dołożyła po kawałku ciasta. Oksana miała chleb i wędzoną rybę, Jan otworzył puszkę kupionego na poprzedniej stacji kawioru, pokroił chleb scyzorykiem i po gospodarsku rozłożył wspólne zapasy na stoliku pod oknem, wokół wazonika z plastikowymi kwiatkami. Żadna wystawna kolacja w restauracji nie mogła się równać z tym zaimprovizowanym posiłkiem w pędzącym przez bezkresną tajgę pociągu! Oksana, doświadczona podróżniczka, zaraz sięgnęła do walizki po album ze zdjęciami, żeby pokazać matkę, babkę, koleżanki, pieska i ulicę, na której mieszkała tuż obok mostu na Jeniseju. Wielu wiozło ze sobą takie albumy, żeby oddalonej o tysiące kilometrów rodzinie chociaż w ten sposób zaprezentować swoich bliskich. Bilety stały się drogie, coraz rzadziej można było sobie pozwolić na takie wizyty, w podróż wyruszał więc często tylko jeden członek rodziny - o pozostałych musiały informować fotografie.

Janowi do głowy by nawet nie przyszło zabierać w podróż zdjęcia, ale takie wspólne oglądanie bardzo mu się spodobało.

Miło było siedzieć tuż obok Oksany, patrzeć na jej poważną twarz i przysłuchiwać się, jak z przejęciem opowiada o nieznanym mu ludziach. Nie bardzo wiedział, jak się zrewanżować, pokazał więc Oksanie swój odtwarzacz do kompaktów i założył jej na uszy słuchawki, żeby mogła wyrobić sobie zdanie na temat zespołu Prinzen. Zrobiła to uprzejmie, ale bez entuzjazmu.

- Z niemieckich kompozytorów znam właściwie tylko Beethovena, w orkiestrze szkolnej gramy jego „Ode do radości” i „Sonatę księżycową”. No i fragmenty „Czarodziejskiego fletu” Mozarta, ale on był właściwie Austriakiem.

Na Janie aż tyle wiedzy na temat muzyki klasycznej zrobiło duże wrażenie, bo chociaż w adwencie jego szkoła tradycyjnie chadzała do teatru na „Czarodziejski flet”, to Mozart zapisał się jednak w jego pamięci głównie dzięki *Mozartkugel*, „bombkom Mozarta”, okrągłym pralinkom nadziewanym marcepanem z pi- stacjami. Wolał więc nie podtrzymywać tematu.

Opowiedział jej za to, że jedzie do Irkucka, gdzie będzie na niego czekał Tola, że mają zamiar wybrać się razem do źródeł Angary, a może i do Szamańskiego Kamienia, ale z całą pewnością na wyspę Uszkanie, bo chcą zobaczyć białe foki, no i że Tola pokaże mu, jak się łowi ryby w przeręblu. W tym momencie Oksana chciała wiedzieć, kim właściwie jest Tola i tym pytaniem wpędziła Jana w niemały kłopot, bo okazało się, że wcale nie jest prosto na nie odpowiedzieć, a już z całą pewnością nie da się odpowiedzieć krótko, co jednak bardzo ucieszyło Oksanę, która natychmiast powiedziała, że w podróży uwielbia słuchać długich historii, a najbardziej romantycznych. O tym Jan mógł ją z czystym sumieniem zapewnić, historia Toli i Aleksandry w pełni tym kryteriom odpowiadała, z tym całym szukaniem się, gubieniem i odnajdowaniem od nowa. Gubienie się było przy tym specjalnością Aleksandry, szukaniem i odnajdowaniem zaś zajmował się głównie Tola, uparcie w niej zakochany od trzynastego roku życia i mający z nią rzeczywiście krzyż pański, bo ze wszystkich dziewczyn chodzących po tym Bożym świecie wybrał sobie akurat taką, która uczyniła ze swojej samotności dzieło sztuki i nawet dziecka nie uznała za wystarczający powód, żeby z niej zrezygnować. Pomijając już fakt, że jakoś zupełnie zapomniała o tym dziecku Tole poinformować, co zdaniem Jana nie było w porządku. Do tej pory pamiętał, jak wtedy, w Boże Narodzenie, Tola powiedział z rozgoryczeniem: „My nigdy nie byli razem. Ja był jej rab, a ona panienka ze dworu. Tak też zostało: dzielić niczego ze mną nie chce - ani dziecka, ani siebie. *Normalno to tak?* Na odległość jej wyciągniętej ręki ja jestem, z pragnienia usycham, a ona ręki nie wyciągnie i wody nie poda". I to akurat ta Aleksandra, taka dobra, taka czuła dla każdego żywego stworzenia, a już szczególnie dla tych swoich czternastu psów, w stosunku do Toli potrafiła mieć serce z kamienia, a przecież bardzo mu była potrzebna, bo on ani Polak, ani Rosjanin i innego miejsca na świecie nie ma.

W tym momencie broda Oksany zaczęła podejrzanie drżeć, długie rzęsy roztrzepotały się jak spłoszone ptaki i posypały się spod nich grube łzy.

- Ale teraz wszystko się zmieniło! - zawołał Jan pospiesznie. - Aleksandra potrzebowała, co prawda, bardzo dużo czasu, żeby zauważyć, że zależy jej na Toli, ale w końcu, chwalić Boga, zauważyła. Dała mi list dla niego i kazała powiedzieć, że bardzo czeka. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego tak się niepotrzebnie męczyci tyle czasu.

- Ach, Boże mój, Boże mój, widocznie tak już musi być, kiedy ludzie się kochają! - chlipnęła Oksana, wycierając nos białą batystową chusteczką, ozdobioną monogramem wyhaftowanym własnoręcznie w ramach zajęć z rękodzieła. - Wszystko wtedy przeżywa się intensywniej, szczęście jest szczęśliwsze, ale ból też jest bardziej bolesny. To bardzo piękna historia i taka niezwykła! Twój Tola musi być wspaniałym mężczyzną, u nas w Krasnojarsku takich z całą pewnością nie ma. U nas wszędzie tyle jest chamstwa i wulgarności, wszyscy są tacy, jak ci dwaj pijacy w tamtym wagonie. Aleksandra musi być wyjątkową kobietą, skoro jest tak bardzo kochana!

- Wyjątkową z całą pewnością - przytaknął z przekonaniem Jan. - Nie znam nikogo innego, kto by hodował czternaście psów i spędzał czas na wykopywaniu skamieniałych górien. Wiesz, ona studiuje paleontologię i interesuje się wyłącznie tym, co istniało pięćdziesiąt milionów lat temu. Być może Tola wydał jej się po prostu niepoważnie młody i nieprzyzwoicie żywy.

- A ja tam mam nadzieję, że będą bardzo, ale to bardzo szczęśliwi - oświadczyła Oksana. - To takie ważne, żeby ludzie żyli dobrze ze sobą, żeby się wspierali i szanowali! Szczególnie jeżeli mają dzieci.

- Jasne, jasne - zgodził się pospiesznie Jan, który jeszcze nigdy nie prowadził z dziewczyną dyskusji o miłości i czuł się raczej nieswojo. - Tola jest bardzo w porządku, a z Aleksandrą zawsze się dobrze rozumieliśmy, choć jest kompletnie sfiksowana. Chciałbym tylko, żeby oboje gdzieś się w końcu zadomowili – Aleksandra w tężniejszości, a Tola w Polsce. Ludzie, którzy nie są na swoim miejscu, są okropnie męczący. Wiem coś na ten temat, bo moja matka wychowała się

w Polsce, resztę życia spędziła w Niemczech i teraz ani tu, ani tam nie pasuje. Jednych wciąż jeszcze nie zaczęła rozumieć, a innych już przestała. Kompletna katastrofa.

- My tu też przestaliśmy być na swoim miejscu, choć nawet się z niego nie ruszyliśmy. - Oksana westchnęła. - Po prostu Syberia okazała się niepotrzebna, a my z nią. Nie pasujemy do nowego systemu. Jeszcze zobaczysz, ile tu opuszczonych wiosek, zamkniętych baz wojskowych i nieczynnych fabryk. Niektórzy jeszcze mają nadzieję, że ci na górze kiedyś sami zrozumieją, ile tu bogactwa leży pod ziemią i jak ważna jest Syberia, ale ja w to nie wierzę. Jak skończę szkołę i studia, wyjadę stąd i założę własną firmę w Moskwie albo Petersburgu, tam zupełnie inaczej się żyje. Tam jest przyszłość, na zachodzie. Widzisz ten słup? Tu zaczyna się Azja. Do Władywostoku jeszcze siedem tysięcy kilometrów, szmat kraju, a po drodze nic i nic, pustka i biel. Gdzieś tam pośrodku tej pustki żyją ludzie, ale ludzie są mali i z Moskwy ich nie widać. Łatwo więc o nich zapomnieć.

Właściwie czego szukał Napoleon, a po nim Hitler, w tej bezgranicznej pustce? - zastanawiał się Jan, rozplaszczając nos na szybie. - Jak wyobrażali sobie podbicie i okupowanie pustki? I jak mogli być tak głupi, żeby uważać, że zajęcie Moskwy rozstrzygnie losy wojny? Przecież ten kraj jeszcze się nawet nie zaczął!

Pokazując słup wyznaczający symbolicznie granicę między Europą i Azją, Oksana pochyliła się nad Janem i pasmo pachnących, miękkich włosów musnęło jego policzek. Zakręciło mu się w głowie z wrażenia, aż musiał wstrzymać na chwilę oddech. Ostrożnie położył rękę na jej ramieniu, które wydało mu się kruche i delikatne, jak skrzydło ptaka, a kiedy odwróciła ku niemu twarz, zobaczył, że jej oczy są szczelnie zamknięte, a wargi lekko rozchylone. Przyciśnięcie ust do tych warg wydało mu się w tym momencie najnaturalniejsze na świecie, więc zrobił to i nic nie dało się porównać ze słodyczą tego pocałunku.

Ale za Tiumeniem weszli do przedziału dwaj mężczyźni, potężne chłopiska w futrzanych uszatkach, wojskowych panterkach i wysokich futrzanych butach,

pracujący na polach naftowych. Zajęli pozostałe miejsca, przebrali się w wygodne dresy, wyciągnęli butelkę wódki i kieliszki, rozłożyli zapasy i zaczęli nimi serdecznie częstować. Zdezorientowany Jan nie był pewien, czy jest ich obecnością rozczarowany, czy też odczuwa ulgę. Pocałunek był doznaniem nowym i fascynującym, ale Oksana pochodziła z innego świata, poniekąd nawet z innego czasu i choć o niczym tak nie marzył, jak o dotknięciu palcem jej szyi, tego miejsca, gdzie pod delikatną skórą widoczna była pulsująca niebieskawa żyłka, i przyciśnięciu do niej ust, to przecież zdawał sobie sprawę z tego, że za cztery dni się rozstaną, Oksana wróci do tej swojej dziwnej szkoły dla szlachetnych dziewcząt, a jego pociąg uniesie dalej. Po powrocie do Niemiec wszystko wyda mu się snem - już mu się wydawało.

Jan spędził w Rosji trzy tygodnie i w każdej minucie tych dwudziestu jeden dni odchodziłam od zmysłów. Zdanie: „Jak mogłam być taką beznadziejną idiotką i pozwolić dziecku pojechać do tego dzikiego kraju”, nie schodziło mi z ust. Wyobrażenia malowała przed moimi oczami obrazy grozy, z których te z obudzonymi z zimowego snu krwiożerczymi niedźwiedziami należały do niewinniejszych. W moich snach Jan obcinał sobie scyzorykiem odmrożone palce u nóg, rozebrany do naga przez bandziorów, szedł przez bezludną tajgę otoczony kręgiem pałających czerwono wilczych oczu, osuwał się powoli jak w zwolnionym filmie pod pękający lód Bajkału albo dogorywał w zadymionym czumie na dysenterię, pośród tępo przyglądających się jego cierpieniom Ewenków.

Dwa razy dziennie dzwoniłam do Jochena, który już wrócił z Rosji i z anielską cierpliwością zapewniał mnie, że Janowi nie zagraża żadne niebezpieczeństwo, pod opieką Toli z całą pewnością włos mu z głowy nie spadnie, a Sybiracy są ludźmi wyjątkowo uczynnymi i serdecznymi. Czy zastanawiałam się kiedykolwiek, z jakim ryzykiem związana jest każda podróż po niemieckiej autostradzie i życie wśród narodu słynącego ze swojej obojętności?

W Hamburgu znowu znaleziono wysuszone na papier zwłoki staruszki, której braku przez trzy miesiące nikt, ale to nikt nie zauważył. No więc w bezkresnej pustce Syberii coś takiego nie mogłoby się zdarzyć, bo tam człowiek wciąż jeszcze interesuje się drugim człowiekiem i nawet takich staruszek nie uważa się za całkowicie zbędne.

Na chwilę uspokajałam się, żeby za parę minut znowu do niego zadzwonić, w ostatnim stadium hysterii:

- A niedźwiedzie? Rysie? Kleszcze?

Po tygodniu zupełnie przestałam spać. Spędzałam noc z szeroko otwartymi oczami, wbitymi w sufit, zadając sobie wciąż to samo pytanie: Jak mogłam puścić moje bezbronne dziecko na Syberię? Jaki czort mnie opętał?

Znajomi zaczęli traktować mnie jak niezupełnie nieszkodliwą wariatkę. Chcąc podtrzymać mnie na duchu, mówili, żebym się w ogóle nie martwiła, bo nic tak szybko nie dociera do człowieka, jak złe wiadomości. Dla podbudowania tej teorii przytaczali przerażające historie z prawdziwego życia, w których spadały z nieba samoloty, tonęły statki, wybuchały piecyki i wykolejały się pociągi, podsuwając mi parę tych ostatnich pomysłów na katastrofę, na które sama jeszcze nie wpadłam. Czuli się bardzo urażeni, kiedy zaczynałam wrzeszczeć, żeby mi dali święty spokój: chcieli przecież jak naj lepiej.

Po czternastu dniach już nawet nie próbowałam zasnąć. Kładłam się do łóżka z butelką wina i książką, chociaż patrząc na strony pełne literek, widziałam jedynie szeregi roztańczonych mrówek, a wino wyostrzało moje zmysły. Każde uderzenie odległego zegara na kościelnej wieży wydawało mi się eksplozją, zimny blask księżyca błyskawicą, ptasie rozhowory przed świtem krzykiem. Dlatego też natychmiast usłyszałam zbliżające się kroki Jana, który jak zwykle wahał się, czy powinien o tak późnej porze zajrzeć jeszcze do mojego pokoju, wiedząc jednocześnie, że ucieszę się, widząc go całym i zdrowym. W końcu nacisnął kłam-

kę, podszedł cicho do mojego łóżka i przykucnął tuż obok stojącej na podłodze szklanki z winem.

Przede wszystkim poczułam szaloną ulgę i radość. Kamień spadł mi z serca na widok jego spokojnej, uśmiechniętej twarzy, takiej znajomej i tak bardzo kochanej, trochę może wychudzonej, ale zadowolonej przecież i tak jakby bardziej dojrzałej, chociaż nie widziałam go przez zaledwie dwa tygodnie. Po każdym jego wyjeździe wydawało mi się, że wydorósł, nawet kiedy był małym dzieckiem i nieobecność jego trwała zaledwie kilka dni, cóż dopiero teraz, kiedy wracał z syberyjskiej tajgi.

ALE PRZECIEŻ MIAŁ WYKUPIONY BILET NA SAMOLOT, KTÓRY ODLATYWAŁ Z MOSKWY DOPIERO ZA TYDZIEŃ!

Poderwałam się z łóżka, czując dławiącą mnie panikę. Co to miało, u Boga Ojca, znaczyć? Dlaczego Jan wrócił wcześniej?

Dlaczego nie zadzwonił, żebym go odebrała z lotniska?

- Mróweczko kochana, czy coś się stało? - zawołałam.

Jan wyciągnął do mnie rękę, chcąc zapewne uspokajająco poklepać mnie po ramieniu. „No, no, tylko się nie denerwuj, mamuśka” - miał zwyczaj mawiać w takiej sytuacji, cytując ulubione powiedzonko Pawła, którego mamuśka zwykle miała wszelkie powody do zdenerwowania. Otworzył usta, ale zanim wyszedł z nich jakikolwiek dźwięk, jego postać zaczęła blednąć i rozwiała się na moich oczach

Ryk, który wydarł się z mojego gardła, nie przypominał w niczym ludzkiego głosu. Był to ryk śmiertelnie rannego, przerażonego zwierzęcia. W naszej rodzinie nie miało się widzeń ot tak, halucynacje były uważane za dowód odchylenia psychicznych, natomiast panowało głębokie przekonanie, że istnieją niewytłumaczalne zjawiska, których pojawienie się ma głęboki sens. Innymi słowy, jeżeli już coś się ukazywało, to po to, żeby przekazać jakieś ważne przesłanie.

- Coś się Janowi stało - szlochałam w słuchawkę. - Z całą pewnością coś mu się stało, dlatego się pojawił. Nigdy sobie nie daruję, że pozwoliłam mu pojechać do tego straszego kraju, zabiję się, jeżeli...

- No, no, nie przesadzaj - przerwał mi surowo Jochen. – To wcale nie jest straszny kraj, wprost przeciwnie, tam też żyją ludzie, i to wspaniali. Co mu się niby miało stać? Byłem już w wielu niebezpiecznych miejscach na świecie i zapewniam cię, że Bajkał do nich nie należy, przynajmniej nie w tej chwili.

Nic jednak nie mogło mnie uspokoić. Szalałam ze zdenerwowania, dręczona najgorszymi przeczuciami. Po pięciu dniach te przeczucia stały się pewnością, byłam całkowicie przekonana, że mojemu dziecku przydarzyło się coś okropnego i bez wątpienia rychło bym oszalała, gdyby nie to, że Jan zadzwonił przed odlotem z Moskwy. Słyszając jego głos, zalałam się łzami.

- O moje najukochańsze maleństwo, mój jedyny skarbie, tak bardzo się o ciebie bałam, rozwiałeś się nagle na moich oczach, po prostu zniknąłeś jak duch, a może to w ogóle był duch, w każdym razie widziałam cię tydzień temu w moim pokoju, stałeś tuż koło mojego łóżka, słowo daję.

- Hm, rozumiem, tuż koło twojego łóżka - powtórzył z pewną rezerwą Jan. - Tu nad Bajkałem ludzie też różne rzeczy widują, Tola mi opowiadał. Myślisz, że wytrzeźwiejesz do jutra i będziesz mogła wyjechać po mnie na lotnisko?

Jan nigdy nie był rozmowny. Właściwie był wręcz rozpaczliwie małomówny. Już na lotnisku zaczęłam go zasypywać pytaniami:

Jak było? Co widział? Jak ludzie tam żyją? A jak tam Tola? – ale tylko uśmiechał się jak sfinks i mówił:

- *Normalno.*

- Co to znaczy: *normalno!*

- Wszystko. Od „znośnie” po „koszmarnie”. Rosjanie zawsze ci odpowiadają, że jest *normalno*. Pensji od roku nie dostają: *normalno*. Przestali przysyłać za-

opatrzenie: *normalno*. Autobusy nie kursują: *normalno*. Tam naród jakiś inny, pokorniejszy, nie narzeka tak jak tu, kartoszkę gołymi rękami kopie, ryby z przerebła wyciąga, lód na wodę do picia przetapia i mówi, że żyje *normalno*.

I to było najdłuższe sprawozdanie z podróży, jakie z niego wyciągnęłam. Po paru dniach wywołał zdjęcia i nawet mi je łaskawie pokazał. Na zdjęciach widać było przede wszystkim brzozy, jak okiem sięgnąć brzozy, i niekończącą się biel, a poza tym mężczyzn w uszankach i walonkach przy ognisku, zaprzężone do sanek koniki w półokrągłych duhach, chałupinki, zapadnięte po parapety w ziemię, drewniane płoty, uwiecznione pośród lodów statki, śnieżnobiałe foki, drewniane cerkwie Irkucka, skośnookich Buriatów, myśliwych w panterkach, Tolę ze świeżo złowionym omulem, konduktorkę o macierzyńskim uśmiechu - Bóg ci zapłać, dobra kobieto, że opiekowałaś się moim dzieckiem! - i rozsadzających kurtkę munduru piersiach, no i tę dziewczynę o włosach koloru pszenicy, oczach jak dwa agresty i niewiarygodnie długich rzęsach.

- A to kto? - zapytałam.

- Jedna taka... z pociągu. Oksana.

I nic więcej.

Parę dni później zobaczyłam, że stoi w zamyśleniu przed kwitnącym drzewkiem migdałowym. Potrząsnął pniem i na ziemię opadł łagodnie obłok różowych płatków.

- Takich tam nie widziałem - powiedział. - Ani magnolii czy glicynii, forsycji też nie. Cedry są, modrzewie, świerki i brzozy - dużo, dużo brzóz! - ale nic, co by tak ładnie kwitło. Wszystko tam jest inaczej.

Wiadomość, że Tola zamieszkał z Aleksandrą i dzieckiem, wcale go nie zdziwiła. Ponieważ kwestia psów okazała się nierozwiązywalna, Tola wynajął swoje przytulne mieszkanie na Pięknej niemieckiemu przedstawicielowi Siemensa, a sam przeniósł się do Łosinka, gdzie kolejna firma mojego szwagra akurat

padła, dzięki czemu zwolniło się trzypokojowe mieszkanie, zajmowane dotychczas przez kierownika produkcji, co tylko do pewnego stopnia można było nazwać szczęśliwym zbiegiem okoliczności.

Obecność Toli w Łosinku zainspirowała męża mojej siostry do importu ziół leczniczych Przybajkala, szczególnie słynnego „złotego korzenia”, czyli różeńca górskiego, uważanego za syberyjski odpowiednik żeń-szenia. Okres testowania nalewek z różeńca na spirytusie zapisał się w pamięci mojej siostry bardzo miło, bo rzadko zdarzało się, że mąż tak czynnie włączał ją w sprawy firmy. Bardziej kłopotliwe okazały się przypominające duże figi suszone niedźwiedzie woreczki żółciowe, które Adam zamierzał sprzedawać za tysiące dolarów do Chin, gdzie przypisywano im niezwykłą moc, szczególnie przy leczeniu impotencji. Niestety, zanim znalazł na rynku azjatyckim odpowiedniego partnera, część woreczków zaśmierdła, a resztę zjadły psy Aleksandry. Moja siostra próbowała go pocieszyć, twierdząc, że nakarmione cudownym lekarstwem kundle już nigdy nie będą potrzebowały weterynarza i zaoszczędzi się w ten sposób grube tysiące.

Rózeniec natomiast okazał się istotnie dobrym interesem i przynajmniej przełotnie ustabilizował sytuację finansową mojej siostry. Tola, uszczęśliwiony, że nareszcie może żyć u boku Aleksandry, pogodził się z faktem, że rodzina, którą tak bardzo chciał mieć, jest znacznie większa, niż się spodziewał, i obejmuje nie tylko czternaście psów Aleksandry, ale i męża mojej siostry, prowadzącego nadbajkalskie interesy. Nie pozostało mu zresztą nic innego do zrobienia.

- Skąd właściwie człowiek wie, że to jest właśnie miłość? - zapytał mnie znieczeka Jan, kiedy w kuchni siekałam cebulkę do sałatki.

- Po prostu wie - odparłam po chwili sumiennego zastanowienia, bo nie chciałam udzielić dziecku fałszywej informacji. - Nic innego nie wydaje mu się równie godne uwagi. Liczy się tylko czas spędzony z ukochaną osobą i człowiek jest

skłonny wiele poświęcić, żeby tylko móc przebywać w jej pobliżu. To tak jak narkotyk, wiesz?

- Nie wiem - mruknął Jan, a ja skarciłam się w duchu za głupotę.

Po paru tygodniach przyszedł list z Krasnojarska. Jan schował go do kieszeni i nigdy nie wspomniał ani słowem. Właściwie chciałam go zapytać wprost, kto do niego napisał aż z Krasnojarska i czy aby pamiętał mi odpowiedzieć, ale nadeszła wiosna i znowu poleciałam na Ischię. Pobyt na wyspie miał przebieg raczej burzliwy i nic dziwnego, że po powrocie list zupełnie wyleciał mi z głowy.

*

Na autostradzie nie było korków, przybyliśmy na lotnisko punktualnie, przed stanowiskiem Lufthansy czekało zaledwie parę osób, bagaż nie miał nadwagi i mogłam sobie wybrać miejsce przy oknie. Odwróciłam się z uśmiechem do Jana, uścisnęłam go serdecznie, co zniósł mężnie, choć lekko zeszywniał. Akurat zdążyłam jeszcze powiedzieć: - No to już wracaj do domu, kochany - kiedy litery na tablicy informacyjnej zawirowały ze szczękiem i ułożyły się w słowo *cancelled*, odwołany. Neapol *cancelled*, Florencja *cancelled*, Mediolan *cancelled* i Rzym też *cancelled*.

- Zamknij usta, bo wyglądasz jak tępak - poradziło mi przyjaźnie dziecko. - Pewnie we Włoszech panują złe warunki atmosferyczne.

- Od Mediolanu po Sycylię? - zdenerwował się grubas w słomkowym kapeluszu i hawajskiej koszuli, trzymający pod pachą siatkę na motyle. - To na pewno porywacze albo terroryści, w dzisiejszych czasach aż strach wsiąść do samolotu.

- Ach, gdzie tam - włączyła się do rozmowy kobieta z usmarkanym chłopczykiem i grubawą dziewczynką. - Na pewno znowu strajkują. Oni tam zawsze

strajkują, a jak nie strajkują, to śpiewają i nikt się nie zastanawia, co ja mam teraz z tymi dziećmi zrobić. Zameczą mnie przecież na śmierć!

Na te słowa chłopczyk przestał z oddaniem dębać w nosie, rzucił siostrze porozumiewawcze spojrzenie i oboje wybuchnęli zgodnym rykiem.

- No właśnie, sami państwo widzicie - stwierdziła matka z rezygnacją.

- A może by tak w dupę dać? - zaproponował uczynnie grubas i zaraz zainkasował za tę uwagę zimną pogardę całej trójki. Reszta pasażerów oddaliła się pośpiesznie, pozostawiając wokół matki z dziećmi krąg pustki, jak wokół zadżumionych, i rozpierzchnęła się po hali lotniska, usiłując osaczyć zwinnie kluczący personel. Dopiero po godzinie podano oficjalnie do wiadomości, że we Włoszech strajkuje kontrola lotów, opóźnienia wynoszą od dwóch do dwunastu godzin i niektóre loty zostały anulowane. Wysłałam więc Jana do domu i nastawiłam się na długi i mozolny dzień. Ostatnio coraz częściej gratuluję sobie, że czasom mojego polskiego socdzieciństwa zawdzięczam pewien trening w czekaniu, bo okazji ku temu jest coraz więcej.

Dotarłam do Neapolu późną nocą. Na lotnisku panował kompletny chaos, ochrypnięci agenci biur podróży miotali się z obłędem w oczach, starając się zapewnić swoim podopiecznym na resztę nocy jakikolwiek dach nad głową. Przemęczeni klienci, bliscy hysterii, ale szczęśliwi, że nareszcie mają kogo się czepiać, zarzucali ich pretensjami i pogróżkami.

- Promy już od dawna nie kursują - wyrzęziła ślaniająca się na nogach panienka z Ischia Tourist. - Wszystko, co tylko jest w stanie utrzymać się na wodzie, zostało wycarterowane. Może pani zabrać się z nami, podrzucimy panią do Casamiccioli, a dalej pojedzie pani sobie taksówką. Może pani też nocować tu, w Neapolu, Vesuvio na Via Partenope leży blisko portu i ma piękny widok na Castello dell'Ovo - chociaż po co pani widoki w nocy? - albo w Potenza na Piazza Garibaldi, obskurny, ale tani, na tych parę godzin akurat wystarczy. Zresztą może

też pani próbować wpływ, bo ja wiem, co pani jeszcze może, wiem tylko, że jestem od piątej rano na nogach i zaraz dostanę ataku hysterii.

Przejazd na wyspę był tym razem wyjątkowo dramatyczny. Wodolot wspinał się jak spłoszony koń i ciężko opadał z powrotem, z hukiem zamykały się nad nim czarne fale i przez nieskończenie długie sekundy nie wiadomo było, czy kiedykolwiek znowu się wynurzy. Siedząca obok mnie signora wyjęła drewniany różaniec i zaczęła modlić się głośno, jej sąsiad szukał pociechy w odkręconej drżącymi palcami piersiówce, jakiś piskliwy kobiecy głos zawołał histerycznie: - To skandal! Z tego będą musieli wytłumaczyć się mojemu adwokatowi! - podczas gdy załoga z niewzruszonym spokojem rozdawała plastikowe torebki. Kątem oka zauważyłam poznaną we Frankfurcie kobietę z dziećmi: dziewczynka wymiotowała z mściwym wyrazem twarzy do słomkowego kapelusza grubasa w hawajskiej koszuli, który najprawdopodobniej tego wcale nie widział, bo miał szczelnie zamknięte oczy. Nagły zryw statku wyrzucił z toalety starszą panią ze spuszczonej do kolan majtkami z prążkowanego rypsu, ale wstrząsani chorobą morską pasażerowie mieli inne problemy i nie zaszczycili jej ani jednym spojrzeniem.

Na nabrzeżu w Casamiccioli potężny podmuch wichru w okamgnieniu odwrócił moją parasolkę i oderwał materiał od pręcików. Stałam bezradnie, trzymając w ręku do niczego niezdatny metalowy szkielet, lodowate zimno przeszywało mnie do szpiku kości, a płatki śniegu zaklejały powieki. ***Znawcy jeżdżą na Ischię w kwietniu*** - przypomniało mi się zdanie, zaczynające w przewodniku rozdział zatytułowany „Kiedy jechać do Kampanii”. - ***Zakwita wówczas makchia***^{*88} ***wszelkimi kolorami tęczy i pokrywa zbocza Epomeo pachnącym kobiercem dzikich ziół. Białe anemony, błękitne bodziszki, żółte janowce, czerwone ostróżki, różowe oregano i fioletowa szalwia otoczone zaroślami oleandrów, rozsiewają***

⁸⁸ * Wieknie zielone zarośla w basenie Morza Śródziemnego.

odurzający zapach i radują oczy. Czasami zdarza się przelotny wiosenny deszczyk, oczyszczający powietrze i podkreślający bogactwo barw.

Jedyna stojąca jeszcze na postoju taksówka była przedpotopowym wehikułem na trzech kołach, którego kierowca patrzył ponuro spode łba. Wypchana była już po brzegi, w pierwszym rzędzie masą ciała niemieckiej matrony, która spoczywała w poprzek siedzeń i kolan pozostałych pasażerów. Potężną nogę o mocno spuchniętej kostce umieściła po przeciwnej stronie pojazdu, zagradzając w ten sposób wstęp do jego wnętrza. Na moje uprzejme „dobry wieczór” z głębi taksówki wionęła ku mnie fala wrogiego milczenia i nikt nawet nie drgnął, żeby zrobić mi miejsce. Przykucnęłam więc pokornie na podłodze, a właścicielka tęgiej nogi przydusiła łokciem mój kark do ziemi. Pomyślałam sobie, że tegoroczny pobyt na wyspie nie najlepiej się zaczyna.

Don Battista na szczęście jeszcze nie spał. Otworzył bramę w przykrótkim szlafroku, spod którego wyglądała nocna koszula, targana przez wiatr.

-Aj, *principessa*, czyś ty na głowa upaść, żeby przyjeżdżać o czwartej rano? - powiedział zrzędlawie, usiłując zebrać na piersi połę szlafroka pokrytą brunatnymi plamami ręką. - Czy u ciebie nic *sensibilità**⁸⁹ nie zostać? Myślisz, że ja nic innego nie mieć do roboty, tylko czekać po nocy, aż ty raczyć się pojawić?

- Don Battista, ledwie żyję - jęknęłam. - Nieomalże utonęłam

I w ogóle cud, że doleciałam. Nie oglądał pan wiadomości? W całych Włoszech strajkuje kontrola lotów.

- Takich wiadomości to ja nie oglądać - stwierdził z godnością don Battista. - Strajki mnie nie interesować, u mnie w hotelu jeszcze nigdy nikt nie strajkować i póki ja żyć strajków nie być. W wielkich miastach ludziom we łbie się przewracać. Ty chyba nie myśleć, że w ta pora kolację dostać? Kuchnia zamknięta!

⁸⁹ * delikatności

- Gorącą herbatę, bardzo proszę - poprosiłam pokornie. - Pisał pan przecież, że jestem jak lampa oświetlająca ciemność, więc to chyba nie jest wygórowane życzenie?

Don Battista niezdecydowanie podrapał się po łysej czaszce. Poły szlafroka rozchyliły się, ukazując chude piszczele nóg i bawełniane gatki. Nagle roześmiał się, stanął na czubkach palców i wycisnął na moim policzku mocny pocałunek.

- Witaj w moim domu, *tesoro mio*^{*90}! - zawołał młodzieńczym głosem. - Chodź, ja zaraz zrobić ci herbaty, gdyż serce moje być wierne i cieszyć się, że ciebie widzieć. Nawet kawałek szynki ci ukroić.

O piątej rano padłam na łóżko jak kamień i zasnęłam ciężkim snem bez sennych marzeń. Niestety, już o wpół do szóstej obudził mnie dzwonek telefonu: Jan nie mógł znaleźć kluczy do piwnicy, gdzie stał jego rower. Wytłumaczyłam mu, gdzie ma ich szukać, i naciągnęłam koldrę na głowę, ale po półgodzinie Jan znowu zadzwonił, żeby mi powiedzieć, że klucze znalazł i bardzo mi dziękuje. Cicho kwiląc, włożyłam do uszu wate, ale zaledwie udało mi się zdrzemnąć, wyrzucił mnie z łóżka niehumanitarny hałas: to don Battista szarpał przeszklonymi drzwiami na taras, trzymając w ramionach wielki bukiet kwiatów.

- Wyłazić z łóżka, bo nie zdążyć na śniadanie! - wołał wesoło. - Popatrz, jaki elegancki bukiet ja zrobić dla ciebie i pospiesz się, bo nikt na ciebie czekać nie będzie!

Powietrze było czyste i świetliste, nic nie przypominało o nocnej nawałnicy. Nad spokojną powierzchnią morza rysowała się na tle bezchmurnego nieba sylwetka Castello, słońce stało już nad kopułą klasztoru świętej Klary i złociło blanki murów. Na ten widok ogarnęła mnie radość, jakbym spotkała starego przyjaciela, i znów zapragnęłam mieć go przed oczami przez resztę życia. Życie

⁹⁰ * mój skarbie

z widokiem na Castello znacznie ułatwiłoby mi uniezależnienie się od wspomnienia Łosinka, które jak zadra tkwiło w moim sercu.

- Już idę, don Battista! - zawołałam i wyskoczyłam z łóżka.

Przy śniadaniu okazało się, że z dawnych znajomych obecni byli jedynie pani Pawelke, całkowicie zaabsorbowana wiosennymi porządkami w ogrodzie, podczas kiedy jej nieobecny duchem mąż zatopiony był w lekturze „Financial Timesa”, donna Cornelia, bezwładnie spoczywająca na swoim specjalnym fotelu podwójnej szerokości przed apartamentem Magnolia i Cookie w towarzystwie „ojca”. Holzbrinckowie przebywali, jak zwykle o tej porze roku, w letnim domu Franka w Brissago, którego okna wychodziły na Lago Maggiore.

Nie odczuwałam, co prawda, szczególnie dotkliwie braku profesora Schnuller-Gatzweilera, bo w końcu jak długo można słuchać wykładów o stylach pompejańskich i *opus spicatum*, ale cieszyłam się na spotkanie z panem Reissem i poczułam się bardzo rozczarowana, kiedy don Battista mi powiedział, że kontuzja kolana zmusiła go do przesunięcia terminu przyjazdu. Miałam nadzieję, że nie będzie to poważne opóźnienie i zobaczę go wkrótce, znowu usiadziemy przy tym samym stoliku, pan Reiss opowie mi o swoim dzieciństwie nad łagodnymi zakolami Niemna, a ja odniosę wrażenie, że dziadek znajduje się gdzieś w pobliżu. Kiedy zamknę oczy i bardzo się skoncentruję, to może uda mi się poczuć zapach jego wody kolońskiej i papierosów, które palił w długiej fifce, jakie już od dawna wyszły z użycia.

No cóż, zawsze był jeszcze inny wspaniały starzec, don Battista, który przy kolacji przeszedł samego siebie, racząc nasze uszy nieomalże kompletnym dorobkiem wielkiego Verdiego, od „Nabucco” po „Falstaffa”, przy czym nieco ucierpiała, niestety, jakość doskonałego *ossobuco*^{*91} Agnesiny, bo stygło, kiedy maestro zamierał z półmiskiem w dłoni i oczami skierowanymi w sufit, żeby wy-

rzucić ze złotego gardła kolejną arię. Don Battista był niewątpliwie starcem wspaniałym, ale w żadnym wypadku skromnym, brakowało mu też wielkodusznej łagodności pana Reissa; szczerze mówiąc, był pełen pychy, ale, jak to słusznie powiedział kiedyś Jochen, lubiliśmy tego skurwysyna.

Po kolacji maestro przyjął z godnością aplauz zebranych, dziękując z ręką na sercu lekkim skinieniem głowy i zataczając obutą w klapek prawą nogą elegancie półkola. Krążył po sali, zagadując uprzejmie stałych gości, podniósł do ust serdelki palców pani Corneli, poklepał po policzku Cookiego, przysiadł się na chwilę do państwa Pawelke, a do mnie powiedział władcym tonem:

- Ty tu zostać po kolacji.

- Mam pozbierać ze stołów czy pozmywać? - zapytałam ulegle, ale nie raczył odpowiedzieć. Czekać na dalsze wytyczne, poszłam do kuchni, pogawędzić z Agnesiną, dla której przywiozłam z Niemiec w prezencie apaszkę w złote stylizowane secesyjne lilie na niebieskim tle. Agnesina wydała okrzyk zachwyty, przycisnęła mnie do piersi i wycalowała, zarzucając jednocześnie lawiną słów, z których zrozumiałam tylko połowę, a i tę pewnie źle, bo wynikałoby z nich, że Agnesina urodziła zimą bardzo udane niemowlę, do tego nieślubne. Ponieważ w październiku w żadnym wypadku nie była w ciąży, musiałam założyć, że mamy do czynienia z problemem lingwistycznym, a nie moralnym, i postanowiłam skonsultować się w sprawie tego tajemniczego niemowlęcia u don Battisty. Na wszelki wypadek pogratulowałam jej jednak, a ona przyjęła moje gratulacje z dumą i radością.

Agnesina w końcu pożegnała się i odjechała w kierunku portu na swojej *motoretta*, a ja zostałam w kuchni sama z don Battistą, który wskazał mi gestem ręki krzesło przy zlewie i wyciągnął z czeluści szafy butelkę wina.

- Białe lacryma christi, szlachetne i drogie wino – powiedział z namaszczeniem. - Rosnąć na zboczach Wezuwiusza, tam, gdzie upaść łzy naszego Zbawi-

ciela, który zapłakać, kiedy zobaczyć, że szatan zamieszkać w gardzieli wulkanu pośrodku szczęśliwej Kampanii. Jak widzisz, ja nie szczędzić kosztów. A ty skrzyneczka z czerwony atlas w środku kupić?

- Skrzyneczka? Jaka skrzyneczka? - spłoszyłam się.

- No przecież na moje listy, ta skrzyneczka. Cała zima listy pisać, piękne listy, pełne *eleganza* i *sensibilità*, kazać ci je zbierać i do skrzyneczka z czerwony atlas w środku wkładać. Ty nie mieć skrzyneczka?

- Och, mieć, mieć, naturalnie - uspokoilaam go, widząc groźnie błyskające oko. - Z czerwonym atlasem, a jakże, ze złożonymi okuciami i zamykaną na kłódkę.

Pudełko na buty, do którego wrzucałam korespondencję don Battisty, nie bardzo odpowiadało temu opisowi, ale prawdopodobieństwo, że jej autor będzie miał okazję zajrzeć pod moje łóżko, wydawało mi się niewielkie.

- To dobrze, to dobrze. - Skinął poważnie głową. - To piękne, wrażliwe listy, *molto romantico*, ty takich jeszcze nigdy w życiu nie dostawać, co?

- Nie dostawać - przyznałam.

- Ty być bardzo szczęśliwa kobieta, mieć na starość co czytać, prawdziwe *lettere d' amore*, wnukom pokazywać. *Salute!*

- *Salute*, don Battista, ja też tak to widzę - zgodziłam się z nim, maczając wargi w winie. - Przyjaźń pana uważam za duży zaszczyt i bardzo bym chciała jeszcze przez wiele, wiele lat - najlepiej w ogóle do końca życia - przyjeżdżać tu, na Ischię, i u pana boku patrzeć na Castello. Opowiedział mi pan kiedyś historię pięknej przyjaźni Vittorii Colony i Michała Anioła, takiej romantycznej i głęboko duchowej... No więc dokładnie tak samo wyobrażałam to sobie także i u nas.

- *Principessa! Carissima Vittoria!* - wychrypiął don Battista, zaciskając szpony swojej ręki na mojej lewej piersi. - Tak, tak, ja

być twój Michelangelo i z tego bloku zimnego marmuru kobieta wyciosać, *amore* nauczyć!

Wąskie wargi przykleiły się do moich ust, a zwinny języczek pracowicie usiłował przedrzeć się przez mur szczelnie zaciśniętych zębów. Rany boskie! - pomyślałam ze zgrozą. - No i co teraz? Przecież nie mogę dać staremu człowiekowi po prostu po pysku, jeszcze mu się sztuczna szczeka złamie albo co.

- Ja brzd przprszm, don Battista - wybelkotałam, starając się nie rozchyłać warg - ale to jakieś strszn nieporzmnie. Jakże to tak... wstyd przecież... w tym wieku?

- A mnie tam twój wiek wcale nie przeszkadzać – stwierdził wspaniałomyślnie don Battista i z nowym zapałem przystąpił do szturm na zasieki mojego uzębienia. Jednocześnie jego prawa ręka wypuściła na chwilę moją lewą pierś, żeby rozpiąć rozporek.

- Ale mnie, psiakrew! - wrzasnęłam histerycznie na widok zwiędłej męskości wielkiego tenora. - Ja tu ojczyzny szukam! Nowego domu! A nie starego kutasa!

- *Che cos' è questo*^{*92} stary kutas? - zainteresował się don Battista, odrywając się na chwilę od moich ust.

- Chciałam przez to powiedzieć, że w żadnym wypadku nie szukam przygody - wyjaśniłam, zastawiając się stołkiem. Trzy lata karate z całą pewnością wystarczały, żeby ogłuszyć don Battistę kantem dłoni, mogłabym też kopnąć go w krocze, ale jakże tu podnieść rękę na starca, którego jeszcze godzinę temu traktowałam jak własnego dziadka? - Żywię dla pana uczucie głębokiego szacunku i podziwiam pański talent, ale absolutnie nie oznacza to, że byłabym zainteresowana zacieśnieniem naszej przyjaźni w sugerowany przez pana sposób.

- *Perchè no?*

⁹² * co to znaczy

- A bo piękno naszej duchowości nie powinno być sprofanowane fizjologią - jęknęłam. - Tylko wtedy będzie ono czyste i szlachetne, uwolnione z więzów małosłownych manipulacji i niskich pożądań.

- Nic nie rozumieć, co ty mówisz - zdenerwował się don Battista. - Bardzo możliwe, że ty bredzisz. My teraz dobrzy przyjaciele, a jak zrobić *amore* być jeszcze lepsi, no to o co chodzi?

Nie chciałam ranić uczuć starego człowieka, wiedząc, jak bardzo mężczyźni bywają przewrażliwieni i jak poważne konsekwencje może mieć dla nich postawienie ich atrakcyjności seksualnej pod znakiem zapytania. Cóż dopiero dla dumnych mężczyzn Mezzogiorno, którym obce są jakiegokolwiek wątpliwości na ten temat.

Miotalam się więc bezradnie między troskliwie macierzyńskim: „Może by pan jednak podciągnął spodnie, drogi don Battista, bo noc jest chłodna i jeszcze się pan przeziębisz”, a cnotliwym: „Mimo burzy emocji, która szaleje w tej chwili w moim sercu, muszę zaapelować do honoru pana, jako dobrego włoskiego katolika, wyznając z niekłamanym żalem, że moje przekonania religijne w żaden sposób nie pozwalają mi robić *amore* bez ślubu”. Nie byłam jednak pewna, czy w tym wypadku don Battista nie byłby skłonny zaproponować mi, nie daj Boże, małżeństwa, co doprowadziłoby do jeszcze gorszych powikłań. Odwróciłam więc skromnie oczy, udając, że nie widzę opadłych do kolan spodni i dyndającego między chudymi udami organu, przypominającego przywiedle brokuły.

- Jest w tym głęboki sens, drogi don Battista - zagaiłam tonem lekkiej konwersacji - że Michał Anioł nigdy nie musnął ustami chociażby czoła Vittorii, nawet czuwając u łóżka jej śmierci. Także i nasz związek powinien pozostać duchowym związkiem dwóch pokrewnych dusz, kreatywnych i niezależnych. Związkiem pięknym i platonicznym. A co nowego u Fabia? Jakże tam jego Klub Palaczy Cygar?

- Ale ty nie być Vittoria Colonna i nie leżeć na łożu śmierci - fuknął don Battista jak rozwścieczony kocur. - Ty nie leżeć na w ogóle żadnym łożu, tylko gadać od rzeczy. My móc robić *amore* już od godziny, gdyby ty nie być taka głupia! Ty w ogóle nie wiedzieć, co tracić!

- Tak jest, don Battista, absolutnie się z panem zgadzam - powiedziałam uprzejmie, wycofując się z kuchni tyłem. - Nie wątpię, że ominęło mnie wyjątkowe przeżycie, ale co zrobić, wychowanie katolickie mi nie pozwala. Od czasu, jak Polak został papieżem, traktujemy te sprawy bardzo, bardzo poważnie. Nie mogę pozbyć się wrażenia, że gdyby doszło między nami do zbliżenia, piorun by we mnie strzelił. Nawet jestem zupełnie pewna co do tego pioruna. Niemniej dziękuję panu serdecznie za tę propozycję i czuję się nią ogromnie zaszczycona, słowo honoru. A teraz pa, pa, pa i *buonanotte*, bo jestem bardzo zmęczona po podróży.

W następnych dniach sytuacja uległa eskalacji.

Początkowo don Battista uważał mój opór za niewieścią kokieterię, wstępne igraszki miłosne i wdzięczne certowanie się, które wymagało co prawda trochę dodatkowego zachodu, ale wzmagało namiętność. Nie mogło być inaczej - życie niezameżnej kobiety, przynajmniej w tej części Włoch, było przecież jednym pasmem poniżenia i udręki, a jedynymi miejscami, gdzie mogła się trochę rozetrwać, były kościół i cmentarz.

Zainteresowanie mężczyzny ogólnie szanowanego, obdarzonego słowicznym głosem i okazałym majątkiem musiało wydawać się takiej samotnicy uśmiechem niebios i tylko oszołomienie nieoczekiwanym szczęściem albo wyjątkowa tępota mogły wytłumaczyć ten niezrozumiały ośli upór. W jednym i drugim wypadku wystarczyło konsekwentnie szturmować twierdzę dalej.

Zastawiałam więc apartament Margherita przemieniony w oranżerię. Z wazonów, wiader i waz do zup wysypywały się snopy kwiatów, wokół luster wędły

girlandy ostrokrzewu, w wannie gniły nenufary, w bidecie lilie, a w koszu od śmieci wysychały pierzaste gałązki palm. Na poduszce znajdowałam winogrona, pod kołdrą pomarańcze, w kapciach cytryny. Z bukietów wyłaziły tłuste stonogi i zaaferowane mrówki, z owoców zwinne skorki, w karafce z wodą topiły się wypadające z kwiatów osy. Cesarina załamywała ręce i kręciła potępiająco głową, a Agnesina urządzała karczemne awantury, kiedy nagle zabrakło w kuchni waz do zup.

Za dnia don Battista zakradał się na mój taras, czołgając w ukryciu żywopłotów, w nocy skrobał cierpliwie do drzwi i czał w korytarzach i rozlicznych zakamarkach willi, żeby wyskoczyć znienacka, zawisnąć kruchym ciałkiem na mojej szyi jak wysuszony świerszczyk i przykleić usta do moich warg. Zupełnie nie wiedziałam, co mam robić, czasami mówiłam sobie: „Biedny, żaloszny staruszek”, ale znacznie częściej: „Zatłukę skurwysyna”.

Moje turkusowe gekko nie mogło znieść takiego napięcia nerwowego i przeprowadziło się do sąsiadów. Zaczęłam nawet za dnia rozglądać się podejrzliwie, badać mroczne zarośla i podskakiwać na każdy szelest. W nocy budziłam się zlaną zimnym potem, ile razy wiatr targnął drzwiami od tarasu, cień Castello wydawał mi się w zimnej poświacie księżycy posepny, a światełko w oknie złowróźbne. Nie mogąc zasnąć, leżałam z szeroko otwartymi oczami wbitymi w sufit i użalałam się nad sobą, bo tylko mnie mogło się tak zdarzyć, że szukając dziadka, znalazłam starego satyra.

Po paru dniach don Battista zmienił taktykę i zaczął traktować mnie z lodowatą pogardą. Nie byłam godna jego miłości. Dostawałam posiłki ostatnia, potrawy lądowały na moim stole na samym końcu, z reguły letnie, często przypalone. Na znak lekceważenia don Battista podawał je, trzymając palec w zupie albo kciuk w ravioli - wołałam nie wiedzieć, gdzie trzymał je przedtem. Wino było kwaśne, woda stęchła, kawa pozbawiona aromatu. Nawet przestał na mnie patrzeć, jakby mój widok był nie do zniesienia.

Mówiąc: - Dziś wieczorem, Margherita: *cotoletta Bolognese o scaloppine al limone**⁹³? - odwracał głowę, a jego pełen urazy wzrok wędrował nad moją potylicą w kierunku Capri i skał Faraglioni.

Przyjmowałam to wszystko z pokorą, bo głupota była, moim zdaniem, jednym z grzechów głównych i zasługiwała na biblijną w rozmiarach karę, a trudno było o większą głupotę, jak szukanie sobie spokojnego miejsca na ziemi pod wulkanem i do tego u boku don Battisty, nawet jeżeli było to miejsce z widokiem na Castello. Co by na taki brak stylu powiedziała Anna Franchetti-Querini?

Wolałam o tym nawet nie myśleć.

Dlatego nie poczułam nawet oburzenia, kiedy siedząc na tarasie, usłyszałam tubalny głos pani Cornellii, tłumaczący piętro niżej pani Kubitschek, przybyłej z nowych landów, z Eisenhüttenstadt nad Odrą w Brandenburgii:

- Robiła sobie, wie pani, pewne nadzieje. Trudno jej się dziwić, don Battista jest w rzeczy samej ogromnie interesującym mężczyzną, wyjątkowej witalności, a co za talent! Oczywiście, znając go od lat, od razu wiedziałam, że są to nadzieje płonne. Artysta tej skali nie związałby się z kimś tak niepozornym. Mówiąc w zaufaniu, gdyby don Battista kiedykolwiek miał rozważać możliwość ponownego związku, to powalam sobie zauważyć, że łącząca nas od lat serdeczna przyjaźń upoważniałaby mnie do...

Miała rację, a jakże: robiłam sobie nadzieje. Na Łosinek pośrodku Zatoki Neapolitańskiej, na przykład.

Cookie przydreptał zaaferowany na mój taras i delikatnie zapukał w okiennicę. Ostatnio grywał regularnie w tenisa, schudł, wyciągnął się i opalił, z czym było mu do twarzy. Po raz pierwszy zauważyłam, że ma piękne, prawie granatowe oczy, cienione długimi rzęsami.

⁹³ * Sznycel zapiekany z serem i szynką czy medaliony cielece w sosie cytrynowym?

- Nie wiemy, co tu się dzieje, ale widzimy, że masz jakieś problemy z don Battistą. Chcieliśmy ci zaproponować, żebyś dosiadła się do naszego stolika, wtedy będzie musiał się bardziej pilnować.

- Ach, Cookie, jesteś aniołem - powiedziałam z wdzięcznością. - Nawet nie wiesz, jak chętnie się do was przeniosę! Zaistniała absurdalna sytuacja, w wyniku której nie mam na tym urlopie ani jednej spokojnej minuty i jeszcze muszę za to płacić. Wszystko to jest okropnie wprost żenujące. Wiem, że zrobiłam jakiś błąd, ale w tej chwili nic już na to nie poradzę.

- Co ty możesz wiedzieć o żenujących sytuacjach? - Cookie się uśmiechnął. - Nic nie jest samo w sobie żenujące, to ludzkie reakcje je takimi czynią.

- Wiem tylko, że zdarzają mi się permanentnie – poskarżyłam się. - Im bardziej staram się zjednać sobie ludzi, pozyskać ich przyjaźń i nie ranić ich uczuć, tym bardziej gwałtowna jest ich reakcja. Zupełnie jakbym uwalniała w nich jakieś ciemne moce i otwierała drzwi do lochów pełnych węży. Nawet jeżeli jestem Bogu ducha winna, ląduję jako kobieta całkowicie skompromitowana i chciałabym umrzeć ze wstydu.

- Ach, zaraz umrzeć... Niedawno moja matka też zamierzała umrzeć ze wstydu. Pod koniec życia dziadek rozwinął niezdrowe zainteresowanie seksem telefonicznym. Dzwonił sobie pod jakiś gorący numer i onanizował się ze słuchawką przy uchu. Pielęgniarki bardzo się skarżyły, bo brał je za panie z agencji towarzyskiej, wydawało mu się, że czepeczki i termometry to erotyczne rekwizyty. Szczypał je w tyłek, ściągał spodnie od piżamy i prosił o „lewatywkę z wibratorem”. Jak tylko matka wchodziła do szpitala, personel zaczynał szeptać między sobą i pokazywać ją sobie palcami, wszyscy wiedzieli, że jest córką tego starego zbereźnika. Nie wiedziała, gdzie ma oczy podziać, tak strasznie się wstydziła, w końcu zupełnie przestała dziadka w szpitalu odwiedzać. Musisz wiedzieć, że moja rodzina jest okropnie pruderyjna. W ostatnich miesiącach tylko ja do niego przychodziłem, mnie się podobało, że dziadek, wyższy urzędnik państwowy i

radca ministerialny, ze wszystkich możliwych rodzajów demencji starczej wybrał sobie akurat tę najprzyjemniejszą i chociaż przed śmiercią doskonale się bawi.

- Żyje jeszcze?

- Nie, umarł miesiąc temu. Miał piękną śmierć. Wyzionął ducha ze słuchawką przy uchu, w trakcie orgazmu. To dopiero była kompromitacja!

Popatrzyliśmy na siebie i parsknęliśmy oboje śmiechem. Cookie poklepał mnie pokrzepiająco po ramieniu, powiedział: No to spotkamy się na kolacji - i odszedł, wymachując rakieta. Patrząc za nim, pomyślałam, że wciąż jeszcze nic nie wiemy o mężczyźnie, którego nazywaliśmy w willi „tata Cookiego”; nawet wścibskiej pani Cornelii nie udało się nic z niego wyciągnąć.

Jan dzwonił do mnie regularnie, na ogół po północy, bo o tej porze wyłączał telewizor i miał nareszcie czas, żeby zabrać się za lekcje i sprawy domowe.

- Nastawiłem pralkę na syntetyk i trzydzieści stopni, wcisnąłem lewy klawisz i nic się nie dzieje - informował mnie. - Dlaczego?

Wyrwana z pierwszego snu mrugałam bezradnie oczami, usiłując sobie przypomnieć, jak wygląda nasza pralka w dalekich Niemczech.

- Może odkręć zawór z wodą? - proponowałam sennie.

- Działa! - zawiadamiał mnie tryumfalnie, jak tylko znowu udało mi się zasnąć. - A ty jak się bawisz? Dzwonili z Łosinka i pytali, czy przyjedziesz latem. Co mam im odpowiedzieć?

-Odpowiedz, że do lata jeszcze daleko... Odpowiedz, że...

A zresztą, nic nie mów, sama do nich zadzwonię. Nie mogę myśleć o Łosinku w środku nocy, pomyślę o nim jutro.

Ale i następnego dnia myślenie o Łosinku nie było prostsze. Nic z niego nie wynikało, poza stwierdzeniem, że w życiu nie ma powrotów, przynajmniej do Łosinka, ale powrót na Ischię też nie będzie łatwy. Don Battista nadal się dąsał,

czas mijał, urlop się kończył, a przyszłość mojego związku z Castello wciąż stała pod znakiem zapytania.

Dwa dni przed moim odlotem do Niemiec Cookie przysiadł się do mnie na tarasie z mapą w ręku.

- Po drugiej stronie miasta, na zboczach Monte Montagnone, widziałem dzisiaj kilka naprawdę sympatycznych pensjonatów - powiedział. - Widok stamtąd na Zatokę Neapolitańską jest może nawet jeszcze piękniejszy niż ze skały don Battisty. Castello też widać - machnął mapą w stronę zamku - chociaż nie tak dobrze jak stąd. Jeżeli nie jesteś zadowolona z don Battisty, to przespaceruj się na drugą stronę portu i się rozejrzyj.

- Dziękuję ci, Cookie, jesteś naprawdę kochany, ale drugiego takiego miejsca jak Villa Don Battista na pewno nigdzie nie znajdę. Bardzo by mi was wszystkich brakowało.

- Skąd wiesz, co cię czeka w innym hotelu? A może właśnie ciekawsi ludzie i jeszcze ciekawsze historie? Zresztą Holzbrinckowie na pewno przeniosą się z tobą, jesteście przecież zaprzyjaźnieni.

- A wy, Cookie? Ty i twój tata?

Granatowe oczy Cookiego jeszcze bardziej pociemniały, jego wzrok uciekł gdzieś za Capri, a trzymająca mapę ręka zadrżała. Ładna ręka, z długimi, szczupłymi palcami i wypielegnowanymi paznokciami. Moje własne paznokcie były połamane i miały wokół popękane skórki, wsunęłam więc pospiesznie dłonie pod siedzenie.

- Martin wcale nie jest moim tatą. Ale chce, żeby go za niego uważano i tylko dlatego nie farbuje siwych włosów. Żeby starzej wyglądać.

Co miałam mu na to powiedzieć? „Pewno, że nie jest? Wszyscy o tym wiemy, nawet Agnesina, choć jest kobietą bogobojną i nie dopuszcza nawet myśli o takim zgorszeniu?”. Chrząknęłam więc tylko i wybąkałam niewyraźnie:

- Hmm... no cóż... to chyba nie ma w dzisiejszych czasach absolutnie żadnego znaczenia, prawda?

- Martin jest moim przyjacielem - ciągnął dalej Cookie, kompletnie ignorując moją uwagę. Widocznie podjął decyzję odkrycia swojej tajemnicy i teraz już nic nie mogło go powstrzymać od wyjawienia tak długo ukrywanych szczegółów. - Od lat. Powiedziałbym, że nasz związek jest bardzo udany...

- Na pewno - wtrąciłam uspokajająco. - To widać.

- ... ale w dziurze, w której mieszkamy, nie możemy się do niego otwarcie przyznać, chociażby ze względu na moich rodziców.

- Och.

- Ojciec, mój prawdziwy ojciec, nawet to rozumie. Powiedział kiedyś do mnie: „Właściwie spodziewałem się tego. Na plaży rozglądałeś się tylko za chłopcami. Żyj, jak chcesz, bylebyś był szczęśliwy”. Matka jednak uważa to za zboczenie, zwyrodnienie, chorobę, coś, z czego można się wyleczyć modlitwą, zimnymi prysznicami i silną wolą. Jej zdaniem właśnie tej silnej woli mi brak. Nie traci nadziei, że jest to tylko kwestia przyzwyczajenia i jeszcze się „przestawię”, jak tylko spotkam odpowiednią kobietę i zaznam z nią prawdziwej miłości. Żeby dopomóc losowi, podsuwa mi coraz to nowe dziewczyny, słowo daję, jak na kobietę tak bogobojną, to stręczy jak rajfurka. Na wypadek, gdybym wciąż jeszcze nie zrozumiał, powtarza nieustannie, jak bardzo tęskni za wnukami. „W tym domu brakuje dziecięcych głosów, Cookie - mówi. - To chyba naturalne, że chciałabym je przed śmiercią jeszcze usłyszeć”. Oczywiście ma końskie zdrowie i przeżyje nas wszystkich.

- Cookie, naprawdę nie musisz przejmować się zdaniem matki. To twoje życie, a nie jej, prawda?

- Kiedy to nawet nie ona stanowi problem, tylko Martin. To Martin chce trzymać nasz związek w tajemnicy.

- To rzeczywiście...

- A mnie sprawia tym ból. To tak, jakby się mnie wstydził.

- Z całą pewnością nie!

- Nie, oczywiście, że nie, ale tak się czuję. To idiotyczne, żebym mówił „ta-to” do faceta, z którym sypiam, prawda? Dopiero wtedy czuję się, jakbym rzeczywiście był zboczeńcem.

- Mogę sobie wyobrazić. Wszędzie, czy tylko na Ischii?

- Co: wszędzie? Czy wszędzie czuję się zboczeńcem?

- Nie, nie, chciałam wiedzieć, czy wszędzie ukrywacie prawdziwy charakter waszego związku, czy tylko na Ischii, u don Battisty, ze względu na głęboką religijność Włochów z Południa?

- Moim zdaniem don Battista traktuje z głęboką religijnością przede wszystkim pieniądze, a nie uczucia. Jestem przekonany, że nie ma żadnych wątpliwości co do rodzaju naszego związku, ale udaje, że wierzy w wersję ojca i syna.

- W takim razie naprawdę nie rozumiem dlaczego...

- Martin prowadzi w Oberammergau chór chłopięcy. To bardzo dobry chór, na wysokim poziomie, jeździ z nim po całym świecie. Gdyby jego orientacja seksualna wyszła na jaw, rodzice natychmiast odebraliby mu dzieci. Martin kocha te dzieciaki i nigdy nie zrobiłby im krzywdy, ale ludzie się boją. Dla większości mieszkańców naszego miasta homoseksualista i pedofil oznacza to samo, a jak do kogoś raz przywrze etykieta „pedofil”, to może się pożegnać z wszelkimi funkcjami publicznymi. Dlatego Martin umiera ze strachu, żeby nasz związek nie wyszedł na jaw.

- Ależ to okropne! W dzisiejszych czasach, kiedy nieomalże codziennie jacyś znani ludzie przyznają się do swoich prawdziwych preferencji? Politycy, aktorzy...

- Znani, być może. Ale my mieszkamy w małym miasteczku w Górnej Bawarii i nie jesteśmy znani. Nie u nas i nie z tym chórem.

- Jesteś zupełnie pewny? Prawie na całym świecie można przecież teraz związek osób tej samej płci nawet oficjalnie zarejestrować.

- Najzupełniej pewny.

- No cóż, zawsze mi się wydawało, że ukrywanie czegokolwiek może prowadzić na dłuższą metę tylko do katastrofy. Tym bardziej powinniście chociaż na urlopie przestać udawać. Zmiana hotelu byłaby ku temu dobrą okazją.

- Przemyślimy to sobie.

Najchętniej wyruszyłabym natychmiast pod Monte Montagnone, ale w głębi ogrodu rozległ się podniecony głos Cesariny: **- *Signor Reiss, signor Reiss è venuto!*** - któremu towarzyszyło uspokajające pomrukiwanie pana Reissa. Zerwałam się z fotela i przeskakując schodki, zbiegłam do bramy, pod którą pan Reiss wysiadał właśnie z taksówki. Zawisłam mu z rozpędem na szyi.

- O mój Boże - powiedział przerażony. - Czy coś się stało?

- Nie, skądże, ucieszyłam się po prostu. Brakowało mi pana.

Po długim okresie przymusowej izolacji, kiedy nawet najsmaczniejsze potrawy Agnesiny przyprawione bezbrzeżną pogardą don Battisty stawały mi w gardle, kolacja z panem Reissem, Cookiem i Martinem wydała mi się uroczystym przyjęciem. Do tej pory nie mogłam pozbyć się wrażenia, że chyba muszę być trędowata, co bardzo podtrzymywało na duchu panią Kubitschek z Eisenhuttenstadt w Brandenburgii, przyzwyczajoną do odgrywania zazwyczaj tej właśnie roli. Jak mi się kiedyś zwierzyła, nieustannie wydawało jej się, że inni goście odprowadzają wzrokiem każdy podnoszony przez nią do ust kęs, zastanawiając się, jaką to część uiszczzonego przez nich podatku solidarnościowego, pomocy inwestycyjnych i środków wyrównania strukturalnego akurat zjada. Naturalnie zapewniłam ją, że się całkowicie myli, chociaż sama słyszałam poprzedniego wieczoru, jak pani Cornelia w przystępnych słowach tłumaczyła don Battiście, czego naród oczekuje od rodaków z nowych landów:

- Na pewno przyzna mi pan rację, drogi don Battista, że jeżeli to całe zjednoczenie rzeczywiście było nie do uniknięcia, to przecież nie po to pchamy nasze ciężko zarobione pieniądze na wschód, żeby oni wylegiwali się nad Zatoką Neapolitańską. Powinni najpierw nauczyć się porządnie pracować, no nie?

Pan Reiss wyglądał przy kolacji imponująco. Miał na sobie letni jasny garnitur z kamizelką, na której widniała złota dewizka od zegarka, na szyi dużą jedwabną muszkę, w klapie marynarki gałązkę oleandra. Biały kapelusz, przepasany wstążką, odłożył na puste krzesło i jego odkryta głowa z siwymi, falującymi włosami przypominała bardziej niż kiedykolwiek głowę starego lwa. Mimo upału i długiej podróży wyglądał świeżo, ani jedna kropelka potu nie perliła się na jego szerokim czole. Starannie rozłożył na kolanach serwetkę i z wielkim smakiem pochłaniał pieczoną solę, szczerze dolewając sobie biancolelli. Stojąca w drzwiach kuchni Agnesina przyglądała mu się z rozczeniem: lubiła, kiedy goście potrafili docenić jej talent.

- No i co teraz? - zapytał z troską pan Reiss, dolewając mi wina z oszronionej butelki. - Wyprowadzi się pani z willi?

Oczywiście o kryzysie moich stosunków z don Battistą mogłam mu opowiedzieć jedynie w bardzo oględnych słowach. Przerazającą scenę, w której don Battista wpijał się w moje usta, trzymając w garści swoją przywiedłą męskość, miałam wciąż przed oczami i byłam zupełnie przekonana, że nie uwolnię się od niej nawet na łożu śmierci, ale jakże miałam podzielić się tym wspomnieniem pełnym grozy ze szlachetnym starcem, który przyglądał mi się zatroskany znad półmiska soli pieczonej w cytrynach? Płatałam się więc w wyjaśnieniach, składałam sprzeczne zeznania i myliłam w szczegółach, ale moje bezradne próby wytłumaczenia zaistniałej sytuacji i tak nie grały żadnej roli, bo uraza don Battisty, jak wszystko inne, co go dotyczyło, miała wymiar szekspirowski i trudno było jej nie zauważyć.

- Wyjeżdżam pojutrze, panie Reiss, nie będę więc już się przeprowadzała, ale nie sędzę, żebym w przyszłości zechciała tu znowu zamieszkać. Postaram się znaleźć sobie jutro inny hotel, ale będzie mi was wszystkich bardzo brakowało. A może zechciałby pan przenieść się razem ze mną?

- A pewnie, czemu nie? Tych osiemdziesiąt sześć schodków sprawia mi z każdym rokiem więcej kłopotu. Niech pani szuka, a jak znajdzie coś odpowiedniego, proszę mi dać adres, to sobie obejrzę w spokoju po pani wyjeździe. Koniecznie musimy się spotkać znowu jesienią, chcę pani przecież opowiedzieć, jak było nad Niemnem.

- Bardzo bym się cieszyła, panie Reiss! A kiedy wybiera się pan w wielką podróż?

- W lipcu, tym razem na pewno. Czekam na to spotkanie z moją rzeką jak na spotkanie z kochanką. Niech pani sobie wyobrazi, wciąż jeszcze nie zapomniałem, jak się czeka na kochankę. Mój Boże, tyle lat... Tak sobie myślę, że jak w końcu zobaczę mój kraj rodzinny, wrócę tam, gdzie się urodziłem, to mój los się spełni i będę mógł potem spokojnie umrzeć.

Z tego punktu widzenia spokojne umieranie raczej mi nie groziło: mój kraj rodzinny zmienił się tak bardzo, że w pewnym sensie w ogóle przestał istnieć. A z całą pewnością ja przestałam w nim istnieć.

Pan Reiss, jakby czytając w moich myślach, powiedział:

- Ojczyzna, dom... Tak za nimi tęsknimy, a może my już ostatni, którzy je w ogóle mieli? Tak się teraz na świecie porobiło, że ludzie jak te plemiona koczownicze wędrują, korzeni nigdzie nie zapuszczają. Jeden mój wnuk w Anglii, drugi w Hiszpanii, globalni tacy, idą, gdzie pracę mogą znaleźć, a ja sobie myślę, że ten postęp dziwny jakiś, bo przecież sto lat temu ludzie za chlebem emigrowali, a teraz znowu jest tak, jak przed stu laty, tylko inaczej się nazywa. Tylko jeden wnuk w domu został, ten najmłodszy, co mnie nad Niemen zawiezie, Johannes, a pojęcia pani nie ma, jak się z tego powodu mój zięć martwi! Johannesas strasznie

do domu ciągnie, kolegów i panienki do niego sprowadza, twierdzi, że nigdzie wyjeżdżać nie chce, bo życia sobie bez nas nie wyobraża. „Dziadziu - mówi - tak mi tu z wami dobrze, tak was wszystkich kocham, i nasz dom, i wiśnię w ogródku, i łąki nad Łabą, i statki... to czemu miałbym stąd odejść? Przecież brak by mi tego było". Na to zięć zaraz krzyczy, że Pan Bóg go głupim dzieckiem pokarał, nic Johannes z nowych czasów nie rozumiał, jakże to do czterech ścian i wiśni się przywiązywać, kiedy tu cały świat mu stoi otworem? A ja już nic nie mówię, bo zięć choleryk straszny i zaraz się denerwuje, tylko tak sobie w duchu myślę, że jak człowiekowi cały świat otworem stoi, to znaczy tylko, że nigdzie nie ma dla niego miejsca. Bo, proszę pani, jak człowiek jest zupełnie wolny i wszędzie może pójść, to on jest po prostu nikomu niepotrzebny - i tak to jest, z tą wolnością.

*

Droga na Monte Montagnone wspinała się coraz wyżej i wyżej, między ogrodami otoczonymi murami z porowatego, omszałego tufu, na których wygrzewały się w słońcu seledynowe jaszczurki. Głęboko w dole pozostał port, statki buczące jak melancholijne słonie i zgiełk handlowych uliczek. Z daleka dochodziły śmiechy dzieci, szczekanie psów, czujnie wyprężonych na skrajach płaskich dachów, i jasny dźwięk sygnaturki wzywającej na Anioł Pański. Tu, wysoko nad miastem, powietrze było czyste i wonne, pachnące dziko rosnącą bazylią, rozmarynem i szalwią.

Wzdłuż drogi rosły fioletowe powoje, wyższe od dorosłego człowieka różowe osty, pastelowe groszki, oleandry i hibiskusy, zarośnięte bugenwillą furtki prowadziły do winnic i zdziczałych ogrodów. Nad jedną z nich wisiał szyld z napisem *Villa Luna*. Pchnęłam ją i znalazłam się w pomarańczowym gaju, w głębi którego prześwitywał między drzewami biały budynek z łagodnymi łukami pod-

cieni i zielonymi okiennicami. Poszłam w jego kierunku, rozglądając się za personelem, pokojówkami w czepeczkach i fartuszkach, barmanem w kamizelce w paski i sprzątaczkami, ciągnącymi za sobą elektroluksy, ale w ogrodzie nie było nikogo.

Willa stała na przestronym tarasie, otoczonym balustradą z tralkami, na której umieszczone były donice z pelargoniami i figurki amorków. Tuż za balustradą opadało ku morzu strome urwisko, porośnięte oliwkami, drzewkami figowymi i powojem o niebieskich kwiatach wielkości spodków. Z tej odległości jednak wydawało się, że dom unosi się w powietrzu nad bezmiarem zatoki, zamkniętej na horyzoncie wybrzeżem Neapolu, stożkiem Wezuwiusza i półwyspem Sorrento. Na wschodzie widoczne były skały Capri i Castello Aragonese, mniejsze i bardziej oddalone niż z tarasu don Battisty, ale wciąż jeszcze pozostające nieprawdopodobną kupą kamieni, zwieńczoną kopułą Chiesa dell'Immacolata.

Na tarasie, przy ocienionym parasolem stoliku, dwóch chłopców mozoliło się nad rozłożonymi zeszytami. Młodszy miał buzię barokowego aniołka i włosy w kędziorkach, starszy kolana pokryte strupami i nieufne spojrzenie człowieka, którego życie pozbawiło złudzeń. Ze skupieniem wysypywał na stół cukier ze szklanego pojemniczka zakończonego metalowym dziobkiem, układając go we wzór labiryntu, na środku którego umieścił wyjętą z ust lepką landrynkę. Młodszy próbował tchnąć sportowego ducha w dwie szczypawki i skłonić je do uczciwego współzawodnictwa w sprincie po landrynkę. Trzecie dziecko raczkowało między nogami chłopców, gruchając i wydmuchując bańki śliny.

Wysoka, przystojna kobieta, której długie włosy spadały ciemną falą na ramiona, a oczy ciskały gromy, stała obok, podpierając się pod boki.

- Francesco, zatłukę cię jak psa, zobaczysz! - krzyczała. - Dlaczego jeszcze nie jesteś gotowy z lekcjami i co robią te karaluchy w moim cukrze?

- Nie karaluchy, szczypawki - odparł z godnością chłopiec o nieufnym spojrzeniu. - Są bardzo inteligentne, przez cały tydzień je trenowaliśmy.

- A lekcje?

- Nie mogę myśleć, bo umieram z głodu. Chcesz, żebym umarł?

- Przed chwilą wstałeś od stołu!

- Przed chwilą nie byłem głodny. A teraz umieram.

- Nie umrzesz, zjadłeś dwa talerze tortellini - wtrącił się młodszy chłopiec, zapewne brat, ale w tej chwili zdrajca i śmiertelny wróg, więc dostał w ucho, za nim zdążył zamknąć usta.

W głębi budynku rozległ się rozwścieczony ryk i na taras wypadł krępy mężczyzna w białych płóciennych spodniach i czerwonej koszuli, z maszynką do golenia w ręku. Podobieństwo dzieci do niego było bezsporne. Z zadowoleniem przeliczyłam wzrokiem: ojciec, matka, troje dzieci. Uregulowane stosunki rodzinne, bardzo dobrze.

- Który z was ogolił moją maszynką kota? - wrzasnął mężczyzna. Chłopcy jak na komendę zerwali się ze stołków i w mgnieniu oka zniknęli w głębi gaju pomarańczowgo. Ojciec popędził za nimi, ale po paru metrach zrezygnował z pościgu.

- Diabelskie nasienie - stwierdził ponuro. - A pani to czego szuka, *signora*?

- Czy mam przyjemność z *padrone*?

- *Si, si, esattamente**⁹⁴.

Miał trzydniowy zarost, przekrwione oczy i najprawdopodobniej choleryczny charakter, ale też ujmujący uśmiech, w którym obnażał śnieżnobiałe zęby, a przede wszystkim miał dużą rodzinę, troje dzieci i tę energiczną ciemnowłosą z piorunami w oczach, która już o to zadba, żeby nie przychodziły mu głupie myśli do głowy.

- Och, rozglądam się - powiedziałam. - Szukam czegoś na jesień, koniec września, może początek października. Bardzo mi się tu u państwa podoba, miejsce jest piękne i odpowiada moim wyobrażeniom, cenię sobie życie rodzinne i ogromnie lubię dzieci, koty zresztą też. Najważniejszy jednak jest dla mnie wi-

dok i jestem zupełnie przekonana, że właśnie u państwa znajdę to, czego już od dawna szukam: pokój z widokiem na Castello.

TLR